

Czasem, aby zyskać szczęście trzeba wszystko stracić

SARAH HARVEY

DOM RÓŻ



*Pełna ciepła, mądra opowieść
o poszukiwaniu tego,
co w życiu najważniejsze.*

Sarah Harvey

Dom róż

Tłumaczenie: Agnieszka Hofmann



Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

Epilog

Temu jedynemu, którego kocham.

Na zawsze.

I

Peter Trevethan przebył pięciogodzinną jazdę z Truro do Londynu bez postojów. Rozpoczął ją – jak wszystko w życiu – z konkretnym celem przed oczami, a każda przerwa w podróży tylko niepotrzebnie by go zatrzymywała. Utknąwszy w londyńskich korkach, z właściwą sobie cierpliwością i pogodą ducha słuchał w kółko jednej płyty, radośnie bębniąc palcami o kierownicę w takt muzyki. Po co się denerwować, skoro i tak nie można nic zmienić.

Minęło już pół roku, odkąd ostatni raz był w Londynie, a gwarność metropolii wywołała w nim przyjemne mrowienie. Gdyby nadal codziennie dojeżdżał do pracy w tym mieście, musiałby naturalnie znosić korki, ale raczej nie z uśmiechem, malującym się teraz na jego młodzieńczej twarzy. Wciągnął w płuca ciepłe, gryzące, zanieczyszczone londyńskie powietrze i nawet ono sprawiło mu radość, jak komuś, kto wyjechał na dość długo, żeby gruntownie odpocząć od tego miejsca.

Peter poczuł cień nostalgii, że porzucił miasto, w którym spędził pierwsze dorosłe lata, ale nie żałował swojej decyzji. Skręcił w Ladbroke Grove, a dalej w małą, jakże znajomą boczną uliczkę w Notting Hill, gdzie ciągnęły się szeregi wiktoriańskich domów, a szukanie miejsca do parkowania równało się zażartej walce ze świątobliwymi na pozór mieszkańcami dzielnicy. Dopisało mu szczęście: udało mu się zdobyć beczenny parking tuż przed domem. Z okna gabinetu wyglądał go już szeroko uśmiechnięty Liam, jego najlepszy przyjaciel. Lily stała tuż za nim.

Chwilę potem oboje wybiegli z domu na powitanie, sprzecząc się, które ma większe prawo rzucić mu się na szyję jako pierwsze. Ich nieskrywana radość z jego przybycia wywołała w nim wyrzuty sumienia, bo od ostatnich odwiedzin minęło tyle miesięcy. Oczywiście miał ku temu swoje powody, ale wołał zachować je na razie dla siebie.

Zostawił torbę podróżną w pokoju gościnnym i rozsiadł się przy stole w małej, przytulnej kuchni Lily i Liama. Drewniane rzeźbione krzesło było ciut za wąskie dla masywnego siedzenia Petera i z tego powodu trochę niewygodne.

Przeciągnął się i rozprostował zeszytwniałe plecy. Do środka przez maleńki ogródek wpadały odgłosy późnego popołudnia – niecierpliwie trąbienie uwięzionych w korku pojazdów, odległe, na szczęście, dudnienie młota pneumatycznego, zawodzenie radiowozu przebijającego się przez zatkaną Holland Park Avenue, krzyki dzieci spierających się o rzut karny do bramki zaimprovizowanej z rzuconych na ziemię kupek ubrań.

Był początek września. Lato przechodziło właśnie w przepiękną jesień, a hortensja w ogrodzie ugiwała się do ziemi pod ciężarem kwiatów. Zapach wiciokrzewu mieszał się z aromatem jedzenia. Peter zdjął buty, wyciągnął nogi i chłonał domową atmosferę. Napawał się ciepłem, zapachem czosnku, bukietem rozlanego do kieliszków czerwonego wina i obecnością dwójki najlepszych przyjaciół.

Lily zrobiła przerwę w gotowaniu, wzięła od Liama kieliszek i odgarnęła z twarzy kosmyk kasztanowych włosów. Radość z przyjazdu Petera sprawiała, że jaśniała bardziej niż wypucowana na połysk kuchnia.

– Za dobrych przyjaciół. – Liam uniósł kieliszek, a Lily podeszła i trąciła się szkłem z Peterem.

– I za dobre jedzenie – uzupełnił Peter. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo brakowało mi twojego kulinarnego talentu, Lily.

– Mam nadzieję, że nie tylko tego! – roześmiała się i złożyła lekki pocałunek na jego ciemnych włosach.

– Oczywiście, że nie.
Peter uniósł na nią wzrok i uśmiechnął się. Potem łyknął spory haust wina i odstawił kieliszek, żeby przejść do celu wizyty.

– Bardzo mi was brakuje. To głównie dlatego przyjechałem.

– Nie licząc chęci pochwalenia się nowym, wspaniałym, projektem, zgadza się? – Liam pokazał zęby w uśmiechu i przysiadł się do stołu.

– Owszem, ale jedno wiąże się z drugim: tęsknota i przechwałki. I wywodzi ze wspólnych korzeni – odparł tajemniczo, a w jego wzroku kryło się wyzwanie.

Liam i Lily wymienili skonsternowane spojrzenia i pozwolili mówić mu dalej.

– Sprawa jest taka, Liam... cóż, ten projekt... jest dość duży, właściwie cholernie duży... To niepowtarzalna szansa... Coś takiego zdarza się raz w życiu.

– Z tego, co mówiłeś, rzeczywiście na to wygląda, Peter – zgodził się Liam.

– Na pewno. Ten obiekt przyciągnie zainteresowanie opinii publicznej tak samo jak... jak... Millenium Dome... Hm, może to nie najlepszy przykład... Sam nie wiem, może jak nowy Stadion Wembley, o, właśnie, jak nowy Wembley, tylko trochę mniej kontrowersyjny. Albo jak National Exhibition Centre in Birmin-gham... To będzie największe centrum sztuki w Kornwalii, być może nawet największe w całej Wielkiej Brytanii! To szansa, żeby zapisać się na trwałe na kartach historii, Liam! To jak Katedra Świętego Pawła albo Zamek Windsor, albo zamek Tintagel! Prasa będzie się rozpisywać o tym jak o Aniele Północy, tylko że ten projekt będzie nazywany Zbawieniem Południowego Zachodu. Stworzy tysiące miejsc pracy, przyciągnie tłumy turystów, wzbudzi zainteresowanie mediów jak Eden Project. Jednym słowem: ten projekt przyniesie jego architektom wieczną sławę.

– Cieszę się razem z tobą, Peter. To naprawdę cudowne.
Peter pokiwał powoli głową.

– Tak, aż się nie chce wierzyć... – Zawiesił głos i popatrzył z naciskiem na przyjaciela. – Ale jest pewien problem.

– Problem? – powtórzył zdumiony Liam.

Peter zasznurował usta i przesunął ku niemu plik papierów. Na pierwszej stronie widniały znaki, które nakreślił ołówkiem, kiedy po raz pierwszy opowiadał o projekcie.

– To jest zestawienie Duncana Cordaya.

Liam przyjrzał się dokumentom, a jego jasnoniebieskie oczy w miarę czytania zwięzły się coraz bardziej.

– Plany mam w teczce – ciągnął Peter – a to tutaj – wręczył przyjacielowi parę rysunków – to moje pierwsze szkice. Szkopuł w tym, że są nie dość dobre...

Liam podał Lily butelkę z winem, odsunął na bok przyprawy i talerze, a potem rozpostarł projekt na stole.

– No cóż, moim zdaniem wygląda nieźle. Mało tego, to jest dobre jak cholera – zawyro- kował, kiedy skończył je studiować.

Peter skinął głową, ale nie po to, by pokazać, że się zgadza.

– Przecież zwyciężyłeś w konkursie, prawda? – Liam nie potrafił zrozumieć sceptycyzmu przyjaciela.

– Corday darzy mnie pełnym zaufaniem – wyjaśnił Peter. – Przynajmniej na razie. Ale szczerze, Liam, Duncan Corday uznał, że moje projekty są lepsze od prac innych konkurentów, stwierdził, że są innowacyjne, ale on jest i zawsze będzie starym przyjacielem mojego ojca, stąd jego opinia może nie do końca była obiektywna. To najważniejszy projekt, jaki konserw Cordaya kiedykolwiek realizował i finansował, Liam...

Przyciągnął rysunki z powrotem do siebie i popatrzył na nie.

– Są naprawdę w porządku, kto wie, być może są nawet dobre albo cholernie dobre, ale to i tak za mało, Liam. Oni chcą czegoś wybitnego, czegoś zapierającego dech w piersi, czegoś porywającego! Chcą czegoś, na widok czego ludzie będą masowo mdleć, czego piękno sprawi, że ludzie padną na kolana przepelnieni głęboką czcią...

Peter przerwał i podniósł wzrok. Popatrzył badawczo na Liama i nieświadomie przygryzł wargę.

– I to jest jeden z powodów, dlaczego tu dziś jestem...

Lily, która wróciła do gotowania i tarła parmezan, odwróciła się i nadstawiła uszu.

– Ojciec z każdym dniem czuje się lepiej – powiedział Peter.

– Cieszy mnie to. – Pokiwał głową Liam. – Ile to już czasu?

– Półtora roku, odkąd wróciłem do Kornwalii, żeby przejąć jego interesy... Nie do wiary. Jak mówiłem, z każdym dniem czuje się lepiej, a lekarze są zdania, że mógłby całkowicie wyzdrowieć, gdyby w końcu przestał palić. Wprawdzie on twierdzi z całym przekonaniem, że już dawno rzucił, ale wiem od matki, że tata, pod pretekstem usuwania przekwitłych kwiatów, podejrzanie dużo czasu spędza w ogrodzie, spowity osobliwym, mglistym oparem. Sęk w tym, Liam – Peter urwał i upił spory łyk wina, jakby chciał w ten sposób załagodzić nerwy – że teraz, kiedy rzeczywiście ściągnął mnie do siebie, o czym przecież nieustannie marzył, choć nie sądzę, żeby dla spełnienia marzeń dostał zawału... – Uśmiechnął się krzywo. – W każdym razie teraz, kiedy jestem w Kornwalii, uznał, że w ogóle nie chce wracać do pracy.

– Chyba nie mówisz poważnie? – Liam zmarszczył brwi, zaskoczony.

Peter pokręcił głową.

– Tak, wiem, sam nie sądziłem, że kiedyś tego dożyję, ale ojciec z końcem miesiąca oficjalnie przechodzi na emeryturę. Rodzice chcą na stałe zamieszkać w Marsylii. Tata mówi, że latem zamierza łowić, i to ryby, a nie klientów. I spacerować po plaży, a nie po placu budowy. Oczywiście jest przeszczęśliwy z powodu tego kontraktu, ale raczej dlatego, że po przekazaniu firmy w moje ręce przez jakiś czas nie będzie się musiał martwić o jej przyszłość.

Peter zamilkł i łyknął jeszcze trochę wina. Kiedy w końcu spojrzał spod swoich długich, ciemnych rzęs na Liama, jego wzrok był poważny.

– Miałby jeszcze mniej powodów do zmartwień, gdyby wiedział, że nie jestem całkiem sam...

– Co chcesz przez to powiedzieć, Peter?

– Chcę powiedzieć, że chciałbym zaprosić cię do gry...

Zapadło milczenie. Peter popatrzył najpierw na Liama, potem na Lily, która właśnie odlewała makaron.

Postawiła parujący garnek z pastą na drewnianej podstawie i popatrzyła na męża spod lekko zmrużonych powiek. Peter podążył za jej spojrzeniem, a potem wreszcie wypowiedział słowa, które ćwiczył w duchu przez całą drogę.

– Chcę cię zaprosić do gry. Długo łamałem sobie głowę, czego właściwie brakuje moim projektom. I nagle mnie olśniło: ciebie, Liam. Ciebie im brakuje. Ty jesteś kluczem, który zadowolili Duncana Cordaya. To ty potrafisz zrobić z cholernie dobrych projektów projekty wybitne i dlatego chciałem cię spytać, a właściwie prosić, zaproponować... żebyś się przyłączył. Pragnę, żebyś pojechał do Kornwalii i został moim partnerem, Liam.

Peter wyjechał następnego dnia rano, zostawiając coś więcej niż typowe podarki z Kornwalii jak fudge, clotted cream i uwielbiane przez nich ciasto szafranowe. Pozostawił po sobie też więcej niż nastrój zadumy. On im zostawił nowe możliwości. Niespodziewanie otworzyła się przed nimi perspektywa, przewracająca do góry nogami ich dotychczasowe życie – bo on wskazał im drzwi, przez które mogli przejść.

To nie było tak, że byli niezadowoleni ze swojego londyńskiego życia. Osiedli tutaj po powrocie z USA, gdzie Liam skończył studia. Wprawdzie zawsze zachowywali milczącą zgodę co do tego, że nie chcą spędzić reszty życia w Londynie, ale starannie omijali kwestię, kiedy i dokąd dokładnie mieliby się przeprowadzić.

Oboje kochali Kornwalię, często tam bywali, zwłaszcza odkąd znowu zamieszkał tam Peter, i nieraz wzdychnęli: „a może by tak...” i „fajnie byłoby...”. Były to raczej tęskne życzenia wypowiedziane pod koniec urlopu, a nigdy poważne rozważania, nawet wtedy, gdy Peter po zawale ojca wrócił do wysuniętego najbardziej na zachód zakątka Anglii.

Nigdy, aż do teraz.

Ledwie Peter wypowiedział swoją propozycję, wymienili spojrzenia, żeby sprawdzić reakcję drugiego.

On zaś wyczekująco wodził wzrokiem między nimi, a na ustach błąkał mu się skruszony uśmiech.

– Ja mówię serio, do cholery – dodał na widok ich niedowierzających min. – Jeśli nie chcecie, nie musimy omawiać tego teraz. Napadłem na was z impetem dziesięcotonowej ciężarówki. Jak zwykle. Przemyślcie to, przedyskutujcie między sobą i powiedzcie, jaka jest wasza decyzja. Kolacja smakuje wybornie, Lily, od miesiący nie jadłem domowego posiłku...

Jego próba zmiany tematu została natychmiast udaremniona.

– Co to ma znaczyć, że nie musimy tego teraz omawiać? Jak możesz odpalać tu taką bombę i oczekiwać, że po prostu to zignorujemy i będziemy radośnie dalej jeść kolację? – odezwała się Lily.

Peter w sympatyczny sposób zmarszczył nos i przepaszająco wzruszył ramionami.

– No dobrze, może rzeczywiście nie wybrałem zbyt dobrego momentu...

– Dlaczego? Myślisz, że na deser ta propozycja byłaby bardziej strawna?

– Powinienem był zadzwonić wcześniej. Dać wam trochę czasu do namysłu, czasu na rozmowy. Beze mnie. Przykro mi.

Liam milczał przez cały czas.

– Liam... – zagaiła Lily.

Nie odpowiedział jej, a zamiast tego zwrócił się do przyjaciela.

– Żeby dobrze zrozumiał, Peter. Proponujesz mi, abym wszedł w firmę twojego ojca?

– No. – Uśmiechnął się skromnie Peter. – Właściwie od wczoraj to oficjalnie moja firma. Spłaciłem ojca. Wreszcie uciulałem dosyć...

– Wow, Peter, to wspaniale! Serdeczne gratulacje!

Wprawdzie nadal byli skołowani po tych wszystkich nowinach, ale to nie przeszkodziło im natychmiast powinszować mu z całego serca. Wiedzieli, jak długo i ciężko na to pracował. Nie chciał przyjąć daru od losu w postaci podanej na srebrnej tacy dobrze prosperującej firmy.

– Dziękuję wam... W sumie zajęło mi to dwanaście lat... Dwanaście lat, odkąd skończyłem studia... Dwanaście lat odżywiania się wyłącznie fasolką z puszki, pieczonymi

ziemniakami i wodą z kranu... – Rozczulał się teatralnie nad sobą, wprawiając w drżenie dolną wargę.

– Wiecie co, myślę, że trzeba napocząć coś lepszego od tego cienkusza – zaordynował Liam.

– Ależ ja nie mam nic przeciwko rioji! – rozpromienił się Peter, podtykając mu kieliszek.

– Nic dziwnego, po latach kranowy... – zażartowała Lily.

Liam podolewał wina.

– Za Petera. I za jego nową... no, właściwie starą, ale wiecie, co mam na myśli... Za Petera i jego nową firmę.

– Za nową firmę Petera – zawtórowała Lily.

– Właśnie o to mi chodzi. – Peter umoczył usta w winie, odstawił kieliszek i popatrzył na Liama z nadzieją. – Jeśli mówię, że chciałbym, abyś wszedł do firmy, to mam na myśli pełną gębą. Jako partner. Jako współwłaściciel. Pragnąłbym, żebyśmy wkrótce mogli wznieść toast za naszą firmę.

Liam również odstawił kieliszek i utkwiał zdumione spojrzenie w przyjacielu.

– Chcesz, żebym nabył udziały w firmie?

Peter skinął głową.

– Fifty-fifty, Liam. Ty i ja, nasza ferajna w starym składzie, znowu razem... Co o tym myślisz? Ach, nonsens, wróć – poprawił się, kiedy Liam otworzył usta, z których nie wydobył się żaden dźwięk. – Nie chcę wiedzieć, co myślisz, przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie śpiesz się... A teraz – zwrócił się do Lily – chcę usłyszeć *en détail*, co się wydarzyło, odkąd widziałem cię ostatni raz! Sprzedałaś parę płócien wartych miliony?

– Płócien?

– Owszem. Chyba nadal pracujesz w tej najbardziej ekskluzywnej i najdroższej galerii sztuki w Londynie? A może wyrzucili cię za domalowanie wąsów Monie Lisie?

– Nie, ale dostałam pisemną naganę za wyretuszowanie Renoira. Domalowałam gorset.

– Czyli obraz uchodzi teraz za sztukę nowoczesną i podwoił wartość. – Liam objął żonę z uśmiechem.

I na tym poprzestali. Obu udało się jakoś uznać temat za niebyły i spędzić resztę wieczoru tak, jakby nic się nie wydarzyło. Tylko Lily nie umiała się wyciszyć, jej myśli burzyły się jak spieniony szampan, którego jednak otworzyli. Za każdym razem, gdy wracała do tematu, znikał tak samo prędko, jak trunek w kieliszkach. Mężczyźni w mig podejmowali inny.

W ich związku to Liam był pragmatykiem. Już dawno zdołał podzielić swoje życie na obszary, które trzymał z dala od siebie, niezależnie od kolei losu. Potrafił tak wykorzystać kreatywność i wyjątkowy talent malarski, że dawały mu pewną satysfakcję, ale i godziwe dochody. Lily była wyjątkiem w tym poukładanym życiu. Mawiał, że małżeństwo z nią było aktem bezinteresownego oddania.

Lily była zdeterminowana jeszcze tego samego wieczoru porozmawiać z mężem. Ponieważ jednak – jak zawsze, kiedy był u nich Peter – alkohol lał się strumieniami, Liam zasnął, ledwie przyłożył głowę do poduszki. Została sama z myślami i emocjami.

Propozycja była oczywiście nęcąca. Nie bez przyczyny tak chętnie spędzali wakacje w Kornwalii – ale zamieszkać tam na stałe to coś zupełnie innego. W tej chwili Lily cieszyła się, że mogli wybierać dla siebie rodzynki z obu światów. Jeździli do Petera, kiedy potrzebowali towarzystwa swojego przyjaciela, morskigo powietrza i słońca, w Londynie zaś korzystali z wielkomiejskiego życia, do jakiego nawykli od lat.

– Liam? – wyszeptała.
W odpowiedzi usłyszała lekkie chrapanie.

Wrócili do sprawy dopiero po wyjeździe Petera.
– I? Co o tym sądzisz? – zapytał Liam, kiedy pożegnawszy przyjaciela, znaleźli się w domu.
– Co ty o tym sądzisz? – odparła prędko.
– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą. – To szalona propozycja, Lily. Chce mi przekazać udziały za grosze...
– Cały Peter. – Lily pokiwała głową z uśmiechem, a potem zmarszczyła czoło. – Więc rozmawialiście jednak o tym? Beze mnie?
– Tylko o tym, że... nie chciałby, żeby sprawa rozbiła się o pieniądze.
– Stać nas na to?
Liam skinął głową.
– Musielibyśmy sprzedać dom... Ale to i tak byłoby konieczne, gdybyśmy chcieli się wyprowadzić, prawda? – Posłał jej uśmiech.
– A chciałbyś się stąd wyprowadzić? Wiesz, naprawdę w pełni rozumiem, że partnerstwo z Peterem stanowi dla ciebie wyjątkową szansę, ale czy chcesz również wszystkiego, co się z tym wiąże? Chcesz opuścić to miejsce? Zostawić za sobą Londyn? Londyn i... – urwała, i choć on dokładnie wiedział, o czym myśli, zdawał sobie sprawę, że nigdy by się do tego nie przyznała. Spuściła wzrok. – Londyn i wszystko inne...?
Nie potrafił od razu odpowiedzieć. On również niełatwo się rozstawał. Czy naprawdę umiałby zostawić za sobą całe swoje życie? Ich życie? Spalić za sobą mosty i zacząć od nowa? Od zera? Czy potrafiłby? Popatrzył na żonę i ujrzał jej pełną lęku twarz, jej obawę, że powie: tak, chcę.
Więc nie powiedział, co naprawdę myśli, tylko ujął jej zatroskaną twarz w obie ręce, pocałował delikatnie, ale stanowczo w usta i potrząsnął głową.
– Nasze życie toczy się tutaj... w Londynie – rzekł dobitnie, a jego słowa zabrzmiały, jakby chciał przekonać sam siebie. – Tu jest wszystko, co mamy.
„I co mieliśmy”, dodał w myślach. A Lily ochoczo pokiwała głową.
Tym samym sprawa została odhaczona. Na razie. Bo czuła, że wciąż zaprzęta mu głowę. Że się nią gryzł, że uwierała go i swędziała jak po ukąszeniu natrętnego owada, i że Liam prędzej czy później zacznie się drapać.

Trwało to tydzień. Po kiepskim, pełnym niepowodzeń w pracy dniu Liam wrócił do tematu.
– Co tu nas właściwie trzyma, Lily? – zapytał tak po prostu, bez wstępu, bez ostrzeżenia. Siedzieli przy kolacji i udawali, że jedzą, przesuwając spaghetti po talerzu. Oboje nie mieli apetytu. Zaskoczona podniosła wzrok znad powoli stygnącego jedzenia.
– Co nas tu trzyma? – powtórzyła.
Doskonale wiedziała, co powiedział i co miał na myśli, ale musiała powtórzyć pytanie w nadziei, że te same słowa usłyszane z jej ust zabrzmiały dla niego tak jak dla niej. Absurdalnie. Ale on powtórzył pytanie. Tym razem bardziej zdecydowanie.
– Co nas tu właściwie trzyma?
Lily odłożyła widelec i zmrużyła oczy, czując, jak ogarnia ją lodowaty niepokój i pełnie

po plecach w górę, żeby zacisnąć na szyi swoje palce Królowej Śniegu.

– Nasz dom – odparła.

– To przecież tylko budynek. – Wzruszył ramionami. – To my sprawiamy, że staje się domem. Możemy urządzić go wszędzie.

– Moja praca?

– Możesz znaleźć coś innego.

– Ale ona sprawia mi radość...

– Większość naszych przyjaciół i tak już wyniosła się z Londynu – ciągnął, jakby jej nie słyszał. – Może dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy się stąd wyprowadzili. A przecież zawsze zachwycaliśmy się Kornwalią...

– To, że chętnie spędzamy tam urlop, nie znaczy, że dobrze by nam się tam żyło. To coś zupełnie innego...

– Tak, i to coś innego może dobrze by nam zrobiło... – Sięgnął przez stół, ujął jej dłonie i popatrzył na nią poważnie. – Może „coś innego” to właśnie to, czego nam potrzeba, Lily. Czego ty potrzebujesz. Żeby znowu być szczęśliwą.

– Ach, nie wiem, Liam...

– Pomyśl o tym, Lily.

– Już o tym myślałam. Nie śpię po nocach i rozmyślam. A ty? Czy naprawdę się nad tym zastanowiłeś?

– Nie robiłem nic innego przez cały miniony tydzień, a im dłużej nad tym myślę, tym mniej powodów przemawia przeciwko temu. Wiem, że to by było coś zupełnie nowego, że to byłaby dramatyczna zmiana, że coś takiego może wywoływać lęk, ale przecież bylibyśmy razem. Lily, my dwoje, tylko to się liczy. I mielibyśmy Petera w pobliżu. Pomyśl, jak bardzo nam go brakowało w ciągu ostatniego półtora roku...

Lily skinęła głową.

– To prawda.

– Nasza ferajna znów byłaby w komplecie.

– Święta trójca... – Lily zmusiła się do uśmiechu.

Tak sami się nazywali w czasach, kiedy Peter odgrywał rolę jej przyzwoitki.

– Mogłoby być naprawdę pięknie. – Jej uśmiech dodał mu odwagi. – Tam jest tak cudownie, Lily. Moglibyśmy zamieszkać tuż nad wodą... Wyglądać przez okno i patrzeć na Atlantyck... – Narysował w powietrzu wymaglinowany horyzont.

Pokiwała głową i dała się zarazić jego zapałowi i wyobraźni.

– Moglibyśmy codziennie spacerować po plaży, do woli jadać w twojej ulubionej restauracji w Truro, chodzić na wystawy w St Ives... Może nawet znalazłabyś tam pracę. W St Ives jest mnóstwo galerii. Albo po prostu zrobiłabyś sobie dłuższą przerwę... – Przygryzł wargę i popatrzył na nią, jakby się zastanawiał, czy powinien powiedzieć, co myśli. – Może nawet znowu zaczęłabyś malować...

Tym razem przeciągnął strunę. Twarz jej stężała.

– Nie. Nie, nie sądzę... – Lily potrząsnęła stanowczo głową.

– No dobrze, w takim razie nie będziesz malować, ale jest przecież tyle rzeczy, które moglibyśmy tam robić... Lily. Proszę. Przemyśl to.

– Już to zrobiłam – powtórzyła.

– To dla mnie niepowtarzalna szansa...

– Wiem, ale...

– Myślę, że naprawdę tego chcę, Lily.

Słyszając żarliwość w jego głosie, wycofała się i popatrzyła na niego z namysłem.

– Naprawdę tego chcesz?

Potwierdził. W jego wzroku zabłysła nadzieja, że Lily podzieli jego wizję i zapał.

– Tak... – Z pałającym wzrokiem przytulił ją, jakby chciał ją przeciągnąć na swoją stronę.

– Im dłużej o tym myślę... tym bardziej wierzę, że to właściwa decyzja... tym większej nabieram pewności, że to jest to, czego pragnę... Odważmy się, Lily. Proszę... Zapomnijmy o tych wszystkich negatywnych „ale”, chwycimy byka za rogi i zabierajmy się stąd.

Staromodny samochodowy zegar pokazywał, że upłynęło dopiero pięć godzin, odkąd opuścili Londyn – a już odczuwała zmianę. Zmiana dojrzywała w jej brzuchu jak dziecko. To porównanie sprawiło jej nieskończenie wielki ból.

Mroczne myśli Lily zestroiły się z żywiołami: ołowiane chmury przetaczały się nad nagimi połaciami przemierzanymi przez kolumnę trzech pojazdów. Pierwszym jechał Liam, za nim ona, a na końcu w pewnej odległości, ale dobrze widoczna na tym pustkowiu, ciężarówka wioząca ich cały materialny dobytek nagromadzony wspólnie przez ostatnie czternaście lat.

Gdyby można było w taki sam sposób zapakować w kartony uczucia, przewieźć je z A do B, a u celu podróży wypakować i rozmieścić ślicznie w nowym, nieznanym życiu... Dla niej ta przeprowadzka i nowy dom, do którego zbliżali się z każdym kilometrem, były kamieniem miłym, punktem zwrotnym, początkiem całkowicie nowej drogi – drogi, na którą nie wstąpiliby, gdyby to ona miała decydować.

Lily nie umiała się sprzeciwić, chociaż czuła, że porzucenie ich wspólnego życia w Londynie łamie jej serce. Życia, które zaczęło się tak obiecująco. Miała wrażenie, że przeprowadzka z Londynu do miejsca, pod każdym względem innego, nie było przeniesieniem się w inny rejon, ale do innego kraju, ba, do innego świata. Dom też wyszukał sam. Pewnego dnia wrócił z Kornwalii z tak zwanego spotkania roboczego z Peterem, próbując okupić wyrzuty sumienia uśmiechami i stertą prezentów.

Twierdził, że to była niepowtarzalna okazja, że musiał podjąć decyzję natychmiast.

– Czy ty masz pojęcie, jak rzadko trafia na rynek taki obiekt? Musiałem się zdecydować od razu. Będziesz zachwycona, Lily, jestem pewien.

Zachwyty był ostatnim uczuciem, jakie wzbudził w niej dom. Nienawidziła go i wszystkiego, co się z nim wiązało. Chociaż był prześliczny i doskonały: dom marzeń.

Drażniło ją, jak prędko i bez oporów wszystkiemu się poddała – jakby tak miało być, jakby postępowali właściwie. Bo chociaż w końcu się zgodziła i zrobiła wszystko, żeby przeprowadzka i cała reszta przebiegły sprawnie, nie mogła się pozbyć uczucia, że popełnia cholerny błąd.

Półtorej godziny później zobaczyli dom. Droga wiodła przez jałowy krajobraz księżycowy, hektary brązowej, zimowej ziemi upstrzonej suchymi paprociami i trawą, przez tunele z sękatych, nagich gałęzi i wysokich żywopłotów, przez niewielkie wioski, skupiska malowniczych, pocztówkowych domków. W końcu przed nimi rozpostarła się bezkresna przestrzeń i ich oczom ukazał się Atlantyk, zimny jak zaciśnięte na kierownicy ręce Lily.

Dom Róż wyglądał zupełnie jak z dziecięcego rysunku: był to stary, trzykondygnacyjny kamienny budynek z drzwiami pośrodku. Stał bezpośrednio na klifie będącym ostatnim skrawkiem angielskiej ziemi. Za ogrodem rozciągała się łąka sięgająca po kamienny murek. Za nim zaczynała się ścieżka prowadząca ku urwisku, które opadało stromo w bezmiar morza.

Dom zawdzięczał swoją nazwę gęstwinie ciernistych krzewów, porastającej ogród za domem. Był tak zapuszczony, że z małego, wyłożonego kamieniem tarasu nie sposób się było przebić przez gąszcz kolczastych pędów, który kiedyś był kwitnącym, pachnącym ogrodem różanym.

Jak na Kornwalię dom był raczej niezwykły. Kornwalijskie budynki były podłużne i niskie, jakby kuliły się przed żywiołami przyrody, tymczasem Dom Róż ze swoimi trzema kondy-

gnacjami dumnie stawiał im czoła. Latem przez duże okna wpadało dość światła i ciepła, żeby rozświetlić wysokie pomieszczenia. Budynek wyglądał na stary i tak samo zaniedbany, jak jego najbliższe otoczenie. Zapewne magicznie przyciągał jednak architektów.

Lily widziała tylko odizolowanie i wszechobecne zaniedbanie. Remont nie był jeszcze zakończony, ale dom w miarę nadawał się już do zamieszkania. Jedyne ukończonymi pomieszczeniami był salon mieszczący się na lewo od wejścia i służący Liamowi za pokój do pracy, duża sypialnia, nowa łazienka, powstała z jednego z mniejszych pokoi na piętrze, oraz kuchnia, która dla Lily zawsze była sercem domu. Naprawiono już dach i zdemontowano rusztowanie.

Lily wysiadła z samochodu i omiotła spojrzeniem biały dom z kamienia, a potem powędrowała wzrokiem ku morzu rozciągającemu się w nieskończoność i mieniącemu zimnymi odcieniami szarości.

I wtedy zaczął przyszyć śnieg. Początkowo drobny stopniowo przechodził w wielkie, białe płatki, jakby Pani Zima właśnie zaczęła trzepać pierzyny.

Lily spojrzała na ciemne niebo, a jej włosy i twarz szybko nasiąkły wilgocią.

Liam wysiadł ze swojego wozu i tak jak ona skierował wzrok ku niebu.

– Peter twierdził, że tu prawie nigdy nie pada śnieg.

Podszedł do niej, zatrząsł się z zimna i postawił kołnierz płaszcza.

Lily też drżała. Lodowaty ziąb, który przesywał jej ciało, nie miał jednak nic wspólnego z pogodą. Liam odwrócił się do niej i z uśmiechem wyciągnął ku niej rękę, która choć odrobinę ogrzała jej serce.

Grad dudnił o szyby sypialni, wrywając Lily z niespokojnego snu. Kiedy w końcu otworzyła oczy, ulewa minęła, a pomiędzy chmur wyrzwał księżyc i bez przeszkód zaglądał do pokoju.

Upłynęło parę sekund, zanim doszła do siebie. Westchnęła. Budziła się w nocy cztery, pięć razy w tygodniu i niemal za każdym razem czuła się samotna w tym wielkim, starym domu wypełnionym martwą ciszą. Wciąż jeszcze wszystko wydawało jej się tu obce.

Pomacała ręką obok. Druga połowa łóżka była pusta. Znowu. Zakiełkowały w niej rozczarowanie i obawa, ale wolała je zdusić w sobie. Położyła głowę w zagłębieniu poduszki, ponownie zamknęła oczy i próbowała zmusić się do zaśnięcia. Jej ciało było ciężkie jak ołów, czuła zmęczenie, a mimo to niezliczone myśli krążyły jej po głowie jak samochody pędzące autostradą. Głośne, dokuczliwe, szkodliwe.

Po pół godzinie poddała się i spojrzała na zegar stojący na stercie nieprzeczytanych książek obok starego, drewnianego łoża, które należało kiedyś do jej matki.

Była druga w nocy. Lily spuściła nogi z łóżka i usiadła. W pokoju panował taki chłód, że natychmiast dostała gęsiej skórki. Trzęsąc się z zimna, założyła podomkę, ściągnęła mocno jej poły i przetarła oczy.

Przez chwilę zmagala się ze sobą. Nie pójdę na dół. Nie zejść do niego. Z doświadczenia wiedziała, że schodzić na dół do Liama i prosić go, żeby poszedł do łóżka, to strata czasu i energii. Tak było zawsze, odkąd namówił ją na przeprowadzkę na to odludzie, gdzie jej jedynym nieodłącznym towarzyszem był surowy klimat: on sam pracował dzień i noc.

W ostatnim czasie tak często go prosiła, żeby trochę odpuścił, zrobił sobie przerwę, odpoczął chwilę – na próżno. Ilekroć domagała się, by skończył pracę, zapewniał ją, że zaraz przyjdzie. Celowo kłamał? Bo niemal nigdy nie przychodził. A mimo to schodziła do niego w nadziei, że choć raz usłyszy coś innego niż zdawkową odpowiedź. Że Liam pójdzie za nią do wciąż obcej sypialni, położy się u jej boku i przytrzyma w ramionach, dopóki znów nie staną się sobie bliscy. Dopóki razem nie zasną. Tak bardzo potrzebował więcej snu.

Deski podłogi ziębiły jej stopy, kiedy boso wyszła na korytarz. W starym domu panowała dziwna cisza, wyraźnie słyszała własny oddech i odgłos stąpania swoich stóp. Powoli, przesuwając dłonią po drewnianej balustradzie, zeszła po szerokich, dębowych schodach umieszczonych pośrodku budynku.

W dużym pokoju z wykuszem i widokiem na morze mieściła się pracownia Liama. Przez przymknięte drzwi na korytarz wydostawało się światło. Lily zawahała się przed ich otwarciem. Dostrzegła przez szczelinę Liama siedzącego przy umieszczonej w wykuszu desce kreślarskiej, z ołówkiem w ręku. Namyslał się nad czymś, przecierając oczy.

Odkąd Liam został wspólnikiem Petera, odkąd wyprowadzili się z Londynu do tej najbardziej zapadłej dziury w całej Anglii, stracił wszelkie poczucie czasu. Chwile, które niegdyś poświęcał Lily, teraz ofiarowywał swojej nowej namiętności, która zamieniła się w obsesję: olbrzymiemu obiektowi, który projektował. Gigantycznemu tworowi, któremu dawał pochłaniać się ze skórą i z kośćmi.

Liam spojrzał na zegarek i Lily poczuła iskierkę nadziei. Jeśli zorientuje się, jak jest późno, na pewno zrozumie, że jego miejsce jest gdzie indziej, w łóżku, z nią.

Ale on tylko nachylił się nad białym kreślarskim stołem. Jego ręka zaczęła śmigać po papierze zręcznym, zamaszystym, a jednocześnie precyzyjnym ruchem.

Lily wycofała się niezauważona i zakradła po schodach do sypialni. Wśliznęła się do wielkiego, pustego łóża i zapatrzyła niewidzącym wzrokiem w biały sufit, desperacko powstrzymując mruganiem łzy napływające do oczu. Wyplakała ich już wiele. Za dużo. Nienawidziła tej widocznej dla wszystkich oznaki słabości i braku opanowania. Zacisnęła powieki, żeby odciąć oczy od swoich funkcji i zapaść w wyzwalający sen.

Kwadrans po siódmej obudziło ją wołanie mewy krążącej wokół domu. Była sama, pościel po stronie Liama pozostała nietknięta.

Był przejrzysty, zimowy poranek, pierwszy dzień bez deszczu lub śniegu. Miękkie światło wypełniało pokój o pobielonych ścianach. Uśmiechając się – bardziej sarkastycznie niż radośnie – zadała sobie pytanie, czy to aby na pewno były promienie słońca.

Wstała i podeszła do okna. Oparła ręce o zimną, drewnianą framugę i wyjrzała na zewnątrz. Zamiast zwykłego wzburzonego, szarego morza, płynnie przechodzącego w zachmurzone, szare niebo, rzeczywiście witało ją słońce, wprawdzie wątle i blade, na wpół zakryte chmurami, ale jednak słońce. Posępne zwykle morze błyszczało w jego promieniach.

Ten widok wywołał na jej twarzy kolejny, tym razem szczery uśmiech, oraz uczucie, że powinna wziąć przykład z natury i zapomnieć o ponurym nastroju.

Wskoczyła pod prysznic, potem założyła stare dzinsy i wełniany sweter, i zeszła na dół.

Liam nadal był w pracowni, ale już nie siedział na drewnianym krześle przy desce, tylko drzemał na kanapie obitej czarną skórą, stojącej przy przeciwległej ścianie. Ułożył się wygodnie z albumem ze zdjęciami architektury w ręku. Jego palec spoczywał na kopule tempietto San Pietro w Rzymie.

Na śpiącej twarzy Liama malowała się błogość. Miarowo i spokojnie oddychał przez lekko uchylone usta. Lily nachyliła się nad nim i pocałowała go delikatnie w czoło. Poruszył się, ale nie obudził. Przypatrywała mu się przez chwilę, czując w sercu głęboką miłość i tęsknotę połączoną z melancholią. Wreszcie potrząsnęła głową, jakby chciała odgonić poważne myśli, i poszła bosą do kuchni, żeby zaparzyć mocnej, czarnej kawy.

Kiedy pierwsze brązowe krople zaczęły spływać do dzbanka, Lily usłyszała, że mąż wchodzi po schodach. Zaraz potem bojler po raz drugi tego ranka obudził się do życia, grzejąc wodę dla Liama.

Czekając na niego, nalała wody do szklanki i obserwowała nieduży taras za domem. Jeśli za parę miesięcy to miał być ich ogród, to musiało się jeszcze sporo wydarzyć. Z dwóch kamiennych podniesionych grządek wylewały się zdziczałe, zasuszone resztki obfitej niegdyś roślinności. Mech i trawa morska wybijały w szczelinach między płytami tarasu. Olbrzymia, stara donica z terakoty przewróciła się, a na ziemi leżał szkielet jakiegoś niezidentyfikowanego ozdobnego drzewka przypominający zwłoki, które trzeba obrysować kredą.

Wiekowy żelazny stolik i cztery krzesła rdzewiały w tyle po lewej stronie, oparte o skałę. Po prawej stronie widać było zmurszały mur z naturalnych kamieni i również zardzewiałą, żelazną furtkę prowadzącą do części posiadłości, będącej niegdyś ogrodem różanym, a dziś porośniętej dziką ciernistą gęstwą. Zaniedbany to mało powiedziane. Ale można coś było z tym zrobić.

Lily łyknęła wody i postanowiła wreszcie zabrać się do pracy, o ile się utrzyma ładna pogoda. Obiecywała to sobie solennie, odkąd przybyli tu tamtego zimnego styczniowego dnia.

Po zaledwie dziesięciu minutach Liam ubrany stanął w kuchni. Miał jeszcze rozpiętą koszulę, a podkrążone oczy zdradzały, że się nie wyspał. Uśmiechnął się z wdzięcznością, kiedy Lily podała mu kubek z kawą. Odstawił go na chwilę, żeby zapiąć guziki koszuli i zawiązać ja-

snoniebieski jedwabny krawat.

Jego odcień był taki sam, jak kolor jego oczu – przypominał letnie niebo. Lily dokładnie pamiętała, kiedy i gdzie kupiła ten krawat. To było ostatniej jesieni w Londynie, kiedy robiła zakupy, przebijając się przez tłumy na Oxford Street. Na to wspomnienie poczuła ukłucie bólu i falę tęsknoty.

Liam nie zwrócił uwagi na tost czekający na niego na talerzu, łyknął kawy, poparzył sobie język, natychmiast odstawił kubek i złożył krótki pocałunek na ustach żony.

Przestała się uśmiechać.

– Już idziesz?

– Mam śniadanie z Duncanem Cordayem za – spojrzął na zegarek – dwadzieścia minut. Cholera, już jestem spóźniony.

Uśmiechnął się do niej przepaszająco i zebrał się do wyjścia.

– Na ile snu pozwoliłeś sobie zeszłej nocy?

Lily zdawała sobie sprawę, że jej słowa zabrzmiały bardziej jak wyrzut niż pytanie zatroskanej żony, ale on nie dostrzegł różnicy. Stał już w przedpokoju, zdejmując z wieszaka płaszcz przeciwdeszczowy.

– Snu? A co to takiego? – zażartował, ale jej nie było do śmiechu.

Wyszła za nim na korytarz, gdzie w ramach zadośćuczynienia pocałował ją drugi raz, tym razem nieco mniej pospiesznie. Poglaskał ją po bladym policzku.

– Postaram się wrócić dziś trochę wcześniej.

Popatrzył na nią szczerze, a ona skinęła głową. Wierzyła, że naprawdę tego chce, ale nie miała nadziei, że to nastąpi. I wyszedł. Wielkie drzwi zatrzęsły się za nim, a Lily znowu została sama w domu pełnym nieotwartych pudeł i nieograniczonych możliwości.

Liam był tak zachwycony ich nowym domem. Miał tyle planów, jak go urządzić, kiedy w nim wreszcie zamieszkają. Ale na razie urzeczywistniono zaledwie parę jego pomysłów, na resztę po prostu nie miał czasu.

Ona z kolei miała go mnóstwo. Miała czas dla siebie. Czas na rozmyślanie. A nie chciała rozmyślać.

W Londynie wiedli fajne życie. Musiała przyznać, że brakowało jej go bardziej, niż kiedykolwiek przypuszczała. Brakowało jej wygod i pośpiechu, a nawet ludzkich mas, pośród których nigdy nie było się samemu, nawet gdy nikogo się nie znało. Ale najbardziej brakowało jej Liama, który w Londynie pracował w domu.

Było dla niej najzupełniej normalne, że zawsze był w domu – a teraz, kiedy to się zmieniło, pozostawiał po sobie ogromną wyrwę w jej życiu, jak otwartą ranę. Oczywiście, że mieli w Londynie przyjaciół, ale w ostatnim czasie rzadko się zapraszali. A rodzinę mieli nieliczną. Matka Lily mieszkała gdzieś w Toskanii, otaczając się młodymi, przystojnymi Włochami i najchętniej nigdy by stamtąd nie wyjeżdżała. Rodzice Liama zginęli w wypadku, kiedy miał osiemnaście lat.

Po raz kolejny, odkąd się tu wprowadzili, Lily poczuła się samotna.

Do dziewiątej sprzątnęła resztki ich krótkiego wspólnego śniadania, zmyła i wytarła naczyń, wyrzuciła tost Liama. Słońce znowu schowało się za chmurami i ład zlewał się z morzem, przypominając szarawe malowidło. „Cudownie – pomyślała cynicznie – przynajmniej nie pada”.

Potrzebowała świeżego powietrza. Założyła sportowe buty i ciepłą kurtkę. Z przyzwyczajenia wcisnęła na głowę czapkę z daszkiem, która wprawdzie nie była wodoodporna, ale choć trochę zastępowała parasol. Przy silnym wietrze na wybrzeżu parasol i tak nie miał racji bytu, bo jeśli w ogóle udawało się go otworzyć, to po paru sekundach wywracał się na drugą stronę.

Zignorowała zew ogrodu i wyszła przed dom. Stąd prowadziła ścieżka przez cypel. Idąc w prawo, schodziło się w dół do niewielkiej zatoczki z latarnią morską, a dalej na wschód do większej zatoki, w której od stuleci leżała rybacka wioska Merrien Cove.

Na lewo szło się wzdłuż wybrzeża na zachód, tam, gdzie kończył się ład. Zwykle nie spotykało się tu żywej duszy.

Na wprost, w odległości zaledwie paru kroków, skraj urwiska nęcił samobójców.

Lily codziennie chadzała tą ścieżką – codzienny spacer stał się jej rytuałem.

Dziś zwróciła się ku wschodowi. Nie szukała towarzystwa, ale chciała ujrzeć parę twarzy. Energicznym krokiem wspięła się wąską dróżką na górny skraj klifu, skąd roztaczał się wspaniały widok na dwudziestokilometrowy odcinek wybrzeża, aż po St Just i Cape Cornwall. Lily wiedziała, że przy dobrej widoczności można było dostrzec na zachodzie wyspy Scilly. Liam obiecał jej, że jeśli tylko pozwolą na to pogoda i praca, pojedą tam i wypożyczą na miejscu rowery.

Schodząc do wsi wąską, krętą ścieżyną, myślała o tej obietnicy, a także o tym, że również i jej nie dotrzymał. Miał zbyt wiele spraw na głowie. Zawsze było do zrobienia coś ważniejszego.

Merrien Cove przypominało osadę duchów. Jak zawsze.

Ścieżka kończyła się niedaleko niedużego portu. Otaczał go z jednej strony biegnący półkolem mur, a z drugiej rampa, sięgająca od podwójnych wrót przystani dla łodzi ratowniczych po sztucznie utworzony farwater.

Chadzała tędy regularnie i zawsze pozdrawiała skinieniem głowy rybaków, którzy wychodzili stąd w morze i, jak przypuszczała, stanowili też załogę łodzi ratowniczych. Lubiała przyglądać się im przy pracy, ale dziś w porcie nie zastała nikogo, nawet morze wycofało się, a kutry tkwiły na suchym lądzie.

Malownicze domy położone przy drodze ciągnącej się wzdłuż wybrzeża stanowiły głównie kwatery dla turystów i stały puste przez całą zimę. Wszystko było pozamykane. Galeria sztuki, mieszcząca się w okrągłym kamiennym budynku, kawiarenka z firankami w wiśniowy wzór – wszystko było zabite na głucho.

Na końcu promenady ulica skręcała ostro i wspinała się stromo, żeby połączyć się z główną drogą. Na rogu znajdował się pensjonat o nazwie Broken Compass Inn, mieszczący się w białym, trzypiętrowym kamiennym budynku, który jak wiele innych budowli na wybrzeżu został dosłownie wbudowany w urwisko. Tutaj spotykali się w grupkach nieliczni miejscowi, witając obcych nieufnymi spojrzeniami. Naprzeciwko nieduży parking zaznaczał początek plaży, która ciągnęła się dalej na wschód niemal dwukilometrowym białym łukiem.

Było przepięknie. Perfekcyjna plaża otoczona wydmami i stromym, porośniętym trawą morską klifem, na którego szczycie gdzieś stały samotne domy. Czasem Lily słyszała dobiegający z nich śmiech, czasem widziała światła – ale niemal nigdy nie dostrzegała innych oznak życia.

Na parkingu stał jeden samochód, a w oddali zobaczyła spacerowicza, który ostrożnie wspinał się na skały dzielące plażę od następnej zatoki. Pomiędzy skałą a brzegiem uganiał się pies, podskakując dokoła jak piłka tenisowa.

Na krańcu parkingu, tam, gdzie ku plaży schodziła piaszczysta dróżka, stała podłużna drewniana szopa. Jakies dwie trzecie jej tylnej części było pomalowane na delikatny, blade błękit – niemal dokładnie ten odcień miały ściany w małym pokoju ich domu w Notting Hill. Szopa

miała zwrócony ku plaży drewniany ganek zastawiony stołami piknikowymi, a przy zamkniętych okiennicach wisiała tabliczka z napisem „dania & napoje”. Kraniec szopy od strony parkingu, pomalowany na jaskrawo żółty kolor, zgodnie z lekko wyblakłą kartką na drzwiach mieścił szkółkę surfingu.

Przez długie tygodnie, które tu spędziła, jeszcze nigdy nie widziała ani jednego surfera. Dziś przebyła całą drogę wzdłuż wybrzeża, nie spotykając ani jednej osoby. Kiedy dotarła do wysokości pensjonatu, zaczęło się śnieżyć. Mżawka mieszała się ze słoną mgiełką tworzoną przez fale rozbijające się z impetem o portowe nabrzeże. Wkrótce po przeprowadzce pojechali z Liamem na kolację do Broken Compass. Było zamknięte.

Westchnąwszy, zawróciła i, mijając port, ruszyła z powrotem na zachód wzdłuż wybrzeża. Za podłużnym, niskim i krytym strzechą wiejskim domkiem skręciła w lewo i poszła dróżką wijącą się od zatoki na cypel, a stamtąd do następnej, mniejszej zatoczki, w której stał osamotniony i wspinały niegdyś Dom Róż.

Jakieś dwieście metrów dalej w głąb łądu stał jeszcze inny dom, niska i podłużna rybacka chata z szarego kamienia, kryta ciemnym łupkiem. Na drewnianej tabliczce przy bramie widniał napis Driftwood Cottage. Sądząc po zdziczałym ogrodzie, zawsze zaciągniętych zasłonach i skrzynce pocztowej, z której wysypywały się przemoczone deszczem reklamy, Lily wnioskowała, że był niezamieszkały.

Kiedy dotarła do Domu Róż, deszcz nieco zelżał, a ponieważ nie miała ochoty wchodzić do środka, usiadła na niskim murku znaczącym granice posiadłości, wsunęła zsiniałe z zimna dłonie do kieszeni kurtki, wbiła pięty w mokrą ziemię i zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem na morze.

Myślała o Liamie, jak dość często. Zastanawiała się, co teraz mógł robić. Zastanawiała się również, czy kiedykolwiek pomyślał, co to nowe życie właściwie oznaczało dla niej. Pamiętała też jego obietnicę, że po przeprowadzce między nimi nic się nie zmieni – a jeśli miałyby nastąpić jakakolwiek zmiany, to oczywiście tylko na lepsze.

Zaśmiała się głośno i z goryczą. Zmieniło się tak dużo, a dla niej z pewnością nie na lepsze. Wręcz przeciwnie – straciła wszystko, co miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie, łącznie ze swoim ukochanym mężem.

Jeszcze nigdy nie widziała go tak skoncentrowanego na jednym, tak pełnego zapału. Zawsze ciężko pracował, pragnął być najlepszy w tym, co robił, to leżało w jego naturze. Ale teraz było inaczej. Kiedyś potrafił znaleźć równowagę między pracą a resztą życia, a teraz pozwalał, żeby praca pochłonięła go bez reszty. Ten ogromny projekt sprawiał, że wszystko inne stawało się nieważne.

Liam w najpiękniejszych barwach roztoczył przed nią wizję nowego życia na wsi: morze, wspólne długie spacerunki po plaży, świeże morskie powietrze i wolność. Nakreślił sielankowy obraz, który nijak się miał do rzeczywistości.

Nigdy nie sądziła, że tak bardzo zatęskni za brudnym, gorączkowym, potwornie obcym Londynem, gdzie okna sypialni wychodziły na wąską uliczkę, którą za dnia maszerowały do szkoły dzieci, a nocą okupowali dilerzy.

Wszystko to zamieniła na dom, który mogła po południu zostawić, nie zamykając drzwi, a kiedy parę godzin później wracała, wszystko zastawała po staremu, nie licząc pyłu, który wiatr nawiał do przedpokoju.

Oba te miejsca kontrastowały ze sobą jak dzień i noc, jak czerwień i granat, jak wojna i pokój, jak miłość i nienawiść. A mimo to tak bardzo tęskniła za tym, co znane i swojskie. Za życiem i ludźmi, których zostawiła dla męża. Wyłącznie dla niego. Dla niej nie istniał żaden inny powód.

On był tu szczęśliwy. Rozkwitał jak kwiat, który wyłonił się z mroku. Jeśli się kogoś naprawdę kocha, to życzy się mu, żeby był szczęśliwy. Ale gdzieś jest jeszcze mała, egoistyczna cząstka, która nie chce, aby szczęście zmieniło tak wiele, że ukochany nagle zaczyna podążać w zupełnie innym kierunku, niż szło się wspólnie przez lata.

– Czy jestem egoistką?

Dźwięk własnego głosu wydał jej się obcy, piskliwy i nic nieznaczący wobec przytłaczającego krajobrazu. Rozmyślała nad tym pytaniem, obserwując miarowy ruch spienionych fal, i zdała sobie sprawę, że i ona się zmieniła. I była coraz bardziej przekonana, że nienawidzi tego miejsca.

Nieważne, że było piękne. Tak, było tu tak cudownie, że aż zapierało dech, że chciało się płakać. Zwłaszcza, gdy było się kompletnie samemu pośrodku całego tego piękna.

Lily czuła się tak samotna, że miała wrażenie, jakby rozpływała się w nicości. Samotność tak samo mogła nadkruszyć ufność, jak morze skałę. I chociaż rozsądek mówił jej głośno i wyraźnie, że tak nie może być dalej, jakaś uparta, tchórzliwa cząstka niej wzbraniała się przed zaakceptowaniem zmian. Ta cząstka ukrywała się za całą górą oskarżeń, które nawarstwiły się w jej głowie.

Liam chciał się tu sprowadzić – a zatem to Liam musiał zatroszczyć się o to, żeby zapewnić jej szczęście. W głębi serca Lily wiedziała, że to złe podejście, ale jednocześnie czuła, jak ciemna chmura przygnębienia kładła się cieniem na każdej rozsądnej myśli. Zaczynała zamieniać się w człowieka, jakim nie chciała być. Przez osamotnienie na tym odludziu, gdzie nikogo nie znała i gdzie miała coraz silniejsze poczucie, że przestaje znać sama siebie, zaczynała odnosić wrażenie, że powoli traci rozum. I nic nie mogła z tym zrobić. Obawiała się, że pewnego dnia odda się beznadziei, że w końcu pójdzie na drugi kraniec ogrodu i rzuci się z urwiska.

Wtedy jej duch usiądzie spokojnie obok roztrzaskanego na skale ciała i zacznie w zdużeniu odliczać, ile czasu upłynie, zanim Liam zauważy jej nieobecność.

Przyjęcie tenisowe. W kwietniu.

Kto, do diabła, wpadł na pomysł, żeby w kwietniu – miesiącu, który w tym kraju potwierdzał wszelkie pogodowe stereotypy i zawsze był wyjątkowo deszczowy – urządzić przyjęcie tenisowe? Oczywiście Duncan Corday, szef koncernu Corday i prezes Corday Developement, firmy będącej wykonawcą centrum sztuki, a tym samym niejako szef Liama. Przyjęcie było jego pomysłem i miało się odbyć w jego przypominającej pałac posiadłości pod Truro.

Dotychczas miała niezbyt wiele do czynienia z Cordayem, wiedziała tylko, że był rekinem finansowym, który kładł rękę na najpiękniejszych nieruchomościach Kornwalii. Odczuła już na własnej skórze, że koncern utrzymuje rodzaj mentalności „tylko dla mężczyzn”. Mentalności, która coraz bardziej ją drażniła, bo oznaczała, że Liam, w tych rzadkich wolnych chwilach, które mu zostały, zajmował się nieustanną pielęgnacją swoich kontaktów... I to oczywiście bez żony.

Tym razem wreszcie została zaproszona na jedno z tych na wpół prywatnych spotkań, na które musiał regularnie uczęszczać Liam, i uznała, że nie ma na nie najmniejszej ochoty. Ironia losu.

– Co, do licha, mam założyć na jakieś idiotyczne przyjęcie tenisowe?

Wpatrywała się z wściekłością w szafę, w której znajdowały się same najskromniejsze ubrania na co dzień. Jakby z przekory większość swojej garderoby zostawiła w pudłach na strychu i nawet ich nie otwierała. Żałowała temu domowi wszystkiego, co choć trochę wykraczało poza minimum – w ten sposób wyrażała swoje rosnące niezadowolenie.

Westchnęła, zamknęła szafę, poszła jednak po pudło na strych, zniosła je do sypialni i sfrustrowana wysypała jego kolorową zawartość na łóżko.

Tenis party. Czy to coś takiego jak garden party? Lily wyjrzała przez okno. Szare niebo. Mogła pójść w szyfonowej kwiecistej sukience i wielkim kapeluszu i zamarznąć. Jednego była pewna: jej codzienny wiejski mundurek, na który składał się stary sweter, wytarte dzinsy i tenisówki, byłby kompletnie nie na miejscu na tym targowisku próżności.

Zdecydowała się ostatecznie na szarą kaszmirową sukienkę i – w nadziei, że nie będzie musiała zbyt dużo uganiać się po trawnikach – kozaki na obcasach. Było zbyt zimno i mokro na len i szyfonowe szale.

Spojrzała na zegarek. Wpół do trzeciej. Powinna być na miejscu już pół godziny temu. Upewniła się, że przestało padać. Ale w końcu był kwiecień, w dodatku dość chłodny, a niebo wyglądało podejrzanie szaro, więc jeszcze raz wróciła do szafy i wyjęła długi wełniany płaszcz. Była gotowa.

Już miała opuścić pokój, ale zatrzymała się na chwilę, rzuciła płaszcz na łóżko, usiadła przy toalecie i odświeżyła makijaż. Doskonale wiedziała, że to nie jest konieczne i że robi to tylko po to, żeby odwlec wyjazd.

Zwykle nigdy nie wątpiła w siebie, ale tutaj, na tej socjalnej pustyni, nadal była bez pracy – z braku zainteresowania, z braku konieczności, ale i z braku odpowiednich ofert. Nagle ogarnęła ją niepewność, czy zdoła przeżyć ten dzień bez blamażu. Perspektywa poznania ludzi, których unikała, odkąd tu osiadła na początku stycznia, wcale nie wydawała jej się tak ponętą, jak można by się tego spodziewać po osobie łaknącej towarzystwa.

Dochodziła trzecia, kiedy z godzinnym opóźnieniem wyszła z domu. Wmawiała sobie, że jest jej to obojętne, a Liam pewnie nawet nie dostrzegł jej nieobecności, bo jak zawsze był zbyt zajęty. Jechała za szybko, ale lubiła poczucie zuchwałej bez troski, jakie dawał mały sportowy sa-

mochód, kiedy pędziła po wąskich i krętych drogach Kornwalii.

Liam wiercił jej dziurę w brzuchu, żeby wymieniła swój stary wóz na jakiś praktyczniejszy model, ale Lily wzbierała się przed tym. Upierała się, że to wyłącznie jej decyzja – w końcu ustąpiła mu we wszystkim innym.

Kiedyś ich małżeństwo było prawdziwie partnerskim związkiem, zanim inne partnerstwo stało się dla niego ważniejsze. Partnerstwo w firmie Petera.

– Cholerny Peter – zakłęła głośno Lily i natychmiast uśmiechnęła się ze skruchą.

Nie obwiniała Petera za wiarołomstwo męża.

Kochała Petera, знаła go niemal tak samo długo, jak Liama, i zawsze był dla niej dobrym przyjacielem. Zwłaszcza teraz, odkąd sprowadzili się do Kornwalii. Był jak ożywcza letnia bryza w tej krainie zdominowanej przez porywiste, słone wiatry. To on o wiele częściej od Liama dzwonił, żeby uprzedzić, że muszą zostać dłużej w firmie, albo po to, by usłyszeć, jak się ma, żeby z nią pogadać i ją rozśmieszyć.

Nie, człowiekiem, który przywłaszczył sobie życie Liama, był Duncan Corday. Według Petera był wręcz oczarowany Liamem. Lily rozumiała to doskonale, jej mąż umiał wzbudzać sympatię. Dobrze wyglądał, był uroczy, mądry, dowcipny i pewny siebie, nie sprawiając przy tym wrażenia aroganckiego. Wykazywał też odpowiednią dozę empatii. Corday cenił Liama nie tylko jako architekta, ale i jako nowy nabytek w męskim klubie, do którego kobiety nie miały wstępu.

Dziś też wszystko będzie się kręcić wokół mężczyzn. Będą mieli okazję zademonstrować swoje sportowe umiejętności, popisać się muskułami i zwinnością. Jak pawiany bijące się pięściami w piersi i wystawiające na pokaz gołe tyłki. A ponieważ zgodnie z zapowiedzią Liama mężczyźni spotykali się wcześniej na małej rozgrzewce, musiała pojawić się na tym idiotycznym przyjęciu sama.

„Duncan Corday ma tak wielkie wpływy, że nawet załatwił słońce”, pomyślała cierpko Lily, mijając po drodze rozliczne strumienie wpadające do Helford River. Wprawdzie jeszcze nie wszystkie ciemne chmury się rozproszyły, ale wyraźnie widać było pasmo błękitnego nieba. Łąki były mokre i soczysto zielone od ciągłego deszczu, a na przesiąkniętych wilgocią połaciach rzeczywiście kładły się już pierwsze promienie słońca.

Jakieś dziesięć kilometrów na południe od Truro ulica zgodnie ze wskazówkami Liama skręcała ku wybrzeżu. Cztery kilometry dalej dwie wielkie kamienne kolumny znaczyły wjazd do Treskerrow Manor.

Lily skręciła w bramę i pokonała niespiesznie niecałe dwa kilometry alei obsadzonej starymi lipami, wijącej się przez zielone pastwiska. Była pod wrażeniem. Treskerrow było oszałamiająco piękne. Ogród był wypielęgnowany, dom imponujący. Odwróciwszy głowę w lewo, w odległości nie większej niż dwa kilometry widziało się morze – dziś wyjątkowo spokojne, o barwie nefrytu, i upstrzone białymi plamkami tam, gdzie fale rozbijały się o skały.

Na wysypanym żwirkiem podjeździe samochody parkowały zderzak przy zderzaku. Na samym końcu po prawej stronie, w delikatnym cieniu lipy Lily dostrzegła granatowego range rovera Liama, który z okazji przyjęcia najwyraźniej został wreszcie uwolniony od warstw błota.

Usłyszała gwar gości, zanim kogokolwiek napotkała. Głosy niosły się daleko w wilgotnym powietrzu. Opuściła żwirową alejkę i z wahaniem podążyła za nimi przez mokrą jeszcze murawę, przechodząc pod sklepioną łukowato furką w żywopłocie. Słońce nie miało jeszcze dość mocy, aby wysuszyć trawę, ale ogrzało powietrze na tyle, że Lily w długim płaszczu i wełnianej sukience zrobiło się za gorąco. A może to wcale nie była wina słońca, że nagle zaczęła się pocić?

Za bramą rozpościerał się ogród ziołowy, a minąwszy go, Lily przeszła przez kolejną bramę i znalazła się na żwirowej ścieżce przecinającej rozległą łąkę trawy obsadzoną cedrami.

Tutaj znalazła dwa korty tenisowe. Jeden był przygotowany do gry, na drugim zdemontowano siatkę i ustawiono w rzędach metalowe składane krzeselka. Wiele z nich było już zajętych. Pozostali goście stali zbici w niewielkie grupki, pogrążeni w rozmowach.

Młode kobiety w starannie wykrochmalonych i wyprasowanych białych bluzkach, czarnych kamizelkach i krótkich spódniczkach śmigały zziębnięte między roześmianymi i gawędzącymi gośćmi, roznosząc kieliszki z szampanem.

Za krzesłami, na drugim końcu kortu, ustawiono długi stół, na którym stały w równych rzędkach te same kieliszki. Biały lniany obrus łopotał na wietrze. Wokół zgromadziło się jeszcze więcej osób.

Mężczyźni w przepoconych dresach pakowali rakiety do podejrzanie nowych, skórzanych pokrowców, osuszali ręcznikami twarze i pili – spragnieni po wysiłku – dużo za dużo szampana. Niektórzy się śmiali, inni mieli na twarzach wymuszone uśmiechy pokonanych, nieradzących sobie z przegraną.

Liam i Peter stali na obrzeżu kortu. Liam opierał się o siatkowe ogrodzenie i przeczesywał ręką krótkie, brązowe włosy, które od jakiegoś czasu przetykało coraz więcej srebrnych nittek. Peter perswadował mu coś, żywo przy tym gestykułując, markował serwisy i woleje, marszczył brwi, co chwila się śmiejąc. Lily domyśliła się, że rozprawiał o właśnie rozegranej partii.

Pomachała mu dyskretnie, nie chcąc ściągać uwagi na siebie i swoje spóźnione przybycie. Najwyraźniej przegapiła większą część turnieju. Peter rozpromienił się i pomachał do niej z powrotem, podczas gdy Liam najpierw rzucił okiem na zegarek, a potem skwitował jej nieśmiały uśmiech zmarszczeniem czoła i przywołał ją ledwie zauważalnym gestem. Nie bacząc na jego wyraźną irytację, niespodziewanie poczuła nieposkromioną radość, że go widzi.

W stroju do tenisa, podkreślającym umięśnioną sylwetkę i odziedziczoną po babce Włoszce oliwkową cerę, Liam wyglądał olśniewająco.

Lily podeszła bliżej i przywitała się z mężem pocałunkiem, który on wprawdzie przyjął, ale nie odwzajemnił. Zamiast tego znów rzucił okiem na zegarek.

– Dlaczego tak późno? – zapytał.

Ale ledwie zacerpnęła tchu, żeby się usprawiedliwić, on już się odwrócił, ponieważ jego uwagę przyciągnął młody, jasnowłosy mężczyzna w białym stroju, który wyszedł z domu i skierował się ku kortom. W ułamku sekundy zmarszczone czoło wygładziło się w uśmiechu.

– Christian, jak się masz? – Liam z wyciągniętą ręką wyszedł naprzeciw przybyszowi.

Lily popatrzyła za nim oniemiała i przygryzła wargę do bólu. Peter, zajęty zawiązywaniem nowiutkich tenisówek, wyprostował się, obdarzył ją serdecznym uśmiechem, położył jej dłonie na ramionach i pocałował w usta.

– Witaj, piękna pani. – Wyszczrzył się. – Nie przejmuj się Liamem. Właśnie brata się z wrogiem.

Zaśmiał się i wskazał ręką mężczyzn.

– To Christian Corday, najstarszy syn Duncana i połowa drużyny, przeciwko której zagramy w finale. Liam już od wielu dni chciał z nim skonsultować grafik, ale chłopak jakoś nigdy nie pojawia się w pracy... To zapewne jedna z zalet bycia synem szefa...

– Jesteście w finale? – Lily obserwowała męża, który ze skupioną miną rozmawiał z młodym mężczyzną.

Zastanawiała się, kiedy ostatnio patrzył z taką intensywnością na nią.

– No pewnie. Ale zawdzięczamy to wyłącznie twojej lepszej połowie. Ja tylko robię za statystę na tyłach i wyłapuję swoimi długimi rękoma piłki, które wychodzą na aut, podczas gdy on miazdzy przeciwników bezlitosnymi wolejami...

Peter machnął ręką dla zilustrowania swoich słów.

– To rozsądne z twojej strony, że przyszedł tak późno, Lily. Naprawdę przykro było patrzeć, jak Liam zmiata z kortu każdego, kto ośmielił się z nami zmierzyć.

– No cóż, zawsze był dobrym graczem, ale w tej chwili zapewne rzeczywiście jest nie do pokonania.

Peter zauważył cień goryczy w jej słowach.

– Dobrym graczem? Dziś grał tak doskonale, że ktoś na serio zapytał, czy to Andre Agasi. Roześmiałem się tylko i odpowiedziałem, że Liam ma dwa razy więcej włosów i piękniejszą żonę.

Peter ucieszył się, że swoją uwagą zdołał wywołać uśmiech na twarzy Lily.

– Finał zaraz się rozpoczyna, Lily. Zarezerwowałem ci miejsce w pierwszym rzędzie, musisz tylko rozejrzeć się za moim swetrem, tym, który przynosi mi szczęście. Na siedząco na pewno przyjemniej będzie śledzić potyczkę.

Peter pokazał krzeselka. Lily zerknęła na Liama. Właściwie nie chciała odchodzić, nie porozumiewając się z nim w jakiejś formie, ale on nadał był pograżony w rozmowie. Przeszła więc na drugą stronę kortu i wmieszała się w tłum nieznaną jej osób. Odwzajemniała uprzejmie uśmiechy, odpowiadała na miłe skinienia ludzi, których gdzieś już kiedyś widziała, przyjęła kielišek z szampanem od kogoś, kto zagadnął ją po imieniu. Nie miała pojęcia, kim jest, więc tylko uśmiechnęła się z zakłopotaniem i skłamała, że bardzo się cieszy.

Jej imię rozniosło się szeptem po zebranych i kobiety jedna po drugiej zaczęły przyglądać się jej z zaciekawieniem. Lily była pewna, że wie, co myślą: więc to jest żona cudownego Liama. Kobieta, która żyje w ukryciu na końcu świata.

Od razu znalazła sweter Petera, usiadła i przycisnęła go mocno do siebie. Zapragnęła, żeby nie tylko przyniósł jej szczęście, ale dzięki magicznym właściwościom przeniósł ją gdzieś daleko stąd, gdzie nie sięgały inkwizytorskie spojrzenia i szeptane komentarze, które – była tego pewna – wszystkie dotyczyły jej.

Głośnik zatrzeszczał i zakomunikowano, że oto rozpoczyna się finał turnieju tenisowego Cordaya. Widzowie umilkli i wpatrywali się jak urzeczeni w czterech zawodników, którzy stanęli na korcie.

Byli atletyczni, z wyjątkiem Petera, który miał lekką nadwagę. On jednak nic sobie nie robił ze swojej tuszy, nigdy nie tracił humoru i zawsze był skory do żartów – takiego go właśnie znała. Miło było popatrzeć na jego przeciwników: jasnowłosego, przystojnego Christiana Cordaya i jego partnera, starszego mężczyznę z zaczesanymi do tyłu szpakowatymi włosami. Ale to Liam przyciągał większość spojrzeń, łącznie z Lily.

Zawsze był atrakcyjnym mężczyzną.

Na korcie był w swoim żywiole: z opanowaniem, z siłą i precyzją odbijał najtrudniejsze piłki. Damska część widowni obserwowała go z zachwytem. Na twarzach pań malował się podziw, kiedy wykonywał jedno idealne zagranie za drugim. Zapewne niejedna wyobrażała sobie, jak te stalowe mięśnie prezentują się poza kortem, w innej, nieco bardziej intymnej grze.

W przeciwieństwie do niego Peter podskakiwał wzdłuż linii autu jak oszalała piłeczka pingpongowa. Z okrągłą, poczerwieniałą z wysiłku twarzą ociekał potem, który przesiąkał na wylot jego biały strój. Mimo to ich kompletnie odmienne techniki gry zdawały się doskonale uzupełniać, bo to oni bez trudu wygrali pierwsze dwa sety. W trzecim jednak przewagę przejęli przeciwnicy. Po dwudziestu minutach wyrównali 2:2. Lily zdumiała się, kiedy Liam po raz kolejny zostawił Peterowi piłkę, którą zwykle odebrałby sam. Ten nie zdołał jej przyjąć, choć jeszcze w pierwszym secie wróciłaby na pole rywali z takim impetem, że ci rozpierzchliby się w popłochu.

Lily poczuła, że toczy się tu zupełnie inna rozgrywka. Zorientowała się, że Liam gra

słabiej nie dlatego, że jest zmęczony, jak początkowo sądziła. Nie, on celowo się powstrzymywał. Nieznacznie, ale jednak na tyle, żeby ktoś, kto go dobrze znał, mógł przejrzeć jego grę. Stopniowo pozwalał zdobywać punkty przeciwnej parze, aż w końcu atrakcyjny blondyn i jego przyłizany partner wygrali mecz wynikiem 3:2. Niewielkie to zwycięstwo, ale jednak.

Gracze podali sobie ręce przez siatkę, odgarniając spocone włosy z błyszczących od adrenaliny oczu, śmiejąc się po koleżeńsku i gratulując sobie dobrej gry. Lily jeszcze nigdy nie widziała, żeby Liam po przegranej zachowywał się tak jowialnie.

Czekała w napięciu na koniec gratulacyjnego rytuału, licząc na to, że do niej podejdzie, ale na próżno. Finałiści usunęli się na drugi koniec kortu, gdzie suszyli ręcznikami włosy i pakowali rakiety.

Potem Liam zaczął rozmowę z elegancką blondynką ubraną w drogie designerskie ciuchy. Miała kanciastą, ale mimo to atrakcyjną twarz i wpatrywała się w Liama z intensywnością, która wywoływała na czole Lily coraz głębszą fałdkę. Sąsiednie miejsca opustoszały, a widzowie rozeszli się, zbijając w żywo dyskutujące grupki. Liam ani razu nie spojrzął w jej stronę.

I znowu dolano szampana. Lily chwyciła od razu dwa kieliszki. Zewsząd otaczali ją ludzie, a jednak czuła się osamotniona. A przecież tęskniła za nimi, za twarzami, rozmowami, towarzystwem. Skądś dobiegły dźwięki delikatnej melodii Mozarta, ale nawet to nie zdołało poprawić jej nastroju. Wpatrywała się w blondynkę, która znowu rozśmieszyła Liama. Im dłużej rozmawiali, tym bardziej przysuwała się do niego, aż wreszcie położyła mu dłoń na ramieniu. To był zbyt intymny gest jak na przelotną znajomość.

Nagle w głowie Lily załęgła się nieprzyjemna myśl... Może to przez tę kobietę prawie przestała widywać własnego męża? Może oprócz pracy było coś jeszcze, co go odciągało?

Potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić tę myśl.

– Nie bądź niemądra, Lily – mruknęła dla podkreślenia niedorzeczności tego pomysłu.

– Wow. Rozmawiasz sama ze sobą. To druga oznaka szaleństwa.

Tak ją pochłonęła opera mydlana, jaką w jej oczach była rozmowa Liama z tamtą kobietą, że zupełnie nie zauważyła nadejścia Petera. Usiadł obok.

– Druga? Hm, myślałam, że pierwsza. – Uśmiechnęła się z przymusem.

– Nie, pierwszą jest picie z dwóch kieliszków naraz. – Zgromił ją spojrzeniem. – Jak myślisz, Lily? – Potrząsnął głową w udawanym przerażeniu. – Może powinienem przynieść ci od razu całą butelkę wraz ze słomką?

Wziął od niej jedną lampkę, upił łyk, wstał i podał jej rękę.

– Chodź, mam cię przyprowadzić.

– Ach tak? – odpowiedziała zadziornie.

Skinął głową.

– A Liam nie ma ochoty przyjść po mnie sam?

– Został przyciśnięty do muru – oznajmił. – No chodź, idziemy. Żałuję, ale muszę cię przedstawić paru osobom. Bez obawy, postaram się zrobić to krótko i bezboleśnie.

– To brzmi, jakbym miała iść do dentysty.

Wstała i znów mogła się uśmiechać.

– Gorzej. – Ujął jej dłoń i zahaczył sobie pod rękę. Ten gest pocieszył ją i dał poczucie bezpieczeństwa. – Bo tutaj nie dostaniesz znieczulenia. A zatem, proszę o uśmiech. Wyobraź sobie, że jesteś królową na wyścigach w Ascott i witasz się z plebsem.

– Niby jak, skoro sama należę do plebsu?

– Zaufaj mi, Lily. W tym towarzystwie nawet ja jestem królową.

– Co mi chcesz powiedzieć, Peter?

Zaśmiał się.

– Cóż, jeśli wkrótce nie znajdę właściwej kobiety, to powinienem chyba zastanowić się nad zmianą preferencji.

Oparła krótko głowę na jego ciepłym, spoconym ramieniu.

– Masz jeszcze mnie. Zapomniałeś o naszej umowie? Jeśli kiedykolwiek rozstaniemy się z Liamem, ty i ja zawrzemy pakt przeciwko całemu światu.

Uśmiechnął się.

– O ile dobrze pamiętam, umowa brzmiała, że jeśli Liam zostanie kiedyś rozjechany przez autobus, to ja mam cię pocieszać, świadcząc usługi seksualne. Mieliśmy wtedy dobrze w czubie, w telewizji leciała *Niemoralna propozycja*, a Liam wisiał mi pięćdziesiąt funtów.

– Pięćdziesiąt funtów. Boże, jaka ja byłam tania.

– Wiem, to okazja mojego życia. Abstrahując od tego, oczywiście nigdy nie będę mógł z niej skorzystać.

– Jesteś pewien?

Peter zmrużył oczy, zaskoczony.

– Oczywiście. – Ścisnął jej dłoń. – Wszystko w porządku, Lily?

– Jasne, że tak – westchnęła i odgarnęła włosy. – Zapomnij o tym, wygaduję bzdury.

– Myślałem, że to moja specjalność – mrugnął do niej.

Poprowadził ją do niedużej grupki otaczającej wianuszkami Liama. Uśmiechem przywitał starszego z rywali na korcie, a ten natychmiast skupił swoją uwagę na Lily.

– Lily, pozwól, że ci przedstawię. To jest Duncan Corday, nasz hojny gospodarz. Duncan, to jest Lily, żona Liama.

A zatem to był Duncan Corday. Teraz wszystko stało się jasne. To dlatego Liam pozwolił im wygrać. Publiczne pokonanie szefa nie zrobiłoby najlepszego wrażenia. Dlatego zadowolili się honorowym drugim miejscem, wołał wyjść z tego z pokorą niż z triumfem. Przejrzała jego grę. I nie podziwiała go za nią. Nie podobał jej się ten cień wazeliniarstwa, zwłaszcza że Liam nigdy taki nie był.

Duncan Corday miał dobrze pod sześćdziesiątkę, wyglądał jednak znacznie młodziej mimo poprzetykanych siwizną włosów. Jego brązowe, prawie czarne oczy spoczywały nieruchomo na Lily.

– Ach, to pani. Bardzo się cieszę, że wreszcie mogę panią poznać. Zaczynałem podejrzewać, że istnieje pani wyłącznie w wyobraźni Liama – odezwał się głębokim, dystyngowanym tonem.

Ujął jej rękę, ale nie uściśnął, tylko schylił się i zamarkował ustami pocałunek.

– Też mi się niekiedy nasuwa to podejrzenie – odparła bez namysłu, zerkając przy tym na Liama, który wciąż był pochłonięty rozmową z blondynką i najwyraźniej jeszcze nie zauważył jej obecności.

– Obawiam się, że to po części moja wina. Jest mi niezmiernie przykro, że tak go absorbujemy, odkąd pani tu zamieszkała. Ale na pewno ucieszy panią, że mąż wykonuje wspaniałą robotę.

Duncan Corday przytrzymał jej rękę.

– Jestem o tym przekonana. Liam zawsze był doskonałym profesjonalistą – odpowiedziała oziębło, ale nie na tyle, żeby go obrazić.

– I jak się pani podoba Kornwalia?

„Ani trochę”, brzmiałyby szczerza odpowiedź, ale Lily wykazała się dyplomacją.

– Życie tutaj jest zupełnie inne.

– Zapewne raczej spokojne w porównaniu z Londynem.

Peter uśmiechnął się do niej ze współczuciem.

– Domyślam się, że jest pani pochłonięta urządzaniem domu. Jeśli choć trochę przypomina pani w tym moją żonę, to piętrzą się u was próbki materiałów i katalogi pełne absurdalnie drogich mebli...

Wszyscy roześmiali się, a Lily miała wrażenie, że powinna się do nich przyłączyć. Nie potrafiła.

Ze spojrzenia, które Duncan Corday rzucił blondynce absorbującej jej męża, Lily wnioskuje, że to musi być Elizabeth Corday. Jednocześnie uświadomiła sobie, że ani trochę nie przypomina tej kobiety.

– Elizabeth – zwrócił się do małżonki Corday. – Elizabeth...

Blondynka odwróciła się niechętnie.

– Elizabeth, popatrz, kogo tu mamy. Poznaj Lily.

Zmarszczone brwi Elizabeth wygładziły się w uśmiechu. Nie był przyjazny, tylko zaciękawiony.

– Właśnie opowiadałem, jak miesiącami urządzałaś dom. Nic nie było widać spod stert katalogów z próbkami farb i tkanin zasłonowych! Po nocach śniły mi się koszmary, w których odcień ścian i zasłon różnił się o ton! Kuchnię przemaalowywaliśmy, zdaje się, dobre osiem razy, zanim Elizabeth wreszcie była zadowolona...

Elizabeth Corday stanęła u boku męża.

– No wiesz, kochanie – zbesztła go – ładną mi wyrabiasz opinię...

Odcisnęła wymalowane czerwoną szminką usta na jego policzku, władczym gestem wzięła go pod rękę i utkwiała pytające spojrzenie dużych, brązowych oczu w Lily.

– A zatem to pani jest Lily Bonner... Perfekcyjna żona to jednak nie mit.

– Słucham? – Tym razem to Lily zmarszczyła brwi.

– Elizabeth! – Corday upomniał czule żonę.

– Ależ to prawda! Wszyscy już słyszeliśmy tyle o pani, ale nikt pani nie widział. Zupełnie jak potwora z Loch Ness... Ludzie opowiadają o nim rozmaite historie, ale nikt go nigdy nie widział... Już się zastanawialiśmy, czy Liam może tylko się przechwalać, że ma za żonę najwspanialszą kobietę na świecie, aby opędzić się od najbardziej natarczywych wielbicielk. – Zaśmiała się, jakby powiedziała coś niesłychanie zabawnego.

Liam zauważył skonsternowane spojrzenie żony, podszedł do niej, położył jej rękę na ramieniu i cmoknął w policzek.

– Lily jest moją oazą spokoju. Przy niej mogę odpocząć od codziennych stresów, więc to rozumiacie, że trzymam ją od was z daleka. Nie mogę przecież dopuścić, żeby i ją pochłonięła czarna dziura nieustannej gonitwy i pracy, zagrażająca nam wszystkim, prawda? Wówczas nie miałbym już gdzie szukać wytchnienia.

Lily tak bardzo ucieszyła się z tego pocałunku przy wszystkich, że zdołała przełknąć irytację wywołaną wątpliwym komplementem męża. Ona oazą spokoju? Cudownie. Tylko dlaczego nie spędzał z nią choć odrobiny czasu? Tylko pracował lub spał, a nawet po to ostatnie coraz rzadziej odnajdował drogę do oazy zwanej łóżem małżeńskim.

Spojrzała na niego, jakby szukała potwierdzenia jego słów, ale on już odwrócił się do Cordaya, kładąc mu rękę na ramieniu.

– A propos... Duncan, czy Peter i ja moglibyśmy teraz, kiedy już jest trochę spokojniej, omówić z tobą kwestię zawieszenia szklanego dachu nad głównym budynkiem?

– Ależ Liam, to nie pora i miejsce – zaprotestowała Elizabeth, śmiejąc się gromko.

– Szanowna małżonko, powinnaś wiedzieć, że jeśli chodzi o firmę Corday, to zawsze jest pora i miejsce na rozmowy o interesach... Nie chcę słyszeć żadnych skarg... Jak myślisz, z czego zapłaciliśmy za twoją nową kuchnię?

Liam oddalił się, a Lily została sama z Elizabeth Corday i narastającym uczuciem rozczarowania. Czy tak właśnie potoczy się ten dzień do samego końca? Elizabeth przejechała dłonią z doskonałym manikiurem po tlenionych włosach przyciętych na pazia. Jej paznokcie były polakierowane na ostry czerwony kolor, a na sześciu palcach lśniły bająco drogie południowoafrykańskie diamenty. Ubranie oraz spowijająca smukłe ciało kobiety chmura perfum o intensywnym zapachu należały do luksusowej klasy. Lily zastanowiło, że nie dało się określić jej wieku; zapewne doganiała pięćdziesiątkę i tym samym była o parę lat młodsza od swojego męża.

Kobieta przyglądała się Lily, jakby miała przed sobą malowidło, które wprawdzie niezupełnie jej się podoba, ale które mimo wszystko chce je obejrzeć dokładniej.

Lily uśmiechnęła się niepewnie. Powstałe milczenie i pogardliwy wzrok, jakim mierzyła ją bez ogródek Elizabeth, wprawiały ją w nerwowość. Łamała sobie głowę, co powiedzieć. Cokolwiek, byle przerwać ciszę.

– Jak długo mieszka pani w Kornwalii?

Elizabeth przeniosła spojrzenie z niedużego szmaragdu na serdecznym palcu Lily na jej twarz.

– Moja rodzina zamieszkuje ten dom od wielu pokoleń – odpowiedziała, wskazując budynkiem gestem, w którym było tyle samo dumy, co lekceważenia.

– Jest przepiękny.

Skinęła nonszalancko głową.

– Może umówimy się kiedyś na kawę... – rzuciła, patrząc ponad jej ramieniem na grupkę za nią.

Lily domyśliła się, że nie jest to szczerze zaproszenie, ale mimo to je przyjęła.

– Dziękuję. Z radością.

– Będzie pani miała okazję zdradzić mi parę szczegółów o mężu. Tyle razy jadłam już z nim kolację, a wciąż nie udało mi się go przejrzeć. Uważam, że jest absolutnie fascynujący.

Elizabeth przybrała wprawdzie przyjazny ton, ale Lily wyczuła w nim jakąś wrogość, której pochodzenia raczej nie umiała wytłumaczyć. Przez chwilę wpatrywała się w rozmówczynię, zanim odpowiedziała.

– Zwykle nie daję zaglądać za kulisy osobom, których nie zna zbyt dobrze – oznajmiła spokojnie.

Popatrzyły po sobie wyzywająco i obie wytrzymały spojrzenie. Na szczęście zjawił się Peter.

– Przykro mi, Elizabeth, ale potrzebuję Lily do akcji humanitarnej – zakomunikował, podając ramię Lily.

Nie czekając na odpowiedź, poprowadził ją, obejmując lekko, przez korty i murawę w stronę domu.

– Dziękuję. – Lily odetchnęła z ulgą, kiedy znaleźli się poza zasięgiem uszu. – Ale zaraz akcja humanitarna, no wiesz...

Peter uśmiechnął się i popatrzył na nią konspiratorsko.

– Ale to prawda! Nie mam więcej ochoty na rozmowy o pracy i potrzebuję cię, żeby zdobyć coś do jedzenia. – Mrugnął do niej. – A kiedy taki grubas jak ja plądruje bufet, to zawsze lepiej wygląda, jeśli stara się przy tym dokarmić wygłodzoną towarzyszkę. Zmizerniałaś, Lily. To ty schudłaś czy ja przytyłem? Nawiasem mówiąc, muszę ci opowiedzieć najnowszy kawał! Znasz to, Lily? Ten o zającu i kanapkach?

Opowiedział dowcip, który był tak głupi, że Lily nie potrafiła się nie roześmiać. Zadowolony, że znów wyczarował uśmiech na jej twarzy, zadał pytanie, które najbardziej go nurtowało.

– I jak, jak cię potraktowała łaskawa pani?

– Elizabeth?

Przytaknął. Jej milczenie było wystarczającą odpowiedzią.

– Nie można powiedzieć, żeby była najmilszym człowiekiem na Ziemi, prawda? – zgodził się Peter. – Wiesz, jak ją nazywają w biurze?

Lily uniosła brwi.

– Rotweiler. Może dlatego, że jest taka cięta, a może dlatego, że przypomina go wyglądem...

– Peter! – Zaśmiała się z przerażeniem, zażenowana faktem, że szczerze rozbawiła ją złośliwość przyjaciela.

Peter zaprowadził ją po szerokich, wygiętych schodach, które wiodły z ogrodu na taras na tyłach domu. Już teraz, o tak wczesnej porze roku, był skąpany w kwiatach, choć ogromne, kamienne donice obsadzone kolorową roślinnością nie dorównywały wysublimowanym gustem ogrodu.

– Dzieło Elizabeth Corday – objaśnił bez zachwytu Peter. – Codziennie wystawia tu lampę kwarcową, kiedy sama ma dość smażenia się pod nią.

– Ach, więc jej opalenizna wcale nie jest rodem z Saint-Tropez?

– Żartujesz? Przecież ona nie może opuszczać kraju.

– A dlaczego?

– Bo się nie zaszczepiła na wściekliznę i nie ma w uchu mikroczipa. – Mrugnął do niej.

Peter zwykle nie mówił o kimś źle za plecami, dlatego Lily odczuwała ulgę, że jej spontaniczna niechęć do Elizabeth Corday nie brała się z niczego. Weszli przez okazałe dwuskrzydłowe drzwi do środka i znaleźli się w podłużnym pomieszczeniu o wysokim, łukowatym sklepieniu i drewnianych belkach wyglądających jak szkielet wieloryba.

– To jest oryginalna sala balowa z epoki Tudorów. Niesamowite, co? – Peter z podziwem wpatrywał się w sufit.

– Owszem. Elizabeth wspomniała, że dom znajduje się w posiadaniu jej rodziny od wielu pokoleń.

– Ależ proszę cię. Jej dziadek robił tu za szofera, a prababka była niańką.

– Nabijasz się ze mnie, prawda?

– Ani trochę. – Peter przybrał śmiertelnie poważną minę, co nie przyszło mu łatwo. – Spójrz. – Wskazał dość wysoką, starszą kobietę o skwaszonej minie w czarnym stroju pokojówki. – Tamta za bufetem to jej matka.

Ciemnowłosa kobieta o męskim typie urody miała tak niewiele wspólnego z wiotką Elizabeth Corday, że Lily nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– No dobrze, teraz już wiem, że mnie wkręcasz.

– W każdym razie nie jest pierwszą dziwką w rodzinie. To pewne.

– Peter! – obruszyła się bez przekonania Lily.

Na jej twarzy wreszcie pojawiły się kolory.

– Chodź i obejrzyj kuchnię, o której opowiadał Corday. Kosztowała go ponad sto tysięcy funtów.

– Tyle kasy na kuchnię? – zawołała.

– Zobaczysz, jest super.

– Możliwe, ale to przecież tylko kuchnia.

– W tym domu nic nie jest „tylko”. Łącznie z Cordayem.

Kuchnia rzeczywiście robiła wrażenie, ale Peter interesował się bardziej daniami, które tam przygotowywano, i migiem pociągnął Lily z powrotem do sali bankietowej, gdzie długi na dziesięć metrów stół uginał się od jedzenia. Wcisnął jej do ręki talerz, sam też wziął jeden

i błyskawicznie go napęłnił.

– Cóż, jedno trzeba przyznać Elizabeth. Umie znaleźć dobrych dostawców. Ten jest fantastyczny. Zaraz umrę z głodu.

– Ty zawsze umierasz z głodu.

– Owszem, to straszne, prawda? Ale to jak z samochodami z silnikami o dużej mocy – powiedział i poklepał się z zadowoleniem po brzuchu. – Też muszą częściej tankować.

Obrzucił wzrokiem jej na w pół pełny talerz.

– Tylko tyle?

– Nie mam zbyt wielkiego apetytu.

Peter przyjrzał jej się dokładniej. Od przewodniczki z Londynu ubyło jej z pięć kilo. Zaniedbywała się. Nie promieniała już tak jak niegdyś. Martwiło go to. Pomyślał chwilę.

– Jeśli nałożysz porządną porcję, to ci pomogę – oznajmił. – Nie będzie się tak rzucać w oczy, ile sam zjem. Masz. – Srebrną łyżką wsunął na jej talerz kawałek quiche’a z łososiem. – Weź to dla mnie. I to... – Podał jej bagietkę z masłem. – Ta pasta z kawioru jest po prostu pyszna... Wiesz co, skoro już tu jesteśmy, to możemy wziąć coś dla Liama...

Wyszli z powrotem na zewnątrz, gdzie Peter skierował się ku wolnemu stolikowi pod jednym z ogromnych cedrów chroniących ich przed chłodną bryzą od morza. Udało im się znaleźć w miarę nasłonecznione miejsce, dzięki czemu nie musieli marznąć.

Peter założył sweter i zajął się swoim talerzem. Próbował też zachęcić do jedzenia Lily, ale poniósł sromotną klęskę. Zmierzyła go surowym spojrzeniem.

– Chyba wspominałeś, że chciałbyś mieć dziewczynę? – Lily popatrzyła bezlitośnie na jego kałdun.

Peterowi nie pozostało nic innego, jak przyznać, że „parę kilo”, które przybyło mu w ciągu ostatniego roku, zamieniło się w dobre sześć. Obiecał sobie solennie, że będzie częściej zaglądał do drogiej siłowni, do której zapisał się zaraz po świętach Bożego Narodzenia – w ramach prezentu dla siebie. Ale teraz uległ impulsowi i zaczął podjadać z talerza Liama.

– Wiem, wiem – westchnął, kiedy się roześmiała – ale ja po prostu kocham jeść. Owszem, chętnie poznałbym panią, którą obdarzyłbym co najmniej taką samą miłością. Muszę tylko znaleźć taką, która nie miałaby nic przeciwko mężczyźnie z odrobiną tłuszczu. Są takie! Parę miesięcy temu widziałem reportaż na jednej z tych dziwnych prywatnych stacji. Nazywał się *Modelka szuka spaślaka* czy jakoś tak. A podtytuł głosił *Miłość w rozmiarze XXL*. O kobietach czujących pociąg do takich facetów jak ja! Rubensowscy mężczyźni – tak mówią na nas w odpowiednich środowiskach.

Lily nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Obserwując atak Petera na talerz Liama, zdała sobie sprawę, że nie widziała męża od trzech kwadransów.

– Gdzie się podziewa Liam?

Peter zastygł na moment i popatrzył na nią.

– Zapewne tam, gdzie go przedtem zostawiłem.

– Czyli?

– W jaskini Cordaya. Znaczący, u niego w gabinecie. Gadali o pracy. Albo poszedł wziąć prysznic. Też w zasadzie powinienem to najpierw zrobić, ale sport tak mnie wyczerpał, że musiałem się najpierw wzmocnić. W przeciwnym razie pewnie nie zdołałbym odkręcić kranu. Ale chyba nie śmierdzą, co?

Powąchał się.

– Najwyżej czosnkiem.

– Super. Zapamiętać: potrzebuję kobiety, która nie ma nic przeciwko tłuściemu, śmierzdzącemu facetowi.

– Przecież ty nie jesteś tłusty – zaprotestowała natychmiast.

– Ach, nie? A jaki twoim zdaniem?

– No... misiwaty.

– To tylko nieco miłsze określenie tłustego.

Potrząsnęła głową z uśmiechem.

– Nie jesteś tłusty.

– Dobrze, więc nie jestem tłusty, ale to nie zmienia faktu, że nadal poszukuję sympatycznej kobiety. Myślisz, że coś by to dało, gdybym schudł parę kilo?

Lily zdecydowanie pokręciła głową.

– Jesteś cudowny taki, jaki jesteś. Każda sensowna kobieta to dostrzeże.

– To dlaczego jestem taki samotny, Lily? Oczywiście abstrahując od tego, że pracuję na okrągło i wtedy nie jestem samotny. Mam! Jestem tak zajęty, że nie mam czasu na samotność!

– W przeciwieństwie do mnie – mruknęła i przeczesła spojrzeniem ogród w poszukiwaniu męża.

– Co masz na myśli?

Przez cały czas krciło ją, żeby komuś opowiedzieć, jak naprawdę się czuła – ale teraz myśl, że miałyby wyznać swoje obawy, wydała jej się głupia. Zbyła go zatem słowami „ach, nic takiego”, uśmiechnęła się promiennie do spoglądającego z niedowierzaniem Petera i zmieniła temat, pytając o rodziców.

– Dziękuję, czują się dobrze, korzystają z życia w Marsylii, mają tam pełnię szczęścia. Ojciec już całkiem wyzdrowiał, a tamtejszy klimat służy mamie i wychodzi na dobre jej artretyzmowi. Ale tęsknię za nimi...

– Ja też nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby tu byli. Towarzystwo twojej mamy na pewno dobrze by mi zrobiło.

Peter zerknął na nią z ukosa. W jej głosie nie tylko pobrzmiwał smutek. Lily była bliska łez.

– Lily, jesteś pewna, że wszystko jest w porządku?

Westchnęła i pokręciła głową.

– Ach, nie przejmuj się mną, czuję się po prostu odrobinę zaniedbywana, to wszystko.

Prawie nie widuję Liama, odkąd się tu sprowadziliśmy.

– Ma dużo pracy. Jak my wszyscy.

– Wiem. Tylko...

– Tylko co?

Lily podparła głowę rękoma i wypuściła powoli powietrze z płuc. Jak mogła rozmawiać o tym z Peterem, skoro nie potrafiła z Liamem? Nigdy nie umiała znaleźć właściwych słów, żeby wyrazić uczucia. Czuła się osamotniona, owszem, odczuwała głęboki smutek, ale jak miała opisać poczucie bezdennej pustki, która ją wypełniała, nie wywołując jednocześnie wrażenia, że znajduje się na najlepszej drodze do wariatkova?

– Zapomnij o tym.

– Ach, proszę cię, Lily. Co tak naprawdę cię gryzie?

Lily spostrzegła, że z domu wychodzi Elizabeth Corday, i przypomniała sobie, co czuła, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy. Kiedy tak poufale rozmawiała z Liamem. Przynajmniej na to pytanie mógł odpowiedzieć Peter. Wiedziała, że nic nie powtórzy Liamowi. Tak już było od zawsze. Lily zawsze mogła zawierzyć wszystko Peterowi, choć był najlepszym przyjacielem Liama.

– Po prostu przyszło mi na myśl, że kryje się za tym coś więcej.

– To znaczy?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, to tylko takie wrażenie... że on się ode mnie oddala. Wiem, że jest bardzo zajęty, ale ta odrobina wolnego czasu, którą ma... Cóż, nie jesteśmy już sobie tak bliscy, jak kiedyś, Peter, pod każdym względem. Może to nie tylko wina pracy, że coraz bardziej się ode mnie oddala... może to moja wina... a może to przez inną kobietę...

Peter przerwał jej w pół słowa, oburzony.

– Przestań, Lily, to przecież jest śmieszne! Liam cię kocha, ubóstwia...

– A dlaczego ty jesteś taki tego pewny, a ja nie?

– Żartujesz, prawda?

– Prawie go nie widuję, Peter.

– Wszyscy pracujemy nieomal dzień i noc. To jest projekt naszego życia, Lily. Wiesz, że jest gigantyczny. Potem będziemy mogli odejść na emeryturę.

– Czego oczywiście nie zrobicie.

– Nie, masz rację, ale będziemy mieli wyrobioną markę. Zleceniodawcy w całej Wielkiej Brytanii, co ja mówię, na całym świecie będą się ślinić, słysząc Bonner & Trevethan.

Mrugnął do niej.

– Aha, czyli Liam jednak postawił na swoim i jest na pierwszym miejscu. – Zaśmiała się krótko i sucho.

– Tak, ale tylko dlatego, że Bonner jest łatwiejszy do wymówienia, zwłaszcza po pijanemu. – Peter urwał, kiedy się nie roześmiała i spoważniał.

– Jak długo się już znamy?

– Wiem, wiem. – Zmarszczyła brwi.

– Prawie tak długo, jak z Liamem – ciągnął. – Przyjaźnię się z tobą tak samo mocno, jak z nim, wiesz o tym. Nigdy bym cię nie okłamał. Mam nadzieję, że o tym wiesz. No już, proszę, nie cierpię, kiedy jesteś taka smutna. Nie musisz się o nic obawiać, przysięgam. Wszystko jest w porządku. Oboje wiemy, jak bardzo cię kocha... O, patrz, jest wreszcie.

Podniosła wzrok. Przez trawnik zmierzał do nich świeżo wykąpany i przebrany Liam.

– On cię kocha, Lily – szepnął Peter jeszcze raz i popatrzył na nią brązowymi oczami tak bezpośrednio i szczerze, że po prostu musiała mu uwierzyć. – Ja o tym wiem i ty również. I nie wolno ci o tym zapominać, rozumiano?

Uśmiechnęła się do niego. Nagle wydała się sobie idiotką. „Peter ma rację”, pomyślała, jej obawy są kompletnie nieuzasadnione. Po prostu zbyt wiele czasu spędzała sama w starym, wielkim domu, więc nic dziwnego, że wyobraźnia płatała jej figle. Co się z nią stało? Musiała wziąć się w garść i wreszcie odnaleźć w sobie siłę.

Peter widział jej rozdarcie i pod wpływem impulsu objął ją mocno. Zauważył zaciekawione spojrzenia siedzących w pobliżu gości.

– Coś mi się zdaje, że właśnie postarałem się o nowy materiał do plotek. – Przewrócił z rozbawieniem oczami. – Poczekaj, za pięć minut całe towarzystwo będzie gadać, że mamy ze sobą romans.

Uśmiechnęła się, ale on dostrzegł, że pod tym uśmiechem walczy ze łzami.

– Łapy precz od mojej żony, ty psie! – huknął z pewnej odległości Liam.

Udawał oburzonego, ale opromienił Petera i żonę uśmiechem, a po chwili pocałował Lily. Potem usiadł na wprost nich, odchylił się na oparcie i nonszalancko, z pewnością siebie założył nogę na nogę. Pachniał wodą po goleniu.

– Przepraszam, że dopiero teraz do was dołączam. Niby to się nazywa przyjęcie, ale to aż

niewiarygodne, ile roboty już dziś odwałem.

– Można to też nazwać robieniem dobrej miny do złej gry – dorzucił Peter, unosząc znacząco brwi.

Liam sięgnął po grissini.

– Dlaczego się spóźniłaś, Lily? Wszystko w porządku?

Skinęła powoli głową.

– Nie mogłam się zdecydować, co na siebie włożyć. – Pocieszała się, że to przynajmniej połowa prawdy.

Roześmiał się.

– Wyglądasz prześlicznie.

– Dziękuję. Fajnie, że to zauważyłeś.

Liamowi nie umknął kąśliwy ton, zauważył też jej zaczerwienione oczy. Pohamował wyrzuty sumienia, które zaczęły mu dokuczać i które tak rozpaczliwie próbował oddzielić od innych uczuć, jakie żywił do żony.

Uzmysłowił sobie, że Peter właśnie ją pocieszał. Lily potrzebowała kogoś, kto ją wesprze. Nie był ślepy, dostrzegał, że od czasu przeprowadzki z Londynu coś ją trapi, ale nie wiedział, na ile jej smutek wiąże się ze zmianą miejsca pobytu. Zdawał sobie sprawę, że spędzają ze sobą zbyt mało czasu, ale był pewien, że jeszcze będą umieli być ze sobą szczęśliwi. Wiedział, że najlepiej byłoby, gdyby oboje porozmawiali o ich sytuacji – ale ona oczekiwałaby, że obieca jej pewne rzeczy, a on teraz nie mógł składać obietnic, których nie dotrzymałby na sto procent. Tłumił więc wyrzuty sumienia i robił, co musiał.

Przysunął się bliżej wraz z krzesłem, wziął ją za rękę i splótł z nią palce. Instynktownie przyłożył jej zimną dłoń do swojego policzka, żeby ją ogrzać, i pocałował, a na koniec złożył ich splecione ręce na jej nodze.

Lily przy pierwszym dotyku zamknęła oczy. Teraz otworzyła je i poszukała jego wzroku. Dojrzała w nim ciepło. Liam zawarł w tym spojrzeniu całe morze czułości i żalu, dając jej wreszcie pociechę, za którą tak tęskniła.

Peter przypatrywał się im i w końcu skinął głową z zadowoleniem. Na chwilę mógł zapomnieć o swoich zmartwieniach.

– Przynieśliśmy ci coś do jedzenia – oświadczył.

Potem rozejrzał się za talerzem i udał zaskoczenie, kiedy okazało się, że jest pusty.

– O, nie! Wszystko zniknęło! Lily! Ktoś zjedził jedzenie dla Liama!

Lily uśmiechnęła się jak dawniej. Jakby ktoś zdjął z jej ramion wielki ciężar. Liam obejrzał pojedynczą, ogryzioną kość z kurczaka i wyszczerzył się w uśmiechu.

– Nie ma sprawy, i tak nie jestem głodny.

– Poważnie? – odparł Peter, nawet nie mrugnawszy. – No nie wiem, ja tam padam z głodu. Cały dzień nie miałem nic w ustach.

„Było prawie jak za dawnych czasów w Notting Hill”, pomyślała Lily. Peter mieszkał wtedy tuż za rogiem i często przesiadywali w trójkę przy kuchennym stole, śmiejąc się i rozmawiając, przekomarzając się i opowiadając głupie dowcipy, które tylko dlatego były zabawne, że śmiali się z nich po raz tysięczny. Od czasu do czasu przychodzili też inni, ale nigdy nie zagrzali na dłużej miejsca, bo ich trójka opanowała tajny kod porozumienia, wykluczający na dłuższą metę postronnych.

Ponieważ Liam nic jeszcze nie pił, to on miał usiąść za kółkiem. Szampan rozgrzewał Lily, dzięki czemu wraz z zapadnięciem zmroku przestała marznąć, mimo iż zrobiło się znacznie

chłodniej. W parkowym ogrodzie samoczynnie zapalały się światła, zamieniając Treskerrow w baśniową krainę. Wraz z zapadającym zmrokiem goście przechodzili do domu albo od razu żegnali się z gospodarzami.

Peter ziewnął, przeciągnął się i oznajmił, że też powinni powoli się zbierać. Liam przystał na to i zaproponował, żeby całą trójką pojechali do Domu Róż i urządzili miły wieczór przy winie.

– Tylko przyniosę ze środka moje rzeczy – powiedział Liam.

– Ja też – zawtórował Peter. – Moje ciuchy leżą w którejś z sypialni... Żebym tylko wiedział w której. Ten dom jest tak wielki, że przedtem prawie się zgubiłem.

Wstali, a ponieważ zaczął siąpić lekki deszcz, Lily przyłączyła się do nich, żeby poczekać u wejścia do sali balowej.

Zebrała się cała śmietanka. Ci, którzy mieli trochę więcej w czubie, prowadzili głośne rozmowy i porykiwali śmiechem. Pomieszczenie wypełniały gwar i muzyka.

Lily nie miała ochoty stać samotnie ani konwersować z ludźmi, których nie знаła. Wycofała się w cień bujnego klematisu pnącego się nieopodal drzwi na taras. Tutaj nie rzucała się w oczy, za to sama miała widok na całą salę. Dzięki temu nie przegapi powrotu Liama i Petera.

Deszcz rozpadał się na dobre, wygrywając na liściach klematisu rytmiczną melodię.

Lily zadrżała z zimna. Ściągnęła poły płaszcza i z radością stwierdziła, że dawno nie była w tak dobrym nastroju. Podbudowało ją, że Liam tak otwarcie okazał jej uczucie.

– Jestem kompletną idiotką – zbesztła się. – Od kiedy to potrzebuję potwierdzenia Petera, że w moim małżeństwie wszystko gra? Liam mnie kocha. Musimy tylko spędzać ze sobą trochę więcej czasu. To nie jego wina, że to teraz nie jest możliwe. – Wypowiedziała te słowa na głos, bo tak łatwiej było w nie uwierzyć.

W tym momencie w jej stronę przesunęła się grupka kobiet zmierzających na taras. Lily słyszała stukanie ich obcasów na marmurowej posadzce. Już chciała opuścić swój posterunek i poczekać w samochodzie, kiedy z ich trajkotu wybiło się zdanie, które ją zmroziło.

– Co powiecie na panią Bonner?

Lily zawahała się. Nie wiedziała, czy powinna dalej słuchać. W końcu zwyciężyła ciekawość, a odpowiedź, która zaraz padła, nie była tak miażdżąca, jak się spodziewała.

– Wydała mi się bardzo miła.

– Bardzo miła dla Petera Trevethana, nieprawdaż? Widziałyście to? Jak się do siebie lepi-li?

Lily powstrzymała uśmiech.

– Oszalałaś? – oburzyła się jedna z nich, której głos wydał się Lily sympatyczny. – A ty wybrałaś Petera, gdybyś mogła mieć Liama? Jestem pewna, że łączy ich tylko przyjaźń.

– Uważam, że o wiele lepiej pasowałyby do Petera... – zaoponowała druga, ze złośliwym głosem. – Jak ktoś taki mógł upolować takiego mężczyznę, jak Liam?

– Moim zdaniem jest całkiem ładna – odezwała się trzecia.

– No, zależy, co się komu podoba...

– Najwyraźniej podoba się niejednemu, Olivia. Nie zauważyłaś, jak Duncan ślinił się na jej widok? Może właśnie dlatego Liam nie przyprowadza jej na firmowe imprezy, bo się obawia, że ktoś mu ją poderwie.

– Ach, przecież to jest śmieszne! Myślę, że dlatego trzyma ją w domu, żeby mieć wolną rękę. Te wszystkie kobiety, które chętnie rzucą mu się na szyję! Ludzie są naprawdę okropni. Ledwie pojawi się trochę świeżej krwi, a oni już pożądliwie oblizują palce. Chociaż, jeśli mam być szczerą, to sama też nie wyrzuciłabym go ze swojego łóżka. Od dawna uważałam, że jest szalenie atrakcyjny, ale dopiero dziś przekonałam się, jakie cudowne ciało ma ten facet...

– Na twoim miejscu grzecznie trzymałabym się od niego z daleka, Livvie. Elizabeth już zgłosiła do niego swoje roszczenia, a przecież wiesz, jak potrafi bronić swojego rewiru, jeśli trzeba...

– Elizabeth! Duncan naprawdę powinien trzymać ją trochę krócej...

– Ja tam wiem z zaufanego źródła, że tuż przed świętami próbowała uprzyć w kominku jego kasztany...

Lily wycofała się, kiedy tamte wybuchły perlistym śmiechem. Nie chciała słyszeć ani słowa więcej. Przeszła przez taras, oparła się na przeciwległym krańcu o kamienną balustradę i łapczywie wciągała powietrze. Jej oddech uspokoił się powoli, a serce przestało łomotać w pierś jak szalone. „To tylko plotki”, przekonywała sama siebie. Złośliwe, jadownicze plotki. Którymi w ogóle nie powinna zaprzętać sobie głowy. Ach, gdyby wyszła wcześniej!

Kiedy usłyszała za sobą kroki, odwróciła się tak gwałtownie, że obtarła rękę o barierkę.

– Lily?

To był Liam.

– Gdzie byłeś tak długo? – zapytała z pretensją.

Zobaczył, że podnosi dłoń do ust, i spostrzegł, że się skaleczyła.

– Co się stało?

– To tylko otarcie.

– Pokaż.

Podszedł do niej i ujął jej rękę.

– To nic – bagatelizowała.

– Krew ci leci.

– Ach, to płytkie.

„Jak wszystko tutaj”, dodała w myślach.

Najwyraźniej się martwił, dlatego w pierwszym odruchu chciała mu opowiedzieć, co przed chwilą usłyszała. Ale potem zauważyła, że Liam trzyma w drugiej ręce kryształową szklaniczkę, której zawartość podejrzanie przypominała podwójną whisky. Nie uszło jego uwadze, na co skierowała swój wzrok, puścił jej przegub i uśmiechnął się niepewnie.

Oderwała spojrzenie od szklanki i przeniosła na jego twarz, która nagle stała się obca.

– Przecież miałeś jechać – powiedziała cicho.

– Nastąpiła mała zmiana planów.

– Myślałam, że wracamy do domu?

Lily zobaczyła, że coś przemknęło mu po twarzy, wyraz, którego nie potrafiła zdefiniować. I wtedy zauważyła, że wcale nie wziął swojej sportowej torby.

– Co się dzieje, Liam?

– Naprawdę bardzo mi przykro, Lily, ale Peter i ja musimy zostać nieco dłużej. Duncan nas dorwał... Chce z nami omówić pewien pomysł, jaki mu przyszedł do głowy w związku z atrium w centrum sztuki...

– Ale przecież właśnie uzgodniliśmy, że jedziemy do domu.

– To ważne, Lily. W przeciwnym razie nie zgodziłbym się na to. A ponieważ nie chciałbym, żebyś się tu zanudziła na śmierć, kiedy będziemy rozmawiać o projekcie... – ciągnął Liam, jakby odklepywał wyuczony tekst. – Duncan był tak miły i wezwał ci taksówkę. Powinna nadjechać lada chwila... Chyba nie robi ci to różnicy, prawda?

Jej milczenie powiedziało mu, że robi, i to bardzo.

Popatrzyli po sobie. Lily czekała, aż Liam coś powie. Nie wiedziała, czego oczekiwała, ale wiedziała, że potrzebuje jakiegoś znaku, czegoś w jego głosie, w słowach... Czegoś, co wyparłoby z niej tę pustkę, uchroniłoby dopiero zagojoną ranę przed ponownym otwarciem.

– W porządku – powiedziała bezbarwnym tonem i choć oboje wiedzieli, że nic nie jest w porządku, przestali na tym.

Jazda taksówką do Merrien Cove wydała się jej wiecznością.

Po powrocie do domu wierzgnięciem zrzuciła buty w przedpokoju i boso poszła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę. Potem stała nieruchomo i trzymała ją w obu dłoniach, aż wystygła. Wylała ją i poszła się położyć.

Długo trwało, zanim zasnęła. Po kilku godzinach wyrwało ją z niespokojnego snu przenikliwe dzwonienie telefonu odbijające się echem po całym domu. Myślała, że jest już rano, ale gdy otworzyła oczy, zdziwiła się, że jest całkiem ciemno. Podeszła do telefonu.

– Lily?

To był Liam.

– Obudziłem cię? – Jego głos brzmiał bełkotliwie.

W tle słyszała cichą muzykę i rozmowy.

Zerknęła na budzik.

– Jest kwadrans po trzeciej, Liam. A jak ci się zdaje?

– Tak, eee, przepraszam... Więc sprawa jest taka, że wypilem trochę za dużo i nie powinienem siadać za kierownicę. Elizabeth... – zawahał się – Duncan i Elizabeth byli tak mili i zaproponowali mi łóżko u siebie. Znaczący, na resztę nocy. Wziąłbym taksówkę, ale rano o świcie i tak muszę tu być, więc rozsądniej będzie, jeśli zostanę. Chciałem tylko, żebyś wiedziała...

Zamilkł i czekał, aż Lily coś odpowie, ale się nie doczekał.

– Zobaczymy się jutro po pracy... A ty dobrze się czujesz? W wielkim, starym domu, całkiem sama?

– Większość czasu spędzam sama w wielkim, starym domu i jakoś dotychczas się tym nie przejmowałam – odparła cicho.

Oboje zamilkli. W tle usłyszała, że jakaś kobieta woła Liama.

– Kończmy już, Liam, wołają cię. – Chciała, żeby wiedział, że słyszała tamtą kobietę.

– Lily, proszę...

– Prosisz o co?

Usłyszała, jak wzdycha głęboko.

– Nic. Śpij dobrze. Zobaczymy się jutro wieczorem...

I rozłączył się, pozostawiając denerwujący sygnał w słuchawce.

Leżała w łóżku i gapiła się w sufit. Powstrzymywała łzy i próbowała zwalczyć bezsenność. Kiedy neonowe cyfry budzika pokazały czwartą trzydzieści, wstała i zeszła do kuchni.

Nie zapalała światła, tylko otworzyła lodówkę i zadowolona się bijącą z niej poświatą. Właściwie nie była głodna. Ale czuła w sobie dziwną, ziejącą pustkę, która chciała zostać napełniona. Nie wiedziała tylko jak. W lodówce znalazła białe wino. Chwyciła butelkę i duży kieliszek, otworzyła wypaczone tylne drzwi na taras i wyszła na zewnątrz.

Przeostało padać, ale powietrze było zimne i ciężkie od wilgoci. Przypominało delikatną mgłę przygniatającą ląd i morze.

Lily miała na sobie tylko szlafrok i było jej zimno. Z wieszaka przy drzwiach zdjęła pierwszą lepszą kurtkę, która dostała się jej w ręce. Kurtkę Liama. Była to ciepła, wełniana kurtka, którą nosił w Londynie i którą teraz zastąpiła ciężka, zielona, przeciwdeszczowa wiatrówka odpowiednia na nieprzewidywalną kornwalijską pogodę. Założyła ją i poczuła ogarniające ciepło. Wciągnęła ostro powietrze. Kurtka pachniała Liamem. Otuliła się nią ciasno i stwierdziła ze smutkiem, że w ostatnim czasie rzadko bywała tak blisko niego, jak teraz.

Z westchnieniem oparła się o wilgotną ścianę domu, naląła sobie wina i popatrzyła na nocne niebo, na czarny jak smoła, upstrzony chmurami firmament.

Wyglądał zupełnie inaczej niż niebo w Londynie, gdzie światła miasta rozpraszały spektakularną czern. Myśl o Londynie wywołała w niej falę tęsknoty. Dlaczego musieli wynieść się z Londynu? Liam potrzebował dwóch tygodni, żeby po odwiedzinach Petera zdecydować się na przyjęcie jego propozycji i zostanie współnikiem. Trzykrotnie dłużej zajęło mu przekonanie Lily, że to dobry plan.

Dom został błyskawicznie przekazany maklerowi i sprzedany, a Liam przez parę miesięcy tydzień w tydzień jeździł do Kornwalii, żeby przygotowywać projekt, podczas gdy Lily zostawała w Londynie i pakowała skromny dobytek. Miała wrażenie, że to wtedy zaczął się od niej oddalać.

Dawny Liam nigdy nie posłałby jej do domu samej, zostając na noc gdzie indziej. Tak, może dotychczas miała po prostu szczęście, ale przez to tylko wyraźniej odczuwała zmianę.

Całą noc spędził poza domem. I poszedł prosto do pracy.

Nagle uświadomiła sobie, że nawet nie wrócił, żeby się przebrać. To musiało oznaczać, że miał ze sobą ubranie na zmianę. A to z kolei oznaczało, że planował nocleg u Cordayów.

Z furią wlała w siebie kolejny łyk wina i zachłysnęła się. Kiedy wreszcie przestała kasłać, popiła następnym.

Butelkę opróżniła tuż po piątej, kiedy czarne niebo zaczęło się rozjaśniać na wschodzie.

Poszła do kuchni. Na regale z winem znalazła butelkę czerwonego, naprawdę szlachetnego trunku, które dostali od kogoś w prezencie. Liam trzymał ją na szczególną okazję. Wzięła ją. Może uda jej się uśmierzyć emocje alkoholem.

Wróciła na taras i skłęła Liama i Cordayów, kiedy korek ukruszył się podczas próby wyciągnięcia go z butelki. Utkwił w szyjce. Lily zaczęła szlochać, sfrustrowana.

– Dlaczego nie wrócił dziś na noc do domu? – zawołała w noc. – Tak, jasne, Elizabeth Corday zaoferowała mu łóżko. Najpewniej własne!

Z wściekłości i rozczarowania cisnęła butelkę o skałę. Rozbiła się, a wino skapywało po niej jak krew.

Znów ją obudził telefon.

Było wpół do ósmej.

Lily miała suchość w ustach i huczało jej w głowie. Drżącą ręką sięgnęła po szklanekę wody stojącą na nocnej szafce i wychyliła ją duszkiem, zanim odebrała.

Dzwonił Liam. Był zaniepokojony.

– Lily? Dzwonię i dzwonię. Co się dzieje?

– Byłam pod prysznicem.

Nie wiedziała, dlaczego go okłamuje. Może nie chciała przyznać, że była skacowana? Bo gdyby przyznała się do tego, natychmiast zapytałby, dlaczego się upiła. W świetle dnia wstydziła się swojego nocnego pijaństwa.

Liam zmienił ton z zatroskanego na pojednawczy.

– Przykro mi z powodu ostatniej nocy.

– Naprawdę? – Całkiem niezamierzenie zabrzmiała jak nadąsane dziecko.

Nienawidziła się za to. Ale jego jeszcze bardziej.

– Ależ oczywiście...

Lily słyszała, że dzwoni z samochodu. A zatemjechał już do pracy, do tego przekłętego projektu, który zawładnął ich życiem.

– Wiem, że ostatnio nie spędzam w domu zbyt wiele czasu. Ale u ciebie wszystko w porządku, prawda?

– Przeżyłam.

– Widzisz, i właśnie o to w zasadzie chodzi: o przeżycie. Dlatego tyle pracuję, Lily. Westchnęła.

– Żeby przeżyć? – zapytała kąśliwie.

– Świat jest bezwzględny, Lily. Jeśli nie będę gotów do inwestowania czasu i pracy, Corday poszuka kogoś innego... Peter przekazał mi udziały w swojej firmie za ułamek ich wartości. Jestem mu coś winien. Muszę zadbać o to, żeby ten projekt zakończył się sukcesem, dla niego... dla nas. – Jego głos zabrzmiał łagodniej. – Lily, jesteś dla mnie wszystkim na świecie, wiesz o tym.

– Czyżby? – wyrwało się jej.

Ten nagle słodki ton obudził w niej nieufność.

– Ależ tak... Posłuchaj, spróbuję wrócić dziś do domu trochę wcześniej. Będziemy mieli cały wieczór dla siebie. Bez pracy, bez zmartwień.

– Mówisz poważnie?

– Ależ tak! Brakuje mi ciebie.

Szczerłość w jego głosie wreszcie przełamała jej rezerwę.

– Ach, Liam, mnie też tak bardzo cię brakuje! To okropne, jak w tej chwili żyjemy, jak rzadko cię widuję...

– Wiem, Peter powiedział mi, że czujesz się zaniedbywana, i jest mi przykro z tego powodu. To nie będzie trwało wiecznie, Lily.

– Obiecujesz?

– Jasne. Posłuchaj, dziś i tak wszyscy będą leczyć kaca, nikomu nie będzie się chciało pracować, więc łatwiej będzie mi się urwać wcześniej. Spróbuję być około szóstej w domu, dobrze?

– Obiecujesz?

– Tak, obiecuję. Ach, i... Lily?

– Tak?

– Kocham cię.

Kto by pomyślał, że kilka miłych słów może zdziałać cuda? Trwający wiele tygodni depresyjny nastrój Lily znikł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Uwijała się po całym domu, wszystko wpućowała, a kiedy ludzie Cordaya odstawili jej samochód, pojechała do Penzance na zakupy. Zamierzała wyczarować fantastyczną kolację i uwieść Liama przy winie i łagodnej muzyce. Chciała porozmawiać z nim w cywilizowany sposób, zamiast sprzeczać się i zgrywać obrażalską. Kto wie, może, jeśli ich dom będzie cieplejszy, przytulniejszy i w ogóle atrakcyjniejszy niż przez ostatnie miesiące, uda się nawet go nakłonić, żeby spędzał w domu więcej czasu?

Musiała sama przyznać, że nieustannie witała go zgorzkniałą miną i masą wyrzutów. Może chętniej będzie z nią przebywał, jeśli będzie tryskać lepszym humorem?

O piątej wzięła długą prysznic i zrobiła się na bóstwo. Kiedy zeszła do kuchni, żeby nakryć do stołu, dochodziła szósta. Włożyła płytę do odtwarzacza i zapaliła świece.

Kiedy Liam zmęczony stanął w drzwiach, Lily wciąż tkwiła przy stole w kuchni.

W całym domu unosił się swąd przypalonego jedzenia. Oczywiście, mogła wyjąć zapiekankę z piekarnika. Ale im bardziej wskazówki zegara oddalały się od szóstej, a zbliżały do dziesiątej, tym bardziej rosło w niej postanowienie, że da się spalić temu daniu do cna. W swoistej analogii do nieudanego wieczoru i złamanej obietnicy.

Liam śmierdział alkoholem i papierosami. Uśmiechnął się do niej z ociąganiem, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Wtedy dostrzegł prawie wypalone świece, stół nakryty najlepszymi sztuczkami i drogim szkłem, nietknięte talerze i prawie pustą butelkę po winie.

– Obiecałeś, że będziesz w domu o szóstej... – burknęła w końcu ze wzrokiem zatopionym w kieliszku. – Że spędzimy ten wieczór razem.

– Wiem, Lily, ale...

– Piłeś? – ucięła, gromiąc go wściekłym spojrzeniem.

– Tylko dwa piwa – odparł spokojnie. – Po pracy wszyscy wybrali się do pubu. Musiałem do nich dołączyć. Duncan chciał ze mną coś omówić. W luźniejszej atmosferze.

– Ale obiecałeś, że wrócisz do domu wcześniej – powtórzyła z naciskiem.

– Wiem, ale coś mi wypadło, coś bardzo ważnego, co wymagało obgadania. Nie mogłem pójść sobie tak po prostu...

– Kolację w każdym razie diabli wzięli.

Liam zmarszczył brwi. Jego oczy wyglądały na zmęczone.

– Proszę, Lily, nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej. Jestem wyczerpany i pragnę tylko tego, żeby miło spędzić z tobą resztę wieczoru.

– Resztę wieczoru! – wybuchła. – Jest wpół do jedenastej, Liam! Wieczór już minął!

Liam zakrył dłońmi twarz i jęknął.

– Nie sądziłem, że narobisz z tego powodu tyle szumu. Czego ode mnie oczekujesz, Lily?

– Na początek przeprosin.

– A za co dokładnie, twoim zdaniem, powinienem przeprosić? Wiem, że wróciłem późno do domu, a ty wiesz dlaczego. Byłem w pracy.

– Byłeś na piwie!

– A jak myślisz, dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Zapewne pub był bardziej nęcący niż wizja wieczoru ze mną.

– Zachowujesz się naprawdę idiotycznie, Lily.

– Ach tak? Co w tym idiotycznego, przepraszam bardzo? Spędzasz ze mną tak mało czasu, a ty się dziwisz, że odnoszę wrażenie, iż po prostu nie masz na to ochoty?

Liam jeszcze raz westchnął i opadł ciężko na krzesło. Próbował spojrzeć jej w oczy, ale ona zwiesiła głowę.

– Lily. Proszę.

Kiedy wyciągnął rękę, żeby ująć jej leżącą na stole dłoń, cofnęła ją prędko i przetarła oczy.

– Lily – podjął kolejną próbę, chwycił ją za przegub i przyciągnął opierającą się rękę do siebie. – Proszę. Nie bądź taka. Wiem, że to niełatwe, ale ja to robię dla nas.

Zaskoczyła go jej reakcja. Podniosła wzrok, ale jej spojrzenie było oziębłe i puste. Zaśmiała się cierpko, smutno.

– Dla nas? Nie, nie robisz tego dla nas. I wcale nie chodzi o nas. Ten... ten dom... Kornwalia... to życie... Wszystko to kręci się tylko wokół tego, czego ty chcesz. Nie prosiłam o to, Liam... Jestem tu tylko dlatego, że ty tak chciałeś. To była twoja decyzja, która ani ze mną, ani z nami nie miała nic wspólnego!

Liam ciężko wypuścił powietrze z płuc, aż zamigotała jedna z dogasających świec.

– Wiesz co? Miałem do dupy dzień. Nie potrzebuję jeszcze i tego. – Uniósł dłonie

w obronnym geście.

– Chcesz powiedzieć, że mnie nie potrzebujesz. O to ci tak naprawdę chodzi. Nie potrzebujesz mnie już!

Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– To nie jesteś ty, Lily.

– Skąd ty możesz wiedzieć, kim ja jestem – odparła tępo, nie patrząc na niego.

Niecierpliwość, jaka przebijała z jego kolejnego westchnienia, była jak kubeł zimnej wody.

– Nie potrafię z tobą rozmawiać, kiedy taka jesteś. – On też uciekał przed nią spojrzeniem.

Nagle wstał.

– Idę do łóżka.

– No to pięknie! – prychnęła za nim. – Czy to znaczy, że dzisiejszej nocy naprawdę chcesz spać w tym samym pokoju, co ja? A to nowość!

Odwrócił się do niej plecami. Dobrze wiedziała, że tylko udaje, że śpi, bo oddychał zbyt miarowo i nienaturalnie. Lily leżała obok zesztywniała z gniewu i wpatrywała się w sufit.

Usłyszała, jak jego oddech się rozluźnia, i zdała sobie sprawę, że zasnął. To nappełniło ją jeszcze większą złością. Jak on mógł spać?

Jeszcze nigdy nie położyli się spać skłóceni. Nie sprzeczekali się często, ale jeśli już, to zawsze umieli się rozmówić. Lily wolałaby dyskutować z nim do białego rana, niż przetrzymywać to śpięcie. Nie było mowy o spaniu. Nagle kompletnie otrzeźwiała i oprzytomniała. W głosie roilo się jej od myśli, których nie potrafiła nazwać.

Co się z nimi działo? Łączył ich tak cudowny związek, tyle ze sobą przeszli. A teraz? Byli sobie tak obcy. Nieustannie wypierała swoje zgryzoty, ale rozmowa z Peterem ją uspokoiła... Słyszała, co mówiły tamte kobiety na przyjęciu. Może tkwiło w tym ziarno prawdy? Może jej obawy wynikały z osobliwej intuicji, jaką żywiły wobec swoich mężów kobiety, a nie z irracjonalnej zazdrości wywołanej przez nieustanną samotność.

Był tylko jeden człowiek, który mógłby rozwiązać jej obawy i odpowiedzieć na pytania. Dawniej, kiedy wszystko między nimi grało, mogłaby pogadać z Liamem o tym, co usłyszała, i zapewne razem by się z tego śmiali. Ale teraz...

Odwróciła się do niego. On też obrócił się w jej stronę. Przypatrywała mu się. Wyglądał tak spokojnie, tak niewinnie, tak bardzo jak Liam, którego znała i kochała. Jej złość odpłynęła. Zauważyła u niego nowe zmarszczki. Pohamowała impuls, żeby przesunąć po nich palcem.

Czy wymagała zbyt wiele? Czy ona też się od niego odsunęła? Przykryła dłonią jego rękę, a on otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie i spał dalej.

Znowu obudziła się z potwornym bólem głowy. Była sama w łóżku. Upłynęła chwila, za nim przypomniała sobie ich sprzeczkę i fatalny wieczór, co tylko spotęgowało jej mdłości.

Kiedy w szlafroku i z nieprzebraną ochotą na kawę zeszła na dół, Liam był już w kuchni i uśmiechając się pojednawczo, wręczył jej parujący kubek.

– Nie kłóćmy się już, Lily.

To była biała flaga, na którą liczyła, ale jakoś jej to nie wystarczało. Może dlatego, że Liam był już gotowy do wyjścia. Sama nie do końca rozumiała, dlaczego ją to dziwi. Być może miała nadzieję, że wczorajszy wieczór skłoni go do tego, żeby znalazł rano czas na rozmowę. Ale

jego aktówka już stała w gotowości. W oka-mgnieniu ogarnęła ją wściekłość. Odwróciła się plecami i udała, że przygotowuje sobie tost.

Wyłączył radio brzdąkające cicho w tle, podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

– Lily, nie jesteś sobą.

– O co ci chodzi? – Sięgnęła do lodówki po masło i w ten sposób uwolniła się od jego ręki.

– No, że się zachowujesz w ten sposób. Dąszasz się, zamiast ze mną porozmawiać.

– Może po prostu nie potrafię z tobą rozmawiać tak jak kiedyś. – Jej ton był chłodniejszy, niż zamierzała, a kiedy odwróciła się przeproszająco do niego, zobaczyła, że poczuł się dotknięty.

Teraz jej kolej.

– Wszystko się kompletnie zmieniło, Liam – podjęła próbę wyjaśnienia mu tego łagodnym tonem. – Ty się zmieniłeś, bo...

– Mówisz, że wszystko się zmieniło – przerwał jej w pół słowa. – Tak, masz rację. To prawda, w tej chwili nie spędzam z tobą tyle czasu, jak oboje byśmy chcieli, ale to jedyny punkt, w którym się zmieniłem, Lily. Ja nadal jestem sobą, podczas gdy ty...

– Ja?

– Tak, ty. Nie wiem, co się z tobą dzieje, Lily, ale stałaś się całkowicie innym człowiekiem.

– Nie wiesz, co się ze mną dzieje? – wściekła się. – Nie wiesz, co się ze mną dzieje? Sprzedałam dom, który kochałam, wyprowadziłam się z miasta, które kochałam, zrezygnowałam z pracy, którą kochałam, dla mężczyzny, którego prawie nie widuję na oczy!

– Wiedziałas, że będę miał mnóstwo pracy. Wiedziałas, że nie będziemy mogli spędzać ze sobą tyle czasu, co w Londynie, kiedy pracowałem w domu.

– Być może, ale nie wiedziałam, że niemal całkowicie znikniesz z mojego życia! Nie potrafisz zrozumieć, że wczoraj wieczorem byłam na ciebie zła? Obiecałeś, że wrócisz na kolację, że spędzimy wieczór razem, a potem wpadasz o wpół do jedenastej, cuchniesz piwem i papierosami i nawet nie mówisz przepaszam!

– Przepaszam? – Liam cofnął się o krok. – Mam cię przeprosić? Niby za co? Za to, że haruję bez ustanku i kompletnie nie mam wolnego czasu? Za to, że próbuję zapewnić nam lepsze życie? Naprawdę uważasz, że powinienem za to przepaszam? Wiesz, jak ważny jest ten projekt i co może oznaczać dla naszej przyszłości.

Dokładnie ten argument wysunął już wczoraj i tylko jeszcze bardziej zraził nim ją do siebie.

– Nasza przyszłość! Więc chodzi o nas? Nie, nie chodzi o nas. W tej chwili nawet nie odnoszę wrażenia, że istnieje coś takiego jak „my”. Jeśli już nie możesz być szczery wobec mnie, Liam, to bądź szczery wobec siebie. To tutaj, ten dom – wykonała lekceważący gest – twoja nowa praca, przeprowadzka, to wszystko jest twoje. Chodziło o to, czego ty chciałeś, chodziło o twój zawodowy rozwój. Ze mną to nie miało nic wspólnego, ja byłam szczęśliwa w Londynie. Miałam pracę i przyjaciół. A co mam tutaj? Nic. Kompletnie nic. Nie mam już nawet ciebie.

– Oczywiście, że mnie masz.

– Nie, nie ma cię tutaj, nie jesteś ze mną. Obiecałeś... Ująłeś to tak, jakby to miało być dobre dla nas, Liam, dla nas, nie tylko dla twojej kariery, ale dla naszego związku, po wszystkim, co przeszliśmy. Powiedziałeś, że będziemy robić razem różne rzeczy... A tymczasem ja siedzę tu sama dzień w dzień i niedługo zacznę odchodzić od zmysłów...

Opadła ciężko na krzesło i sfrustrowana szybko schowała twarz w dłoniach.

Liam milczał. Próbował zapanować nad sobą i być w porządku wobec niej, zachować rozsądek. Popatrzeć na wszystko z jej perspektywy. Wypuścił z płuc powietrze, potem przy-

kucnął przed nią i delikatnie odsłonił jej twarz.

Przybrał łagodny, spokojny ton, jakby mówił do dziecka.

– Lily, wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe, i jest mi przykro, ale nie możesz zdawać się wyłącznie na mnie. Musisz od czasu do czasu wyjść z domu i nie mam na myśli tylko samotnych spacerów do wsi. Potrzebujesz czegoś, co wypełni ci życie. Twoje własne życie.

Utkwiła w nim niedowierzające spojrzenie. Co takiego? To było wszystko, co miał do powiedzenia? Żadnego „znajdziemy jakieś rozwiązanie”, żadnego „kocham cię, proszę, miej odrobinę cierpliwości”? Zamiast tego „wychodź częściej z domu i wypełnij czymś sobie życie”. Jakby była po prostu jakimś uciążliwym, niepotrzebnym dodatkiem.

Dobrze, może miał rację, może rzeczywiście utraciła wszelką motywację – ale to była wina tego, że przywłókł ją na to przekłete odludzie i pozostawił samą siebie!

– Właśnie w tym problem, Liam. – Popatrzyła na niego z bezdennym smutkiem. – Moje życie było wypełnione. Było dobre. Poświęciłam je dla ciebie. Dla ciebie, Liam. A teraz mi mówisz, że nie powinnam się zdawać na ciebie? Jeśli naprawdę tak myślisz, to nie wiem, dlaczego tu w ogóle z tobą przyjechałam.

Nastąpiło milczenie, które w końcu przerwał.

– Naprawdę tak uważasz?

– Tak – sarknęła i w tym samym momencie pożałowała tego, bo nie miała tego na myśli.

– W takim razie sam już nie wiem – odparł bezbarwnie, opuścił ręce, odwrócił się i wyszedł z kuchni.

W przelocie chwycił kluczyki i teczkę, gwałtownie otworzył drzwi.

Lily ruszyła za nim biegiem.

– Ja też nie wiem! – krzyknęła za nim, kiedy zatrzasnął za sobą drzwi. – Ja też, do cholery, nie wiem!

Usłyszała, jak zawył silnik range rovera. Koła zabuksowały wściekle, kiedy ruszył, skrzynia biegów zaprotestowała głośno, kiedy zmienił bieg. Skręcił w główną drogę i zrobiło się cicho.

Lily oparła się o ścianę i osunęła na podłogę. Zaczęła krzyczeć z całych sił, dopóki nie straciła tchu.

– Co się z nami dzieje? – jęknęła, ocierając twarz z łez. – Nie znam tego Liama. I on ma czelność mówić, że to ja się zmieniłam, a przecież to on stał się innym człowiekiem! Do jasnej cholery! Nienawidzę go! Nienawidzę Kornwalii! Chcę stąd odejść!

Podźwignęła się na nogi i poszła na górę do sypialni, gdzie szarpnięciem otworzyła drzwi nowej szafy, wyciągnęła walizkę i zaczęła bez ładu wrzucać do niej ubrania. Nie miała ich wiele. Większość nadal znajdowała się w pudłach na strychu. Ale nawet kiedy jej łomoczące serce uspokoiło się trochę, nie przestała. Spakowała walizki. W głębi serca wiedziała, że nie chce go opuszczać, a jakaś maleńka iskierka rozsądku nie chciała wierzyć, co wyczynia. Ale nie przestawała, bezlitośnie gnana wściekłością, oburzeniem i rozczarowaniem. Była tak wzburzona, że potrzebowała czegoś drastyczniejszego – tym razem nie wystarczy spacer po plaży. Musiała pokazać Liamowi, jaka jest nieszczęśliwa. Musiała zrobić coś, co choć trochę ukoi trawiącą ją tęsknotę za Londynem.

Tęsknota... Zawsze myślała, że jej dom, jej ognisko domowe jest tam, gdzie Liam. Teraz nie była już tego taka pewna. Czy bez niego będzie się czuła w Londynie jak w domu? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że Dom Róż nie był jej domem, z Liamem czy bez niego.

Staszczyła walizki na dół. Uderzały głucho o każdy stopień. U dołu schodów prawie się przewróciła. Bezceremonialnie postawiła bagaże przy drzwiach, zawróciła i pomaszerowała do pracowni Liama. Na stole kreślarskim był rozpięty projekt atrium, imponującej konstrukcji ze szklaną kopułą. Zaśmiała się cierpko. Nienawidziła tego budynku niemal tak bardzo, jak Korn-

walii. Projekt był opatrzony paroma komentarzami. „Zmienić nachylenie, vide przepisy budowlane”. „Podnieść nadproże, za niskie”.

Dobrze wiedziała, że to tutaj Liam najpierw skieruje kroki po powrocie do domu. Jeśli wróci.

Wzięła jeden z ołówków leżących w zagłębieniu deski i drżącą ręką narysowała ludzika wychodzącego z budynku. „Lily odchodzi”, napisała obok. „Za mało miłości i uwagi”. Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim Liam to odkryje.

Zdawała sobie doskonale sprawę z dziecinności swojego postępu, ale to jej przed tym nie powstrzymało. Upuściła ołówek na podłogę, energicznym krokiem wyszła z pracowni, wzięła z wieszaka płaszcz, szarpnęła walizkę i skierowała się ku stolikowi, na którym zwykle leżały jej kluczyki od samochodu.

Chwyliła je z większą determinacją, niż faktycznie odczuwała. Potrąciła przy tym stojący na stoliku wazonik. Wypuściła z ręki płaszcz i walizkę, żeby go uchronić przed upadkiem. Był to wazonik projektu Clarice Cliff. Liam kupił go na pchlim targu w Santa Monica tego dnia, kiedy poprosił ją o rękę, i Lily zawsze trzymała go na honorowym miejscu.

Wtedy wszystko było inne. Byli sobie tak nieskończenie bliscy, tacy zakochani. Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek znajdzie się w takim punkcie, jak dzisiaj.

Z bólem przypominała sobie zażyłość, jaka ich łączyła. Zażyłość, którą kawałek po kawałku utracili.

Przytrzymała wazonik w ręku. Nagle osunęła się na schody i poczuła palący wstyd za swoje zachowanie. Zachciało jej się płakać.

Liam miał rację. Zmieniła się. Coraz bardziej stawała się kimś, kogo sama nie poznawała, kim wcale nie chciała być. Od wielu miesięcy użalała się w ciszy nad sobą, wmawiając sobie, że wystarczy usiąść w spokoju i wszystko ze sobą omówić. Dokładnie to chciał zrobić dziś rano, a ona jak idiotka odprawiła go z kwitkiem.

Wiedziała, co powinna zrobić. Zadzwoni do niego i przeprosi. W zamyśleniu ścisnęła kluczyki, tak mocno, że wrzynały się w jej ciało. Wazonik nadal miała w dłoni. Upływały minuty.

Nagły dźwięk telefonu przerwał ciszę i sprawił, że drgnęła przestraszona. To pewnie Liam. Z pewnością i on chciał jej powiedzieć, że jest mu przykro, że ją kocha i że wkrótce wszystko się ułoży. W pośpiechu pośliznęła się na kamiennej posadzce. Przytrzymała się barierki, puszczając kluczyki. Chwyliła starą bakelitową słuchawkę z takim impetem, że wysunęła się jej z ręki i spadła na podłogę. Podniosła ją gorączkowo, przycisnęła do ucha i odezwała się, starając się, aby jej głos brzmiał w miarę normalnie.

– Lily... Lily? – Usłyszała znajomy głos z troską wypowiadający jej imię.

– Halo?

– Lily! Bogu dzięki, jesteś.

Dzwonił Peter, nie Liam. Był bez tchu, mówił z przejęciem.

– Ach, Lily, jest... Liam. – Załamał mu się głos. – Miał wypadek. Straszny wypadek.

Lily, słyszysz mnie? Lily?

Wazonik w zwolnionym tempie wysunął się z jej ręki. Upadł na podłogę i roztrzaskał się na kawałki. Nie słyszała huku. Spowiła ją absolutna, miazdząca cisza.

Peter siedział w poczekalni na szarym krześle i wpatrywał się w plastikowy kubek z kawą stojący przed nim na niskim stoliku. Był całkiem sam. Kiedy usłyszał jej kroki, podniósł wzrok i spróbował się uśmiechnąć, ale jego wymęczona twarz nie posłuchała. Wstał, wyciągnął ramiona i zamknął w nich Lily. Każde z nich wyczuwało drżenie drugiego. Stali tak przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– Gdzie on jest? – zapytała w końcu.

– W sali operacyjnej.

Widziała, jak próbuje zwalczyć łzy, i to napelniło ją lękiem. Peter zawsze był taki kochany, niefrasobliwy, trzpiotowaty... Jeszcze nigdy nie widziała, żeby płakał.

– Co się stało? – wyszeptała chrapliwie.

– Rusztowanie. Runęło, ot tak. Ta szklana kopuła... był tam na górze, żeby doglądać tej przeklętej szklanej kopuły. Spadł z wysokości prawie dwudziestu metrów.

– Wyjdzie z tego? – zapytała tępo.

– Ach, Lily. Nie wiem. Przykro mi. Naprawdę nie wiem.

Twarcz Petera ściągnął kolejny grymas. Przytulił ją do siebie, żeby nie widziała, jak bliski był załamania. Nie odezwała się ani słowem, nie płakała, ale czuła, jak umyka z niej wszelkie ciepło.

Przyjechała do szpitala jak na autopilocie. Była jak ogłuszona, nie widziała, co się dzieje wokół niej. Powtarzała nieustannie, że wszystko się dobrze skończy, że to nic takiego, że jest tylko lekko ranny, że wszystko wygląda znacznie gorzej, niż naprawdę jest.

Ale teraz nie mogła już się łudzić.

– Pani Bonner?

Lily podniosła wzrok.

Mogła go zobaczyć dopiero dwanaście godzin później.

Z trudem go poznała. Głowę miał niemal całkowicie zabandażowaną, prawe oko znikło pod opatrunkiem, a lewe było opuchnięte i sine. Był otoczony najróżniejszymi aparatami i ekranami, z ust i przegubów wychodziły jakieś przewody. Wszystko wyglądało tak klinicznie, tak brutalnie – a przecież to właśnie te sterylne maszyny z ich monotonnymi dźwiękami utrzymywały przy życiu zmaltretowane ciało.

Lily zdołała jakoś pohamować okrzyk przerażenia, przyciskając dłoń do ust. Drugą rękę w rozpaczycy zacisnęła w pięść.

Zanim ją tutaj przyprowadzono, ubrany w zielony kitel, grzeczny mężczyzna przedstawił jej się jako Anthony Edwards, ordynator oddziału chirurgii i lekarz prowadzący Liama. Poprosił ją i Petera, żeby usiedli i ze spokojem, kontrastującym z ich paniką, wyliczył obrażenia odniesione przez Liama.

Lista była długa.

Złamanie kości udowej i skomplikowane złamanie rzepki kolanowej, wielokrotne złamanie lewego podudzia, skomplikowane złamanie prawego nadgarstka, zwicnięcie prawego ramienia, dwa złamane żebra.

Na razie zoperowano i nastawiono, co się dało. Lekarze znacznie bardziej martwili się tym, co określali mianem urazu czaszkowo-mózgowego. W wyniku upadku mózg Liama został

poddany silnym wstrząsom, które uszkodziły miliony włókien nerwowych. Ordynator objaśniał im to z niejaką bojaźnią.

Ponadto zdiagnozowano pewne oznaki krwawienia zwiększające ryzyko krwaka podtwardówkowego, który mógł uszkodzić tkankę mózgową i zwiększyć ciśnienie wewnątrzczaszkowe.

Jedynie, co Lily z tego zapamiętała, to, że Liam znajdował się w śpiączce. Wyjaśniono jej, że śpiączka to naturalny mechanizm ludzkiego organizmu będący reakcją na uraz i Liam „znajduje się pod ścisłą obserwacją”.

Więcej nie umiano jej powiedzieć.

Żadnych zapewnień, że wkrótce wróci do zdrowia, że z tego wyjdzie, że postawią go na nogi. Tego nikt nie mógł i nie chciał obiecać.

Nie było nawet pewności, czy przeżyje.

Dwa dni wzbierała się opuścić szpital. Odżywiała się gorzką kawą z automatu. Szok i wywołana nim adrenalina skutecznie tłumiły wszelkie poczucie głodu. Od czasu do czasu, siedząc w fotelu w ciemnym, spokojnym kąciku tuż obok oddziału intensywnej terapii, wyczerpana zapadała w drzemkę – by zaledwie parę minut później wyrwać się z niej w panice. Wyobrażała sobie, że Liam umrze, kiedy ona będzie spała, że tylko wtedy, gdy będzie na siłę czuwać, ma szansę wybudzić się ze śpiączki.

Peter nie odstępował jej na krok. Jego uwaga skupiała się na Lily, bo wiedział, że dla Liama lekarze czynili wszystko, co w ich mocy. Opiekował się nią troskliwie, próbował nakłonić ją, żeby coś zjadła i przespała się chwilę, perswadował, że powinna zrobić sobie przerwę.

– Chodźmy do mnie. Będiesz mogła wziąć prysznic i może coś zjeść.

– Lily, w ten sposób mu nie pomożesz.

– Jeszcze trochę i sama wylądujesz na szpitalnym łóżku, jeśli nic nie będziesz jadła.

Kiedy trzy dni po wypadku ordynator oznajmił, że wprowadzie stan Liama nadal jest krytyczny, ale nie pogorszył się i można go uznać za stabilny, Peter z ulgą wziął Lily w ramiona, a do troskliwości, z jaką ją traktował, dołączyła rezolutna nuta.

– Nie zostawię cię tutaj ani minuty dłużej.

Lily, zbyt wyczerpana, żeby stawiać dłużej opór, poddała się i pozwoliła zawieźć się do jego domu.

Peter mieszkał w starym szeregowcu w samym sercu Truro. Budynek, przerobiony z dawnych stajni, miał w sobie to samo ciepło i serdeczność, co jego mieszkaniec. Był jasny i prosty, ale urządzony ze smakiem. Peter zaprowadził Lily do pokoju gościnnego, gdzie odrętwiała usiadła na łóżku. Po antyseptycznej sterylności szpitala spokój i zwyczajność tego przytulnego pokoiku sprawiały prawie surrealistyczne wrażenie. Peter zostawił ją i poszedł przygotować kąpiel. Kiedy wanna napełniła się wodą, a on wrócił, żeby jej o tym powiedzieć, leżała zwinięta w kłębek jak dziecko, pogrążona we śnie.

Ostatni raz spała w tym pokoju zeszłego lata, kiedy odwiedzili ją z Liamem w pewien słoneczny weekend. Spacerowali, żeglowali, pili, jedli fantastyczne potrawy i dużo się śmiali. Poczuli, jak do oczu znowu napływają mu łzy. Z rozpaczą otarł je grzbietem dłoni, a potem przyniósł ze swojej sypialni kołdrę i troskliwie opatulił nią Lily.

Obudziła się po dziesięciu godzinach. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Było jej niedobrze, kręciło się jej w głowie. Na dworze było ciemno, a ona miała na sobie to samo ubranie, co

wtedy, gdy odebrała telefon z wiadomością o wypadku Liama. Wzięła prysznic, żeby pozbyć się nieprzyjemnego uczucia brudu, splukując z ciała zapach szpitala. Przebrała się. W czasie, gdy spała, Peter pojechał do Domu Róż i przywiózł jej kurtkę, dzinsy i parę T-shirtów. Przywieziony sweter nie należał jednak do niej, tylko do Liama. Zawahała się chwilę, ale potem założyła go i powąchała, mając nadzieję, że poczuje zapach Liama... Ale sweter pachniał jedynie świeżością.

O szóstej zeszła do kuchni, ale Peter był już na nogach. Pracował przy kuchennym stole, a na widok Lily prędko złożył plany, nad którymi się pochylał, i odsunął je na bok, chowając pod gazetą. Spojrzał na nią, uśmiechając się blado. Oczy miał tak podkrążone, że Lily zadała sobie pytanie, czy w ogóle spał.

Zaparzył już kawę i nakrył stół do śniadania. W brzuchu burczało jej głośno. Nie jadła od paru dni. Mimo to, kiedy Peter zachęcił ją do jedzenia, pokręciła głową.

– Nie mogę. Chcę do szpitala.

– Zawiozę cię dopiero wtedy, gdy zjesz.

– W takim razie zawołam taksówkę.

– Przestań się ze mną kłócić, Lily. Oboje jesteśmy na to zbyt zmęczeni.

Wmusiła więc w siebie kawałek tostu i poparzyła sobie język gorącą kawą. Czuła, że to nie jest właściwe. Jak to możliwe, że z nią nadal wszystko było w porządku, a z Liamem nie?

Poczuła się tak, jakby opuściła oddział intensywnej terapii zaledwie parę minut temu. Nic się nie zmieniło. Zapach środków dezynfekcyjnych, szmer aparatury, popiskiwanie monitorów, łagodny syk respiratora. Liam wciąż leżał tak, jak go zostawiła poprzedniego dnia. Jedyna różnica polegała na tym, że dziś o zaciemnione szyby uderzał deszcz.

Opiekująca się Liamem siostra Liz właśnie zmieniała kroplówkę. Była w średnim wieku, miała ognistorude, związane na karku włosy i masę piegów. Umiała zachować stoicki spokój, pracując w niesłychanie wydajny sposób. Spojrzała na Lily i przywitała ją krótkim uśmiechem.

– Coś nowego? – zapytała Lily, choć знаła odpowiedź.

Liz pokręciła głową. W jej spojrzeniu było tyle współczucia, że Lily natychmiast poczuła napływające do oczu łzy. Przełknęła je jak gorzkie lekarstwo.

Dopiero teraz pomyślała o matce. Wyszła na korytarz do automatu telefonicznego i została jej na sekretarce wiadomość: „Liam miał wypadek. Wprawdzie przeżył, ale nadal jest w stanie krytycznym”.

Liam nie miał rodziny, którą mogłaby powiadomić. Był jedynakiem, a jego rodzice od dawna nie żyli. Jedyną krewną, jaką znała, była babcia Miriam, ale ta zmarła dwa lata temu.

Lily tęskniła za Miriam. Nawet bardziej niż za własną matką, która parę lat temu wyjechała za granicę ze znacznie młodszym kochankiem, żeby tam spędzić jesień życia. Jak na osobę tak świetnie zorganizowaną odzywała się do córki w dość nieregularnych odstępach.

Jakże inaczej potoczyłoby się wszystko, gdyby Miriam nadal żyła, a oni nigdy nie wyjechali z Londynu!

Gdyby, gdyby, gdyby. Nie mogła tego znieść. Najbardziej gryzła się tym, że tego ranka, zanim wydarzył się wypadek, tak strasznie się pokłócili.

Przymknęła oczy, jakby mogła w ten sposób wymazać wspomnienie sprzeczek, a kiedy je otworzyła, ujrzała pokiereszowaną twarz męża. Wyglądał tak krucho, tak bezbrinnie i tak mizernie, że serce ścisnęło jej się w bezgranicznym smutku i bólu, pociągając ją w otchłań rozpacz. Dręczyła się wyrzutami, nie potrafiła pojąć, jak mogła być taką idiotką i chcieć odejść. Teraz być może to on odejdzie. Nagle uświadomiła sobie, jak by wyglądało jej życie bez Liama. Wzięła jego zdrową rękę, przylgnęła do niej czołem, a potem obsypała ją pocałunkami.

– Przepraszam – wyszeptała. – Tak bardzo przepraszam.
Choćby powtarzała te słowa w nieskończoność, miała wrażenie, że nigdy nie będzie dość.

Peter skręcił we wjazd na budowę i przywitał się gestem z wartownikiem, który poznał go od razu i otworzył szlaban. Po wypadku Liama teren zamknięto na prawie czterdzieści osiem godzin, aby rzeczoznawcy firm ubezpieczeniowych i fachowcy od bezpieczeństwa pracy mogli dokładnie zbadać jego okoliczności. Wpływy Duncana Cordaya były jednak wszechpotężne i tak roboty wkrótce ruszyły pełną parą, mimo iż warunki pogodowe, ze względu na ulewny deszcz, dalekie były od optymalnych.

Peter przypatrywał się, jak cofająca się koparka podjeżdża niebezpiecznie blisko do grupy nieuważnych robotników, i wzdrygnął się.

Początkowo byli z Liamem pod wrażeniem ambitnego harmonogramu, a ustalone tempo prac kompletnie ich oszołomiło. Pracowali napędzani adrenaliną i ambicją. Byli jak na rauszu, a każdy ostateczny termin w grafiku dawał im dodatkowego kopa. Duncan Corday wiele osiągnął w życiu dzięki cechom przywódcy. Wiedział, jak wycisnąć z ludzi maksimum ich możliwości, uwodził ich zapewnieniami o ich niezłomności, dawał im poczucie, że są niezastąpieni i niepoko-nani, ale wymagał największego zaangażowania. Ojciec Petera zawsze powtarzał, że Corday dzięki samemu obróceniu monety potrafi przemienić dwupensówkę w dziesięciopensówkę.

Kiedy Peter wreszcie go poznał, czuł się zaszczycony i przeszczęśliwy. Praca z nim stanowiła spełnienie marzeń. Marzeń, które, jak się obawiał, właśnie zamieniały się w koszmar.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że winę za wypadek Liama ponosi wykonawca odpowiedzialny za rusztowania. Problem polegał na tym, że ten wykonawca – jak niemal wszystkie firmy zaangażowane w projekt – również był częścią koncernu Duncana Cordaya.

Peter nakłonił Lily, żeby jeszcze raz przenocowała u niego w Truro.

Następnego ranka wstała wcześniej, bo przed wizytą w szpitalu chciała pojechać do domu. Był chłodny, ponury dzień, a im dalej jechała na zachód, tak rzadko uczęszczane drogi tym bardziej pustoszały. Mijając najwyższy punkt cypla, zobaczyła Dom Róż. Białe mury w bladym świetle wyglądały szaro. Był to znajomy, ale wciąż obcy dla niej widok.

Otworzyła drzwi i w nozdrza uderzył ją typowy, stęchły zapach niewietrzonych pomieszczeń. Przeszła przez stertę listów leżących na wycieracze i włączyła ogrzewanie w przedpokoj. Stare grzejniki z rumorem obudziły się do życia. Od razu zauważyła, że czegoś brakuje, ale dopiero po chwili uświadomiła sobie czego. Kiedy Peter przyjechał po jej rzeczy, sprzątnął skorupy wazonu. Lily znalazła je na stole w kuchni, zawinięte w foliową torebkę. Przypatrywała im się przez chwilę, a do oczu napłynęły jej łzy. W końcu schowała je do szuflady. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Poszła na górę do sypialni i spakowała parę rzeczy. Wszystko wyglądało tu jak tamtego ranka. Łóżko było niepościelone, ubranie Liama leżało porządnie złożone na fotelu w rogu, podczas gdy jej ciuchy tworzyły chaotyczną stertę na podłodze, gdzie je cisnęła, pijana i wściekła. Pozbierała je, wzięła też z fotela ubrania Liama i zaniósła do kosza na brudną bieliznę w łazience. Kiedy popatrzyła na swoją bladą twarz w lustrze, jej serce na moment przestało bić.

Tego fatalnego poranka Liam po wyjściu spod prysznica zostawił jej wiadomość na zaparowanym, lekko zakurzonym lustrze. Nadal było ją widać. „Lily, kocham cię!”

Po pięciu dniach Lily wpadła w osobliwą rutynę. Długie godziny czuwała przy łóżku Liama i dopiero wtedy, gdy była tak zmęczona, że aż chciało jej się płakać, wpadała do Petera. Przez cały ten czas prawie nie płakała. Zauważyła to również wyjątkowo uważna Liz Green. Ludzie w różny sposób reagowali na taką sytuację. Liz niejedno już widziała: panikę, szok. Niektórzy nie przyjmowali do wiadomości prawdy. Inni zagrażali w swojej furii sobie i otoczeniu. Ale Lily Bonner była inna. Widać było u niej cichą rezygnację, zupełnie jakby wypadek męża, choć niespodziewany, w jakiś sposób spotkał ją zasłużenie. Uznała to za bardzo dziwne.

Kiedy Lily z plikiem gazet pod pachą weszła do pokoju Liama, Liz spojrzała na nią i uśmiechnęła się krzepiąco.

– Podniosło mu się ciśnienie.

– To dobrze?

– Ależ tak. Obrzęk głowy też trochę zelżał...

Lily wpatrywała się w Liama wielkimi oczami, jakby szukała wyraźnych oznak poprawy na jego ciele. Ale on nadal wyglądał jak przedtem.

– Co to oznacza? – zapytała, ale pielęgniarka opuściła już salę.

Lily usiadła przy łóżku i chwyciła lewą dłoń Liama. Obróciła ją, przesunęła palcem po jej wnętrzu, w końcu splotła z nią rękę. Drugą ręką rozpostarła gazetę leżącą na wierzchu.

Któregoś dnia powiedziano jej, że pacjenci w śpiączce prawdopodobnie mogą słyszeć, co się wokół nich dzieje, ale nie mogą reagować. Zachęcano ją, żeby do niego mówiła, odtwarzała mu jego ulubioną muzykę i czytała na głos.

Przez ostatnie dni brukowce roztrząsały same przypadki korupcji wśród polityków, co określano mianem nowej afery Profumo. Gdyby Liam był przytomny, potrafiłby skomentować każdy z nich. Nie kupował prasy bulwarowej, ale Lily łatwiej było czytać artykuły z brukowców niż z poważnych dzienników drukowanych na wielkich płachtach. Czytanie dobrze robiło i jej. Miało w sobie coś kojącego, dawało przeświadczenie, że świat nadal się kręci, a ludzie funkcjonują, jakby nic się nie stało, nawet gdy samemu stoi się nad skorupami życia i przed niepewną przyszłością.

Czytała relację o jakimś znanym z rozpustnego życia irlandzkim aktorze, którego małżeństwo zawarte w Las Vegas przetrwało zaledwie osiemnaście godzin, kiedy to poczuła. Nacisk jego dłoni był lekki i krótki jak drżenie, ale wiedziała, że to nie iluzja. Natychmiast przeniosła wzrok na męża i monitory, ale nie rozumiała języka, jakim przemawiały.

Poderwała się z miejsca i nacisnęła na przycisk przywołujący pielęgniarkę. Nie puszczała ani na sekundę ręki Liama, trzymała ją w kurczowo w nadziei, że poczuje to jeszcze raz, że uzyska całkowitą pewność.

Był słoneczny, wiosennie ciepły dzień. Wprawdzie po zmroku znacznie się ochłodziło, ale to nie przeszkadzało im delektować się cudownie świeżym powietrzem w małym ogródku. Grube swetry, grzejnik tarasowy i butelka czerwonego wina zadbały o to, by nie marzli. Siedzieli w zgodnym milczeniu od dobrych dwudziestu minut, odkąd wrócili do domu. Oddawali się wieczornej ciszy, zostawiając za sobą troski. Jedno i drugie miało zły dzień – Lily w szpitalu, a Peter na budowie.

Jakże wyczekiwali chwili, gdy Liam wreszcie wyjdzie ze śpiączki! Jakby już samo to zapowiadało całkowite wyzdrowienie. A teraz, kiedy się obudził, Lily nieomal życzyła sobie, żeby tak się nie stało. Dopóki był nieprzytomny, nie zdawał sobie sprawy ze swojego stanu. Tylko ona i Peter przechodzili katusze. Lekarze byli przekonani, że pacjent jest na dobrej drodze, ale na razie dokuczał mu tak wielki ból, że Lily nie mogła patrzeć, jak cierpi.

Peter z kolei nie miał łatwego życia na budowie, gdyż po wypadku nagle zaczęto traktować go inaczej. Zawsze serdeczny i bezpośredni Peter nawykł do tego, że wszędzie i zawsze witano go z otwartymi ramionami. Teraz po raz pierwszy w życiu doświadczał tego, jak to jest być nielubianym. Z napastliwością śledczego w sprawie o morderstwo naprzykrzał się rzeczoznawcy badającemu okoliczności wypadku, walcząc o sprawiedliwość dla przyjaciela. Wprawdzie koncern Corday przejął pełną odpowiedzialność za wypadek, ale to adwokaci negocjowali wysokość odszkodowania. Robotnicy traktowali Petera z uprzejmością, ale monterzy rusztowań praktycznie z nim już nie rozmawiali. Nie był swojakiem, tylko kimś z zewnątrz. Milkły rozmowy, kiedy się zbliżał, a niegdyś przyjazne spojrzenia stały się nieufne.

Naturalnie brakowało mu też Liama, ale nigdy nie przyznałby się do tego otwarcie. Przed Lily, Liamem i ojcem telefonującym ze słonecznej Francji udawał, że wszystko jest w najlepszym porządku. Nie było powodu do żałobienia. Spał najwyżej trzy godziny na dobę. Dziś też zamierzał odczekać, aż Lily pójdzie spać, żeby usiąść w kuchni i ślęczeć nad robotą.

Lily łyknęła trochę wina, a potem odstawiła kieliszek i zwróciła się do niego.

– Pora wracać.

– Do szpitala? – zapytał z niedowierzaniem. Oderwał spojrzenie od wygwieżdżonego nieba i popatrzył na Lily. – Przecież byłaś tam przez cały dzień, a Liam teraz na pewno śpi.

Potrząsnęła głową.

– Nie to miałam na myśli.

– Do domu?

Przytaknęła i wypła jeszcze trochę wina, jakby mogło dodać jej sił.

– Jeśli to tak można nazwać.

– Wiesz, że możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz. Nie wyganiam cię.

Pokiwiała głową bez przekonania.

Propozycja była nęcąca. Mały domek Petera w ostatnich dniach bardziej był dla niej domem niż Dom Róż przez długie miesiące przedtem.

– Poza tym stąd masz bliżej do szpitala.

Sam był zaskoczony, jak bardzo nie podobała mu się wizja braku Lily u swojego boku.

– Wiem, ale po prostu czuję, że czas już wrócić. Z różnych względów.

Skinął głową i nie pytał więcej. Była mu za to wdzięczna. Nie miała pewności, czy potrafiłaby odpowiednio wyrazić swoje emocje związane z powrotem do Domu Róż. Przypomniała jej się stara historia o upadku z konia: im dłużej odwlekało się powrót na grzbiet, tym był on trud-

niejszy.

Chwyciła Petera za rękę.

– Jutro rano jak zwykle pójde do Liama, ale wieczorem pojedę do domu.

– Jesteś całkiem pewna, że tego chcesz?

– Nie – roześmiała się. – O wiele chętniej zostałabym u ciebie, ale mam niejasne poczucie, że wtedy już nigdy się mnie nie pozbędziesz.

– Wcale nie chcę się ciebie pozbywać. – Ścisnął jej dłoń.

– Jesteś dla mnie wielkim wsparciem, Peter. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Po to są przyjaciele.

– Tak. – Lily pochyliła się i pocałowała go w policzek. – Ale nie wszyscy przyjaciele są dobrymi przyjaciółmi.

Na oddziale Liz Green przechwyciła ją z uśmiechem, zanim zdążyła minąć pokój pielęgniarek.

– Mam dobre wieści. Dziś rano przeniesiono go na normalny oddział, na chirurgię urazową. To dobry znak. Widać lekarze są zdania, iż jego stan się poprawił. Zaprowadzić panią? Samej trudno będzie pani znaleźć drogę.

Poprowadziła Lily przez labirynt korytarzy, nie milnąc nawet na chwilę. Zwykle Liz nie była tak gadatliwa, ale Lily Bonner miała w sobie coś tak nieskończenie kruchego, że chciało się ją przytulić albo przynajmniej dodać otuchy słowami. Liz obserwowała ją od dwóch tygodni i uznała, że kobietę trawi głęboki smutek wykraczający poza troski związane z wypadkiem męża. Kiedy dotarły na chirurgię, Liz wyjęła z kieszeni karteczkę, zanotowała na niej numer swojej komórki i podała Lily.

– Gdyby miała pani kiedyś potrzebę zadzwonić... Nieważne po co.

Lily nie mogła wykrztusić słowa. Ten serdeczny gest natychmiast wycisnął z jej oczu łzy, co z kolei pchnęło pielęgniarkę do tego, żeby objąć ją i zapewnić jeszcze raz:

– Nieważne po co. Proszę zadzwonić, choćby miała pani ochotę tylko na gorącą herbatę albo chciała pogadać...

Lily przytaknęła z wdzięcznością i otarła łzy, żeby Liam nie wiedział, że płakała.

Liz była zadowolona, że się na to zdobyła. Niejednokrotnie ostrzegano ją, że w tym zawodzie nie można zbyt angażować się w los pacjentów i ich bliskich, ale czasem po prostu nie mogła inaczej. W końcu wybrała zawód pielęgniarki. A na coś takiego człowiek decydował się, jeśli nie był mu obojętny los bliźniego.

Liam leżał w pojedynczej sali dla prywatnych pacjentów. Spał. Lily przyglądała mu się przez okienko w drzwiach. Opuchlizna powoli schodziła, siniaki bladły, odsłaniając bladą, wychudzoną twarz. Lily czuła nieskończoną ulgę, że wreszcie widziała go bez aparatury medycznej, monitorów i przewodów.

Nie pamiętał wypadku. Nie pamiętał również ich kłótni. Nie pytała go o to, ale po obudzeniu się wyszeptał do niej ledwie słyszalnie, że ostatnie, co sobie przypomina, to popołudnie przed wypadkiem w pracy. Poczwała ulgę, ale jednocześnie odczuła to jako karę. Ogarnęła ją nowa fala wyrzutów sumienia.

Czas spędzony na OIOM-ie miał wymazany z pamięci niemal całkowicie. Jak narkoleptyk co chwila zapadał w sen. Lekarze wyjaśnili jej, że był w stanie szoku, a nagłe odpływanie w sen wiązało się z regularnym podawaniem morfiny dla uśmierzenia bólu. Zaczęli już zmniejsz-

sząć dawkę, co oznaczało, że znajdował się na drodze do nowej rzeczywistości.

Obudził się, kiedy Lily otworzyła drzwi, i uśmiechnął się słabo. Na jego twarzy wymalowało się coś w rodzaju ulgi, jak u dziecka, które się zgubiło i wreszcie zobaczyło znajomą twarz. Wyciągnął do niej zdrową rękę.

– Lily.

Więcej nie przeszło mu przez spierzchnięte, popękane usta, ale jego spojrzenie mówiło wszystko.

Lily usiadła na krześle przy łóżku, nie puszczać jego dłoni.

– Hej.

– To naprawdę ty? – szepnął.

– Liam? – Zmarszczyła z troską brwi.

– Właśnie mi się śniło, że tu jesteś.

– Naprawdę tu jestem. – Ścisnęła jego rękę dla podkreślenia swoich słów.

– To dobrze – mruknął i zamknął oczy.

Jedynym promykiem światła w tych szarych od bólu i mrocznych od leków dni, jedynym, co sprawiało, że chciało mu się dalej ciągnąć to pogruchotane życie, były chwile, gdy Lily przychodziła rano, siadała obok niego i brała go za rękę. Ten jeden dotyk uśmierzał ból bardziej niż wszystkie leki.

Ale to nie ból był problemem. Z bólem umiał sobie poradzić, potrafił go zamknąć jak ciemną tajemnicę, o której istnieniu wprawdzie wiedział, ale którą dało się wyprzeć, żeby żyć mimo to. Nie, tym, co go wykańczało, była bezradność. Jedyną częścią jego ciała, która jeszcze funkcjonowała, była dłoń, którą trzymał się Lily, jakby mogła uchronić go przed ponownym upadkiem.

Lekarze, pielęgniarki, Lily – wszyscy mówili w jego obecności. O nim. Liam słyszał głosy, ale nie potrafił skupić się wystarczająco na słowach. Czuł się jak w kokonie z waty tłumiącej wszystko, co dochodziło ze świata zewnętrznego. Słyszał rozmowy, ale nie rozumiał ich. Mówili, jakby go nie było albo jakby był sztuką inwentarza na równi z aparaturą, do której był podłączony.

Lekarz asystent z OIOM-u rozmawiał ścisłym głosem z innym lekarzem, może asystentem z chirurgii. Zwykle Lily przysłuchiwała się takim rozmowom bez komentarza, ale tym razem wtrąciła się do rozmowy.

– Będzie poddany kolejnej operacji? – zapytała, otwierając oczy z troską.

Sprawił wrażenie zaskoczonego.

– Jest parę rzeczy, które trzeba skorygować. Chirurg jest zdania, że pacjent jest już dość silny. To dla jego dobra, proszę mi wierzyć. Dysponujemy odpowiednią technologią, jesteśmy w stanie dokonać poprawy – wyjaśnił lekarz promiennie, ale Lily tylko skinęła głową, jakby nie zauważyła jego wysiłków, żeby wnieść do rozmowy odrobinę pogody.

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich Anthony Edwards. Asystent wyprostował się na widok przełożonego, który wraz ze swą młodą lekarz i siostrą oddziałowej wszedł do środka.

Anthony Edwards był wysoki i szpakowaty. Otaczała go aura osoby nawykłej do posłuchu. Lily nie czuła do niego zbyt wielkiej sympatii, żywiła tylko nadzieję, że lekarz przywróci zdrowie jej mężowi. Ordynator nie traktował jej z góry, raczej jak wrażliwe dziecko, z którym trzeba było się obchodzić jak z jajkiem.

Stanął u stóp łóżka. Sympatyczny asystent natychmiast podał mu kartę pacjenta, którą sam przed chwilą studiował.

– Jak się pan dziś czuje, panie Bonner? – zapytał doktor Edwards, nie podnosząc wzroku

znad karty.

Nie przejął się brakiem odpowiedzi i przeniósł wzrok na Lily.

– Czy mógłbym z panią zamienić kilka słów?

Lily nie wiedziała, co było gorsze – czy kiedy lekarze nie mówili nic, czy kiedy nagle mieli coś ważnego do zakomunikowania. W obu przypadkach serce podchodziło jej do gardła.

Skinęła głową, dziękując Bogu, że Liam zapadł w drzemkę i nie mógł widzieć, jak ona zmaga się z lękiem. Wstała i wyszła za ordynatorem na korytarz. Lekarz z właściwym sobie spokojem kontynuował rozmowę. Zawsze przemawiał w ten sposób, obojętne, jakiego rodzaju wieści miał do przekazania.

Nie był zadowolony z procesu gojenia się prawej kości udowej. Chciał operować. Zamierzał ponownie złamać kość, nastawić ją na nowo, zespolić śrubami i włożyć nogę w gips. Do tej pory kończynę jedynie stabilizowano za pomocą szyny.

Lily milczała. Musiała przetrwać nowinę, że chcą celowo uszkodzić jego i tak już zmalretowane ciało. Doktor Edwards zauważył, jak się spięła i wzdrygnęła na samą wzmiankę o zabiegu. Przypomniawszy sobie, że nie ma do czynienia z samą złamaną kością, ale z człowiekiem, którego uczucia należy respektować.

– Wiem, że ta perspektywa jest zatrważająca... Ale czasami... – Jego twarz nabrała nagle miękkich, ludzkich rysów. – Czasami pewne rzeczy trzeba zniszczyć, żeby móc je naprawić, jakkolwiek perwersyjnie to brzmi.

Nadszedł maj, a wraz z nim kilka zmian.

Choć Lily obawiała się operacji, zabieg najwyraźniej stanowił zwrotny punkt w rekonwalescencji Liama. Mężczyzna powoli wracał do zdrowia. Śruby i gips dokuczały mu niemal w równym stopniu, co same obrażenia, ale było coraz lepiej. Również i jego umysł zdawał się regenerować. Ustąpiły zawroty głowy, mdłości i amnezja, mógł już normalnie mówić i spać. Robił postępy, a z końcem miesiąca zapadła decyzja, że jeśli kolejne tygodnie nie przyniosą pogorszenia, wkrótce będzie mógł zostać wypisany do domu.

Początkowo Lily planowała wrócić z nim do Londynu. Co ich tu jeszcze trzymało? Liam na pewno przyzna jej rację, że przeprowadzka do Kornwalii przyniosła im same nieszczęścia. Ale rozczarowała się.

– Dlaczego? – zapytał, kiedy ostrożnie i spokojnie poruszyła ten temat. – Dlaczego mielibyśmy wrócić do Londynu? Przecież tu jest nasz dom, tu jest nasza firma... Co będziemy robić w Londynie?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Poprosiła, żeby jeszcze to przemyślał, i obiecała to samo.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej wyostrzał się jej ogląd sytuacji. Miał rację. Co będą robić w Londynie? On tak bardzo tęsknił za powrotem do pracy. I w ogóle, jak poradziłyby sobie bez Petera? Przez ostatnie tygodnie stał się dla niej skałą i opoką. Bez niego nie przetrwałyby tego wszystkiego. Poza tym przeczuwała, że w ciągu kolejnych miesięcy będzie potrzebować go jeszcze bardziej.

Przecucie to potwierdziło się zaledwie parę dni później, kiedy siedziała całkiem sama w Domu Róż i zastanawiała się, jak Liam poradzi sobie w tym niewykończonym domu.

Kiedy przyjechał Peter, Lily siedziała przy stole w kuchni z głową podpartą rękoma. Przed nią leżała czysta kartka, a w lewej dłoni trzymała pióro, które zostawiło na jej czole niebieskie plamy atramentu. Była blada i wyglądała na zmęczoną. Peter wracał prosto ze szpitala. Zastał Liama w dość dobrym nastroju, dlatego domyślił się, że troska Lily nie dotyczyła stanu zdrowia jej męża.

– Co jest? Co się dzieje, Lily?

Miała podkrążone oczy.

– Liam pewnie za parę tygodni wyjdzie ze szpitala. Ale biorąc pod uwagę stan, w jakim znajduje się dom, nie poradzi sobie tutaj. Trzeba tyle jeszcze zrobić, a ja nie mam pojęcia, od czego zacząć. Przez cały czas skupiałam się na tym, żeby wrócił do zdrowia, i w ogóle nie zastanawiałam się, jak to będzie wyglądać w praktyce, kiedy wyjdzie ze szpitala. Rozejrzyj się wokół, Peter. To się nie uda.

Peter usiadł obok i wziął ją za rękę.

– W takim razie musimy dopilnować, żeby się udało – powiedział. – Lily, nie jesteś sama. Poradzimy sobie razem, okej? Dobra, a teraz daj mi pióro. Przejdziemy punkt po punkcie. Po pierwsze, przez jakiś czas Liam nie będzie w stanie chodzić po schodach.

– Widzisz, o tym nawet nie pomyślałam. Jak można być taką idiotką?

– A co to ma z tym wspólnego? Po prostu byłaś zaabsorbowana innymi sprawami. – Wyjął jej pióro z ręki. – Co powiesz na to, żebyśmy, dopóki Liam nie wyzdrowieje, przenieśli jego sypialnię do salonu? To by jednak wiązało się z urządzeniem łazienki na dole. Może dałoby się przebić do przybudówki, którą chciałaś wykorzystać jako pomieszczenie gospodarcze... Są

tam przyłącza...

Zaczął rysować.

Peter wyręczył Lily nie tylko w planowaniu. Na swój logiczny, uporządkowany i przemyślany sposób przejął również koordynację nad pracami budowlanymi. Pod jego nadzorem Dom Róż przeistaczał się pomału w prawdziwy dom. Peter nie trzymał się pierwotnego projektu Liama, a mimo to przekształcił stan surowy w solidne domostwo.

Lily z fascynacją i zdumieniem obserwowała, jak dom, dzięki rzutkim rzemieślnikom, zaczyna nabierać blasku.

Wprawdzie Peter pełnił nadzór nad pracami wykończeniowymi, ale nieustannie pytał ją o zdanie, zanim podjął ostateczną decyzję w sprawie konkretów. Remont domu był zawsze projektem Liama, dlatego chciała z nim omówić szczegóły prac, ale on twierdził, że musi się teraz skoncentrować na innych sprawach i w pełni zdaje się na nią. Było to dla niej obciążenie, bo przecież nie decydowała tylko za siebie. Głowiła się i roztrząsała wszystko po dwa, trzy razy w nadziei, że postępuje tak, jak chciałby tego Liam.

Ale cieszyła się, że w domu są ludzie. Peter oddelegował do prac w Domu Róż prawie połowę załogi Cordaya. Przez parę tygodni fachowcy i robotnicy koczowali przed domem. Liam był lubiany, więc jego żonę traktowano z tym samym respektem, co jego. Kiedy poznali ją bliżej, prędko zapomnieli o dystansie, śmiali się i wygłupiali, wypijając litry przesłodzonej herbaty. Pracowali w pogodnej atmosferze, która przenosiła się na nowo tworzony dom.

W tym czasie Liam z wysiłkiem starał się powrócić do życia. Dziwił się, jakie wszystko jest inne i ile rzeczy traktował dotychczas jak oczywiste.

Jego codzienność składała się z nieskończonego pasma zabiegów rehabilitacyjnych, ergoterapii i sesji „u swirologa”, jak Peter nazywał cotygodniowe sesje u psychologa.

Odwiedził go również rzeczoznawca zajmujący się sprawą wypadku, ale rozmowa przebiegła dość krótko, ponieważ Liam nadal nie pamiętał, jak do niego doszło. Wiedział, że wieczór przed wypadkiem spędził w przepelnionym barze z Peterem, pamiętał również Duncana i Christiana Cordayów w gospodzie na skraju plaży w Penzance. Potem urywał mu się film.

Rozmowa była czystą formalnością. Rzeczoznawca wyjaśnił, że odpowiedzialność leży bezsprzecznie po stronie firmy montażowej. Ta nie patyczkowała się z pracownikiem odpowiadającym za mankamenty. Choć Liam ledwie uszedł z życiem, szkoda mu było nieznanego mężczyzny, którego życie legło w gruzach w podobny sposób jak jego własne.

Którejś soboty pojawił się także Duncan Corday. Wpadł do szpitala w drodze na pole golfowe. Zachowywał się jowialnie i serdecznie, zgrywał najlepszego kumpla, ale przyszedł w towarzystwie mężczyzny, którego przedstawił jako dobrego przyjaciela i partnera do golfa. Przypadkiem jednak ten przyjaciel był również jego adwokatem. Spędzili u niego pół godziny, przynieśli czasopisma, kwiaty i ogromny kosz owoców, prowadząc konwersację o wszystkim i o niczym.

Lily, która też była w tym czasie u Liama, widziała ich potem z doktorem Edwardsem, lekarzem prowadzącym Liama. Nieufnym wzrokiem przypatrywała się z bezpiecznej odległości ich rozmowie, jednak podchwyciła, że wielokrotnie padło w niej nazwisko Liama. Kiedy podeszła bliżej, mężczyźni nie wydawali się ani trochę zbici z tropu. Wyjaśnili, że doktor Edwards jest dawnym przyjacielem i partnerem do gry w golfa.

Nie powiedziała o tym Liamowi.

Mogło być tyle różnych powodów, dlaczego rozmawiali o jej mężu. W porównaniu z resztą problemów, które miała na głowie, ten drobny incydent nie miał żadnego znaczenia. W tej chwili najbardziej przejmowała się faktem, że Liam czasami nie miał czucia w zoperowa-

nej nodze.

Poddano go wielokrotnym badaniom, jednak nie znaleziono żadnego somatycznego wyjaśnienia. Lekarz porównał to do obwodu elektrycznego zakłócanego jakąś okresową usterką. Lily była wstrząśnięta, kiedy lekarze i terapeuci ani trochę nie zaniepokoiili się tą tendencją. Najwyraźniej wychodzili z założenia, że problem kiedyś rozwiąże się sam. Zasugerowano nawet, że przyczyna powracającego bezwładu była natury psychicznej lub emocjonalnej.

Ta diagnoza miała przynajmniej ten plus, że zwolnienie Liama ze szpitala rzeczywiście stało się realne.

Peter i Lily wymusili na robotnikach remontujących dom prędko termin oddania – a ci go dotrzyмали. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby pracowali w takim milczeniu i skupieniu. Rezultaty były imponujące, a Lily pożegnała nowych przyjaciół z radością pomieszaną ze smutkiem.

Ledwie padły ostatnie słowa podziękowania, zniosła ze strychu zakurzone pudła. Wiele miesięcy po wprowadzeniu się do Domu Róż wreszcie zaczęła wypakowywać rzeczy.

Dzień przed wyjściem Liama ze szpitala Lily po raz pierwszy znalazła się całkiem sama w świeżo odnowionym domu. Była niedziela, więc postanowiła przejść się po gazetę do sklepiku leżącego przy nabrzeżnej drodze. Przestała już codziennie czytać mężowi gazety, ale nadal je kupowała dla siebie. Dzięki prasie nie czuła się tak wyobcowana.

Znowu padało, ale tym razem tylko pokropił przelotny deszczyk. Słońce przegnało już część chmur i wyglądało tak, jakby jego promienie odepchnęły również i morze: łodzie leżały na suchym lądzie, odsłaniając kadłuby pokryte glonami.

Mijając stary budynek portowy, Lily stwierdziła ze zdumieniem, że niskie drzwiczki stoją otworem. Dawniej w budynku mieściły się wyciągarki, którymi wyciągano statki do suchego doku, teraz były tu sklepik z pamiątkami i galeria sztuki. Odkąd tu mieszkała, zawsze były jednak zamknięte, jedynie tabliczka obwieszczała, że sklepik zostanie otwarty na wiosnę. Bez dokładniejszej daty. Bładoróżowe kwiatki zasadzone w drewnianych donicach po obu stronach drzwi wystawiły główki do słońca. Może to była oznaka zbliżającej się wiosny.

Lily ochoczo zmieniła plany. Głowę od wielu tygodni miała zaprzątniętą stanem zdrowia męża, teraz jednak poczuła się zaciekawiona i weszła do środka.

Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do półmroku, zobaczyła, że w środku nie ma klientów, za to mnóstwo towarów, które miały spodobać się turystom. Jedwabne szale, ręcznie rzeźbione zabawki, własnoręcznie szyte spódnice, bluzki i kamizelki, przepięknie haftowane dziecięce ubranka, biżuteria, świece zapachowe, suszone kwiaty, ceramika.

Wąskie spiralne schody prowadziły na piętro. Ostrożnie wspięła się po metalowych stopniach. Pomieszczenie na górze było pomalowane na biało i miało kopułowe sklepienie. Wnętrze oświetlało słońce wpadające przez kilka niskich, łukowatych okien. Tutaj mieściła się galeria. Na ścianach, w stojakach i na wielkim, ciemnym dębowym stole pośrodku były wystawione druki, malowidła, fotografie i pocztówki.

Tutaj też nie było nikogo. Lily poczuła się w swoim żywiole. Przyglądała się dziełom sztuki na ścianach i w stojakach. Dwa razy obeszła całe pomieszczenie, potem wróciła do znaleziska, które spodobało jej się najbardziej: serii ośmiu oprawionych grafik.

Przez dłuższą chwilę nie potrafiła ocenić, czy to były fotografie, czy druki, ponieważ obrazy były małe i trochę nieostre. Doszła do wniosku, że to musiały być zdjęcia: przepiękne ujęcia łąki i morza.

– Fantastyczne – mruknęła.

Galeria, w której pracowała w Londynie, miała zupełnie inny charakter: była ekskluzywnym lokalem w samym sercu Chelsea, gdzie jedno jedyne płótno mogło kosztować tyle, co rozległy penthaus w dzielnicy portowej. Mimo to lubiła tamtą galerię. Traktowała swoje miejsce pracy z należytych respektem, jak świątynię sztuki. Czuliła się zaszczycona, mogąc otaczać się dziełami Cézanne’a, Chagalla, Matisse’a, Lichtensteina, a raz nawet Picassa.

Kolorowa mieszanka sztuki i rzemiosła artystycznego, którą tu znalazła, była zupełnie inna – i przemawiała do niej jeszcze bardziej. Każdy eksponat został stworzony rękoma artysty z równym żarem i inwencją, co płótno Picassa, które tak podziwiała. Jak to się działo, że jedno było o tyle więcej warte od drugiego? Jak to możliwe, że jedno płótno było warte miliony, podczas gdy inne, równie piękne i niczym mu nieustępujące ani w artyzmie, ani w integralności, ani w intensywności, znajdowało się w tej małej galerii i mogło zmienić właściciela za dziewięćdziesiąt funtów?

W tym momencie usłyszała, że ktoś wchodzi po schodach. Odwróciła się i zobaczyła burzę rudych loków, okalającą sympatyczną twarz o jasnoszarych oczach i długich, ciemnych rzęsach.

Kobieta patrzyła promiennie na Lily. Nie był to powierzchowny uśmiech, o nie, ta kobieta – na oko starsza od niej – promieniała od środka.

– Dzieńdoberek... Tak myślałam, że tu kogoś słyszę. Jest pani moją pierwszą klientką w tym roku! Witam serdecznie! Przepraszam, byłam na dole w magazynie i przeglądałam stare zasoby... – Podała jej rękę. – Jestem Abi Hunter.

Jej cera miała kolor mokki, a mały nosek zdobiło parę piegów.

– Zatrzymała się pani w Crooked Compass?

– Lily Bonner – przedstawiła się Lily, uścisnęła jej dłoń i potrząsnęła głową. – Nie, ja tu mieszkam.

– Mieszka pani tutaj?

Swoim zdumieniem potwierdziła tylko, że Merrien Cove naprawdę jest wymarłą wioską, zamieszkałą przez paru rybaków i mewy.

Lily przytaknęła.

– Nieco poza wsią, na uboczu.

– W takim razie jest tu pani nowa.

– Sprowadziliśmy się na początku roku.

– Tak myślałam. Bo ja tu znam każdego, chociaż to akurat żadna sztuka. Jest tu tylko garstka miejscowych. Cóż, w takim razie serdecznie witamy w Merrien Cove! W którym domu pani mieszka?

– W starym domku na cyplu. – Lily skrzywiła się. – W Domu Róż.

– Ach, więc to pani? – Twarz kobiety pojaśniała. – W takim razie muszę powiedzieć: serdecznie witam, droga sąsiadko!

– Mieszka pani w Driftwood Cottage?

– A owszem. Co za traf, właśnie dziś miałam wpaść do pani z szarlotką. Bez obawy, Bob ją upiekł, nie ja – oznajmiła, jakby Lily wiedziała, kim jest Bob. – A to oznacza, że szarlotka jest przepyszny wypiekiem, a nie tym, który trzyma się w bagażniku w charakterze zapasowej opyny.

Obie roześmiały się serdecznie.

– Już wcześniej wpadłabym w odwiedziny, ale jestem tu dopiero od dwóch dni, a wczoraj cały dzień spędziłam na usuwaniu pajęczyn. Kiedy skończyłam, nie nadawałam się na salony. Trzeba mnie było widzieć, włosy miałam całe w pajęczynach. Biedne stworzenia – pożałowała,

a Lily domyśliła się, że chodzi jej o pająki. – Przez całą zimę żyły sobie w spokoju, a tu zjawiam się ja i wyrzucam je na ulicę. No dobra, na plażę. Nie było mnie całą zimę.

– Gdzie pani była?

– W odwiedzinach u syna, na Madagaskarze.

– Na Madagaskarze? – Lily natychmiast przyszły na myśl żaglowce na wodzie błyszczącej pomarańczowym blaskiem i stragany z przyprawami. – Mieszka tam?

– Ten włóczęga? Nie, on nigdzie nie mieszka, a właściwie mieszka wszędzie. Podróżuje po świecie, gnany wiatrem, humorami i chętkami. A ja, z moimi kośćmi pokręconymi reumatyzmem, miałam szczęście, że spędzał tę zimę w ciepłym miejscu, dzięki temu zaoszczędziłam sporo na hotelu. Musi pani wiedzieć, że jestem wędrownym ptakiem, nie lubię angielskiej zimy i wylatuję w cieplejsze rejony, gdy tylko opadną liście. Ale za każdym razem chętnie wracam. Kiedy wyjeżdżam, zapominam, jak bardzo lubię tu przebywać. Niby tęskni się bardziej, kiedy się jest daleko, ale w moim przypadku tak nie jest. Co roku mam to samo: najchętniej wcale bym nie wracała, ale kiedy już jestem tutaj, zastanawiam się, po co w ogóle wyjeżdżałam.

– Od dawna już tu pani jest?

– W Merrien Cove? Ach, niedługo miną dwadzieścia trzy lata czy coś koło tego. – Zmarszczyła brwi, jakby ją to zaskoczyło. – Szmata czasu, prawda?

– W takim razie musi się tu pani podobać.

– Merrien Cove ma w sobie więcej, niż się wydaje. – Abi zauważyła powątpiewający ton w głosie Lily. – Poza tym tu są moje korzenie, no i oczywiście sklep. Wiem, że zimą to miejsce jest jak wymarłe, ale mnie to odpowiada. Dzięki temu w zimowym sezonie mogę ze spokojnym sumieniem i bez wielkich strat zamknąć sklep i wyfrunąć na parę miesięcy.

– Ma pani fantastyczne miejsce pracy. – Lily rozejrzała się po niezwykle pomieszczeniu. – Wspaniale tu.

– Tak, pomijając nieco skromną infrastrukturę, że się tak wyrażę... To dość uciążliwe, gdy człowiek chce się napić kawy albo musi wyjść za potrzebą... A przed chwilą dotknęło mnie i jedno, i drugie. Nie ma tu toalety, a nasz czajnik wyzionął ducha jesienią. Nie miałam jeszcze okazji kupić nowego. Zwykle zatrudniam pomoc, dzięki czemu mogę na chwilę się ulotnić, ale coś mi się dziś spóźnia, poczciwina. Niezbyt optymalne rozpoczęcie sezonu, ale zwykle nie mogę się na nią skarżyć.

– Jak pani wytrzyma bez toalety? – dopytywała Lily.

– Zmieniamy się. – Wyszczrzyła się w uśmiechu Abi. – Bob od samego początku przestrzegwał mnie, że ta buda nie do końca się nadaje. Ale nie uważa pani, że stary budynek portowy jest o wiele ciekawszy niż jakiś banalny sklepowy lokal, nawet jeśli ten drugi wyposażony jest we wszelkie wygody? Jeśli naprawdę bardzo muszę, lecę na chwilę do Betty. Zwykle się nade mną lituje i pozwala skorzystać z toalety.

– Betty?

Abi wskazała na krytą strzechą chatę naprzeciwko.

– Betty Proctor. Uroczą starszą panią. Mieszka tu całe swoje życie. Jestem pewna, że zapada w sen zimowy, bo zimą nie ujrysz jej na oczy. Jej ojciec był rybakiem. A młodszy brat nadal nim jest.

– Proctor?

– Właśnie. Zna go pani?

– Znam to za dużo powiedziane. Mówimy sobie dzień dobry. – Lily roześmiała się, wywołując zdumione spojrzenie Abi. – Wygląda tak staro, że jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że jest młodszym bratem kogokolwiek – wyjaśniła.

– Wiem, co pani ma na myśli. Podejrzewam, że Betty ma w przybliżeniu sto czterdzieści

trzy lata. Jest prawdziwym skarbem. Trzyma się znakomicie, jak pani i ja. A jakie ma poczucie humoru! Niech pani pójdzie kiedyś ze mną, przedstawi się... Sama rzadko kiedy wychodzi z domu, tym bardziej cieszy się, gdy ktoś przychodzi w gości... Nawet jeśli ów gość tylko przemknie do wucetu i z powrotem... – Abi skrzywiła się i przestąpiła nerwowo z nogi na nogę. Potem wskazała brązową misę w kącie. – W razie czego mogę nasiusiać do niej. Ta skorupa stoi tu już od pięciu lat i jeszcze nigdy nikt się nią nie zainteresował. Najwyższy czas, żeby znaleźć dla niej nowe zastosowanie.

Lily roześmiała się głośno.

– Chętnie zaczekam, aż przyjdzie pani pomoc – zaoferowała nieśmiało. – Albo aż pani wróci, jedno z dwojga.

– To naprawdę bardzo miłe z pani strony, ale nie chciałabym pani kłopotać.

– Ależ skąd, nie śpieszy mi się. Chętnie pomogę. I obiecuję, że nie tknę kasy.

– Nie wątpiłam w to ani sekundę...

– Jednak niewykluczone, że zwinę ten obraz.

Abi przeniosła wzrok na eksponat, o którym mówiła Lily, i uśmiechnęła się.

– Podoba się pani?

– Jest przepiękny.

Uśmiech kobiety poszerzył się. Na jej twarzy malowała się duma.

– To mój syn Nathan. Znaczący jego praca. To on jest autorem. Nathan jest fotografem. Zawsze wiedziałam, że ma talent, ale w końcu jestem matką... Wszystkie osiem fotografii na tej ścianie jest jego. Publikował już nawet w „National Geographic”. A także w „Vogue’u” i w „The Face”, ale modę fotografuje tylko po to, żeby sfinansować swoją pasję do fotografii krajobrazowej... Ech, jak zwykle odbiegam od tematu. Jeśli naprawdę zechciałaby pani pozostać na straży... – Zaczęła podrygiwać.

– Pewnie, to żaden problem. Chętnie popilnuję interesu... Pracowałam w Londynie w galerii sztuki i trochę mi tego brakuje...

– Naprawdę? – Abi na moment zapomniała o parciu na pęczek. – W której?

– U Davida Lithneya, niedaleko Soho Square...

– Oho, to inne progi...

– Zna ją pani?

– Oczywiście, ale prawdę mówiąc, nigdy nie ośmieliłam się wejść do środka, za to często stałam z nosem przyklejonym do szyby.

– Szkoda. Nie jest tak źle, jak się może wydawać... Jeśli będzie pani kiedyś w okolicy, proszę wstąpić i zapytać o Ruth, ona się panią zajmie... Pozwoli nawet skorzystać z toalety... – Lily posłała jej uśmiech.

– Gdybym wiedziała, że tam naprawdę pracują ludzkie istoty, może nie byłabym tak powściągliwa... I jest pani całkiem pewna, że mogę ją tu zostawić na chwilę samą?

– Niech już pani idzie!

Abi uśmiechnęła się z wdzięcznością i zeszła na dół. Wyjęła torebkę zza lady i poklepała dłonią stołek.

– Niech pani usiądzie. Postaram się streścić!

Nie minęło pięć minut i do środka wpadła może dziewiętnastoletnia dziewczyna. Miała oliwkową cerę i długie, ciemne włosy. Mimo wiosennej temperatury ubrana była w wełniany płaszcz i pasiastą, dzierganą na drutach czapkę z dopasowanym kolorystycznie szalikiem. Podobne można było kupić i w tym sklepiku. Dostrzegłszy Lily za kontuarem, zaskoczona popatrzyła na nią małymi, brązowymi oczami.

Lily uśmiechnęła się do niej, ale tamta nie odpowiedziała tym samym.

– Pani kto? Gdzie pani Hunter?

Mówiła łamaną angielszczyzną z wyraźnym obcym akcentem, a jej słowa zabrzmiały dość opryskliwe.

– Wyszła na parę minut, ale zaraz wróci. Jestem Lily, pilnuję interesu, dopóki pani Hunter nie wróci.

Jak na zawołanie przez niskie drzwi wsunęła się do środka kędzierzawa głowa Abi.

– Ach, Anna, jesteś! Świetnie. Lily, to jest Anna, moja prawa ręka.

Po zaciśniętych ustach Anny przemknął cień uśmiechu.

– Anna, to jest Lily, moja nowa sąsiadka, mieszka w Domu Róż.

Dziewczyna w milczeniu mierzyła ją wzrokiem.

– Też nie było cię całą zimę? – zagadnęła Lily.

Pod nieruchomym spojrzeniem dziewczyny poczuła się niepewnie i kompensowała to przesadnym uśmiechem.

– Byłam do Hiszpanii odwiedzać rodzina – odparła dziewczyna i położyła swoją dużą płócienną torbę za ladą.

Potem popatrzyła znacząco na Lily. Ta zeskoczyła ze stołka, a Anna natychmiast zajęła jej miejsce.

– Anna jest szczęściarą, pochodzi z Barcelony – wyjaśniła Abi i podała dziewczynie jeden z przyniesionych kubków z kawą. – Nie mam pojęcia, co tutaj robi, skoro mogłaby się wylegiwać na słońcu i czerpać inspirację z Gaudiego...

– Ja tutaj, żeby uczyć angielski. – Anna najwyraźniej traktowała Abi śmiertelnie poważnie.

– Zgadza się, ale chciałam tylko powiedzieć, że mogłabyś przy wspaniałej gitarowej muzyce rozkoszować się słońcem w otoczeniu imponującej architektury i gorących Hiszpanów o ciemnych oczach i zgrabnych tyłeczkach. – Abi mrugnęła do Lily i podała jej kubek z kawą. – Serdeczne pozdrowienia od Betty. Nie wiedziałam, jaką pani pije... Z mlekiem, bez cukru. Mam rację?

– Ale nie trzeba było... – zaprotestowała Lily.

– Mogłabym powiedzieć to samo. – Uśmiechnęła się szeroko. – Jestem pani niezmiernie wdzięczna. Jestem już za stara, żeby tak długo wytrzymywać bez toalety. Na Madagaskarze niewiele brakowało, a doszłoby przez to do poważnego incydentu. Nathan koniecznie chciał mnie zabrać na przejażdżkę na wielbłądzie, co oczywiście było niezapomnianym przeżyciem, ale Bóg mi świadkiem, te bydlaki nie mijają po drodze zbyt wielu publicznych toalet... Wie pani co, niemal się nie znamy, a ja pani truję o problemach z pęcherzem... No cóż, tak czy siak chciało mi się okropnie, a wokół jak okiem sięgnąć same wydmy... A jeśli mówię, jak okiem sięgnąć, to dosłownie, aż po horyzont. Niestety żadna nie była ukształtowana w ten sposób, aby można było za nią się schować i sobie ulżyć...

Abi trajkotała jak nakręcona, za to Anna nie odzywała się ani słowem, tylko spoglądała chmurnie. Ale właścicielka galerii nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Była w swoim żywiole. Lily chłonęła nieprzerwany potok słów płynący z jej ust. Szmata czasu upłynął, odkąd ktoś tyle jej naopowiadał.

Koleżanka z londyńskiej galerii, Ruth, też była taką gadułą, co momentami doprowadzało Lily do rozpacz. Dziwne, jak człowiek może zatęsknić za irytującymi rzeczami.

Po chwili przypomniała sobie, że chciała przecież jeszcze pojechać do Liama. Niechętnie oznajmiła, że musi iść. Abi była szczerze rozczerowana.

– Już? Ale zajrzy pani przy okazji, prawda?

– O, z pewnością. Chciałabym kupić jedną z fotografii pani syna, tę z zachodzącym

słońcem odbijającym się w kałuży wody między skałami. Mogłaby ją pani dla mnie zarezerwować? Wysłałam tylko po gazety, dlatego mam przy sobie mało pieniędzy. Wolałam nie ryzykować.

– Proszę się nie wygłupiać, tylko wziąć ją z sobą. Zapłaci pani następnym razem.

– Nie, tak nie można.

– Ależ oczywiście, że można. Przecież powierzyłam pani cały sklep, więc teraz nie będę robić afery z powodu jednego obrazka. Poza tym jesteśmy sąsiadkami. Do następnej zimy prawdopodobnie pożyczę od pani tyle ginu i cukru, że spokojnie wystarczy na zapłatę.

– W takim razie muszę jak najprędzej uzupełnić zapas ginu.

– Słucham? Nie ma pani ginu? – Abi udała zaskoczenie. – Chyba nie mówi pani poważnie!

Wracając do domu, Lily przyjrzała się dokładniej Driftwood Cottage.

Dopiero teraz spostrzegła, że sterta zamkniętej korespondencji zniknęła, a okna zostały odsłonięte. Dziwne, jak drobiazgi zmieniają ogólne wrażenie. Z nią było tak samo: jeśli przed wyjściem z domu wyszczotkowała włosy i pociągnęła rzęsy tuszem, wyglądała nagle tysiąc razy lepiej.

W domu Lily skierowała się prosto do sypialni, gdzie powiesiła fotografię. Najpierw umieściła ją naprzeciwko łóżka, między oknami, ale tam konkurowała z widokiem za oknem. Przewiesiła ją nad wezgłowie, jednak uznała, że zasługuje na bardziej wyeksponowane miejsce. Zniosła obraz na dół, do nowej tymczasowej sypialni Liama i tam powiesiła.

Idąc do kuchni, żeby zapażyć sobie kawy, zauważyła, że świeci słońce. Wprawdzie ucieszyło ją to, ale w słońcu bardziej rzucało się w oczy, w jak fatalnym stanie znajduje się ogród.

Najgorsze wrażenie sprawiał ogród różany. Jedyne, co wystawało ponad mur, to wybujałe, cierniste pędy. Lily miała nadzieję, że kiedy zakwitną, chaszcze przestaną wyglądać posępnie i nieporządnie, a nabiorą dzikiego i romantycznego wyrazu. Najlepiej, żeby stało się to bez jej udziału. Bo chociaż mogła korzystać teraz wyłącznie z maleńkiego, niemal przez cały czas zacienionego tarasu, to uparcie ignorowała fakt, że ogród różany jest częścią jej posiadłości.

Odstawiła kubek z kawą, otworzyła szufladę i wyjęła nowiutkie, nigdy nieużywane rękawice ogrodowe. Założyła je. W rękawiczkach dopiła kawę i pograżyła się w rozmyślaniach. Potem zdjęła je, odłożyła do szuflady i zaczęła przygotowywać się do wyjazdu do szpitala.

Liam tęsknił za swoją muzyką. Kupiła mu iPod'a – wynalazek, który umknął im jakoś do tej pory – i wgrała na niego, co się dało. Liam nie posiadał się z radości. To, w połączeniu z faktem, że po wyjściu ze szpitala nadal świeciło słońce, dodało jej nowej energii.

Po powrocie do Domu Róż włożyła do odtwarzacza ulubiony krążek Liama, rozkręciła muzykę na cały regulator i wyszła na taras.

Podniosła jedno z przewróconych krzeseł, wystawiła je na słońce, wytarła z grubsza siedzenie i usiadła plecami do ogrodu różanego. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w szum fal dochodzący zza urwiska słyszalny mimo głośnej muzyki. Tkwiła tak przez jakiś czas. Wygrzewała się w słońcu i pozwalała nieść muzyce.

Kiedy nagle usłyszała czyjś głos, drgnęła przestraszona. Podniosła wzrok i natychmiast odetchnęła z ulgą i radością.

– Pukałam, ale... – odezwała się i uśmiechnęła przepraszająco Abi.

Obie ręce miała zajęte.

– Przepraszam, nie słyszałam. – Lily wzięła pilot, skierowała go do środka i ściszyła mu-

zykę. – Tak się przyzwyczaiłam, że jestem tu sama, że zupełnie nie pomyślałam o sąsiadach. Za głośno, prawda? Szczerze przepraszam.

– Spokojna głowa, nie przyszedłam, żeby się uskarżać na hałas. – Abi uniosła nieco trzymany w rękę przykryty talerz. – Przyniosłam ciasto, tak jak obiecałam. Ale nie szarlotkę, tylko placzek z wiśniami, zdaje się. Nie jestem do końca pewna, Bob zamroził dla mnie z pół tuzina, zanim się zabrał do Mediolanu. Ale niezależnie od tego, jakie to ciasto, jest wyborne, proszę mi wierzyć. Bob jest najlepszym kucharzem po tej stronie Tamaru. Poza tym – pomachała butelką ginu w drugiej ręce – na wszelki wypadek wzięłam kropelkę.

Postawiła obie rzeczy na żeliwnym stoliku i spojrzała promiennie na Lily.

– Pomyślałam, że szkło pani ma.

Lily odwzajemniła uśmiech.

– Ależ oczywiście. I lód, a nawet cytrynę.

Lily poprosiła, żeby usiadła. Sama przyniosła z kuchni to, co trzeba. Potem nalała do szklaneczki porządną porcję ginu, dołała toniku i podała Abi.

Abi zrobiła zdziwioną minę.

– A pani się nie napije? – Spojrzała na zegarek. – Za wczesna pora?

– Nie pijam ginu. Słyszałam, że po ginie psuje się nastrój, a ja i bez tego jestem już dość markotna. – Uśmiechnęła się słabo, co tylko wywołało jeszcze szerszy uśmiech na twarzy Abi.

– Ach, bzdura! Ludzie wygadują różne głupoty.

Wstała, przyniosła z kuchni drugą szklaneczkę i przyrządziła Lily równie mocnego drinka. Podała jej.

– Na zdrowie.

Lily poddała się, uniosła szklaneczkę i delikatnie umoczyła usta w trunku.

– Nieźle – westchnęła, kiedy zimny płyn spłynął jej do pustego, jak dopiero teraz zauważyła, żołądka.

– A czego się pani spodziewała? – zapytała Abi ze zdumieniem.

– Kiedyś nie lubiłam tego cholerstwa.

– Jestem zdania, że każdy co jakiś czas powinien dawać drugą szansę rzeczom, których nie lubi. Można w ten sposób przeżyć niejedną niespodziankę. A to przecież wspaniale, kiedy coś miło nas zaskoczy, prawda? No, a teraz proszę powiedzieć, dlaczego jest pani markotna.

Lily zdumiała jej bezpośredniość.

– No... W ostatnim czasie nie wszystko było proste... – odparła wymijająco.

– Nie było proste? – drażyła Abi.

– Mój mąż, Liam, miał wypadek prawie dwa miesiące temu... dość poważny, od tamtej pory leży w szpitalu...

– Ojej, biedulko! Myślałam, że mieszka tu pani sama. Nie wspomniała pani o mężu.

– Cóż, to nie jest temat, który się porusza w rozmowie ot tak.

– Racja. Co się stało?

– Mąż jest architektem i przebywał na budowie. Zawaliło się rusztowanie. Runął z wysokości prawie dwudziestu metrów. Miał bardzo poważne obrażenia, ale, Bogu dzięki, powoli dochodzi do zdrowia. Od ośmiu tygodni leży w szpitalu i jutro wychodzi. Taki przynajmniej jest plan. Zdrowieje, ale miał tyle złamań... Większość goi się dobrze, tylko z nogą były problemy... W tej chwili jeździ na wózku... – mówiła urywanie, oddychając płytko. W jej głosie słychać było ból.

Abi najchętniej wzięłaby ją w ramiona.

– O Boże, to straszne.

– Wyjdzie z tego – zapewniła ją Lily.

– Na pewno.
– Ale jego noga nadal nie funkcjonuje tak, jak trzeba.
– Jakie to niesprawiedliwe – westchnęła Abi, a Lily stwierdziła ze zdumieniem, że kobieta szczerze tak myśli, a nie obraca w ustach wytarte frazesy.
Lily słyszała ich już tyle, że potrafiła dostrzec różnicę.
Uśmiechnęła się i pokazała palcem ciasto.
– Weźmiemy się za to?
– Już myślałam, że nigdy pani o to nie zapyta! Wyobraża sobie pani, ile dyscypliny mnie kosztowało, żeby nie dotrzeć tu z okruszkami? Wyjęłam je wczoraj z zamrażarki i od tamtej pory walczyłam z chęcią pożarcia! Na samą myśl o kruchym cieście Boba leci mi ślinka...
– Boba? – odważyła się zapytać.
– Bob to przyjaciel, partner w interesach, pomocna ręka w potrzebie...
– Brzmi jak Peter...
– Peter?
– Zupełnie jakby mówiła pani o Peterze. No, może z wyjątkiem partnera w interesach. Peter jest współnikiem Liama. Przyjaźnimy się od niepamiętnych czasów.
– Wiem, że nie powinno się uogólniać, ale geje to naprawdę najlepsi przyjaciele...
– Tylko że Peter nie jest gejem. Przynajmniej jeszcze nie... Ostatnio zapowiedział, że jeśli wkrótce nie znajdzie kobiety, zmieni preferencje...
– To wspaniale – rozjaśniła się Abi. – Jeśli to się stanie, spikniemy go z Bobem.
– Załatwione.
Lily poszła do kuchni po talerzyki i sztućce. W zamyśleniu nakryła do stołu.
– Wie pani, co najlepiej pasuje do placka z wiśniami?
– Lody waniliowe – powiedziały jednogłośnie.
– Ma pani ten sam gust, co ja... – Abi pokiwała głową radośnie i wzięła nóż, żeby pokroić ciasto.
Kiedy Lily pojawiła się na tarasie z lodami, Abi już się nie uśmiechała. Na jej twarzy malowało się rozczarowanie.
– O Boże, jest mi naprawdę przykro... – mruknęła, potrząsając głową.
– Co się stało?
– Jeszcze się nie nauczyłam, że mrożonki powinno się znakować etykietkami.
Abi wzruszyła przepaszająco ramionami i wskazała ręką pokrojony wypiek.
– Jadła już kiedyś pani pikantny quiche z lodami waniliowymi?
Lily zaczęła się śmiać. Chichotała i chichotała, aż łzy napłynęły jej do oczu.

Lily obudziła się z uśmiechem na twarzy. Wyjątkowo dobrze jej się spało.

Abi pożegnała się grubo po zachodzie słońca. Z wielkim apetytem pochłonęły quiche, a lody zjadły na deser. I cały czas rozmawiały. Głównie o sztuce i artystach, o Kornwalii, sporo o synu Abi, Nathanie, z którego matka była bardzo dumna. Rozmawiały o Liamie. Potem z ulgą zmieniły temat. To był wyjątkowy wieczór.

A dziś Liam miał wyjść do domu.

Kiedy przyjechała do szpitala, była przejęta jak przed pierwszą randką. Im bardziej zbliżał się wypis, tym wyraźniej udzielał jej się lęk męża. W ostatnich tygodniach szpital stał się jego światem. Teraz Liam musiał opuścić to bezpiecznie miejsce na wózku inwalidzkim.

Lewa noga zagoiła się dobrze i szybko, sztywny opatrunek od palców po kolano nie był już potrzebny. Ogólną rekonwalescencję utrudniało to, że ze względu na poważne obrażenia prawej nogi Liam niemal w ogóle nie był poddawany fizjoterapii.

Lekarze szacowali, że upłyną jeszcze cztery do sześciu miesięcy, zanim złamane udo całkowicie się zrośnie, a co najmniej rok, zanim odzyska dawną siłę. Operacja, polegająca na wszczepieniu tytanowego gwoźdźca i czterech śrub, trwała prawie sześć godzin. Po zabiegu noga była kompletnie sina, kolano opuchnięte i obolałe. Wprawdzie stan kończyny pozwalał na opuszczenie szpitala, ale Liam musiał się zgłaszać co dwa tygodnie na rentgen. A chociaż zdjęto mu gips z prawej ręki, nadal musiał nosić szynę, żeby wesprzeć osłabiony nadgarstek. Dlatego na razie kule nie wchodziły w grę.

Lily przystanęła przy drzwiach do jego sali i przyglądała się w milczeniu, jak Liz pomaga mężowi się ubrać.

– Niech pan zostawi, ja to zrobię.

– Nie potrzebuję żadnej cholерnej niańki, jasne?

– A co niańka ma z tym wspólnego?

– Może i jestem kaleką, ale to nie znaczy, że jestem chory na umyśle!

– Kaleką! – oburzyła się Liz. – Aha, teraz już wiem, co w trawie piszczy! Użalamy się nad sobą! Mam pana zawieźć na dół, na oddział dziecięcy? Tam bardzo prędko zrobiłoby się panu wstyd! Odechciałoby się panu takich odzywek! Nie? Tak myślałam. No dobrze, a teraz niech się pan spręży i skończy ubierać, bo zaraz przyjdzie pana wspaniała żona. Niech pan zamieni tę grobową minę na uśmiech i proszę wykrzesać odrobinę wdzięczności, że pan wychodzi, podczas gdy ja będę siedzieć tu do świętego Nigdy, skazana na pielęgnowanie niewdzięcznych pacjentów takich jak pan... Niech mi pan pozwoli zawiązać sobie buty bez gadania, bo inaczej powiem lekarzom, że potrzebny jest panu cewnik. – Nachyliła się i zawiązała sznurówki lewego buta. – No, gotowe – oznajmiła i wyprostowała się. – I biada, jeśli jeszcze raz się pan zjawi na moim oddziale, młody człowieku – ostrzegła.

Wpatrywał się w nią gniewnie, ale w końcu zmiękł, posłał jej skruszony uśmiech i wyciągnął zdrową rękę.

– Przepraszam, Liz. Dziękuję. Za wszystko. Czy mogę panią uścisnąć?

– No nie wiem, czy pan zasłużył... – odparła przekornie.

– Nie sądzi pani, że warto, zwłaszcza w przypadku tych, którzy na to nie zasługują? – odciął się sprytnie.

– Hm, może i ma pan rację. – Uśmiechnęła się i nachyliła, żeby mogli się objąć. Oderwali się od siebie, kiedy od drzwi dobiegło dyskretne kasznięcie.

– No, coś mi się widzi, że zabieram cię w odpowiednim momencie... – Lily mrugnęła do siostry.

– Przecież wiesz, że pacjenci podkochują się w pielęgniarkach – zaśmiał się Liam, a Lily była szczęśliwa, widząc go w takim łobuzerskim nastroju.

Ten nastrój nie utrzymał się długo. Z każdym metrem, który pokonywali w kierunku parkingu, gdzie czekał na nich Peter, Liam coraz bardziej się zamykał. Początkowo tylko milczał, ale potem zaczął utyskiwać na niewygodę przekłętego wózka inwalidzkiego.

U wyjścia młody mężczyzna w stroju fizjoterapeuty przytrzymał drzwi Lily i zręczącemu Liamowi. Przeniósł wzrok ze wściekłego mężczyzny na Lily i uśmiechnął się. Nie drwiąco, nawet nie ze współczuciem, po prostu ze zrozumieniem. To spojrzenie dało jej siłę, żeby znosić kwękanie męża i nie tracić przy tym opanowania.

Kiedy adwokaci wreszcie wysunęli konkretną propozycję odszkodowania, Lily zdumiała się jego wysokością. W swojej skromności chciała ją nawet odrzucić, ale Peter interweniował i wyjaśnił, że kwota jest stosowna, a nie zawyżona. Zwrócił uwagę, że będą musieli ponieść koszty przebudowy domu i dalszego leczenia Liama, poza tym odszkodowanie miało również wyrównać stratę spowodowaną brakiem zarobków. Reszta stanowiła klasyczne zadośćuczynienie pieniężne za ból. Jeśli nie zaakceptują tej kwoty, to ich adwokat zażąda jeszcze więcej, tłumaczył Peter.

– A jeśli i to cię nie przekonuje – dodał z uśmiechem – to pokażę ci rachunki za prace budowlane, bo właśnie parę wpłynęło.

– Aż tak źle?

Skinął głową markotnie.

– A przy tym policzyli nam po znajomości. Lily, proszę cię, posłuchaj mojej rady i weź pieniądze. Przynajmniej pozbędziesz się jednego kłopotu.

– Chciałabym uzgodnić to z Liamem...

Peter pokiwał głową.

– I tak będzie musiał podpisać papiery. Chcesz, żebym cię wyręczył? Przejrzałem wszystkie papiery razem z Jamesem Pendragonem...

– Z adwokatem Cordaya? – Lily zmrużyła oczy.

Przytaknął.

– On jest w porządku, Lily, to przyzwoity człowiek. Nie musisz się martwić, wszystko załatwiono w należyty sposób. Cordayowi może i nie należy ufać, a James wprawdzie grywa z nim od czasu do czasu w golf, ale jeśli chodzi o kwestie prawne, to jest absolutnie nieskazitelny.

To nie nowy, wyasfaltowany podjazd przyciągnął uwagę Liama, nie świeżo odmalowana fasada, nie nowe okna czy rampa przy wejściu. Nie, jego zaintrygował brak wazonika Clarice Cliff. Nic nie powiedział, ale Lily nie umknęło jego spojrzenie.

Powstrzymała się od wyjaśnień i skierowała jego uwagę na inne, bardziej rzucające się w oczy zmiany. Komentował wszystko monosylabami.

Potem uparł się, że chce obejrzeć piętro, w czym musiał mu pomóc Peter. Wspięcie się po schodach i ponowne zejście kosztowało go sporo wysiłku i bólu. Lily była szczęśliwa, kiedy znowu usiadł na wózku.

Peter pożegnał się. Wprawdzie chciał im pomóc, ale uznał, że oboje potrzebują czasu dla

siebie. A przy tym żadne z nich tak naprawdę nie chciało, żeby już szedł.

Jedynym pokojem, którego jeszcze nie obejrżeli, była sypialnia Liama.

Lily zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami i ociągała się. Tak bardzo się obawiała pokazać mu jego pokój. Podczas gdy inne zmiany dyskretnie wskazywały na stan Liama, jego sypialnia bezlitośnie obnażała prawdę.

Liam zauważył jej wahanie, ale nie skomentował krótkiej przerwy w zwiedzaniu. Zamiast tego jeszcze raz rozejrzał się wokół i uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Narobiłaś się.

– Nie ja. Peter. To on wszystko zorganizował. Podoba ci się?

– Wygląda wspaniale – powiedział bezbarwnie.

– Wiem, że to nie tak sobie wszystko wyobrażałaś, ale...

– ...musimy myśleć pragmatycznie – dokończył za nią.

– Tak, ale to tylko przejściowe. Później urządzimy wszystko tak, jak planowałaś... Przecież wiem, ile miałaś planów, i zrealizujemy je, tylko jeszcze nie teraz...

Nie odpowiedział. Zebrała się na odwagę i otworzyła drzwi. Potem wepchnęła wózek do pokoju, który zgodnie z jego planami miał być salonem.

Kiedy zamykał oczy, nadal go przed sobą widział... Białe ściany, drewniana podłoga, barwny akcent w postaci pomalowanej na ciemnoczerwono ściany, na której chciał powiesić parę szkiców, wśród nich te autorstwa Franka Lloyd Wrighta, będące ostatnim prezentem od rodziców... Widział regały z książkami po obu stronach kominka i kanapy z zamszu w kolorze kawy z mlekiem, które jeszcze przed przeprowadzką widzieli u Heala.

Ale kiedy otworzył oczy, zobaczył szpitalne łóżko o regulowanej wysokości, uchwyty w łazience, podnośnik dla chorych. Choć wszystko było urządzone nader dyskretnie, jednak biło w oczy i sztywno z jego żalostnego stanu.

– Na razie poustawiałam wszystko po mojemu, ale jeśli chcesz, możemy przestawić sprzęty... – wydusiła Lily.

Uznał, że dokładniej przyjrzy się pokojowi. Ściany były białe, tak jak planował. Jedna pomalowana była na wybrany przez niego ciemnoczerwony odcień. Drewnianą podłogę wyszlifowano i polakierowano, tak jak chciał. Półki na książki, które sam zaprojektował, były wykonane i powieszono. Poustawiano na nich jego rzeczy: książki, ulubione przedmioty, a na ścianach wisił jego Lloyd Wright i inne rysunki, które już dawno chciał oddać do oprawienia. Zadbana o to, żeby były w komplecie.

Tak bardzo się starała.

Ale choćby nie wiadomo jak się wysiłał, żeby skupić się na pozytywach, nie potrafił zignorować monstrualnego łóżka.

– Jak my się w nim zmieścimy? – zażartował bez przekonania, z jawną dezaprobatą.

– To tylko tymczasowe.

– Wiem, ale czy to nie lekka przesada?

– Był tu twój ergoterapeuta. Musieliśmy wstawić tu takie łóżko, inaczej by cię w ogóle nie wypuścili.

– Dobrze, ale wypuścili. Nie możemy go wywalić, a zamiast tego wstawić ładnego małżeńskiego łóżka?

– Dobry pomysł... – Uśmiechnęła się.

– Myślę na serio. Chyba nie zabiorą mnie z powrotem do szpitala tylko dlatego, że nie mam łóżka o regulowanej wysokości? Ci ludzie mają służyć nam wsparciem, nie są policją, Lily. Nie musimy niewolniczo trzymać się ich wskazówek...

Im dłużej mówił, tym bardziej popadał w taki sam ton, jak przedtem w szpitalu: nadąsany

i obrażony. Na koniec całą swoją irytację skierował na nią, a ona przyglądała mu się z taką samą konsternacją, z jaką on patrzył na łóżko. Po chwili cała ta niewyjaśniona, nagła złość na nią, na wszystkich, na to przekłete łóżko, ulotniła się, a on poczuł wstyd.

– To tylko na razie... – powtórzyła cienko Lily.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń, ale nie znalazł żadnych słów pocieszenia ani ukojenia.

Tę pierwszą noc spędzili razem.

Lily wyczerpana zasnęła w fotelu przy łóżku, z ręką na jego kołdrze. Leżał w swoim nowym łóżku, wpatrywał się w świeżo pomalowany sufit i wsłuchiwał w ciszę.

Wbrew powszechnej opinii szpitale nie były oazą spokoju, wręcz przeciwnie: zewsząd nieustannie dochodziły rozmaite dźwięki. Gdzieś zawsze coś się działo, zawsze ktoś czuwał, niezależnie od pory dnia czy nocy.

Jedyne, co słyszał tutaj, to cichy oddech Lily, a w oddali szum morza. Tak bardzo się cieszył, że wraca do domu, a to, co zastał, rozwiało jego złudzenia.

Mógł umrzeć. Niewiele brakowało. A teraz znowu był w domu, choć wcale nie chciał tu być. Skupił całą swoją energię, jaka mu jeszcze została, na radości z powrotu. Czuł wyrzuty sumienia. Zrobiło mu się słabo, zaczęły dokuczać mu mdłości.

Minęło wiele lat, odkąd modlił się ostatnim razem, ale teraz zamknął oczy i podziękował Bogu, że przeżył. Poprosił o siłę fizyczną i moc umysłu, które były potrzebne do walki czekającej go w ciągu najbliższych miesięcy.

Położył zdrową rękę na głowie Lily. Jej włosy były miękkie i jedwabiste w dotyku.

Świtało już, kiedy wreszcie zasnął, a niedługo potem obudził go skrzek mew. Przez moment sądził, że jest jeszcze w szpitalu. Potem otworzył oczy i zobaczył pokój.

Lily nie było. Poczuł ogarniającą go panikę, dopóki nie usłyszał, że żona krząta się w kuchni.

Tuż nad nim zwisał z sufitu trójkątny uchwyt. Kiedy poprzedniego wieczoru położył się spać, a Lily siedziała obok niego, popatrzył na nią i zażartował, że teraz powinien sprawić sobie papugę, która siedziałaby na nim jak na grzędzie.

– Miałbym kogoś, z kim mógłbym pogadać, kiedy ty będziesz zajęta.

– Niezły pomysł, to podobno przynosi szczęście... – Uśmiechnęła się.

– Papugi przynoszą szczęście? – powtórzył zdumiony.

– Nie. Kiedy ptak ci narobi na głowę. – Wskazała ruchem głowy na uchwyt. – Byłbyś dokładnie w polu rażenia.

– Hm, może to jednak nie jest taki dobry pomysł.

Teraz wykorzystał uchwyt zgodnie z przeznaczeniem i podciągnął się na nim lewą ręką. Zdumiewające, jak bardzo się wzmocniła, odkąd musiała zastąpić mu unieruchomioną prawą.

W szpitalu z różnym skutkiem eksperymentował, próbując rysować i pisać lewą ręką. Problem polegał na tym, że prędko opadał z sił. Miał tyle energii, co zużyte baterie. Ale z czasem to się miało zmienić.

Z czasem. Czas.

W końcu usiadł.

Do pokoju weszła Lily z tacą.

– Pomyślałam, że może masz ochotę na śniadanie w łóżku – oznajmiła promiennie.

– Ach, myślisz, że skoro przez ostatnie dwa miesiące jadałem śniadania w łóżku...

Jej uśmiech zamarł, a on przygryzł wargę, jakby mógł w ten sposób cofnąć ostre słowa.
– Przepraszam... przepraszam...
– Nie, masz rację... Nie pomyślałam...
– Miałabyś coś przeciwko temu, gdybym wstał, ubrał się i zjadł w kuchni? Od niepa-
miętnych czasów nie jadłem przy stole, jak człowiek. – Był przesadnie uprzejmy, za żadne skarby
nie chciał jej znowu urazić. Ta nagła zmiana tonu zaniepokoiła ją jeszcze bardziej.
– Nie, ani trochę. – Przybrała ten sam grzeczny ton. – Chcesz się wykąpać?
Przytaknęła.
– Napuszczę ci wody.

Nie było wcale łatwo umieścić go w wannie. Technicznie właściwie nie stanowiło to żad-
nego problemu, bo mieli do pomocy odpowiednie urządzenia.

Problem był natury psychologicznej. Cała sytuacja była dla nich obojga tak bardzo nowa
i obca.

Lily usiłowała skupić się na najistotniejszym.

– Siedzisz wygodnie? Możesz tak trzymać nogę? Nie zamoczy się gips? A temperatura
w porządku?

– Wszystko w najlepszym porządku. Ale jeszcze lepiej byłoby, gdybyś dotrzymała mi to-
warzystwa.

Wyciągnął zdrową rękę, przyciągnął Lily do siebie, pocałował delikatnie, namiętnie,
czując, że ona wstrzymuje oddech, żeby w końcu puścić ją z westchnieniem.

– Bardzo za tobą tęskniłem – wyszeptał.

– Ja za tobą też – odparła. „Nie tylko od czasu twojego wypadku”, dodała w duchu. –
Więc jak: kokos czy awokado?

– Nie jestem głodny, dziękuję.

– Szampon, ty trąbo. – Pokazała butelki, śmiejąc się.

Tym też różnił się pobyt w szpitalu od domu. Tam było normalne, że wszystkim zajmował
się personel pielęgniarski. Człowiek przyzwyczajał się do tego. W domu było inaczej. Ta kobieta
była jego żoną, która zawsze go podziwiała, prosiła o radę, pomoc.

Oczywiście zdarzało się i wcześniej, że myła mu głowę, ale zawsze w ramach intymnej
gry, a nie dlatego, że był zdany na jej pomoc. Nie potrzebował wsparcia przy myciu czy ubiera-
niu, odkąd przestał być dzieckiem. A właśnie tak czuł się teraz. Wszystko, co osiągnął od czasów
dzieciństwa, było jak wykasowane. Znowu był dzieckiem.

Patrzył, jak Lily, klęcząc obok wanny, myje mu stopy, i zebrało mu się na płacz. Przecież
nie był jej dzieckiem. Był jej mężem! Jak miał być mężem, skoro w ogóle nie czuł się jak
mężczyzna?

Lily wyczuła, jaki jest spięty.

– Wszystko w porządku?

– Czuję się trochę... dziwnie.

Przykucnęła na piętach i popatrzyła na niego. Potem skinęła głową, wstała i rozebrała się.
Ostrożnie wśliznęła się za jego plecy i umyła mu głowę.

Liam zamknął oczy. Rozkoszował się łagodnym, czułym masażem na skórze głowy.

– Kocham cię – wyszeptał chrapliwie.

– Ja też cię kocham... – Lily uśmiechnęła się i z westchnieniem przyłożyła policzek do
jego ramienia.

Nie mogła widzieć, że miał łzy w oczach.

Siedzieli w ogrodzie i patrzyli na morze. Trzymając się za ręce, raczyli się słońcem.

W końcu weszli z powrotem do domu, a on położył się, żeby się zdrzemnąć.

Potem Lily poczytała mu trochę gazet.

Pod wieczór wstali z kanapy w jego pokoju, a Lily ściszyła muzykę.

– Przygotuję kolację. Masz ochotę mi pomóc?

– Niby jak?

– No, jedną rękę masz przecież zdrową... Mógłbyś coś mieszać. – Mrugnęła do niego.

– Ach, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wołałbym z tego zrezygnować.

– Jasne, nie ma problemu.

– Zawieziesz mnie do pracowni?

– Jesteś pewien?

Przytaknął.

– Bez obawy, nie zamierzam pracować. Tylko poczytać.

Dwadzieścia minut później zawołała z kuchni, czy chce herbatę. Kiedy nie odpowiedział, zaniósła mu ją.

Stała w drzwiach z filiżanką w ręku i zobaczyła, co rozpostarł przed sobą na desce kreślarskiej. Serce przestało jej bić. Wstrzymała oddech.

Podczas sprzątanía natknęła się na projekt Liama, na którym nabazgrała ludzika i swój komentarz. Zażenowana własną głupotą skrupulatnie wymazała je gumką, a plany włożyła do szuflady.

Ale lekki cień, który pozostał mimo starannego wycierania gumką, nie umknął wnikliwemu spojrzeniu Liama. Wędrował po nim palcami, jakby czytał pismo dla niewidomych. Oderwał wzrok od rysunku i zapatrzył się w czerń nocy za oknem.

Wezbrała w niej nadzieja. Może jednak niczego nie zauważył.

– Kolacja zaraz będzie gotowa – oznajmiła jak najnormalniejszym tonem.

– Nie jestem głodny – odparł bezbarwnie.

– Ale musisz coś zjeść.

Nie odpowiedział, tylko dalej patrzył przez okno na leżącą za nim ciemność i tonące w niej morze.

– Zrobiłam twoje ulubione...

– Powiedziałem, że nie jestem głodny – wpadł jej w słowo.

Serce podeszło jej do gardła.

– Co się dzieje, Liam? – zapytała, choć znała odpowiedź.

– Co się dzieje? Chcesz wiedzieć, co się dzieje? Co to jest?

Pokazał ręką projekt, nie mogąc powstrzymać gniewu.

– Tu nic nie ma.

Postawiła filiżanki, podeszła do deski i sięgnęła po arkusz.

– Skoro nic tu nie ma, to dlaczego koniecznie chcesz mi to odebrać? – Obronnym gestem położył rękę na stole.

Westchnęła i przygryzła wargę. Spojrzała na niego ze skruchą.

– Byłam wściekła. Nie myślałam tak naprawdę. Nie chciałam naprawdę...

– Odejść? – przerwał.

Z jego oczu wyzierał tak bezbrzeżny ból, że odebrało jej mowę.

– Chciałaś odejść?
Potrzęsnęła zdecydowanie głową.
– Nie, naprawdę nie, Liam, musisz mi uwierzyć.
– W takim razie co to jest? – wybuchnął gniewnie.
– Pomyłka, głupia pomyłka! Posprzeczałyśmy się i byłam zła.
– Posprzeczałyśmy się?
– Tak, dzień przed twoim wypadkiem. Mieliśmy gigantyczną scysję, następnego dnia kłóciliśmy się dalej, a ja byłam tak urażona i wściekła, że zareagowałam nierozsądnie i głupio...
Ach, Liam.

Uklękła przy nim i chciała go objąć, ale on zebrał wszystkie siły i odsunął się od niej.
– Zostaw mnie, Lily. Proszę.
– Proszę, pozwól mi wyjaśnić.
Ale on pokręcił głową.
– Chcę być sam.
– Ale...
– Proszę, Lily.
– Ale jak? Nie mogę cię przecież zostawić samego.
– I w tym problem, prawda? – Popatrzył na nią pustym wzrokiem. – Nie mogłabyś mnie zostawić, nawet gdybyś chciała, prawda? I dlatego to mówię: odejdz.
– Co?
– Chcę, żebyś sobie poszła.
– Mam odejść?
– Tak, wróć do Londynu, zrób, co zechcesz, ale nie zostawaj tutaj.

Lily z trudem zachowywała spokój. Wzięła jego twarz w dłonie i zmusiła go, żeby na nią popatrzył. Było jej obojętne, czy sprawia mu ból. Ją samą bolało do utraty przytomności, że mężczyzna, którego kochała, sądził, że nie chce już z nim być.

– Nigdzie nie pójdę, Liam. Moje miejsce jest tutaj, przy tobie.
– Ale ja nie chcę cię, żebyś tutaj była.
– Nie myślisz tak naprawdę.
Miała rację. Nie chciał, żeby go opuszczała. Ale jednocześnie traktował swoje słowa śmiertelnie poważnie, ponieważ czuł, że chciała odejść i nie chciał stawać na drodze jej szczęścia.

– Nie chcę odchodzić. Chcę tu być, przy tobie, Liam. Kocham cię.
– Ja też cię kocham. I dlatego nie chcę, żebyś resztę życia spędziła z kaleką.
– Nie jesteś kaleką. Wyzdrowiejesz.
– Przynajmniej jedno z nas w to wierzy.
– Bo to prawda.
– A jeśli nie?
– Wyzdrowiejesz – powtórzyła stanowczo.
– A jeśli nie? – powtórzył z takim samym uporem.
– To i tak sobie poradzimy. Razem. Ale wyzdrowiejesz, Liam.
Kiwnął powoli głową, jakby się z nią zgadzał, ale jego spojrzenie mówiło co innego.
– Razem – powtórzyła, pocałowała go i oparła się czołem o jego czoło. Z naciskiem spojrzęła mu w oczy. – Na dobre i na złe. Kocham cię i nigdzie nie odejdę. Obojętne, co powiesz. Okej?

Milczał.

– Okej? – powtórzyła.

Zaczekała chwilę, otoczyła go ramieniem i usilnie zapewniała szeptem o swojej miłości, szczerości, lojalności, aż w końcu skinął głową, jakby jej uwierzył.

Nie skarżył się, kiedy wyprowadziła go do kuchni, i starał się coś zjeść, choć jedzenie stało mu w gardle.

I nie mogły tego zmienić żadne zapewnienia miłości i wierności. Coś w nim pękło, coś o wiele cenniejszego niż wazon.

Lily zawiozła Liama na pierwsze badania rentgenowskie od wyjścia ze szpitala, które nastąpiło niecałe dwa tygodnie temu. Dwa tygodnie mające niewiele wspólnego z wytęsknionym zbliżeniem, a raczej będące próbą wytrzymałości dla obojga.

Nieustannie zapewniała Liama, że swoje miejsce na Ziemi widzi wyłącznie przy nim, a on zdawał się akceptować jej słowa. Ale stał się zupełnie inny.

Początkowo wmawiała sobie, że to wina tego, co przeszedł, nowej sytuacji w domu, nowego podziału ról, uzależnienia od niej, które doskwierało mu bardziej niż jej. Nie była aż tak naiwna, żeby sądzić, że to wszystko po nim spłynie bez śladu. A jednak wiedziała, że nie zmieniłby się tak dramatycznie, gdyby nie zobaczył, co nakreśliła na jego projekcie.

Cały czas przeklinała się za swoją głupotę. Zachowała się dziecinnie. Głupio. Zniszczyła więcej niż tę kopię.

Badanie przebiegło gładko, a dopóki nie opuścili szpitala, Liam był taki jak dawniej: szarmancki, skromny, wdzięczny.

Jednak ledwie znaleźli się na zewnątrz, zamienił się w opryskliwą, przewrażliwioną, odpychającą i drażliwą istotę, którą był przez ostatnie dwanaście dni. I tak uświadomiła sobie boleśnie, że jego negatywne nastawienie tylko po części wynikało z ograniczeń fizycznych.

Wracali do domu, a on bez słowa gapił się przez okno. Na jego twarzy malował się posępny wyraz, który nie opuszczał go od drugiego dnia po powrocie do domu.

Lily wrzuciła kolejny bieg i dodała gazu. Chciała jak najprędzej znaleźć się w domu, uwolnić się z ciasnoty samochodu. W domu przynajmniej mogła zaszyć się w innym pokoju. Woląла znieść widok zamkniętych drzwi niż posępnej twarzy.

Kiedy przyspieszyła, niespodziewanie przerwał milczenie.

– Czy mogłabyś jechać nieco wolniej, Lily? Przez ciebie staję się nerwowy.

Zacisnęła usta i zdjęła nogę z gazu.

– Dlaczego właściwie zawsze musisz jeździć za szybko? – utyskiwał Liam, kiedy samochód zwolnił.

– Naprawdę? Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Ach, przestań, oczywiście, że o tym wiesz. Zawsze jedziesz za szybko.

Lily obiecała sobie, że nie będzie wdawać się w sprzeczki. Skupiła się na ograniczeniach prędkości.

Po dziesięciu minutach odezwał się znowu.

– Dlaczego jedziesz tak wolno?

– Prosiłeś, żebym zwolniła.

– Ale to nie znaczy, że musisz wlec się jak dziad.

Westchnęła.

– Z jaką prędkością powinnam jechać twoim zdaniem?

On też westchnął głośno i utkwiał spojrzenie za oknem.

– Może po prostu trzymaj się limitu, co?

– Myślałam, że właśnie to robię.

– To źle myślałaś.

Lily nie miała siły się sprzeczać. To bez sensu, bo i tak by przegrała. Obojętne, co teraz mówiła lub robiła, wszystko było nie tak. Westchnęła.

– Proszę, Liam. Przecież to nie było tak.

Sposępniał jeszcze bardziej.

– Może pewnego dnia rzeczywiście zapomnielibym o tym, gdybyś nie przypominała mi o tym dzień w dzień.

– Chciałabym, żebyśmy to sobie wyjaśnili raz na zawsze.

– W porządku. Przeżyję to jakoś.

Przeżyję to jakoś. Jakby chodziło o złamaną kość.

Poddała się. Oboje wycofali się w niewygodne, przygniatające milczenie, które odbierało im oddech.

Kiedy zobaczyła przed domem samochód Petera, poczuła tak wielką ulgę, że zebrało jej się na płacz. Przelknęła łzy i przybrała wymuszony uśmiech. Przyjaciel podszedł bliżej.

– Hej, Peter, jak leci? – zawołała, zaciągnęła hamulec, wyszarpnęła kluczyk ze stacyjki i energicznie wysiadła z samochodu.

Peter przywitał ją serdecznym uściskiem.

Liam został na fotelu wielkiej terenówki. Ponieważ ze względu na osłabiony nadgarstek nadal nie mógł przez dłuższy czas podparć się na kuli, był zdany na wózek. Na szczęście ten był lekki i nader zwrotny. To było istotne nie tylko dla Lily, ale i dla samego Liama, który z radośnym zaskoczeniem stwierdził, że przy odrobinie cierpliwości mógł bez obcej pomocy manewrować nim po parterze. Ale nadal wózek wywoływał w nim ambiwalentne uczucia. W tej chwili nie mógł znieść, że nie może sam wysiąść z samochodu, wejść do domu i zamknąć się u siebie w pokoju, kiedy ta dwójka, która miała się nim zająć, zachowywała się, jakby go nie było.

W tym momencie Peter podszedł energicznie do samochodu z tym swoim znajomym, szczerym uśmiechem, a Liama natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia. Od razu poczuł się jeszcze gorzej. Tak, czuł się naprawdę fatalnie.

Lily pozwoliła Peterowi pomóc Liamowi wysiąść z wozu, poszła do kuchni i odruchowo nastawiła wodę. Kiedy w domu byli robotnicy, przez cały boży dzień nie robiła nic innego, tylko parzyła i piła herbatę. Dawniej trzymała w domu dwa, góra trzy gatunki herbaty. Teraz mogła mieć kompletnie pustą lodówkę, ale w szafce – pokaźną kolekcję wyszukanych gatunków herbat. Lily stała się prawdziwą maniaczką tego napoju. Postawiła na tacy dzbanek i trzy filiżanki. Specjalnie dla Petera wyjęła ze spiżarki ciasto czekoladowe.

Mężczyźni, zajęci rozmową, zaszyli się w pracowni. Weszła do środka, a oni zamilkli i popatrzyli na nią. Kiedy postawiła tacę z herbatą, Peter uśmiechnął się do niej. Twarz Liama pozostała nieprzystępna. Powoli podjechał do drzwi. Lily powstrzymała się od komentarza, dopóki nie wyjechał na korytarz.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Idę do wucetu – odpowiedział opryskliwie.

Podążyła za nim.

– Co robisz? – zapytał.

– Pomyślałam, że przyda ci się pomoc.

– W czym? Chcesz mi go potrzytać? Czy wierzysz, czy nie, nadal mam jedną funkcjonującą kończynę, patrz! – Zamachał lewą ręką. – Widzisz? Jest całkowicie sprawna, podobnie jak mój mózg, a teraz wynoś się, z łaski swojej!

Lily wciągnęła łapczywie powietrze, jakby uderzył ją w brzuch. Jeszcze nigdy nie mówił do niej w ten sposób. Takim tonem. Z taką pogardą.

– Liam... – Oczy zaszyły jej łzami.

– Po prostu zostaw mnie w spokoju, dobrze? Zostaw mnie w spokoju!!! – ryknął.

Stała zszokowana i patrzyła na niego, a krew całkiem odpłynęła jej z twarzy. Przcisnęła się obok niego i wybiegła z domu.

Zdążyła dobiec do ścieżki prowadzącej do wsi.

– Lily. Lily! Zaczekaj...

Biegł za nią zasapany Peter. On również był blady. Lily zatrzymała się, zakryła dłońmi twarz i zaczęła szlochać bez pohamowania. Peter dobiegł do niej, przyciągnął do siebie, otoczył ramionami i trzymał tak długo, dopóki jej łkanie nie zelżało i nie uspokoiła się trochę. Wreszcie ją puścił, pogładził mokrą twarz, pocałował w policzki, potrząsnął głową i uściśnął tak nieskończenie czule, że niewiele brakowało, a znowu wybuchłaby płaczem.

– Tak mi przykro, Peter... – wydusiła.

– Słucham? Tobie jest przykro? Przecież to nie twoja wina! Liam ma zaćmienie umysłu, kompletne zaćmienie, Lily – zapewnił ją, podczas gdy ona wycierała nos. – I powiedziałem mu to. Chodź. – Wziął ją za rękę.

– Nie chcę wracać.

– Wcale nie wracamy.

Ruszył w kierunku wsi.

– Gdzie idziemy?

– Strzelić sobie po jednym.

– Nie mogę... Cokolwiek zarzuca mi Liam, nie mogę go przecież zostawić samego.

– Ależ oczywiście, że możesz. – Peter przyspieszył kroku. – Jeśli chce, żeby zostawić go w spokoju, to niech ma ten swój spokój.

– Ale jeśli coś się stanie?

– To się stanie – odparł. – Ale ponieważ zamknął się w pokoju jak nadąsany dzieciak, nie sądzę, żeby mogło się wiele stać.

Przed Rusted Anchor wystawiono stoliki, zawieszono kosze z kwiatami i tym samym oficjalnie rozpoczęto letni sezon. Tu popijali piwo turyści, a miejscowi jak zwykle przesiadywali przy barze. W porównaniu z ciepłym i zalanym słonecznym blaskiem ogródkiem piwnym wewnątrz pubu wydało się Lily ciemne i chłodne.

Peter poprowadził ją do małego stolika w odległym kącie, podszedł do kontuaru i po chwili wrócił z piwem i ginem z tonikiem, o który poprosiła.

– Nie wiedziałem, że lubisz gin.

– Ja też.

Wzięła łyk drinka, który podsunął jej Peter. Był podwójny. Zakrztusiła się, a Peter przeprosił, dolał trochę toniku i podał jej chusteczkę. Wzięła ją z wdzięcznością, wytarła nos i upiła łyczek, tym razem ostrożniej.

– Przepraszam cię – powtórzył Peter.

Potrząsnęła zdecydowanie głową.

– Nie, jeśli ktoś tu musi przeproszać, to ja.

– W ogóle nie musisz przeproszać, Lily. Naprawdę nie masz w tej chwili lekko, rozumiem to. – Wyciągnął do niej rękę przez stół i ujął dłoń.

Był tak nieskończenie wyrozumiały, że znowu zebrało jej się na łzy. Wyjął wielką, białą chusteczkę, podał jej i uśmiechnął się łagodnie, kiedy zanurzyła w niej twarz.

– To wszystko moja wina... – załkała, kryjąc się za bawełnianą tkaniną.

– No już przestań!

– Nie, naprawdę. A przynajmniej tak się czuję... On nawet nie pamiętał, że tego dnia się posprzeczaaliśmy. Może był rozkojarzony, może wciąż rozpamiętywał naszą kłótnię, może nie mógł się skupić i...

Peter z przerażeniem pokręcił głową.

– Nie, Lily, nie – zaprotestował. Musiał ją jakoś uspokoić. – Nie bierz tego na siebie. To

nie była twoja wina. Rusztowanie było zmontowane niezgodnie z przepisami. To w ogóle nie ma nic wspólnego z tobą, słyszysz? Chyba że potajemnie pracujesz dla Cordaya...

Mrugnął do niej w nadziei, że wydobędzie z niej uśmiech, ale ona tylko potrząsnęła głową i schowała twarz w chusteczce.

– Nie chodzi tylko o to, Peter, chodzi też o wszystko, co wydarzyło się przed wypadkiem. A teraz... Pomijając jego obrażenia i tak dalej, on teraz siedzi w domu całą dobę, wiadomo, że zaczyna mu powoli odbijać. Jeśli mam być zupełnie szczerą, to miałam nadzieję, że uda się wyleczyć nie tylko jego rany na ciele, ale i nasze rany na duchu. Wiem, człowiek musi to odbierać jak karę, kiedy jest zmuszony spędzać z kimś cały czas, ale... O Boże, muszę przyznać, że właśnie tego pragnęłam, kiedy leżałam w szpitalu.

– To zupełnie zrozumiałe. – Peter uspokajająco nakrył dłonią jej rękę.

– Tylko że wcale się do siebie nie zbliżyliśmy. Wręcz przeciwnie. On robi wszystko, żeby pogłębić przepaść między nami.

– Nie możesz brać tego do siebie, Lily.

– Jak mam nie brać tego do siebie, Peter? Jestem jego żoną!

– Tak, i jako żona znasz go lepiej niż ktokolwiek inny, znasz go na wylot, wiesz, jaki jest dumny.

– Nawet teraz, kiedy mnie potrzebuje, nie chce mnie do siebie dopuścić.

– To nonsens, Lily. On tak reaguje na zaistniałą sytuację, a nie na ciebie.

– Naprawdę tak myślisz? – Nachyliła się nad stolikiem i mówiła dalej szeptem, tak bardzo się wstydziła. – Między nami nie było dobrze... przed wypadkiem... prawie się nie widywaliśmy...

– Pracował dzień i noc, Lily, i tyle. Ja zresztą też...

– Nie miałam wrażenia, że to tylko tyle.

– Lily, Liam byłby bez ciebie kompletnie bezradny. On nie chce żyć bez ciebie.

– To dlaczego nie chce, żebym się o niego troszczyła?

– Bo jest przyzwyczajony, że to on troszczy się o ciebie. Liam zawsze był przez wszystkich podziwiany. A teraz jest zdany na pomoc w najbanalniejszych sprawach. To dla niego skrajnie trudne. Musisz to zrozumieć, Lily.

– Naprawdę się starałam zrozumieć, Peter. Naprawdę. – Mówiła to nie tylko po to, żeby go przekonać. Patrzyła na niego zaczerwienionymi oczami. Potrzebowała wsparcia. – Uczyniłam wszystko, co możliwe, prawda?

Peter powoli potrząsnął głową.

– Biedna Lily. Wszyscy cały czas skupialiśmy się wyłącznie na Liamie. Nikt nie pomyślał, jak ta cała sytuacja musi być trudna dla ciebie. Potrzebujesz pomocy.

Podniósł ręce, żeby odeprzeć jej sprzeciw.

– Liam nie może zapominać, że jesteś jego żoną, a nie pielęgniarką podcierającą mu tyłek i podającą tabletki.

Chciała się zaśmiać, ale z jej ust wydobył się tylko szloch.

– On mnie doprowadza do szału. Kiedy oferuję mu pomoc, skarży się, że traktuję go jak małe dziecko, jeśli tego nie robię, mówi, że mam go w nosie. Cokolwiek zrobię, i tak jest źle.

– Więc nie rób nic.

– Nawet dziś w samochodzie: albo jechałam za szybko, albo za wolno.

– Jest bezgranicznie sfrustrowany. Nigdy nie był uzależniony od innych, Lily. Nigdy. Dawniej też nie. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak dobrze poradził sobie sam po śmierci rodziców. W końcu miał zaledwie osiemnaście lat.

– Zawsze wszystko miał pod kontrolą – zgodziła się.

– A teraz nie ma kontroli nad niczym. Łapiesz?

– Jasne. Tylko nie wiem, co mam teraz zrobić... W dodatku... no... zobaczył, co naba-
zgrałam na jego projekcie.

Peter spojrzał pytająco.

– O czym ty mówisz?

Spojrzała na niego jak winowajczyni, ale nie odpowiedziała.

– Jakim projekcie? – dopytywał. – Lily? Co zrobiłaś?

Zmieszana opowiedziała, co zrobiła.

– Próbowałam mu wyjaśnić, że to była przesadzona reakcja, działanie pod wpływem im-
pulsu i że wcale tego nie chciałam, ale on mi nie wierzy – zakończyła swoją spowiedź.

Peter kiwnął głową.

– I odkąd tak jest?

– Odkąd wyszedł ze szpitala. Nie miałam wcale takich zamiarów, byłam po prostu tak
wściekła, że zachowałam się dziecinnie...

– Byłaś wzburzona. To całkowicie zrozumiałe...

– Tak myślisz?

– Oczywiście. – Stał grubym kciukiem łzę z jej twarzy. – Wiem, że nie przyszło ci łatwo
przeprowadzić się tutaj, Lily. I muszę ci wyznać, że mam poważne wyrzuty sumienia, w końcu to
ja ściągnęłam was tutaj z Londynu... Liam miał tyle na głowie, a ty... Wiem, jak samotnie
można się tu czuć, kiedy nikogo się nie zna, a znajomi ludzie kompletnie nie mają dla ciebie cza-
su... Nie przejmuj się, Lily, wytłumaczę to Liamowi. Pogadam z nim.

– Myślisz, że ciebie posłucha?

– Chyba będzie musiał... W każdym razie tak dalej być nie może.

– Może właśnie w tym jest szkopuł? Może on wcale nie chce, żeby tak było dalej, może
wolałby, gdybym naprawdę go opuściła?

– Nonsens, Lily. On cię potrzebuje i kocha.

– Czasami raczej odnoszę wrażenie, że mnie nienawidzi.

– Nieprawda. W tej chwili nienawidzi tylko siebie. Jeśli jednak będzie tak postępował da-
lej, w końcu to ty go znienawidzisz, a to znacznie bardziej mnie martwi. Nie poradzisz sobie
sama, Lily.

– Ach, jakoś to będzie. Musi.

– Nie, nie musi. Nie dopuszczę do tego, żebyś się wykończyła. Potrzebujesz pomocy.

– Przecież ją mam. Dwa razy w tygodniu zawożę go na rehabilitację. A co piątek przy-
chodzi ergoterapeuta.

– Tak, ale to najwyraźniej nie wystarcza. Więc co robimy?

Jak dobrze było słyszeć to „my”... Peter odchylił się na oparcie i namyślił się.

– Corday obiecał wam przecież wszelką pomoc, prawda? No to niech stary pokaże teraz,
że dotrzymuje słowa. Zostaw to mnie.

Cmoknął ją w policzek i uśmiechnął się, żeby dodać jej otuchy.

– Peter... dziękuję.

– Po co są przyjaciele?

– No cóż, zwykle po to, żeby dobrze się razem bawić i dzielić radością życia.

– Dobry przyjaciel zawsze służy wsparciem, w dobrych i w złych czasach.

Ręka w rękę ruszyli wolnym krokiem do domu. Dla obcych wyglądali jak para na roman-
tycznej przechadzce.

Usłyszeli muzykę, zanim w ogóle widać było dom. Nawet mewy nie miały szans, żeby
swoim krzykiem zagłuszyć dudniące dźwięki Radiohead.

Peter przystanął przy furtce, odwrócił się do Lily i położył jej ręce na ramionach.

– Pozwól, że wejdem pierwszy i pogadam z nim, dobra?

Skinęła głową. Policzyła do sześćdziesięciu i sama weszła do środka. Drzwi do pokoju Liama były zamknięte. Poszła do kuchni i nastawiła świeżą wodę. Rytuał parzenia herbaty ją uspokajał.

Lily była pewna, że Peter zmusi Liama, żeby ją przeprosił. Uświadomiła sobie, że wcale tego nie chciała. Nie chciała tych przeprosin, jeśli nie były szczere. Nie wtedy, jeśli Liam przeprosi tylko dlatego, że Peter zmył mu głowę i kazał mu to zrobić.

Niezależnie od tego wcale nie zamierzała przyjmować żadnych przeprosin. W tej chwili daleko jej było do wyrozumiałości. Najchętniej by go zbluzgała, obrzuciła obelgami, nawrzeszczała na niego i była naprawdę wredna. Chciała odplacić mu tą samą monetą.

Ale nie mogła. W końcu miała parę zdrowych nóg i prawą rękę, którą mogła utrzymać długopis czy cokolwiek innego, jeśli tylko chciała.

Mężczyźni spędzili w pokoju Liama blisko godzinę, zanim w końcu wyszli: Peter z poważną, Liam z zakłopotaną miną. Liam przeprosił żonę, ona przyjęła przeprosiny, ale całość przebiegła mechanicznie i chłodno. Z tego powodu Peter został na kolacji, choć był już umówiony gdzie indziej. Wyglądał się i trajkotał jak najęty, a mimo to atmosfera była daleka od radośnej. O ósmej Liam oznajmił, że jest zmęczony, i poprosił Petera, żeby pomógł mu się położyć.

Ponieważ wieczorem Liam tak ostentacyjnie odtrącił jej towarzystwo, następnego ranka Lily ociągała się z wejściem do jego sypialni. W końcu jednak przywołała się do porządku, obiecała sobie, że będzie rzeczowa, i zapukała. Przyjął jej pomoc lakonicznie i z pewną rezygnacją.

Przy śniadaniu nie zamienili ze sobą ani słowa, a atmosfera była napięta do granic możliwości. Wydawało się jej, że nie wytrzyma w domu ani minuty dłużej. Kiedy w dodatku Liam opryskliwie odrzucił jej propozycję partyjki szachów, argumentując, że „nie ma ochoty, żeby non stop trzymała go za rączkę”, postanowiła pojechać do Penzance. Wmówiła sobie, że i tak kończyły im się zapasy, i cieszyła się banalnością zakupów.

Po powrocie zauważyła, że ktoś dzwonił. Odsłuchiwała wiadomość na sekretarce.

– Lily? To ja, Peter. Mam dobre wieści. Właśnie dzwonił do mnie sam Duncan Corday. Zorganizował kogoś do pomocy dla Liama na przychodne. Może zacząć już w poniedziałek, jeśli to wam odpowiada. Od poniedziałku do piątku od wpół do ósmej do południa, żebyś miała chwilę czasu dla siebie. A po uzgodnieniu i w razie potrzeby nawet dłużej. Co ty na to? Oddzwon do mnie, żebyśmy ustalili termin rozmowy kwalifikacyjnej. W końcu musicie go najpierw zobaczyć.

Mimo ciężkich siatek z zakupami Lily poczuła się, jakby ktoś zdjął z niej wielki ciężar. Natychmiast odezwały się w niej wyrzuty sumienia, że nie umie sama sprostać zadaniu. Że zostawia Liama w potrzebie.

Dwa dni później punktualnie o ósmej przed drzwiami wyrósł Dylan. Otworzyła mu Lily. Była tak zdenerwowana, że twarz ściągał jej wyraz powagi, a dłonie miała mokre od potu. Za to on uśmiechał się za dwoje.

– Dylan. – Podał jej smukłą, opaloną dłoń. – Przysyła mnie Duncan Corday.

Zdumiała się na widok jego długich palców, uściśnęła mu rękę i zmarszczyła brwi.

– Chyba gdzieś już pana widziałam?

– Może na plaży?

Nie była pewna.

Surferzy, którzy w końcu pojawili się na Whitesands Beach, wzbudziła jej zainteresowanie, lubiła przyglądać się, jak mkną po falach. I chociaż nigdy nie podchodziła bliżej, znała ich z widzenia. Jego twarz też wydała się jej znajoma, ale nie z plaży, była tego niemal pewna.

– Może, choć nie sędzę...

– Od czasu do czasu dorabiam sobie w szkółce windsurfingowej. A od września będę studiował na ostatnim roku wychowania fizycznego na politechnice w Falmouth – dodał, widząc, jak zwięża jej się wzrok. – Właśnie skończyłem sześciotygodniową praktykę na oddziale fizjoterapii w szpitalu w Truro.

Przypomniała sobie.

– W takim razie to tam pana spotkałam. – Ucieszyła się. – W szpitalu.

To on był młodym człowiekiem, który przytrzymał im drzwi, kiedy Liam wychodził do domu.

Nie powiedziała mu, że tamtego dnia to jego uśmiech utwierdził ją w przekonaniu, iż wszystko będzie dobrze – wydało jej się to śmieszne, tak samo jak wtedy. Ale potraktowała ich spotkanie jako dobry omen.

Teraz też się uśmiechał, ukazując piękne, białe zęby. W ogóle sprawiał wrażenie chodzącej stabilności i zdrowia. Miał na oko metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, był barczysty, ale wąski w biodrach, miał równą opaleniznę, promiennie niebieskie oczy i kręcone, spalone słońcem włosy do ramion. Z wyglądu można go było spokojnie wziąć za amerykańskiego surfera, ale kiedy otwierał usta, słysząc było, że pochodzi stąd.

Przylapała się na tym, że się na niego gapi, i prędko ustąpiła na bok, żeby wpuścić go do środka.

– Proszę wejść. Mój mąż Liam jest u siebie w pracowni. Pomyślałam, że moglibyśmy najpierw porozmawiać przez chwilę sami, zanim mu pana przedstawię, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć „A dlaczego miałbym mieć?”, a Lily ruszyła przodem do kuchni, gdzie gestem wskazała mu miejsce przy stole.

– Poradzono mi, żebym zadała panu parę pytań – wyznała z rozbrajającą szczerością. – Okej?

Skinął głową.

– Dobrze. Pierwsze będzie bardzo proste: kawy czy herbaty?

– Poproszę herbatę, z cukrem. Trzy kostki.

– Jak przystało na kogoś, kto pracuje fizycznie – skomentowała z uśmiechem.

Zaparzyła po filizance i usiadła na wprost niego.

– Proszę mi o sobie opowiedzieć, co pan robi...

– Więc... w tej chwili zbieram doświadczenia praktyczne. Właściwie od poniedziałku miałem rozpocząć praktykę w domu opieki w Penzance, ale kiedy zadzwonił Duncan i opowiedział o panu Bonnerze... Cóż, jestem na wezwanie!

– Skąd pan zna Duncana Cordaya?

– Ach, jesteśmy jakoś tam spokrewnieni, ale na szczęście to tylko dziesiąta woda po kielichu... Jego dzieci są moimi kuzynami drugiego stopnia czy jakoś tak. Pokrewieństwo jest na tyle bliskie, żeby zapraszać się na niektóre imprezy i przysyłać kartki na święta, ale na tyle odległe, żeby się z tym nie afiszować.

Zauważył, że to wyznanie ją uspokoiło, i uśmiechnął się do niej szeroko.

– Nie jest pani zbyt wielką fanką wujka Dunca, co? – zapytał bez ogródek.

– Ach, ledwie go znam – odparła dyplomatycznie, na co jego uśmiech tylko się poszerzył.

– Jakiej muzyki pan słucha? – Prędko zmieniła temat.

– Jakiej słucham muzyki? – Pytanie wyraźnie go zaskoczyło.

– Pytam, bo nie chciałabym, żebyście działali sobie z Liamem na nerwy. Mąż cały dzień słucha muzyki. Namiętnie. Lubi Genesis, The Who, Yes, Phila Collinsa, U2, Queen... Nie cierpi boysbandów i folka. Jeśli zatem teraz oświadczy pan, że jest wielkim fanem bluesa i Steeley Span, no to kłapa...

– U2 jest najlepszym zespołem świata, a Phil Collins to mistrz, choć jego ostatni album był trochę za łagodny. Za boysbandami nie przepadam, za to folk nie jest zły. Ale na pewno nie zatańczę moreski.

– To dobrze. – Nadal była zdenerwowana i uśmiechała się trochę sztucznie. – W przeciwnym razie to nie miałyby sensu. W tej chwili słuchanie muzyki to jedyne, co robi.

Jak na zawołanie z pracowni dobiegł głos Elli Fitzgerald.

– Ach, właśnie, byłabym zapomniała. Lubi jazz.

Młody mężczyzna pokiwał powoli głową.

– A kto nie lubi – odparł tak uroczyście, że nie wiedziała, czy mówi to na serio, czy się zgrywa.

– Dobrze... Dalej... Pali pan?

– Właściwie nie. Okazjonalnie, na imprezach i tak dalej.

Skinęła głową.

– Jesteśmy niepalący, dlatego nie chcemy, żeby u nas palono.

– Jasne. Nie ma problemu.

– Poglądy polityczne?

Spojrzał na nią zaskoczony i po chwili wzruszył ramionami.

– Niesprecyzowane. Niech każdy wyznaje, co mu się podoba.

– To znaczy, że nie chce pan się określić?

– Przede wszystkim nie chcę, żeby określano mnie. – Wyszczерzył się w uśmiechu. – Moi rodzice byli... są dość zaangażowani, to mi obrzydziło politykę.

Skinęła głową.

– Dobrze to rozumiem. Rodzice skutecznie mogą odebrać człowiekowi wszelką przyjemność.

– A co z pani mężem?

– Chętnie głosi, że wszystkie partie są całkowicie zbędne. Jest zdania, że krajem powinno się zarządzać jak przedsiębiorstwem, a na jego czele powinna stanąć najmądrzejsza głowa, wybierana i kontrolowana przez radę kompetentnych przedstawicieli gospodarki i nauki.

– Chyba często musiała pani tego wysłuchiwać, zgadza się?

– Ups. To aż tak słychać?

– No wie pani, wyklepała to pani w ten sposób...

– Owszem, znam na wylot jego poglądy.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się szczerze i dopiero teraz Dylan zauważył, jaka była ładna. Kiedy otworzyła mu drzwi, dostrzegł tylko jej zmęczone oczy i znużoną twarz.

– Wie pan, czego oczekujemy? Pomocy przy czynnościach higienicznych, ubieraniu i roz-bieraniu, fizjoterapii?

Skinął głową.

– Żadnych obiekcji?

– Znam to ze szpitala.

– Mąż potrafi być czasem... trudny. – Mówiąc to, poczuła się jak wredna suka.

Młody mężczyzna ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Jak każdy z nas – powiedział. – W końcu to zrozumiałe. To cholernie trudne nagle stać się uzależnionym od wszystkich.

– Chciałam sama się nim opiekować, ale... – Nie wiedziała, jak skończyć.

– Czasami łatwiej jest przyjąć pomoc od osób trzecich.

Kiwnęła głową.

Miał całkowitą rację. Niegłupi z niego chłopak.

– Ile pan ma lat?

– Dwadzieścia.

Muzyka umilkła tak samo nagle, jak zabrzmiała. Lily znów uśmiechnęła się nerwowo.

– Sądzę, że teraz powinien mu się pan przedstawić.

Nie mógł nie zauważyć, że zanim otworzyła drzwi, zapukała i zaczekała, aż mąż poprosi ją do środka.

Rozmowę o zatrudnieniu pomocy z zewnątrz przeprowadził z Liamem Peter, nie ona. Lily kompletnie nie umiała ocenić, jaka będzie reakcja męża. Potem okazało się, że przyjął to z całkowitą obojętnością. Na ile była prawdziwa, nie potrafiła powiedzieć, w każdym razie Liam nie zaszczylił Petera nawet spojrzeniem, a na koniec rzucił – najwyraźniej starannie wystudiowane – słowa: „Róbcie, co uważacie za stosowne”.

Okoliczność, iż Dylan został przysłany bezpośrednio przez Duncana Cordaya, nie była zdaniem Lily zbyt sprzyjająca, ale kiedy zorientowała się, że i on – oględnie mówiąc – miał o nim ambiwalentne zdanie, sporo zyskał w jej oczach. Bo mimo jego bezgranicznej uprzejmości jakoś nie potrafiła się do niego przekonać. Miał w sobie coś z ptaka. Drapieżnego ptaka, który wytrwale i intensywnie wpatrywał się w ofiarę i tylko czekał, żeby opaść lotem pikującym i zaspokoić swoje potrzeby kosztem innych.

Dylan pewnym krokiem podszedł do Liama, podał mu rękę i przedstawił się swobodnie, nie zważając na to, że Liam wpatruje się w niego z jawną wrogością.

– Pan Bonner, jak się domyślam. Jestem Dylan. Dylan Thomas.

Liam uniósł nieco brwi i zignorował wyciągniętą dłoń chłopaka.

– Jest pan poetą, panie Dylanie Thomas? – zapytał tak beznamiętnie, że jego słowa zabrzmiały niemal obraźliwie.

– Nie i nie pochodzę z Walii – odparował i wytrzymał niechętne spojrzenie Liama z non-szalancją, która zaimponowała Lily.

– Nie. Sądząc po akcencie, na pewno nie – zgodził się Liam.

W milczeniu zmierzył Dylana wzrokiem i rzekł cicho:

– Więc to pan jest moją nową niańką.

– Jestem tu, żeby panu pomagać, jeśli pan zechce – odpowiedział spokojnie Dylan.

– Czy moja żona odpowiednio już pana przycisnęła, czy ja też mogę?

Lily rzuciła Dylanowi przepaszające spojrzenie, ale on tylko uśmiechnął się uspokajająco.

– Niech pan strzela – zachęcił Liama.

– Jest pan prawo- czy leworęczny?

– Dlaczego?

– Bo chciałbym wiedzieć, czy będzie mi pan podcierał tyłek prawą, czy lewą ręką.

Lily z przerażeniem otworzyła szerzej oczy, ale Dylan tylko na sekundę stracił fason, po czym wyprostował się i popatrzył mu prosto w oczy.

– Ach, jest mi to właściwie obojętne. Ale na pewno nie będę panu włożył w dupę.

Liam odwzajemnił zadziorne spojrzenie, a potem, ku uldze wszystkich, zaczął się śmiać. Tak od serca, aż się trzymał za brzuch. Śmiał się po raz pierwszy, odkąd wyszedł ze szpitala.

– Więc nie włazi pan każdemu w dupę? Dobrze wiedzieć.

Liam wyciągnął do niego lewą rękę, a Dylan uściskał ją bez wahania. Tym gestem przy-
pieczętowali zgodę. Na twarzy Liama malował się uśmiech.

Lily poczuła bezgraniczną ulgę. Dylan mu się spodobał.

Ona sama już się na niego zdecydowała i przez ostatnie minuty drżała, czy chłopak zosta-
nie zaakceptowany przez Liama.

– Kiedy chce pan zacząć? Oczywiście zakładając, że w ogóle chce pan u nas pracować.

– To pana decyzja.

Obojgu na końcu języka leżały słowa „jak najszybciej”, ale Lily pozwoliła, żeby to Liam
je wypowiedział.

Dylan przez kolejne dwa tygodnie zjawiał się w Domu Róż punktualnie o wpół do ósmej. Z taką samą niezawodnością każdego ranka można było zastać w kuchni Lily zajętą parzeniem herbaty, którą Dylan zanosił potem Liamowi. Wzmocniwszy się nią, obaj – Liam w piżamie – zaczęli fizjoterapię, po niej Dylan pomagał Liamowi w łazience i przy ubieraniu. Potem, niezależnie od pogody – a częściej padał deszcz, niż świeciło słońce – chodzili na spacer do wsi. Szczególną frajdę sprawiało im, kiedy wózek Liama chybotął się po kamienistej i wyboistej ścieżce.

Tak wyglądała ich przedpołudniowa rutyna.

Po powrocie wpadali do kuchni na śniadanie. Tak, „wpadali” to właściwe określenie. Z impetem, jak bomba. Dylan nazywał to terapią zajęciową, ale Lily zadawała sobie pytanie, kto tu właściwie był najbardziej zajęty.

Teraz w każdym razie, po ostatniej próbie Liama polegającej na przygotowaniu typowego angielskiego śniadania, to ona była zajęta doprowadzaniem kuchni do stanu używalności. Wszędzie stały brudne garnki i patelnie, puste opakowania i puszki, zużyte talerze i sztućce. Tylko puste filiżanki w tajemniczy sposób trafiły do zlewu. Powietrze było ciężkie od woni smażonego bekonu, kiełbasek i fasolki.

– Zdaję sobie sprawę, jak świadomość, że można coś samemu ugotować, wzmacnia poczucie własnej wartości. Dziwię się tylko, że ta terapia nie obejmuje sprzątanía – poskarżyła się Lily, wyjmując naczynia ze zlewu i napełniając go gorącą wodą.

Dylan rozejrzał się pobieżnie wokół i ze śmiechem puścił do niej oko, wyprowadzając Liama z kuchni. Liam też się do niej odwrócił, ale bez uśmiechu. Tylko patrzył. Za każdym razem, gdy patrzył na nią w ten sposób, zastanawiała się, co myśli. Uśmiechnęła się do niego, ale on odwrócił się i zawołał do pielęgniarki:

– Choć, Dyl, teraz musimy pogimnastykować umysł.

Lily westchnęła, ale postanowiła, że nie pozwoli zepsuć sobie nastroju, i powróciła do zmywania.

Mężczyźni zniknęli w pracowni.

Liam twierdził, że musi gimnastykować umysł tak samo jak ciało i wieczne wyzywał Dylana na pojedynki szachowe albo bombardował go kwizami, żeby przekonać się, który z nich ma większą wiedzę.

Ze strzępków zdań, które wychwyciła, wywnioskowała, że rozmawiają o muzyce. Ich dialog był powtórką rozmowy Lily z Dylanem.

– Phil Collins to mistrz, choć jego ostatni album był dla mnie za łagodny.

– No cóż, w końcu był zakochany, nie?

– Więc zakochany facet mięknie?

– Czasami tak. Ty nie?

– No, ja tam raczej twardnieję.

Lily usłyszała śmiech Liama i sama nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nie tyle z powodu sprośnego żartu Dylana, co z radości, że mąż znów umie się śmiać.

Każdego dnia na nowo dziękowała Bogu za to, że zesłał im Dylana. I Petera. A nawet Duncana Cordaya.

Odnosiła wrażenie, jakby długi czas męczyła się dźwiganiem w pojedynkę ogromnego ciężaru, a potem pojawił się ktoś, kto chwycił ten ciężar z drugiej strony. Nie potrafiła opisać

ulgi, że obaj mężczyźni tak dobrze się rozumieli. Oficjalna relacja prędko przerodziła się w przyjaźń.

Kiedy ona oferowała pomoc Liamowi, traktował ją szorstko. Z rąk Dylana przyjmował niemal wszystko.

Chłopak znacznie ułatwił jej życie, ale nie mógł wpłynąć na trudności, w jakich tkwiło ich małżeństwo. Głupi mały rysunek i parę słów skreślonych na kalce wyrządziło szkodę, której nie było łatwo naprawić. Komunikacja między Lily a Liamem była szczątkowa, sztuczna, niekiedy zaprawiona goryczą.

Dylan powinien właściwie kończyć pracę w południe, ale z czasem utarło się, że zostawał do popołudnia. Ledwie wychodził, Liam zamykał się w pracowni i wynurzał z niej dopiero wtedy, gdy Lily wołała na kolację. Obojętnie, która była godzina, zjadał swoją ptasią porcyjkę albo tylko przesuwiał jedzenie po talerzu. Potem zaczynał ziewać i demonstrował, jaki jest zmęczony. Lily pomagała mu się położyć do łóżka, gdzie pozostawał tam do przyjscia Dylana o wpół do ósmej następnego dnia.

W weekendy odwiedzał ich Peter i przejmował rolę Dylana – z tą różnicą, że zostawał na kolację i nie dopuszczał, aby Liam chodził spać w porze dobranocki. Pilnował, żeby Liam kładł się spać później.

We troje przesiadywali przy kuchennym stole, rozmawiając, pijąc wino lub herbatę albo kawę i opowiadając kawały. Kiedy Lily widziała, jak swawoli z Peterem, solennie przyrzekała sobie, że przywróci ich związkowi dawny luz. Miała nadzieję, że z czasem będzie łatwiej, ale teraz, kiedy Liam nie był już tak bardzo zdany na jej pomoc, emocjonalnie jeszcze bardziej trzymał ją na dystans.

Czasami była naprawdę zazdrosna, że Dylan jest z nim tak blisko. Tak, kiełkowała w niej absurdałna zawiść, kiedy widziała, że Liam tak chętnie rozdaje innym uśmiechy i dotyk, którego konsekwentnie jej odmawiał.

Liam dziękował losowi za Dylana Thomasa. Kiedy Peter wystąpił z propozycją zorganizowania kogoś do pomocy, leżało mu na ustach parę kąśliwych uwag, ale na szczęście powstrzymał się od nich. Nigdy by tego otwarcie nie przyznał, ale decyzja o zatrudnieniu profesjonalnej pomocy była jak najbardziej właściwa.

W gruncie rzeczy wiedział, że zachowuje się obrzydliwie, ale nie potrafił tego zmienić. Czuł, że ma rację. Jednocześnie czuł, że wszystko robi nie tak. Zderzenie się tych całkowicie odmiennych emocji nie zwiększało poczucia komfortu. Nie wiedział, który ból doskwierał mu bardziej: fizyczny czy psychiczny.

Dylan był jak światełko w tunelu. Był lepszy niż jakiegokolwiek przepisane przez lekarzy lekarstwo na ból. Wnosił odmianę do codziennej rutyny, bawił go, był taki niefrasobliwy. Mógł robić z nim wszystko.

Pierwszy tydzień był burzliwy. Chociaż Liam postanowił, że nie będzie tego robił, stawał mu się. Negował wszystko, co Dylan mówił albo proponował, aż w końcu któregoś dnia chłopak odwrócił się i oznajmił ze stoickim spokojem:

– Wie pan co, gdyby przestał pan podnosić raban przez byle błahostkę, mógłby pan naprawdę poczynić spore postępy. Przecież chce się pan tego pozbyć, prawda?

Ruchem głowy wskazał na wózek, a w jego spojrzeniu kryła się taka sama pogarda, jaką Liam czuł do tego urządzenia będącego jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem.

Liamowi odjęło mowę. Potem jednak wiele się zmieniło na lepsze. Wprawdzie nadal niełatwo mu było pogodzić się z tym, że komenderował nim chłopak, który mógłby być jego sy-

nem, ale musiał przyznać, że ten chłopak naprawdę wiedział, co jest dla niego najlepsze.

Po tej konfrontacji opracowali nowe rytuały, które podobały mu się o wiele bardziej niż stare.

Teraz znów bawili się w muzyczny kwiz. Na przemian puszczali na skomplikowanym sprzęcie kawałki z płyt i kazali zgadywać przeciwnikowi, kto śpiewa.

Wyglądało na to, że Liam zwycięży. Dylan głośno narzekał na ostatnią zagadkę.

– Ach, do dupy z tym, Liam. Znam ten kawałek, ale nie mam pojęcia, ani jaki jest tytuł, ani kto to śpiewał.

– Czy to znaczy, że się poddajesz?

– Daj mi jeszcze parę sekund... Nie. Nie. Cholera, to może być... Pewnie zaraz palnę sobie w łeb, ale mów...

– Primal Scream, „Rocks”.

– W życiu bym na to nie wpadł. Okej, twoja kolej. Zobaczymy, ile potrwa, zanim zgadniesz to...

Parę sekund później Liam zawył triumfalnie.

– Rany, to przecież dziecinnie proste. Co ty myślisz, że ile ja mam lat? Sześć? To oczywiście Queen, „Bohemian Rhapsody”. Weź, Dylan, wysił się trochę.

– Okej. Dylan Thomas podejmuje wyzwanie.

Dylan przekopywał drewniane skrzynki, w których Liam przechowywał okazałą kolekcję albumów, zieleniąc z zazdrości wobec jej liczebności i jakości starej, ale znakomitej wieży Bang & Olufsen.

Zbliżyła ich muzyka i podobne poczucie humoru, a nić porozumienia wzmocniła się dzięki temu, że Dylan nie pozwalał dmuchać sobie w kaszę.

Pracownia stała się czymś w rodzaju ich bazy. Tam, gdzie kiedyś panowały funkcjonalność i prostota – deska kreślarska, kanapa, półki pełne literatury fachowej i instrukcji obsługi, antyczna dębowa szafa na plany, którą dostał od Lily na trzydzieste urodziny – teraz nadawały ton płyty i kompakty, wieża stereo, czasopisma, literatura piękna, fotel, telewizor i odtwarzacz DVD.

Zawsze kiedy Dylan zostawał dłużej, zaszywali się w tym pokoju i rozgrywali swoje młodzieńcze konkurencje.

Dylan wziął z półki płytę, upewnił się, że Liam nie podgląda, i włączył.

– Coldplay, „Clocks”! – wykrzyknął Liam już po pierwszych taktach. – Nieźle, ale nie dość dobrze.

– Szlag. No to jeszcze jeden.

– Nie, nie, koleżko. Teraz moja kolej. Zgadywałem dwa razy z rzędu. I dwa razy wygrałem.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał Liam.

– Dobra, to teraz mi powiedz, co to jest.

Rozległ się gitarowy riff. Dylan odchylił się na oparcie, skrzyżował ręce za głową i uśmiechnął się arogancko.

– To ma być trudne, panie Bonner?

– Co? Znasz to? Jesteś na to o wiele za młody.

– Zgadza się. Poskarż się moim rodzicom.

– Więc?

– „Owner of a Lonely Heart”, Yes. Cholernie dobry kawałek.

– Racja. Cholernie dobry kawałek.

Puścili piosenkę dalej i słuchali w milczeniu. Podjęli rozmowę dopiero, kiedy zaczęła się następna. Zapomnieli o kwizie.

– Ile ty właściwie masz lat, Liam?
– Lily ci jeszcze nie zdradziła? Myślałem, że wiesz już o mnie wszystko.
– No, owszem, wiem to i owo, ale na pewno nie wszystko.
– Czego dowiodłeś w ciągu ostatniej godziny.
– Ha, ha. Więc?
– Więc co?
– Ile masz lat?
– Trzydzieści osiem.
– Poważnie? Kuźwa. Jesteś okropnie stary.
– No, uważaj sobie.
– Ale to prawda. To znaczy, że jesteś osiemnaście lat starszy ode mnie. Kurczę, Liam, jesteś dwa razy starszy ode mnie. Mógłbyś być moim ojcem.
Zapadło krótkie milczenie i Duncan już się zaczął obawiać, że posunął się za daleko. Ale w tym momencie na twarzy Liama pojawił się szeroki uśmiech.
– Zapomnij o tym. Jesteś zbyt brzydki, żeby być moim synem.
Roześmiali się, a potem znowu zamilkli. W końcu Dylan popatrzył na Liama i prychnął.
– Trzydzieści osiem – powiedział z niedowierzaniem i pokręcił głową. – Prawie czterdziecia. Nic dziwnego, że tak cię kręcą stare kawałki, chłopie. Naprawdę mógłbyś być moim ojcem. Chyba zacznę do ciebie mówić „tato”.
Ostatnia uwaga boleśnie ukłuła Liama, ale zdołał to zignorować. Z udawaną złością utkwiał wzrok w Dylana.
– A ja zacznę cię chyba nazywać pustakiem. A teraz gęba na kłódkę, dawaj następny krążek.

Lily włączyła mały telewizor w kuchni. Leciał jakiś beznadziejny talk-show, w którym świętoszkowata, zbyt ostro umalowana moderatorka próbowała przekonać zastraszoną kurę domową, żeby odeszła od swojego niewdzięcznego, niewiernego małżonka.

Zrobiło jej się żal tej drobnej kobiety, ale nie potrafiła zrozumieć, dlaczego niektórzy mają taką wielką potrzebę roztrząsania swoich prywatnych problemów publicznie, w telewizji. Zdawała sobie sprawę, że gdyby była konsekwentna, wyłączyłaby telewizor, ale mimo to nadal przysłuchiwała się rozmowie. Było oczywiste, że powinna jak najprędzej rozstać się z mężem i ułożyć sobie życie na nowo – Lily zaczęła nawet głośno sekundować publiczności. Rozbawiło ją to i poczuła prawdziwą ulgę, kiedy w końcu ogromna baba w kwiecistej sukience podniosła się z miejsca w pierwszym rzędzie i bez ogródek zawyrokowała, że kobieta powinna opuścić nieroba.

„Dziwne – przemknęło jej przez głowę, kiedy spuszczała brudną wodę po zmywaniu i nalewała świeżą – jak wyraźnie człowiek dostrzega i ocenia problemy innych, podczas gdy we własnym ogródku błądzi jak dziecko we mgle”.

Może sama też powinna zaciągnąć Liama do talk-show i oddać się w ręce armii zwalających bab w kwiecistych kieckach, wykrzykujących rady. Wyobraziła sobie taką scenę: ona i Liam spowiadający się uprzedzonej do nich widowni z problemów małżeńskich.

Oczywiście, że to była żaloszna wizja, ale może wcale nie byłoby źle, gdyby rzeczywiście ktoś przejął rolę mediatora. W tej chwili Liam opacznie rozumiał wszystko, cokolwiek mówiła. W gruncie rzeczy do błahej wymiany zdań potrzebowała kogoś w rodzaju tłumacza. Natychmiast pomyślała o Peterze. Tylko że nie byłoby fair wciągać go w to akurat teraz, miał i tak dość spraw na głowie. Sprowadził Liama do Kornwalii, bo się obawiał, że sam nie upora się z tym gigan-

tycznym projektem – a teraz nie miał innego wyjścia. Ostatnim razem, gdy się widzieli, to ona zasypała go pełnymi troski uwagami na temat mizernienia i braku snu. Obciążanie go teraz jej prywatnymi problemami byłoby nie w porządku.

Dobrze. Gdyby przyjrzała się swojej sytuacji trzeźwym okiem osoby postronnej, co by sobie doradziła? Może, żeby przestała tak bardzo się skupiać na tym, jakie konsekwencje wypadek Liama miał dla niej, a bardziej na tym, co to oznaczało dla niego samego. A może wcale nie powinna się na nim skupiać... W tym prawdopodobnie problem, że miotła się między dwiema skrajnościami. Raz traktowała go jak niepełnosprawnego, innym razem tak, jakby nic się nie stało. Może powinna postarać się znaleźć złoty środek? Nie brać sobie do serca opryskliwości, tylko robić swoje i mieć nadzieję, że sytuacja zmieni się na lepsze.

Przede wszystkim jednak – obiecała sobie solennie, dolewając gorącej wody do zlewu i biorąc się za wyjątkowo zabrudzoną patelnię – kupi zmywarkę. Kiedy pomieszczenie, które miało właściwie mieć charakter pomieszczenia gospodarczego, przerobiono na łazienkę dla Liama, sądziła, że na zmywarkę nie będzie miejsca. Ale jeśli panowie codziennie będą zostawiać po sobie takie pobojuwisko, to znajdzie na nią wolny kąt. „Przynajmniej mogła się na coś przydać”, pomyślała, z westchnieniem biorąc do ręki druciak, żeby rozprawić się z przypalonym tłuszczem.

Lily kompletnie się wyłączyła i przestała słyszeć muzykę i rozmowy dochodzące z pokoju męża, więc kiedy dobiegło ją wołanie Liama, drgnęła przestraszona.

– Lily! Lily, musisz mi pomóc!

Upuściła z pluskiem druciak i popędziła do pokoju.

– Co? Co się stało? – Wpatrywała się w niego z lękiem, który ogarnął ją na widok jego wykrzywionej twarzy.

– Jak się nazywa ta piosenka? Chyba oszaleję. Znam ją, ty też ją znasz. Wiem, rany, zaraz mnie skreśli!

– To wszystko? To dlatego mnie wołałeś? – W jej otwartych szeroko oczach widniały troska i gniew. – Myślałam, że coś się stało! Myślałam, że sobie coś zrobiłeś!

– Uszy pękają mi z bólu. To nie wystarczy? Wiesz przecież, że nie trawię popowej sieczki.

Wydął wargi.

W tym momencie coś w niej pękło i roześmiała się. Poczowała radość, że poprosił ją o pomoc, a szczególnie cieszył ją fakt, że chodziło o coś tak trywialnego.

Z uśmiechem przeniosła wzrok na siedzącego z wyniosłą miną Dylana.

– Mogę mu powiedzieć?

– Ale to będzie oznaczało przegraną w tej rundzie. Liam?

– Proszę, proszę, powiedz mi i zakończ ten gwałt na moich narządach słuchu!

– To Whigfield, „Saturday Night”.

– Kto?

– Tylko nie mów, że nie pamiętasz! Grali to do obrzydzenia w 1994 roku, gdy jeszcze byliśmy młodzi i imprezowaliśmy do białego rana na Ibizie.

– Ach, cholera, jasne. Dzięki, Lily.

– Nie ma za co.

Ledwie odwróciła się do nich, zaczęli się sprzeczać jak uczniacy.

– To było wbrew regułom, Dylan.

– Słucham? A jaką regułę zламаłem?

– Gramy w kwiz muzyczny, a ten łomot to raczej nie jest muzyka.

– Dobra, w takim razie wrzucę coś innego.

– Ach, znowu chcesz przeskoczyć kolejkę?

– Przecież sam powiedziałaś, że ten kawałek nie powinien się liczyć. Tylko dlatego, że nie jest z twojej epoki.

– Mojej epoki?

– Pewnie. I epoki Mozarta.

– Zaczynasz trząść dupą, bo przegrywasz.

– Ach, zamknij się, tato.

O wpół do czwartej nadal siedzieli w pracowni. Lily rozważała, czy zabrać się w końcu za mycie okien, i sama się dziwiła, jaka kura domowa się z niej zrobiła, a potem z przerażeniem uzmysłowiła sobie, że zapomniała uregulować długi w galerii we wsi. Minęły tygodnie, odkąd przyniosła obraz, który wisiał teraz w pokoju Liama. Abi nie wspomniała o nim ani słowem.

Lily wetknęła głowę do pracowni i popatrzyła na Dylana.

– Długo jeszcze zostaniesz?

– Chcesz się mnie pozbyć?

– Bzdura, chciałam się tylko upewnić, czy mogę podskoczyć na chwilę do wsi, zanim pójdziesz.

– Żaden problem... Pójdę dopiero, jak wygram.

– No to jeszcze trochę tu posiedzisz – prowokował go Liam.

I obaj powrócili do muzyki.

Lily ubrała się i wyszła na zewnątrz, na słońce.

Wieś była jak odmieniona. Słońce tchnęło w nią nowe życie. Nie tylko zewsząd buchała zieleń i dochodził świergot ptaków, ale z domów zaczęli wynurzać się ludzie, jakby zbudzili się z zimowego snu albo powrócili z ciepłych krajów.

Wszystkie pozamykane na zimę sklepy pootwierzały zakurzone okiennice i drzwi.

Już z daleka dostrzegła, że stary pensjonat tętni życiem. Tym razem oblegali go nie tylko dyżurni miejscowi, ale i wycieczkowicze, których piękne słońce zachęciło do paradowania w koszulkach z krótkim rękawem, a przezorność – do zabrania ze sobą kurtek przeciwdeszczowych.

Ostatni odcinek do galerii Lily pokonała truchtem. Abi, z burzą rudych włosów przewiązaną jedwabnym szalem, uzbrojona w młotek wieszła na piętrze nowe obrazy.

Anna siedziała za ladą i piłowała paznokcie.

– Jest mi niezmiernie przykro – zaczęła prosto z mostu Lily. – Kompletnie wypadło mi z głowy, że miałam zapłacić za obraz... Boże, jaki wstyd... Przyniosłam pieniądze... Dziewięćdziesiąt funtów, prawda?

Anna pokręciła głową.

– Pani Hunter mówi, że obraz za sześćdziesiąt. – Dziewczyna uśmiechała się dziwnie.

– Ach, to naprawdę bardzo miłe z jej strony, ale nie mogę się na to zgodzić.

– Ona nalegiwa. – I odwróciła się do kasy, żeby wbić kwotę sześćdziesięciu funtów.

– Ale ja nie mogę tego przyjąć... – mitygowała się Lily, ale tym razem sprzeciw spłynął z góry.

– Ależ oczywiście, że pani może. Rabat pracowniczy.

– Jest mi tak wstyd, to już ponad miesiąc...

– Niech się tym pani nie przejmuje. Przecież wiem, że ma pani dość innych spraw na głowie.

– To nie jest żadne usprawiedliwienie.

– Cóż, dla mnie jest i to piekielnie dobre.
Abi zeszła z drabiny, zbiegła po schodach i zaskoczyła Lily, biorąc ją nagle w ramiona.
– No dobrze, skoro tak pani uważa – bąknęła Lily skonsternowana tym serdecznym powitaniem.
– Owszem, uważam. – Abi puściła ją i opromieniła uśmiechem.
Zażenowana Lily wyjęła pieniądze i odliczyła trzy banknoty dwudziestofuntowe.
– Ja... znaczy, naprawdę bardzo dziękuję... Nie musiała pani... To niezmiernie miłe...
– Cała przyjemność po mojej stronie. Prawdę mówiąc, za każdym razem, gdy ktoś kupuje pracę Nathana, szaleję ze szczęścia.
– Musi być pani z niego bardzo dumna.
– Jasne – przyznała szczerze. – To chyba dobrze, prawda? Ale poważnie, nie mam pojęcia, po kim on to ma. Sama nie miałabym nic przeciwko temu, żeby moja artystyczna żyłka była nieco wydatniejsza, ale skończyło się na tym, że sprzedaję sztukę tworzoną przez innych. I tak jest lepiej. Cóż, po ojcu raczej też jej nie odziedziczył...
Urwała i nachyliła się poufale do Lily.
– Coś pani zdradzę: kiedy Nathan był mały, jego ojca niemal nigdy nie było w domu, a jeśli już się zjawiał, to tylko po to, żeby bruździć. I dobrze, chłopak i tak wyrósł na człowieka i to takiego, z którego jestem cholernie dumna, ot co. To na wypadek, gdyby pani jeszcze tego nie zauważyła. – Zatrzepotała rękami. – Przepraszam, ale kiedy już mam okazję rozwozić się na ulubiony temat, to nic nie jest w stanie mnie powstrzymać.
Umilkła jednak, uważnie przypatrując się Lily, w sposób, jaki patrzyła jej matka po długim okresie niewidzenia się.
– Do jasnej Anielki, ależ chce mi się herbaty! – stwierdziła nagle. – Miałaby pani ochotę na filiżaneczkę?
Lily zawahała się.
– Właściwie powinnam zaraz wracać...
– A niewłaściwie? Naprawdę potrzebuję kogoś, kto jeszcze nie zna na pamięć tych wszystkich historii, a tak bardzo chciałabym się pochwalić cudownym synem... – zażartowała Abi, a w jej wzroku wymalowało się takie rozczarowanie, że Lily natychmiast się wycofała.
– No dobrze, w porządku, ale muszę zadzwonić do domu, czy nic nie stoi na przeszkodzie.
Wyszła na zewnątrz i wydobyła z torebki komórkę. Z ulgą stwierdziła, że ma zasięg, i zadzwoniła do Liama. Odebrał Dylan, wesoły jak skowronek.
– Jasne, nie ma problemu – zapewnił, kiedy oznajmiła, że trochę jeszcze jej się zejdzie. – Właśnie zaczęliśmy nową partię szachów, a nie wyjdę stąd, dopóki przynajmniej raz go nie pokonam.
W tle usłyszała docinki Liama.
– Dobrze jest czasem pomarzyć, Dylan...
– Więc mogę?
– No pewnie. Najwyższa pora, żebyś wyszła do ludzi i trochę się zabawiła.
– Idę tylko na herbatę, Dylan.
– Wierzę, ale nawet na herbatę nie wychodziłaś chyba od dłuższego czasu, prawda?
Miał rację. Kiedy ostatnim razem poszła na kawę z przyjaciółką? Szpitalna brunatna lura w plastikowym kubku, którą ledwie zmoęła w towarzystwie Petera, raczej się nie liczyła. To musiało być jeszcze w Londynie. Tuż przed przeprowadzką. Z Ruth. Ruth dzwoniła do niej niedawno, a Lily nadal nie udało się do niej oddzwonić.
Za jej plecami wyrosła Abi uzbrojona w kurtkę i torebkę.

– Załatwione?
– Dostałam wychodne – przytaknęła.
– Wspaniale! W takim razie idziemy do Port Hole, najlepszej restauracji przy placu, i spędzimy wspaniałe popołudnie przy herbacie!
– Do Port Hole? – zdumiała się Lily.
– Nie zna pani Port Hole? Na serio? Naprawdę wiodła pani żywot pustelnicy, co?
– Ale i tak wszystko było pozamykane.
– No racja, zimą naprawdę jest tu beznadziejnie. Poznała pani Merrien Cove w najgorszej porze roku. Niedawno pewien dobry przyjaciel dał mi mądrą radę, żebym, zanim osiadę tu na stałe, przyjechała kiedyś w styczniu. Latem jest tu przepięknie, słońce, plaża, mnóstwo ludzi, miłe knajpki, spacer, przyroda, sklepy. Ale na początku roku... nie ma porównania. Można by sądzić, że to dwa różne światy.

Wzięła pod rękę Lily, która zdumiała się, jak bardzo wzruszył ją ten przyjacielski gest.

– Przepraszam, że dopiero teraz przyszedłam z zapłatą za obraz. Zapewne posądzała już mnie pani o kradzież.

– Bzdura. W ogóle o tym nie myślałam, do momentu, gdy zjawiała się pani w sklepie. Jestem pewna, że miała pani ważniejsze sprawy na głowie. Jak się czuje mąż?

– Ach... tak sobie.

Abi czekała na więcej, ale ponieważ Lily milczała, ciągnęła dalej.

– Właściwie chciałam zająć jeszcze raz do pani, ale pomyślałam, że teraz, kiedy mąż jest już w domu, może nie życzy sobie pani takich niezapowiedzianych wizyt...

– Trzeba było wpaść. Cieszę się z każdego gościa.

– No dobrze. To już wiem, że jestem mile widziana.

– O każdej porze.

Gawędząc, wolnym krokiem szły nabrzeżną trasą.

W połowie drogi Abi niespodziewanie skręciła w prawo i poprowadziła Lily przez niską bramę, która jeszcze nigdy nie rzuciła jej się w oczy.

Wąska uliczka wiodła między domami ku położonej wyżej ulicy kończącej się ślepo na drugim krańcu wsi.

Jakieś sto metrów dalej po lewej stronie znajdował się trzypiętrowy kamienny dom z widokiem na dachy Merrien Cove i ręcznie malowanym szyldem z napisem The Port Hole.

– Nawet nie wiedziałam o istnieniu tego miejsca.

Lily podziwiała żółte kamienie i panoramiczne okna.

– Latem na ulicy w dole stoi drogowy znak, ale zimą lokal jest zamknięty, jak wszystko w Merrien Cove.

Abi powoli otworzyła niskie drzwi i skłoniwszy głowę, weszła do środka.

Rozległ się wysoki, czysty dźwięk staroświeckiego mosiężnego gongu.

Lily wchłonęła w siebie zapach domu. Unosiła się w nim ciężka, słodka woń cynamonu i wanilii, wydzielana przez świece i wypieki.

Na wszystkich trzech piętrach podłogi były wyłożone płytkami, a ściany utrzymane w odcieniu złotawej ochry.

Abi zaprowadziła Lily na samą górę, gdzie wyszukała stolik przy oknie z widokiem na całą zatokę. Lily przyglądała się plaży i widniejącemu w oddali klifowi. Na zwieńczonych pianą falach szaleli spragnieni słońca surferzy.

– Przepięknie tu – stwierdziła z uśmiechem, a jej towarzyszka serdecznie odwzajemniła uśmiech.

– Zobaczmy, co pani powie, kiedy skosztuje tutejszych dań. – Po koleżeńsku przywitała

się z rosłą, młodą blondynką, która podeszła do nich z kartą dań. – Witaj, aniele, jak się masz dzisiaj? Lily, to jest Lorna, jest tu szefową. Lorna, to jest Lily. To ona kupiła z mężem Dom Róż.

– Szczęściara z pani! – Lorna z promienną miną wręczyła Lily kartę. – To dom moich marzeń! Ma najpiękniejszy widok!

– I najlepszą sąsiadkę na świecie – dodała żartem Abi.

Na ścianach wisiały stare fotografie Merrien Cove. Na jednej z nich zobaczyła osobę, która skądś wydała jej się znajoma. Upłynęło parę minut, zanim wpadła na to, że młody mężczyzna, stojący w porcie przy rybackiej łodzi niczym krzepki i dumny dąb, to Proctor w młodości.

– O, Boże, to przecież...!

– Proctor – dokończyła Abi ubawiona jej zdumieniem. – Był z niego chłop na schwał, co? Ha, gdyby był młodszy o osiemset trzydzieści dwa lata...!

Zamiast kwiatów w wazonikach z mlecznego szkła tkwiły rozmaite trawy i gałązki roślin z okolicy. Niektóre z nich kwitły bladioróżowo. Wszystkie sprzęty były drewniane, z ciemnobrązowej, surowej dębiny. Stoliki sprawiały solidne wrażenie, a siedzenia krzesel obite były tkaniną w kolorach złota, terakoty i rdzy.

W tle cicho brzęczał jazz. Lily natychmiast pomyślała o Liamie. W Londynie często puszczały jazz do kolacji w ogrodzie... Zrobiło jej się melancholijnie na duszy.

– Wszystko w porządku? – Abi zmrugała oczy na widok tęsknoty malującej się na twarzy znacznie młodszej towarzyszki.

Lily zamrużyła powiekami i zmusiła się do uśmiechu.

– Tak, dzięki. Przyszło mi tylko do głowy, jak tu cudownie.

– Dziękuję.

– Dziękuję? Chce pani powiedzieć, że należy do pani nie tylko galeria, ale i ta restauracja?

– Nie całkiem, ale w połowie – przytaknęła.

– Więc nie jest pani artystką należącą do bohemy, tylko kobietą interesu... – skomentowała z uśmiechem Lily.

– Ach, jak chętnie zostałabym pełnokrwistą artystką z bohemy – odparła, szczerząc się. – Ale w naszych nowoczesnych czasach jest to dość idealistyczna wizja, od której dość prędko się dystansuje matka samotnie wychowująca dziecko. Dzieci potrzebują stabilnej sytuacji, a ponieważ ojciec Nathana nigdy nie mógł mu tego zapewnić, to musiałam ja.

– Więc nie jesteście razem?

– Nie, już od dawna nie.

– Co się stało? Jeśli wolno spytać...

– Charles pochodził z bardzo zamożnej rodziny, ja nie – stwierdziła lakonicznie. –

Zamożna arystokracja kontra biedna mysz kościelna... Jego rodzina nigdy mnie nie akceptowała i dała mi to wyraźnie odczuć w ciągu tych dwóch lat, kiedy się z tym zmagaliśmy. W końcu postawił na swoją rodzinę, skreślając mnie i syna.

– To straszne.

– Nigdy nie wzięliśmy ślubu.

– I co z tego? Opuścił panią. To tak samo podłe ze ślubem czy bez ślubu.

– Cieszę się, że pani też tak to widzi. Jego rodzina widziała to mianowicie zupełnie inaczej. Co zakrawa na paradoks, bo ostatecznie ta moja nieustannie wytykana mi postępowość wyszła im na dobre. Bo dzięki temu, że niewiele sobie robię z instytucji małżeństwa, ich cudowny syn łatwiej wyrwał się z moich szponów – i nie jest rozwiedziony, a więc naznaczony stygmatem.

– To musiało być dla pani straszne.

– Owszem, było. Wtedy. Wiem, że wtedy go jeszcze bardzo kochałam, ale na szczęście już dawno zapomniałam dlaczego. – Roześmiała się swobodnie, a Lily jej zawtórowała.

– Co się z nim stało?

– Ach, ożenił się. Z dobrą partią. Jakąś szanowaną dziewczyną z dobrej rodziny. Ma z nią dzieci, ale Nathan nigdy ich nie poznał.

– Z własnego wyboru?

Westchnęła i zamyśliła się chwilę.

– Wie pani co, nie jestem do końca pewna. Wydaje mi się, że próbował raz nawiązać z nimi kontakt, ale co z tego wyszło... nie mam pojęcia. Może to okropne, że tego nie wiem, ale za każdym razem, gdy ostrożnie o to pytam, zbywa mnie albo zmienia temat. Jest w tym mistrzem.

– Typowy mężczyzna – skwitowała Lily z taką zapalczywością, że Abi aż popatrzyła na nią ciekawie.

– A co z panią?

– Co ma ze mną być?

Abi zauważyła, że Lily zareagowała z pewną czujnością.

– No cóż, zna pani moją mroczną przeszłość, ale co z pani przeszłością? Nie mówię, że również musi być mroczna, ale jeśli tak, to nadstawiam ucha!

Abi uśmiechnęła się szelmowsko, na co Lily tylko się roześmiała i wzruszyła ramionami.

– Ach, tu nie ma wiele do opowiadania.

– W to już nie uwierzę. Proszę mi opowiedzieć o sobie i Liamie. Jak długo jesteście ze sobą?

– Jesteśmy małżeństwem od dość dawna. Odkąd skończyłam dziewiętnaście lat.

– To się nazywa naprawdę młoda panna młoda.

– Wydawało nam się to wówczas właściwe i nigdy tego nie żałowałam... – Głos jej się załamał.

„Aż do teraz”. Lily wprawdzie nie wypowiedziała tych słów, ale Abi i tak je usłyszała.

– Jak się miewa twój mąż? – zapytała jeszcze raz.

Lily zawahała się.

– Dobre pytanie... – Chciała się zaśmiać, ale śmiech uwiązł jej w gardle.

Spuściła wzrok.

– Chorzy faceci potrafią być upierdliwi, prawda? Jak duże dzieci...

Lily skinęła głową.

– Ma pani dzieci? Tak mnie pochłonęło rozprawianie o mojej latorośli, że nie zapytałam o to pani!

Uśmiechnęła się zachęcająco.

Lily znów się zawahała. Jej usta uformowały bezgłośnie słowa, które nie chciały wydobyć się z gardła. I kiedy Abi zaczęła przeproszać, jeśli niechcący dotknęła ją tym pytaniem, Lily potrząsnęła głową.

– Nie, nie mamy dzieci – odparła, a na jej twarzy wymalowało się takie cierpienie, że Abi nakryła lekko ręką jej dłoń.

– Nie chciałabym się narzucać i wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale jeśli chce pani pogadać, to potrafię słuchać. To może się wydać pani absurdalne, biorąc pod uwagę to, jak trajkoczę cały czas, ale naprawdę umiem słuchać. W każdej chwili może pani na mnie liczyć.

– Dziękuję.

Abi odniosła wrażenie, że lepiej będzie zmienić temat, i skupiła się na karcie dań.

– Ma pani ochotę na coś więcej niż herbatę? Może coś na ząb? Co pani na to?

Lily, zadowolona ze zmiany tematu, sięgnęła po kartę.

– Czy to nie za późno na obiad?

– Ściśle rzecz biorąc, tak, ale ponieważ to jesteśmy my... Bycie właścicielką restauracji ma pewne plusy... – Puściła do niej oczko. – Nie mam problemu z tym, żeby opychać się ciastem, ale w tej chwili mam niepohamowaną chęć na lazanie Boba. Przyrządza wprost niebiańską...

– Bob jest kucharzem?

– Sporadycznie, jak mu się chce. Gotowanie to jego pasja. Czasem, kiedy kucharz ma wolne, lubi przepasać się fartuchem i sam stanąć do garów. Ale ma też „normalną” pracę. Jest właścicielem księgarni w Truro. Cudowny lokal: w połowie sklep, w połowie kawiarnia, można przycupnąć i poczytać najnowszego R.J. Ellory’ego, pałaszując przy tym ogromny kawał czekoladowego ciasta Boba, które smakuje jak sam grzech.

– Brzmi nieźle.

– Bo jest... Myślę, że spodobałoby się tam pani. Może kiedyś razem podjedziemy? Jeśli pani mąż obędzie się pół dnia bez pani...

– Obędzie się, na pewno. Chętnie.

Abi rzuciła jej promienne spojrzenie, ale potem coś za plecami Lily przykuło jej uwagę. Pojaśniała jeszcze bardziej i z piskiem poderwała się z krzesła.

– Wróciłeś! Kiedy przyjechałeś?

Lily obejrzała się. Do stolika z otwartymi ramionami zbliżał się zadbany pięćdziesięciolatek, wysoki i mimo łysiny dość przystojny.

– Ach, Lily... – Abi obróciła się do niej w przepaszającym geście. – To Bob. Bob, jesteś wreszcie!

W okamgnieniu była przy nim i rzuciła mu się na szyję, jakby się nie widzieli dobrych parę lat.

„Wcale nie wygląda na geja”, pomyślała Lily i zaraz się skarciła w duchu za swoje uprzedzenia. Chociaż... Mężczyzna był bardzo zadbany, nosił okulary na łańcuszku, miał sweter od Ralphi Laurena narzucony na koszulkę polo... W dodatku i sweter, i spodnie były w różnych odcieniach fioletów.

Bob i Abi trzymali się za ręce. Pomijając to, jakie relacje ich łączyły, Lily zazdrościła im niewymuszonego i poufalego kontaktu. W końcu Abi odwróciła się i wyciągnęła rękę ku Lily.

– Bob, chciałabym przedstawić ci Lily. Lily, to jest niesamowity Bob, tak samo słodki i cudowny jak jego ciasta.

Bob jaśniał jak sklep z lampami. Uścisnęła mu dłoń.

– Lily... bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. Już tyle o pani słyszałem.

To powiedziawszy, przyciągnął ją do siebie i objął.

Lily, początkowo lekko skonfundowana, ucieszyła się jego serdecznością.

Przysiadł się do stolika, jadł i śmiał się razem z nimi i prędko dopilnował, żeby przeszli na ty. Lily coraz bardziej się rozluźniała i upajała cudownym towarzystwem, aż w końcu parę godzin później, z błogim poczuciem szczęścia, dosłownie uskrzydłona nową znajomością, ruszyła do domu. Czowała przyływ nowej energii.

Lily!

Głos Liama odbił się echem w korytarzu z siłą, jakiej nie spodziewała się po jego kiepskiej kondycji.

Lily kroiała właśnie marchew na potrawkę i zastanawiała się, jakby to zostało przyjęte, gdyby po raz czwarty z rzędu zaprosiła Dylana na kolację.

Coraz silniej utwierdzała się w przekonaniu, że Dylan jest darem niebios: silny, cierpliwy i obdarzony poczuciem humoru, które aż się gryzło z jego spokojnym wyglądem. Liam był w jego obecności przystępniejszy, bardziej wyluzowany i pogodny. Taki jak dawniej.

Ostatnio zaczęła coraz bardziej się martwić, że konsekwencje wypadku Liama mogą znacznie wykraczać poza uszczerbki fizyczne. Jakiś czas temu szperała nocą w internecie i znalazła artykuł traktujący o skutkach, jakie może mieć ciężki wypadek dla psychiki człowieka. Wzmózona agresja, obniżony próg tolerancji. Coraz bardziej się obawiała, że właśnie to działo się z Liamem, a jednocześnie obserwowała, że taki chimeryczny jest tylko w stosunku do niej.

Na przykład dziś. Lily z samego rana zaniósła mu do pokoju herbatę. Nie spał już i czytał w łóżku, ale kiedy zapukała, nie odezwał się, a kiedy w końcu nieproszona weszła do środka, przywitała się i postawiła herbatę na nocnej szafce, nie odrywał wzroku od książki, jakby jej nie dostrzegał.

Ledwie jednak przyszedł Dylan, śmiał się i promieniał, nie szczędząc zachwyty nad czytana właśnie powieścią i żałując, że wcześniej nie zainteresował się tym autorem. Zapytał Lily, czy mogłaby mu załatwić inne jego książki, a ona przytaknęła z uśmiechem i obiecała, że się tym zajmie, cały czas zadając sobie pytanie: „Dlaczego taki był?”.

– Lily!!! – Tym razem krzyczał, a jego głos był przepełniony niecierpliwością.

Odłożyła nóż na deseczkę i z westchnieniem oparła się na blacie, jakby szukała emocjonalnego oparcia. Wziąwszy się w garść, przywołała uśmiech na twarz i krzyknęła w odpowiedzi:

– Idę!

Wyszła z kuchni, wycierając dłonie o ściereczkę, i zobaczyła ich obu w przedpokoju. Zakładali kurtki.

– Wychodzicie?

W jej głosie zabrzmiało nieukrywane zdziwienie.

Liam tylko skinął głową, jakby nie było w tym nic dziwnego.

– Idziemy na piwo. Mamy w domu pieniądze?

– Twój portfel leży w szufladzie u ciebie. Przyniosę go.

– Nie musisz, sam to zrobię – powstrzymał ją i manewrując wózkiem, przecisnął się obok niej.

Lily przywarła do ściany, żeby zrobić mu miejsce, i popatrzyła pytająco na Dylana.

– Jak ci się to udało?

Chłopak kipiał radością.

– Dziecinna igraszka. Musiałem tylko sprawić, żeby uwierzył, że to jego pomysł.

– Musisz mnie tego nauczyć!

Lily też się uśmiechnęła, ale raczej z przymusem.

Przywarła ponownie do ściany, kiedy mąż przyjechał z powrotem, i ani drgnęła, gdy Dylan najpierw sam się ubrał, a potem uklęknął przed Liamem, żeby mu pomóc założyć buty.

Dylan podniósł się z kolan i ponaglił:

– No, Lily, nie będziemy czekać na ciebie wiecznie.
– Myślałam, że to ma być męski wieczór – odparowała, ale jej słowa zabrzmiały sztucznie.

– Źle myślałaś. To wycieczka rodzinna.

Popatrzyła na Liama, spodziewając się sprzeciwu, ale ten się przyłączył do Dylana.

– No już, zbieraj się!

Lily chętnie by się jeszcze uczesała, pociągnęła szminką usta albo przynajmniej zmieniła koszulkę, ale ponieważ za żadne skarby nie chciała, każąc im czekać, zmącić radosnego nastroju, odłożyła ściereczkę i w mig założyła buty oraz sztruksową marynarkę, którą, jak wiedziała, Liam lubił szczególnie.

Kiedy była gotowa, obaj siedzieli już w samochodzie. Wsiadła z tyłu, a ledwie zajęła miejsce, Liam odwrócił się do niej i zmierzył ją wzrokiem.

– Ładna marynarka.

Ucieszyła ją ta osobista, lekko żartobliwa uwaga. Odpowiedziała znacznie bardziej niefrasobliwie, niż parę godzin temu uznałaby to za możliwe:

– Prawda? Też tak uważam. Dostałam ją od męża.

– Twój mąż ma dość dobry gust.

– No pewnie, w końcu ożenił się ze mną.

Przez chwilę wydawało się, że wróciła dawna beztroska, i Lily poczuła, jakby uwolniła się od ogromnego ciężaru. Ale potem Liam znów się odwrócił. To nie sam ten gest ją zabolął, tylko fakt, że odtąd zwracał się wyłącznie do Dylana, jakby jej nie było.

Zjechali przez cypel w dół, do wsi. Na małym parkingu przed pubem były wprawdzie jeszcze wolne miejsca, ale Dylan skręcił w prawo i zostawił samochód przy plaży.

Już chciała zapytać, dlaczego to robi, kiedy ją olśniło. Parking przy plaży był pusty. Nie było widzów, którzy mogliby podziwiać spektakl, jakim było wysiadanie Liama, nie było ciekawych lub pełnych litości spojrzeń, kiedy zajmował wygodną pozycję w wózku, nie było uważnych przechodniów oferujących pomoc, bez której obaj mężczyźni spokojnie mogli się obyć.

Lily podziwiała Dylana za to, że w tak młodym wieku instynktownie wiedział, co było właściwe dla Liama, podczas gdy ona po trzynastu latach małżeństwa najwyraźniej wciąż postępowała z nim nie tak.

Ona zaparkowałaby jak najbliżej pubu i przyjęła z wdzięcznością każdą pomoc.

Te parę wyjazdów samochodem, które odbyła sama z Liamem, było istną torturą. Za to Dylan dawał sobie radę śpiewając z asystowaniem mu przy wsiadaniu i wysiadaniu.

Lily ustąpiła na bok, starając się nie przeszkadzać, jednocześnie sygnalizując gotowość do pomocy.

Problemy pojawiły się dopiero wtedy, gdy przednie koła wózka inwalidzkiego utknęły na metalowym progu pubu. Dwóch stojących przy barze mężczyzn odstawiło szklanki i natychmiast pospieszyło z pomocą. Dyskretne wejście do lokalu w okamgnieniu przerodziło się w spektakl. Bywalcy przypatrywali się, jak Liam wraz z wózkiem zostaje przeniesiony przez próg, a następnie dotransportowany do wolnego stolika przy oknie. Lily obserwowała to z przerażeniem, ale Liam zdawał się przyjmować to na luzie i podziękował za pomoc.

– Dobra. Wreszcie tu jestem. I też pozwolę sobie na szklaneczkę. Bez obawy – dodał na widok jej zakłopotanej miny. – Mam na myśli oczywiście szklaneczkę soku pomarańczowego. Ale dopilnuj, proszę, żeby ci dwaj atleci dostali po piwie, dobrze?

Zrobiła, co jej zlecił, a obaj piwosze wzniesli toast za Liama. Odpowiedział im skinieniem głowy.

– A panu co się stało? – zapytał starszy z nich, szczupły mężczyzna około pięćdziesiątki o szpakowatych włosach i kwadratowej twarzy.

Zawahawszy się ledwie zauważalnie, Liam odpowiedział:

– Spadłem z wysokości dwudziestu metrów i źle zamortyzowałem upadek.

– Skakało się z klifu, co?

Rozległy się śmiechy.

– Coś w tym rodzaju, owszem – odparł.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, a młodszy mrugnął do Liama porozumiewawczo.

– Jeśli mogę ci coś poradzić, chłopie... Następnym razem zaczekaj do przypływu.

Przy sąsiednim stoliku siedział starszy jegomość, przysłuchując się z natężeniem wymianie zdań. Jego twarz była pomarszczona i brązowa jak łupina orzecha, a łysinę kompensowała długa, siwa broda. Żyłaste ciało opierał na sękatym kosturze z drewna orzechowego. Od chwili, gdy Liam utknął wózkami na progu, nie odrywał od niego wzroku.

– To chyba pan jest tym młodzieńcem, który runął z rusztowania w centrum sztuki – odezwał się głośnym, chropowawym głosem. – Czytałem o tym w gazecie.

– Aha, czyli jestem sławny.

Liam uśmiechnął się, ale w jego głosie dała się słyszeć nuta napięcia, której jednak chyba nie zauważył nikt oprócz Lily.

– Zła to sława. To niedobry omen, jeśli mnie kto pyta o zdanie. Mówiłem swojej starej, że z tego na pewno nie będzie nic dobrego. Po co tu u nas taka budowla? Z miejscowych nikt tego tu nie chciał. Ale ten Corday myśli, że taki z niego cwaniak. Bufon przeklęty!

Mężczyzna za barem oparł się o nalewak i odezwał się:

– No, nie wiem, czy masz rację, Trewithen. Twoja żona jest zdania, że projekt jest dobry dla mieszkańców.

– Ale jemu nie przyniósł nic dobrego, nie? – Mężczyzna zaśmiał się ochryple i wskazał łaską na Liama. – A te siki, co pan pijesz, też panu nie wyjdą na dobre. Sok pomarańczowy? A cóż to za wynalazek? Piwa panu trzeba, porządnego kufla mocnego piwa. Niedługo stuknie mi dziewięćdziesiąt sześć lat, a odkąd skończyłem czternaście, codziennie wypijam dwie szklanice stouta. Mam krzepę jak niedźwiedź. – Kiwnął kosturem w stronę baru. – Hej, Alan! Stouta dla tego młodego pana. Na moje konto.

– Jeszcze nie wyrównałeś starych rachunków, Thomas.

Stary wyszczerzył się, ukazując luki w uzębieniu.

– W takim razie firma stawia, mój drogi.

Barman potrząsnął głową, ale z uśmiechem nalał do szklanki piwa i przekazał w ręce jednego z mężczyzn, którzy pomogli Liamowi.

– Od tego urosną ci włosy na klacie, kolego – zaskrzeczał z satysfakcją stary, kiedy szklanka wylądowała na stoliku przed Liamem.

– Szkoda, że nie na głowie, przyjacielu. – Barman puścił oko do Lily.

– Pij na zdrowie. To pierwsze i ostatnie piwo, jakie stary Alan Tremaine komukolwiek postawił w tej knajpie. A chytrus jest taki, że w jego portfelu znajdziesz jeszcze przedwojenne szylingi – odciął się staruch.

Liam utkwiał wzrok w szklance przed sobą. Lily chciała coś powiedzieć, ale Dylan interweniował, biorąc piwo i stawiając je na stoliku starca.

– Wielkie dzięki, ale to koliduje z lekami, które on zażywa. Niech pan sam wypije, a postawić mu pan może kiedy indziej.

– Ach. No. Dobrze. – Stary pokiwał głową, nie odrywając wzroku od piwa. – Może i racja, chłopcze, może i racja. Wiszę panu jedno – obiecał. – Jak się pan z tego wykaraskasz. Kiedy

pan wstaniesz z tego tam. Kiedy przyniesiesz sobie pan piwo na własnych nogach.

– Jeśli kiedyś wejdziesz tu na własnych nogach i bez tego – poklepał zdrową ręką koło – to cały wieczór pijecie za moje.

– Przypomnimy to panu. – Mężczyzna uniósł szklanekę. – Przypomnimy.

Lily, Liam i Dylan nie zostali długo. Wprawdzie wszyscy okazywali sobie wyjątkową serdeczność, ale po niecałej godzinie Liam powołał się na zmęczenie i zapragnął wrócić do domu.

Wyjście odbyło się z takimi samymi ceregielami, jak wejście, ponieważ nowi znajomi Liama chcieli się z nim pożegnać i przypomnieć o złożonej obietnicy.

Po powrocie znaleźli nagrane na sekretarce dwie wiadomości. Jedna była od Petera, a druga ze szpitala, który potwierdzał wizytę u psychologa w przyszłym tygodniu. Kiedy Liam to usłyszał, przygasł jeszcze bardziej. Było dopiero wpół do ósmej, ale on oświadczył, że jest już bardzo zmęczony i w ogóle nie jest głodny. Przeprosił i zaszył się u siebie.

Lily natychmiast odeszła ochota na jedzenie. Poddała Dylanowi przygotowaną potrawkę, a potem snuła się bez celu po domu, aż w końcu usiadła przy oknie w dużym pokoju na poddaszu. Miał tu kiedyś powstać pokój dla gości, z własną łazienką i salonem. Pokój, który był całkowicie bezużyteczny. Pusty jak biały ekran. Bez przeznaczenia. Nie licząc pudeł, które nadal nie wszystkie były rozpakowane.

Dotychczas nie potrzebowali pokoju dla gościa. Odkąd się tu sprowadzili, jeszcze nikt obcy nie nocował w Domu Róż. Zapowiedziane wizyty matki i przyjaciółki Lily, Ruth, nie doszły do skutku. Prawdopodobnie była to jej wina. Miała inne rzeczy na głowie. Oczywiście zadzwoniła do obu po wypadku Liama, kiedy już wiedziała, że przeżyje, ale tylko nagrała się na sekretarkę. Celowo wybrała godzinę, o której Ruth nie było w domu, a jej wiadomość była lakoniczna i mało spektakularna.

Ruth, oczywiście, oddzwoniła, ale Lily nie chciała poddać się jej pytaniom. Pytaniom, na które wtedy nie знаła odpowiedzi.

Ponieważ nigdy nie udało się jej zastać, zostawiła na sekretarce długą wiadomość, w której oferowała swoją pomoc, przesała również kosz owoców dla Liama i kwiaty dla niej. Lily nie oddzwoniła i nie podziękowała za ten gest. A im dłużej to odkładała, tym trudniej było się jej przemóc.

Tego wieczoru, kiedy po prostu nie mogła znaleźć sobie miejsca, zadrezczała się jeszcze i tym. W końcu uznała, że też położy się wcześniej do łóżka. Chciała jeszcze poczytać, ale jej oczy były zbyt zmęczone. Odłożyła książkę i próbowała zasnąć, ale sen nie chciał przyjść. Około trzeciej nad ranem w końcu wstała i zeszła na dół, żeby napisać do Ruth. Chciała jej podziękować za wszystko i przeprosić, że się nie odzywała.

Idąc do kuchni, zauważyła światło przeświecające spod drzwi Liama. Przystanęła. Może zasnął przy zapalonym świetle. Może potrzebował czegoś, a nie mógł się zdobyć na to, by ją poprosić. Zmagala się ze sobą i w końcu postanowiła ostrożnie zapukać. Nie otrzymawszy odpowiedzi, otworzyła drzwi.

Siedział przy oknie na wózku i wyglądał w mrok.

– Wszystko w porządku?

Nie zdawała sobie sprawy, że szepcze.

Zaskoczony odwrócił się do niej. Nie była w tym pokoju, odkąd drugiego dnia po wyjściu ze szpitala tak strasznie się pokłócili, odkąd wzbraniała się go opuścić i przespała kolejną noc w fotelu przy jego łóżku. Następnego dnia poprosił ją, żeby poszła spać na górę. Twierdził, że lepiej mu się śpi, kiedy wie, że ona spędza noc wygodnie we własnym łóżku.

Oboje wiedzieli, że skazał ją na wygnanie – zraniła go, więc chciał odpłacić jej tym samym. Z tego wygnania zrobiła się codzienność. Każde spało u siebie. A przynajmniej próbowało.

– Nie mogłam spać – wyjaśniła zgodnie z prawdą.

– Ja też.

– Potrzebujesz czegoś?

Popatrzył na nią bez słowa.

– Chciałam sobie zrobić herbaty. Masz ochotę?

Skinął głową.

Poszła do kuchni i zamierzała włączyć czajnik, kiedy zobaczyła opróżnioną do połowy butelkę whisky. Zmieniła zdanie. Pod wpływem impulsu wyjęła z szafki dwie szklaneczki i nalała do każdej odrobinę whisky. Zniosła drinki i butelkę do pokoju Liama i usiadła na wprost niego przy szerokim parapecie. Butelkę postawiła przy sobie i podała mężowi jedną ze szklanek.

– Co to jest?

– Środek nasenny.

– Chcesz mnie zabić?

– Może.

Uśmiechnęła się ostrożnie, a on, ku jej uldze, odpowiedział tym samym. Wziął od niej whisky, którą podawała mu drżącą ręką.

– Na zdrowie.

Odniosła wrażenie, jakby musiał się zmusić do wypicia, ale kiedy przystawił szklanekę do ust, łyknął solidnie i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Nie do wiary, jak dobrze smakuje.

Umoczyła usta w alkoholu i skrzywiła się.

– Rzekłabym, że jest wręcz odwrótnie.

– Nie przepadasz za whisky, co?

Roześmiali się.

– Więc po co to?

– Pomyślałam, że mały drink nie zaszkodzi.

– Na pewno będę po nim lepiej spał, więc pod tym względem to słuszna decyzja.

– Źle sypiasz?

Ledwie zadała to pytanie, poczuła wyrzuty sumienia. Powinna to wiedzieć!

Skinął głową.

– Gdybym tylko mogła coś dla ciebie zrobić.

– Robisz już dość.

– Tak?

Przytaknął, przygryzł wargę i popatrzył na nią.

– Ale wszystko robię źle, prawda?

Potrząsnął głową.

– „Jak się czujesz?” to chyba głupie pytanie, co?

Popatrzył na nią z lekkim wyrzutem, ale na jego twarzy jednocześnie pojawił się lekki uśmiech.

– Dlaczego nigdy go nie zadajesz?

Odpowiedziała uśmiechem.

– Dlatego, że kiedy robiłam to ostatnim razem, chciałeś urwać mi głowę.

– Czasami trudno wytrzymać ból.

To miało być usprawiedliwienie.

– Aż tak źle?

– Czasami tak, owszem.
– A teraz?
– To pomaga. – Uniósł szklaneczkę. – Mam wrażenie, że powoli jest lepiej. – Uśmiechnął się z udawanym heroizmem. – Jak to się pięknie mówi? Czas leczy wszystkie rany.
– Wytarty frazes.
– Wiem, ale mam nadzieję, że jest w nim ziarno prawdy.
Wyglądał w tej chwili tak smutnie i krucho, że najchętniej wzięłaby go za rękę i zapytała, czy z nimi też kiedyś będzie lepiej, czy ich związek też się wyleczy...
Poruszyła ustami, ale z jej krtani nie wydobył się żaden dźwięk, i choć tak bardzo chciała go dotknąć, nie potrafiła unieść ręki, jakby ktoś ją przykleił. Więc powiedziała tylko:
– Późno już.
Milczał chwilę. Wreszcie odpowiedział:
– A jutro oboje mamy dużo roboty.
Uderzył w sarkazm, ale ona albo nie chciała, albo naprawdę go nie dostrzegła.
– Pomóc ci się położyć?
– Dam radę, dziękuję.
– To... dobranoc – powiedziała cicho, jakby był nowym przypadkowym znajomym.
Ale potem nachyliła się, jakby chciała go pocałować.
Nie wiedział dlaczego, ale odwrócił głowę ku oknu i udaremnił jej zbliżenie. Usłyszał, jak wzdycha cicho z rezygnacją, wstaje i wychodzi. Przeklął siebie i po raz kolejny zadał sobie pytanie, jakim stał się człowiekiem. Sfrustrowany zamknął oczy. Dlaczego nie umiał temu przeciwdziałać?

Nathan Hunter nie mógł wyjść ze zdumienia. Podczas gdy wszędzie na świecie nieustannie jak grzyby po deszczu powstawały nowe autostrady, Merrien Cove za każdym razem, gdy wracał do domu, wyglądało tak samo.

Postawił samochód na parkingu przy plaży, wysiadł, rozprostował zastale kości, odetchnął świeżym, słonym powietrzem i wystawił twarz na siąpiący deszcz.

Widać stąd było całą wieś rozciągającą się od starej gospody nad wodą aż po maleńki port na zachodzie. Tam ulica kończyła się i przechodziła w wędrowny szlak prowadzący przez cypel do zachodniej plaży.

Kiedy tak przyglądał się brzegowi, wspomnienie dawnych marzeń i nawyków wyczarowało uśmiech na jego opalonej twarzy. Naprawdę sporo podróżował po świecie, ale kiedy wracał do Merrien Cove, za każdym razem czuł się tak, jakby wkładał zmęczone stopy do wygodnych butów.

Tutaj był jego dom.

Spojrzał na galerię na końcu ulicy. Drzwi były uchylone. Mimo mżawki postanowił zostawić tu samochód i przejść ostatni kawałek pieszo.

Odprężony i uśmiechnięty ruszył przed siebie. Nic sobie nie robił z psiej pogody – w sercu nosił słońce! Kiedy zbliżył się do galerii, zobaczył ją przez uchylone drzwi. W spranych dżinsach i różowym T-shircie, ze strzechą rudych włosów przewiązanych czerwoną chustką, podrygiwała w rytm melodii rozbrzmiewającej w jej głowie, wirując z gigantyczną żółtą motylem do kurzu. Przypominała kolorowego motyla w słoiku.

Cicho, żeby jej nie spłoszyć, wszedł do chłodnego pomieszczenia i obserwował ją przez chwilę.

– Chyba coś tam przeoczyłaś.

Plecami do niego zastygła z motylem na ramie obrazu. Nathan nie widział jej twarzy, ale wiedział, że właśnie wykwita na niej najszerszy uśmiech świata.

Abi odwróciła się do niego i wydała z siebie radosny okrzyk. Przypadła do niego i rzuciła mu się na szyję.

– Spokojnie, mam – zaśmiał się.

On też się cieszył ze spotkania z matką, ale to wylewne powitanie sprawiło, że poczuł się trochę zażenowany.

– Nathan! – Abi wciągnęła znajomy zapach jego wody po goleniu i uściskała go mocno. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że cię widzę!

– Nie było mnie przecież tylko parę miesięcy – odparł ze śmiechem i odsunął ją delikatnie.

– Tak, ale to były najdłuższe miesiące mojego życia.

Uśmiechała się, ale on dostrzegł łzy połyskujące w kąciakach jej oczu i wziął ją jeszcze raz w ramiona.

Stali tak chwilę, przyzwyczajając się na nowo do siebie, aż wreszcie sama uwolniła się z objęć i pogładziła go po nieogolonym policzku, zdziwiona jego fantastycznym, ale jednocześnie trochę zmęczonym wyglądem.

– Kiedy wróciłeś?

– Dziś o trzeciej rano wylądowałem w Gatwick i przyjechałem prosto tutaj.

– Biedaku, musisz być wycieńczony. Wyglądasz na padniętego.

– Czuję się znakomicie.
– A jak długo zostaniesz? Ach, nie, lepiej nic nie mów, zawsze jesteś za krótko!
Wzruszył ramionami i powiedział, że jeszcze nie wie, nie ma konkretnych planów, zobaczy, ile wytrzyma...

Oboje się roześmiali na te słowa, bo nader dobrze znali jego frustrujące zamiłowanie do wędrówek i niemożność usiedzenia w jednym miejscu przez dłuższy czas.

Abi cieszyła się, że znowu ma się o kogo troszczyć, powiesiła na drzwiach tabliczkę z napisem „zamknięte”, wzięła syna pod rękę i oznajmiła radośnie:

– No to chodź do domu. Najpierw zrobię ci porządne śniadanie, a potem usiądziesz i będziesz się przypatrywał, jak rozpakowuję twoją walizkę, i udawał, że mi pomagasz...

Właściwie samo się nasuwało, że Dylan powinien dostać swój klucz.

W weekend jednak Lily zaczęła powątpiewać, czy to dobry pomysł, ponieważ kiedy w sobotę rano zeszła na dół w cienkim, prawie przezroczystym szlafrocisku, chłopak właśnie stanął w drzwiach.

– Jest sobota, Dylan – zawołała zaskoczona. Ale on tylko wyszczerzył zęby i rzekł:

– Wiem.

Zamknął za sobą drzwi, a potem zdjął buty.

– Co tu w takim razie robisz?

– Przyszedł do mnie w odwiedziny.

Liam wyłonił się ze swojego pokoju.

– Dobra. Skoro już jesteś tak wcześnie, to możesz mi pomóc.

– W czym?

– Nie mogę się zdecydować, czy mam założyć kompletnie powypychane spodnie, czy raczej kompletnie powypychane spodnie? Jak myślisz?

Dylan poszedł za nim do pokoju.

– Może powinienes zacząć nosić sarong, łatwiej się zakłada.

– No wiesz, przecież nie jestem dziewczyną.

– Ale czasem tak się zachowujesz.

Drzwi zamknęły się za nimi.

Lily zrezygnowała z parzenia kawy i wróciła na górę, żeby ubrać się w coś bardziej odpowiedniego. W końcu poza mężem w domu przebywał jeszcze inny mężczyzna.

Kiedy ubrana w dżinsy i bluzę zeszła na dół, Dylan pomagał Liamowi założyć buty.

– Więc mało ci jego towarzystwa od poniedziałku do piątku? Teraz będziesz znosił go i w weekendy? – zażartowała. – Co macie w planach?

– Wychodzimy – burknął Liam, szarpiąc się z rękawem kurtki, przez który nie chciała przejść ręka unieruchomiona szyną.

Lily stłumiła nieodpartą chęć pospieszenia mu z pomocą i niefrasobliwie pytała dalej.

– Okej. Fantastycznie. A dokąd się wybieracie?

Sfrustrowany Liam jęknął i poddał się. Wyciągnął rękę do Dylana, żeby ten wsunął sztywną, szarą szynę w skórzany rękaw.

– Dylan ma dla mnie niespodziankę. Jego zapytaj.

– Dylan?

– St Austell.

– A tam...?

– Spędzimy cały dzień – dokończył Liam.

Doskonale wiedział, że nie o to pytała, ale najwyraźniej bawiło go robienie jej na złość. Dylan posłał jej skruszony uśmiech.

– Zamierzamy zwiedzić słynny na cały świat zabytek, którego nie mogę teraz wymienić, bo wtedy nie byłoby niespodzianki. Pomyślałem, że dobrze mu zrobi, jeśli opuści cztery ściany i zobaczy coś innego.

– Jak zwykle masz rację. – Po ostatniej nocy dostawała gęziej skórki na myśl o całym weekendzie sam na sam z Liamem. – Źle na niego wpływa, kiedy cały boży dzień siedzi w domu.

– Źle na niego wpływa... – powtórzył pogardliwie Liam. – Mówisz, jakby mnie tu nie było. Może nie jestem teraz na równi z tobą, Lily, ale mimo to mogę uczestniczyć w rozmowie.

Popatrzyła na niego i przewróciła oczami, ale poczuła się jak winowajczyni. Liam dostrzegł na jej twarzy tylko rozczarowanie.

– Przepraszam, oczywiście, że masz rację, nie chciałam... – przeprosiła pospiesznie, ale uciął jej w pół słowa.

– Przestań traktować mnie z góry, Lily.

Dylan z przestachem potrząsnął głową.

– Jeśli chciałaby traktować cię z dołu, musiałyby położyć się na podłodze, stary – rzucił z sarkazmem.

Lily uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i pozazdrościła mu jego śmiałości. Kiedy Liam traktował Dylana niesprawiedliwie albo obraźliwie, ten odpłacał mu tym samym. I właśnie tak zyskiwał sobie jego szacunek. Chłopak w cudowny sposób potrafił dać mu do zrozumienia, jak fatalnie się zachowuje, w dodatku nie musiał używać do tego słów. Stali się przyjaciółmi, choć Dylan nadal dla niego pracował. Wymyślili swoje reguły gry, które, jak się zdawało, funkcjonowały bez zarzutu.

– No dobra, ty stary mruku, to się zbierajmy, zanim zmienię zdanie i zarządzę ci areszt domowy. Tylko niech ci się nie wydaje, że będę cię pchał. Sam możesz jechać.

– Jedną ręką? – zaprotestował Liam, któremu natychmiast poprawił się humor. – Będę kręcił się w kółko.

– Hm, co racja, to racja. – Dylan położył dłonie na rączkach wózka. – Poza tym musisz oszczędzać zdrową rękę...

– Dlaczego? Wybieramy się na zjazd obsesyjnych onanistów?

– Coś w tym rodzaju. I dobrze się składa, bo w promieniu stu kilometrów jesteś jednym z największych palan...

Rozległ się dzwonek u drzwi.

– W samą porę. – Dylan mrugnął do Lily, która ruszyła, żeby otworzyć.

To był Peter objuczony prezentami. Przyniósł czasopisma i filmy dla Liama oraz kwiaty dla niej: ogromny, przepiękny bukiet żółtych dalii.

– Niech wniosą ci trochę słońca – powiedział, wręczając kwiaty i cmokając ją w policzek. – Jest w domu?

Zaprosiła go do środka ruchem głowy.

– Dzięki, Peter, są prześliczne. Tak, jest, ale właśnie wychodzi. Wybiera się z Dylanem na wycieczkę.

– Ach? Czyli ma się lepiej?

Lily wzruszyła ramionami. Jej próba uśmiechu zakończyła się sromotną klęską.

Zrobiło mu się jej żal i prędko ją objął. Potem wziął ją za rękę i pomaszerował prosto do pokoju Liama, gdzie obaj mężczyźni spierali się o coś ściszonego głosem.

– Ktoś, kto traktuje żonę w ten sposób, próbuje tylko zatuszować, jaki z niego klapnięty kutas...

Dylan klęczał przed Liamem i wiązał mu sznurówki, sztorcując go na swój luźny, przyjacielski sposób.

– Lepszy klapnięty kutas niż żaden... Co by było, gdyby podczas upadku z rusztowania urwało ci...

Oślupiali spojrzeli na Petera, z którego ust padły te słowa, a potem przenieśli wzrok na Liama. Ten wykrzywił twarz... w szerokim uśmiechu.

– Peter! Gdzieś ty, do diabła, się podziewał cały tydzień?

– Tam, gdzie nie mogłeś mnie znaleźć, stary śmierdzielu – odciął się, podszedł z otwartymi ramionami do Liama i wyściskał go mocno.

– Wpadłeś w samą porę... Masz ochotę jechać z nami? Nie mam pojęcia dokąd, ale Dylan obiecał, że będzie alkohol, dragi i muzyka.

– Wow, brzmi naprawdę zachęcająco – wyszczerzył się Peter. – Ale muszę odmówić. Jestem tu mianowicie nie po to, żeby cię odwiedzić, ale żeby uprowadzić ci żonę.

– Chcesz porwać Lily? Dzięki za ostrzeżenie, ale czego ode mnie oczekujesz? Że będę o nią walczył? Wówczas musiałbym cię prosić, żebyś padł na kolana, i przywiązać ci do pleców jedną rękę, żeby wyrównać szanse.

Na twarzy Lily pojawił się smutny uśmiech, kiedy obaj wybuchli śmiechem. Nie potrafiła dzielić z nimi ich bez troski. Wobec wszystkich zachowywał się po staremu. Tylko nie wobec niej.

Przynajmniej wiedziała, że istniał jeszcze dawny Liam, którego tak bardzo jej brakowało. Słaba to była pociecha. Co musiała zrobić, żeby zaczął ją traktować jak dawniej? Żeby i z nią wygłupiał się i żartował? A może udawał wobec innych, pokazując swoje prawdziwe ja tylko jej? Kłótlive, porywcze, zgorzkniałe ja?

Przeniosła wzrok na Dylana. Spoglądał posępnie jak ona, a jego uśmiech był tak samo poirytowany. Ich spojrzenia spotkały się i zobaczyła w jego oczach empatię. Nie była jedyna. Dylan też sporo znosił z jego strony. Tylko znacznie lepiej sobie z tym radził niż ona.

Peter ponownie wziął ją za rękę.

– Chodź. Ponieważ twój mąż i tak nie może cię zatrzymać, porywam cię na herbatę.

– Chcesz pić z nią herbatę? – zaszydził Liam. – Urowadzasz moją piękną żonę i to wszystko, co zamierzasz z nią robić? Pić herbatę?

– I jeść ciasto. Nie zapominaj o tym.

– Boże. Co za dekadencja. Jakie ty prowadzisz wybujałe życie, Peter. Jestem zdruzgotany. Gdybym nie siedział na tym cholernym wózku, pokazałbym ci, jakie rzeczy można robić z kobietą w taki deszczowy dzień...

Nadal się uśmiechał, ale w jego głosie pojawił się przekąs. To wyraźnie nie spodobało się Peterowi. Czy tylko to sobie wmawiała? Sekundę później Liam ją zaskoczył, puszczając do niej oko.

– Okej, Dylanku, wypchnij mnie. Na razie. I nie róbcie niczego, czego sam nie mogę, jakkolwiek bardzo bym chciał...

Kiedy odjechali, Lily zaproponowała, żeby poszli do Port Hole, o ile na serio zamierzał zabrać ją na herbatę i ciasto.

W cichym deszczu zeszli do wsi szlakiem.

Lily była milcząca, za to Peter jak zwykle gadał jak najęty o wszystkim i o niczym.

Paru turystów odzianych w tanie płaszcze przeciwdeszczowe z przezroczystej folii stało na głównej ulicy przed kawiarnią i studiowało kartę zapraszającą na herbatę i gorącą czekoladę. Była zamknięta.

– Jeśli macie państwo ochotę na herbatę, to Port Hole ma otwarte – poinformowała ich sama z siebie, mijając grupkę.

Uśmiechnęli się z wdzięcznością.

– Tam, widzicie szyld? – Lily pokazała na tablicę reklamową nieco dalej. – Wystarczy pójść za strzałką. Albo za nami, bo też tam zmierzamy.

– Dorabiasz jako przewodniczka? – zażartował Peter, kiedy ruszyli dalej. – Skąd znasz ten lokal?

– Od Abi, nowej przyjaciółki...

– Masz nową przyjaciółkę?

Peter szczerze się ucieszył.

– Tak, musisz ją koniecznie poznać. Jestem pewna, że bardzo ją polubisz.

Ale nie zastali ani Abi, ani sympatycznego Boba, za to mnóstwo kuszących rodzajów ciast prezentujących się pięknie w szklanej gablocie.

Peter zamówił herbatę, z nieukrywaniem apetytem zlustrował ofertę słodkości i zamówił w końcu kilka różnych kawałków.

– Peter! – zaprotestowała Lily, kiedy Lorna, przywitawszy się z nią jak z dobrą znajomą, postawiła na stoliku trzypiętrową paterę pełną ciast.

– No co? – zaoponował. – Tylko mi nie mów, że nie jesz ciasta, bo ma za dużo kalorii! Możesz sobie pozwolić na odrobinę.

– Wielkie dzięki – odparła z przekąsem i postanowiła skusić się na kawałek ciasta czekoladowego, ku któremu zmierzał również widelczyk Petera.

– Odstąpię ci kawałek – zaproponowała, kiedy radość na jego twarzy zamieniła się w rozczarowanie.

– Nie, nie, w porządku. Ty go potrzebujesz bardziej niż ja. Poza tym to minimum, co mogę dla ciebie zrobić: zafundować ci nędzny, choć smakowicie wyglądający kawałek ciasta...

– Ono nie tylko wygląda smakowicie, ale i bosko smakuje.

Lily z apetytem zlizwała czekoladowy krem z palców.

Peter ucieszył się na widok żarzącej się w niej jeszcze dawnej iskry.

– Pomijając to nędzne, ale smakowite ciasto, jestem ci winien wyjaśnienie. W ostatnim czasie trochę cię zaniedbałem.

– Ach tak?

Lily zamrugnęła zaskoczona. Miała na głowie tyle innych spraw, że nawet nie zauważyła, że minął ponad tydzień, odkąd widzieli się ostatnim razem. Tak, zgadza się, nie dzwonił od czterech dni. Zwykle dzwonił codziennie.

– Tak. – Uśmiechnął się z miną winowajcy, ale jednocześnie odrobinę szelmowsko, jakby pękał ze skrywanej radości. – Sprawa jest taka... bo... Ostatnio byłem bardziej zajęty niż zwykle.

Lily przybrała współczujący wyraz twarzy.

– Tak, wiem, Peter. Nie mieści mi się w głowie, jak sobie dajesz z tym radę sam...

– Nie, Lily, to nie tak. Znaczący, oczywiście mam mnóstwo roboty w biurze i na budowie, ale chodzi o to, że... No wiesz, jest tak, że... znaczy, ja kogoś poznałem.

Tym samym nie chodziło o jakąś zwykłą znajomość – Lily natychmiast usłyszała to w jego głosie – tylko o kogoś niezmiernie ważnego.

– Poznałeś kogoś?

W jej szarych oczach pojawił się błysk zaciekawienia i radości.

Peter nieraz już kogoś poznawał, a lista damskich znajomości, mimo jego pokaźnej tuszy, była imponująco długa. Ale ostatecznie to on kończył wszystkie związki.

– Nie uważam, żebym był specjalnie wybredny, Lily – wyjaśnił jej po rozstaniu z ostatnią kandydatką. – Ale nie rozumiem, dlaczego miałbym marnować życie dla kobiety, która nie jest tą jedyną. To byłoby nie fair w stosunku do obojga.

Wciąż czekał – przyznawał to otwarcie – na kobietę swojego życia.

Pokiwał głową, odłożył widelczyk i zapomniał na chwilę o cieście, bo myślał o czymś, co było znacznie bardziej apetyczne.

– Ma na imię Wendy.

Patrzył pałającym wzrokiem. Z radości nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– O Boże! – Lily zamrugła zaskoczona i uradowana. – To ona? Kobieta twojego życia?

– No wiesz, jest jedyną, o której pomyślałem, że mogłaby nią być, ale nie wiem, czy to znaczy, że oficjalnie nią jest.

– Peter! Przestań owijać w bawełnę! Chcę wiedzieć wszystko! Opowiadaj! Ile ma lat? Kim jest z zawodu? Jak wygląda? Jak ją poznałeś? Kiedy ją zobaczę?

– Hej, Lily, spokojnie! Od czego mam zacząć?

– Od początku. – Wyszczrzyła się Lily.

– Więc od tego, jak się poznaliśmy.

Lily oparła podbródek na dłoni i zaczęła słuchać.

Peter zauważył w ulewnym deszczu młodą kobietę dość bezradnie manipulującą przy przebitej oponie samochodu stojącego na poboczu i zatrzymał się. Dziewczyna była kompletnie przemoczona, włosy ociekały jej wodą, a tusz smugami spływał z rzęs po policzkach. Mimo to od razu zobaczył, że jest piękna. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, choć prędko okazało się, że on również nie jest w stanie ani o milimetr przekręcić śruby.

Peter ochoczo zrezygnował z odgrywania silnego mężczyzny, doskonale wiedząc, że i tak nie ma szans. Zamiast tego zadzwonił po pomoc drogową. Czekali w jego samochodzie. Dwie godziny. Przez ten czas wyschły jej włosy, zamieniając się w jedwabiste pukle, a jej policzki się zaróżowiły. Przez te dwie godziny nie było ani sekundy, której nie wypełniliby rozmową lub śmiechem.

– Więc byłeś jej rycerzem na białym koniu? – wtrąciła w tym miejscu Lily.

Peter nie zjadł na razie ani okruszka.

– Coś w tym stylu. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Jest w Kornwalii dopiero od niedawna, ale mieszkała tu w dzieciństwie, dopóki rodzice nie wyprowadzili się wraz z nią do Manchesteru. Wróciła rok temu, kiedy dostała propozycję pracy w swojej dawnej szkole.

– Jest nauczycielką?

Przytaknął.

– W podstawówce. Pracuje z krnąbrnymi sześciolatkami, ale sprawia jej to niewypowiedzianą frajdę, no i cieszy się, że wróciła do Kornwalii. Oczywiście pomijając fakt, że złapała gumę na zadupiu i nie mogła odkręcić zablokowanych śrub. Ale to mogło się zdarzyć wszędzie. Pomoc drogową odholowała jej samochód, a ja zaoferowałem, że ją odwiozę do domu...

– Gdzie mieszka?

– W St Agnes. Wynajęła tam dom, dopóki nie sprzeda domu w Manchesterze. W każdym razie po drodze wstąpiliśmy jeszcze do pubu, żeby się czegoś napić, a potem postanowiliśmy połączyć to z kolacją, a potem... eee... no...

– Eee... tak? – Lily uniosła brwi.

– Nie, nie, nie to mam na myśli... Ona taka nie jest... – Peter doskonale wiedział, że Lily go wkręca, ale mimo to dał się wziąć pod włos. Zawahał się chwilę i dodał: – Od tamtej pory

spotkaliśmy się dwa razy, a dziś wieczorem idziemy na kolację. A jeśli dziś pójdzie tak samo dobrze, jak poprzednio... Co mam powiedzieć? Wtedy z radością... z radością przedstawiłbym ją tobie i Liamowi.

Lily jeszcze nigdy nie widziała go takiego onieśmiałego. A przecież zawsze mogli rozmawiać ze sobą o wszystkim, nawet o jego miłosnych podbojach. Popatrzyła na niego z sympatią.

– Chętnie. Kiedy?

– Pomyślałem, że w przyszły weekend moglibyśmy się spotkać całą czwórką na kolacji. Jak myślisz, czy Liam będzie chciał? Skoro jeździ na wycieczki z Dylanem, to chyba wytrzyma z nami parę godzin, co? Nie musimy przecież jechać nigdzie daleko, skoro tu jest tak fajnie. Co ty na to, żebyśmy spotkali się tutaj?

– Uważam, że to znakomity pomysł... – Lily skinęła głową i pomyślała, że Liam prędzej się zgodzi, jeśli zaproponuje mu to Peter.

Tak bardzo pragnęła, żeby się zgodził. Chciała poznać tę Wendy, kobietę, która przemieniła Petera w nieśmiałego, nieporadnego chłopca, który nie potrafił ukryć podekscytowania.

Ale i wizja wyjścia z Liamem, zrobienia czegoś normalnego, była tak kusząca, jak ciasto na talerzu przed nią.

– Myślisz, że Liam będzie miał ochotę? – powtórzył Peter.

– Najlepiej go o to spytaj. Jestem pewna, że tak samo będzie chciał poznać twoją nową flame, jak ja.

Kiedy wróciła z Peterem do Domu Róż, Liama i Dylana jeszcze nie było. Peter musiał jechać do Truro.

– Muszę się jeszcze odsztyftować. Chociaż... – Popatrzył z żalem na swój wydatny brzuch. – Najlepiej by mi zrobiło, gdybym zostawił tu samochód i wrócił biegiem.

– Ale ciasto było warte grzechu, co?

Lily poklepała go po brzuchu.

– W normalnym przypadku natychmiast przyznałbym ci rację, ale...

Lily wybałuszyła oczy.

– Zrezygnowałbyś z ciasta dla Wendy? – zdumiała się. – No, to cię naprawdę wzięło. Masz jakieś plany na jutro? W końcu jest niedziela. Może wpadłbyś na obiad? Mógłbyś wtedy zapytać Liama...

– A zrobisz Yorkshire pudding?

– Peter! Po tym całym cieście dzisiaj? Jesteś pewien?

Żarliwie pokiwał głową.

– Ona chyba lubi dużych mężczyzn. – Mrugnął. – No wiesz, w końcu widziała mój kałdun, mimo to zechciała pójść ze mną na kolację.

Peter wsiadł do samochodu i sprawdził telefon. Uśmiechnął się błogo, widząc esemesa od Wendy, w którym informowała go, jak bardzo się cieszy na wieczór w jego towarzystwie.

Lily pomachała mu i wróciła do domu. Odpowiadało jej, że mężczyźni jeszcze nie wrócili. Przynajmniej mogła przez chwilę pobyć sama. „Dziwne, przecież przez większość czasu spędzonego w Domu Róż skarżyła się na samotność”, pomyślała.

Zabrała się za przygotowywanie kolacji zdecydowana wypełnić dom kuszącymi zapachami. Wiedziała, jaki wdzięczny jest Dylan za każdy porządny posiłek, i chciała nakłonić go, żeby został dłużej. Liam był w jego obecności dużo znośniejszy, a ona chciała spędzić ten wieczór w zgodzie.

Wrócili o szóstej.

– Możemy usiąść do kolacji, kiedy zechcecie.

Liam potrząsnął głową.

– Nie teraz. Może za godzinę? To był wyczerpujący dzień. Chciałbym się chwilę położyć.

– Jasne. Jak było?

– Absolutnie fantastycznie.

– Co robiliście?

– Zwiedzaliśmy browar.

– Zwiedzaliście browar? – zapytała zdumiona. – Czy to najnowszy eufemizm na włóczenie się po knajpach?

– Na to wygląda. Dylan chciał mi zademonstrować, że w pewnych okolicznościach wózek inwalidzki ma swoje plusy.

Mężczyźni wymienili się spojrzeniami i zarechotali, ale Lily była przerażona.

– Czy ty piłeś? Głupie pytanie. Co innego robi się w knajpie? Ach, Liam. Nie powinieneś pić alkoholu, dopóki zażywasz środki przeciwbólowe.

– No coś ty? Myślisz, że o tym nie wiem?

– Czy to znaczy, że nie wzięłeś dziś leków?

– Piwo czy leki, piwo czy leki... – Liam udawał, że się zastanawia. – Niech no pomyślę. Gdybym miał wybór, na co bym się zdecydował? – Rzucił jej spojrzenie i wytoczył się niezgrabnie z pokoju. – Nawiasem mówiąc, plus tego urządzenia jest taki, że nikt nie musi cię nieść potem do domu.

Zamknął za sobą drzwi, a Lily westchnęła i zwróciła się do Dylana.

– Zasadniczo jestem ci naprawdę wdzięczna, że podejmujesz z nim rozmaite przedsięwzięcia, ale obawiam się, że to nie był najlepszy pomysł.

– On cię wpuszcza w maliny, Lily. Wypił najwyżej jedno małe piwo. Naprawdę zwiedzaliśmy ten browar w St Austell. Na początku oprowadzają cię po całym zakładzie, a potem można skosztować różnych gatunków piwa.

Lily odetchnęła, a potem ze smutkiem pokręciła głową.

– Dlaczego on mi to robi?

– Bo nie może ścierpieć, że mówisz mu, co ma robić, a czego nie.

– Ale ja wcale tego nie robię... Chyba.

– Czasami owszem, tak. Ale oboje wiemy, że robisz to z troski o niego. Z kolei Liam...

Cóż, on w głębi duszy też to wie, ale nie zawsze chce to zaakceptować. Chce pokazać, że nadal jest niezależny, Lily. W jedyny sposób, jaki mu w tej chwili pozostał. Musisz pamiętać, że jest teraz uzależniony od innych w niemal wszystkich sferach życia... – Dylan zamilkł, kiedy rozległo się wołanie Liama.

– Nie martw się, nic mu nie jest – zapewnił ją, kiedy Lily zaniepokojona popatrzyła na zamknięte drzwi pokoju. – Pewnie mam mu pomóc zdjąć buty albo coś w tym rodzaju...

Zniknął w sypialni Liama. Lily wróciła do kuchni, przykręciła piekarnik, chwyciła za otwartą butelkę z czerwonym winem i sporo sobie naląła. Popatrzyła na ścienny zegar. Pięć po wpół do siódmej. O wpół do ósmej Peter był umówiony z Wendy. Miała głęboką nadzieję, że kobieta jego marzeń nie każe mu na siebie czekać, bo inaczej niewykluczone, iż Peter się załamie.

Wciąż gapiała się na zegar, kiedy do kuchni wszedł Dylan.

– Jesteś tu?

– Tak.

– Przed chwilą byłaś gdzieś daleko.

– Ach tak, owszem, właśnie myślałam o Peterze.

– O Peterze? Dlaczego?

– Hm, nie wiem, czy mogę o tym mówić... – powiedziała, puszczając oko.

– Nie musisz mi niczego mówić.

– Ach, nie?

– Nie, już dawno go przejrzałem: jest ukrytym transwestytą.

Lily wybuchła perlistym śmiechem.

– Zdaje się, że widziałeś zdjęcia w pokoju Liama, co? To, na którym jest Peter w ciasnej miniówce i butach na obcasach? To było, kiedy przebrał się za kobietę. Na jakiejś prywatce urodzinowej. Nie, Peter ma dziś randkę z pewną panią, którą zna dopiero od niedawna, ale która oczarowała go bez reszty.

– Powiem tyle: jeśli jest choć trochę taki jak ja, to wszystko doszczętnie zawali. Wypije za dużo dla odwagi i zacznie się zachowywać tak beznadziejnie, że kompletnie zrazi do siebie obiekt swoich westchnień... Tak przynajmniej wyglądają pierwsze randki u mnie.

– Poważnie? Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. Sprawiasz wrażenie takiego... takiego...

– Rozsądnego? – podsunął. – Tak, takim widzą mnie wszyscy, którzy znają mnie z pracy. Na szczęście. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby narażać zdrowie i życie klientów. Może właśnie dlatego prywatnie jestem zupełnie inny. Wiesz, jak yin i yang, równowaga i tak dalej.

Lily wskazała na butelkę.

– Jesteś już po pracy. Czy twoje lekkomyślne ja ma ochotę wypić ze mną lampkę wina?

– Jasne, chętnie.

Wziął kieliszek i usiadł obok. Nalała mu.

– Ale będę musiał zostawić u was samochód i wrócić do domu taksówką. Bo ja z kolei wypilem w St Austell duże piwo. Zwykle w ogóle nie piję, kiedy muszę usiąść za kółkiem. A po tym tutaj – uniósł kieliszek – stałbym się przestępcą.

– W razie czego możesz tu przenocować – zaproponowała. – W pokoju gościnnym wreszcie stoi łóżko. Mógłbyś być pierwszym gościem.

– Nie chciałbym się narzucać.

– Ach, bzdura! Dobrze wiesz, jak cenimy sobie twoje towarzystwo.

Poza tym nie chciała tego przyznać, że wołała nie zostawać sama z Liamem.

– Zrobiłam na kolację wielką lazanię – kusila go.

– I jesteś pewna, że wystarczy dla wszystkich?

– Wystarczyłoby dla całej wsi, Dylan. Ale może masz na dziś inne plany?

– Jakie na przykład?

– No wiesz, jest sobotni wieczór, jesteś młody, wolny, więc można by przypuszczać, że dzisiejszej nocy zaszalejesz.

– Może i tak, ale to nie mój styl. Dlatego chętnie przyjmę twoje zaproszenie.

– A co zwykle porabiasz wieczorami?

Wzruszył ramionami.

– W tej chwili niezbyt dużo. Piję piwo, oglądam telewizję. Nie to, żeby się uskarżał na Liama, ale kiedy wracam do domu, jestem skonany.

– A co lubisz oglądać?

– Głównie sport. Jest taka stacja, która specjalizuje się w sportach ekstremalnych. Takich naprawdę ekstremalnych, gdzie ludzie narażają życie.

– Na przykład?

– Na przykład nurkowanie z rekinami albo skoki z górskich szczytów. W jednym programie pokazywali nawet prasowanie ekstremalne.

– Prasowanie ekstremalne?
Lily zmarszczyła brwi. Była pewna, że Dylan próbuje wpuścić ją w maliny.
– Tak, człowiek zwiesza się na linie ze stumetrowej, stromej skały i prasuje białą koszulę. Może powinienem się zgłosić. Moja góra prania niedługo będzie wielka jak Mount Everest.
Roześmiała się, a on stwierdził zaskoczony, jak bardzo uśmiech odmieniał jej twarz.
– O czymś takim jeszcze nie słyszałam, muszę przyznać, ale chyba wiem, o jakiej stacji mówisz... Leci czasem bez dźwięku, kiedy Liam słucha muzyki. Sami wysportowani młodzi faceci surfujący na gigantycznych falach albo na złamanie karku pędzący na snowboardach po pionowych zboczach, tak?
– Właśnie. Sam kiedyś brałem udział w czymś takim – pochwalił się z dumą. – Startowałem w zawodach w Newquay. Zająłem trzecie miejsce.
– W surfingu?
– Nieee. W picciu piwa... – Popatrzył na nią śmiertelnie poważnie, a potem się roześmiał.
– No jasne, że w surfingu. – I dodał z udawaną nonszalancją: – Liam chce, żebym nauczył go surfingu, kiedy wyzdrowieje.
– Jeśli to kiedykolwiek nastąpi – powiedziała cicho.
– Ma silną wolę.
– To prawda.
Pomilczeli chwilę, trzymając w dłoniach kieliszki. Obejmowała dłonią szklany obły kształt i uniosła go do nosa, chłonąc zapach wina. Na jej twarzy odmalował się wyraz, który widział już wielokrotnie.
– To zupełnie normalne, Lily – powiedział łagodnie.
– Co?
– Że cię tak traktuje. Niestety to normalne, że ktoś, kto doznał takiej traumy, wyładowuje wszystkie negatywne emocje na swoich najbliższych.
Pokiwała głową.
I zdziwiła się, jak Dylan, tak młody, rozprawiający przed chwilą o sportach ekstremalnych, chwilę potem dowodził mądrości, jakiej można było oczekiwać od znacznie starszych osób. Zamrugła, popatrzyła na niego i zapytała:
– Czy ty właściwie masz dziewczynę, Dylan?
– Czyżbyś nie chciała mówić o Liamie?
Wziął jej milczenie za potwierdzenie, ale nie tak od razu je zaakceptował.
– Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że nie jestem tu tylko dla Liama. Jestem też dla ciebie, gdybyś mnie potrzebowała, okej?
– Myślałam, że chcesz zostać fizjoterapeutą, a nie psychoterapeutą – powiedziała, uśmiechając się lekko, ale nie bez pewnej niechęci.
– Punkt dla ciebie. I nie, nie mam dziewczyny. W każdym razie nie w tej chwili. Nie dlatego, że nie chciałbym albo że się nie staram.
Wzięła te słowa za pretekst, żeby zapewnić go, że jest przystojnym, inteligentnym mężczyzną i że pewnego dnia znajdzie wspaniałą kobietę, która da mu szczęście. Potem pomilczeli przez jakiś czas, pijąc wino i czekając, aż Liam zjawi się na kolacji. W końcu Lily położyła dłoń na rękę chłopaka.
– Dylan... – odezwała się cichym, zachrypłym głosem. – Dziękuję ci za wszystko. Skinął głową i więcej nic nie mówili.
Zjawił się Liam, a rozmowa przy stole stała się trochę bardziej wymuszona.

Następnego dnia lało jak z cebra i plany Lily, żeby zjeść obiad w ogrodzie, dosłownie się rozplynęły. I tak znowu zebrali się przy kuchennym stole – ona, Liam, Peter i Dylan, który ostatecznie jednak został na noc.

Napaliła w kominku, żeby zrobiło się przytulniej. Ciemne, zachmurzone niebo na zewnątrz, migoczący odbłask ognia w środku, cicha muzyka i ulotny zapach żelaza, który pojawia się czasem, kiedy wilgotne od deszczu powietrze mieszało się z kuszącym aromatem rostbefu, sprawiały, że było jej ciepło na sercu. Liam był w znakomitym humorze, który okazywał nie tylko Peterowi i Dylanowi, ale także jej.

Rano pomogła mu w łazience i przy ubieraniu, a on gawędził z nią, kiedy myła mu tors i ramiona. Tak, nawet pocałował ją krótko w usta. Kiedy pomagała mu się ubrać, żartował, że przybrał na wadze, chociaż wciąż ważył dobre sześć kilo mniej niż przed wypadkiem. A na koniec wprost podziękował jej za pomoc.

Nie po raz pierwszy dziwiła się, że jego nastrój zmieniał się tak samo często i nieprzewidywalnie jak pogoda. Mimo to chłoneła chciwie tego ujmującego Liama, wzbraniając się przed myślą, że ten stan nagle może się zmienić.

Peter z kolei był tak milczący, że Lily obawiała się, iż wieczór z Wendy zakończył się straszliwą kłapą. Prędko dostrzegła jednak, że wprawdzie był powściągliwy, ale nie przygaszony. Był jakiś inny, ale w czym dokładnie tkwiła ta różnica, trudno było powiedzieć. Na pewno był inny i Lily aż się paliła, żeby zapytać go, jak przebiegł wieczór. Jednocześnie nie chciała odrywać się od Liama, który tego dnia tak bardzo przypominał mężczyznę, jakiego znała i kochała.

Zostawiła Petera i Liama przy stole, pogrążonych w rozmowie o wszystkim i o niczym, a sama z pomocą Dylana zajęła się przygotowaniem obiadu.

Liam wypytywał się nawet o centrum sztuki. Do tej pory unikał tego wątku jak diabeł święconej wody, a kiedy Peter zapewnił go, że wszystko idzie zgodnie z planem, natychmiast zmienił temat.

W którymś momencie rozmowa zeszała na okres wspólnych studiów, a on opowiadał anegdoty i przeżycia, które wywołały dużo śmiechu. Było prawie jak dawniej.

Lily nie była jedyną, która tak myślała. Również Peter był szczęśliwy, widząc wreszcie przyjaciela śmiejącego się i opowiadającego dawne historie. Chciał spędzić miły dzień. Chciał celebrować życie w całym jego pięknie, a także przyszłość, ku której zmierzali ufnie i z radością – bo chociaż Peter milczał w kwestii własnego życia, w środku aż w nim kipiało. Nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł popuścić emocje i podzielić się z przyjaciółmi własnym szczęściem i nadzieją.

Już miał to przed oczami. Zupełnie jak za dawnych czasów, tylko lepiej, bo będą siedzieli przy stole nie w trójkę, ale w czwórkę. Wendy stałaby się nowym członkiem rodziny.

Peter znalazł miłość życia, był tego całkowicie pewien. Nigdy nie sądził, że to będzie takie proste, ale ku jego zaskoczeniu i radości było, i jeśli to by zależało wyłącznie od niego, to spędziłby z nią resztę swojego życia.

Związek Lily i Liama zawsze był dla niego wzorcem i bolało go, gdy musiał się przyglądać, jak jego gwiazda przewodnia coraz bardziej bladła i rozpadała się w pył. I w ten sposób radość z tego, że w osobie Wendy wreszcie znalazł kobietę swojego życia, dołączyła radość, że mimo przeciwności losu to szczególne coś, co łączyło Liama i Lily, nadal się tli.

Peter uśmiechał się, widząc, jak Liam uśmiecha się do żony. Śmiał się, kiedy Liam śmiał się z jej dowcipów. I kiwał z zadowoleniem głową, kiedy Liam brał Lily za rękę i całował grzbiet jej dłoni.

Podczas posiłku panowała cisza przerywana odgłosami jedzenia, ale potem wszyscy zaczęli zasypywać komplementami gospodynię. Niewiele brakowało, a Lily przyznałaby się, że

to nie jej należą się komplementy za cudowne ciasto wiśniowe, ale postanowiła w drodze wyjątku to przemilczeć i pławić się przez chwilę w cudzej sławie. Nie dlatego, że potrzebowało tego jej ego, tylko dlatego, że nie chciała psuć miłego nastroju.

Zostali w kuchni, a kiedy skończyła się płyta, przełączyli na radio i zaczęli słuchać listy przybojów. Przy siódmym kawałku na liście Lily udało się wreszcie skierować rozmowę na inną tory. Zgodnie z umową Peter zapytał Liama, co sądzi o wspólnej kolacji w następny weekend, a ten natychmiast na to przystał. Przyjaciel zachował jednak powściągliwość i zdradził im tylko parę niewinnych szczegółów: nazwę restauracji, do której zaprosił damę serca, oraz jak im smakowało jedzenie.

Nagabywali go tak długo, aż w końcu przyznał, że wczorajszy wieczór z Wendy był fantastyczny, ale że nie chce niczego zapeszać. Wszyscy się roześmiali i jedno po drugim zaczęli go ścisnąć. Ale nawet i to wyznanie nie stanowiło całej prawdy. Prawda była taka, że w tej chwili nie chciał mówić o swoim życiu miłosnym.

Poprzedniego dnia, kiedy zatracił się w jej uśmiechu, uświadomił sobie, że znalazł coś niebywale cennego, czemu mógł tylko przyglądać się w milczeniu i z nabożnością napawać się jej pięknem.

Dylan, który był jedynakiem i nie miał najlepszych relacji ze swoimi nieco dziwnymi rodzicami, w milczeniu delectował się miłą atmosferą spotkania, jakby chłonał kojące ciepło ogniska. Od czasu do czasu wtrącał słowo, ale ogólnie zadowalał się słuchaniem i dla odmiany to on dawał się zabawiać innym, zamiast silić się na mądre riposty.

Kiedy Lily wstała, żeby zrobić kawę, zobaczyła w szybie swoje odbicie. Promieniowała. Wreszcie wyglądała jak kobieta, jaką była kiedyś i jaką znów chciała się stać. Wpatrywała się w siebie jak urzeczona, jakby zobaczyła twarz kogoś obcego.

Następnego tygodnia w Domu Róż niespodziewanie pojawił się nowy mieszkaniec.

Reefer był mieszkańcem collie, psem Dylana. Współlokator Dylana, pracujący szpitalu głównie na nocne zmiany, wyprowadził się, a pies na całe przedpołudnia zostawał sam. Kiedy zwierzak po raz kolejny pomylił jakiś mebel z kością, Dylan poprosił, żeby mógł zabierać go ze sobą. Właściwie chciał trzymać go w ogrodzie na tyłach domu, ale psiak wiedział, jak zmiękczyć serce Lily spojrzeniem swoich wielkich, brązowych ślepiów, i prędko zdobył wygodniejsze miejsce przy kominku w kuchni. Stamtąd przewędrował do pracowni Liama, żeby w końcu teraz – zaledwie parę dni, odkąd pojawił się po raz pierwszy – przemieszczać się bez ograniczeń po całym domu.

Lily i Reefer mieli jedną wspólną słabość – delicje. Znakomicie się uzupełniali, bo pies lubił biszkopt, a Lily galaretkę pomarańczową i czekoladę. W ten sposób stali się najlepszymi przyjaciółmi. Lily co rano chodziła z nim na spacer, podczas gdy Dylan i Liam byli zajęci często bolesną fizjoterapią.

Ponieważ Reefer był z natury bardzo posłuszny, nie potrzebował ani obroży, ani smyczy. Zawsze wybiegał nieco naprzód, potem zatrzymywał się, oglądał na nią, pędził z powrotem i przyciskał mokry pysk do ręki, jakby chciał ją upomnieć, żeby przyspieszyła kroku.

Lily zaskoczyło, a także napełniło lekkim smutkiem, że tak bardzo polubiła towarzystwo żywego stworzenia. W ten sposób czuła się mniej samotnie, a jej wędrówki nagle nabrały sensu. Przedtem wychodziła po to, żeby urwać się na godzinę z domu – teraz jej codzienna runda stała się koniecznością. Lily cieszyła się nie tylko obecnością psa, ale i innych osób, które zwierzę przyciągało swoją dobrocią i otwartością.

Tego ranka Dylan przyjechał wcześniej niż zwykle, dlatego Reefer już czekał na nią przy drzwiach, kiedy zeszła na dół. Z pyskiem ułożonym na przednich łapach spoglądał na nią ogromnymi, wymownymi ślepiami.

Pozwolił jej w spokoju zaparzyć dzbanek herbaty, ale potem zaczął się kręcić wokół niej przymilnie, jak najęty merdać ogonem i próbował wypchnąć ją z kuchni do drzwi.

– Czy mogę ewentualnie napić się herbaty, którą łaskawie pozwoliłeś mi zaparzyć? – zaśmiała się, ale w końcu zrezygnowała z planów śniadania i założyła gumowce.

Zapowiadał się ciepły dzień. Bładożółte słońce wysysało chciwie rosę i kładło ją ciężkimi pasmami mgły na równinie. Podążyli zwykłą drogą przez cypel do Merrien Cove.

Trzech rybaków wmanewrowywało właśnie jedną z mniejszych łodzi do suchego doku. Napędzana silnikiem wciągarka nawijała ciężki łańcuch po prowadnicach przymocowanych do portowego muru. Obsługiwał ją mężczyzna pilnujący, żeby lina nie wychylała się na boki, a jego młodszy towarzysz kroczył za łodzią, żeby stabilizować rufę. Najstarszy z nich nadzorował całą akcję.

Od samego początku kłaniali się Lily, kiedy spotykali ją na spacerze, ale odkąd zaczęła zabierać ze sobą Reefera, lubili zatrzymać się na małą pogawędkę i mierzwić szorstkimi spracowanymi rękoma jedwabistą sierść psa.

Kiedy Reefer towarzyszył jej po raz pierwszy, z zachwytem podbiegł do rybaków i przywitał się z każdym po kolei. Dla Lily naturalne było, żeby podążyć za nim. Na swój beztroski, rozbrykany sposób przekraczał granice, do których ona nie ośmielała się zbliżyć przez wiele miesięcy.

Teraz wiedziała już, że towarzysze Proctora nazywali się Dizzy i Whip. Dizzy był tym

młodszym: na oko miał około trzydziestki, a jego fryzura przypominała nastroszoną miotłę. Gęste, zmierzwione i rude włosy niezależnie od pogody sterczały we wszystkie strony. A jego uśmiech jaśniał tak, że mógł spokojnie konkurować z latarnią morską. Whip, wyglądający na jakieś pięćdziesiąt lat, był niski i mrukliwy. Zawsze witał się gestem, nigdy słowem. Najtrudniej było oszacować wiek Proctora. Gdyby sądzić go po ubraniu, to pochodził z całkiem innej epoki. Jego pomarszczona, ciemna skóra przypominała morsa, postawa była prosta i dumna, a pozdrowiał niezmiennie głośnym, wyraźnym „myttin da”, co jak twierdziła Abi, znaczyło po kornijsku „dzień dobry”.

Dziś mężczyźni zajęci byli pracą, ale pomachali jej, ona zaś przystanęła i przez chwilę im się przypatrywała. Tak bardzo skupiła na nich swoją uwagę, że nie od razu dostrzegła innego gąpia stojącego na końcu portowego muru wygiętego w łuk.

Mężczyzna obserwował ją i rybaków. Nie знаła go. Uśmiechał się do niej, a kiedy spostrzegła, że trzyma w ręku aparat fotograficzny, wzięła go za turystę. Po chwili obcy podniósł aparat i zrobił zdjęcie.

Nie było w tym nic niezwykłego, w końcu w miejscach takich jak Merrien Cove każdy najmniejszy skrawek był uwieczniany w urlopowych albumach letników. W tym wypadku jednak obiektyw nie był wycelowany w pejzaż, tylko w Lily.

Skonsternowana cofnęła się o krok. Pomyślała, że mężczyzna posunął się za daleko. Czy naprawdę ją sfotografował? Z jednej strony chętnie zażądałaby od niego wyjaśnień, z drugiej chciała tylko szybko się odwrócić i zniknąć. Oba sprzeczne impulsy ją sparaliżowały.

Potem popatrzyła dokładniej i uznała, że aparat równie dobrze mógł być wycelowany w krajobraz za jej plecami.

Poczuła się nieswojo. Odwróciła się i odeszła.

Młoda kobieta wyglądała na tak zaskoczoną, kiedy ją sfotografował, że Nathan niemal się roześmiał. Rozsądek ostrzegł go jednak i doradził, że powinien ją przeprosić i wyjaśnić, że zdjęcie zrobił bez namysłu, pod wpływem impulsu.

Wyglądała jak obraz jego ulubionego malarza Rosettiego, z tymi ciemnymi, miękkimi włosami, zaróżowionymi policzkami i dużymi, szarymi oczami spoglądającymi z taką powagą. To był wewnętrzny przymus, po prostu musiał utrwalić tę scenę. Zawsze tak było, ilekroć widział coś, co go fascynowało albo poruszało.

Chciał ją uwiecznić. Chciał móc w każdej chwili na nowo oglądać tę chwilę. Nie uważał się za osobę religijną, ale mimo to traktował świat jak jeden wielki cud, którego przejawy nie mogły być brzydkie czy odrzucające. Piękno leżało w oku patrzącego, a Nathan umiał dostrzec piękno nawet w rzeczach, w których większość ludzi go nie dostrzegała. Nie to, żeby uroda tej młodej kobiety była niewidoczna. Wiedział, że inni też określiliby ją mianem pięknej. I to nie tylko ze względu na figurę, ładną twarz i powiewające na wietrze włosy, ale także z powodu otaczającej ją aury smutku i kruchości.

Dopiero przy trzecim ujęciu zauważyła, co robi, i wyglądała na tak zranioną, że prawie pożałował, iż fotografując ją, przekroczył pewną granicę. Najprościej było sprawić, żeby uwierzyła, że się myli. Dlatego znowu przytknął aparat do twarzy i wycelował w jakiś wyimaginowany motyw za jej plecami, jakby ona sama tylko przypadkiem znalazła się w kadrze.

Podziałało.

Kobieta rzuciła krótkie spojrzenie przez ramię i zorientowała się, że stoi przed galerią, która była ulubionym motywem turystów. Zakłopotana oddaliła się pospiesznie, schowała w cieniu starego budynku portowego i znikła za murem.

Nathan spędził cały dzień w studiu. Po powrocie zastał Abi w kuchni. Do zwykłych dzinsów i wielkiego swetra, który – sądząc po kolorowym, zwariowanym wzorze – musiała wydzierać własnoręcznie, założyła dziś różowe bambosze, których nie cierpiał i groził ich konfiskatą za każdym razem, gdy je widział. Słuchała radia, jej włosy wyglądały jeszcze bardziej bezładnie niż zazwyczaj i była kompletnie zgrzana. Prasowała jego ubrania, które pośród jego protestów wyjęła z walizki i uprała.

Tyle razy jej tłumaczył, że sam to może zrobić. W końcu wychowała go na samodzielnego faceta. Już jako nastoletkowi wpoila, żeby nigdy nie polegał na tym, że inni będą wykonywać za niego podstawowe czynności codziennego życia. Z tego względu wcześniej nauczył się gotować, prać, sprzątać i prasować. Ale teraz, kiedy jako dorosły mężczyzna wracał do domu, nie chciała rezygnować z prania jego rzeczy. Stało się to dla niej rytuałem. W ten sposób witała go w domu.

Słyszac, że wchodzi, podniosła wzrok i pojaśniała.

– Ach, to ty? W dzbanku jest świeża herbata.

– Wołałbym kawę.

– Jest po południu, a my znajdujemy się w Anglii.

– A od kiedy jesteś taką orędowniczką tradycji?

Podszedł do matki z uśmiechem i cmoknął ją w policzek. Potem jednak nalał sobie herbatę i usiadł z filiżanką przy stole, obracając krzesło w ten sposób, że mógł oparte wyżej nogi wyciągnąć w kierunku ognia.

Nie było bardzo chłodno, ale ponieważ spędził dłuższy czas w kraju, w którym termometr wskazywał w południe dobre trzydzieści pięć stopni, czuł się całkiem przemarznięty.

Wielki, rudy, pręgowany kocur Betty, Proctor, który latem kursował między kuchnią Betty a Abi, leżał na parapecie, ale natychmiast zeskoczył i ułożył się na kolanach Nathana. Chłopak pogłaskał go po łepku, co kocisko skwitowało mruzeniem.

Abi wyjęła z kontaktu wtyczkę żelazka, ułożyła stertę uprasowanych ubrań na komodzie, żeby później zanieść je na górę, złożyła deskę do prasowania i uprzątnęła wszystko do schowka. Potem usiadła na wprost syna, nalała sobie herbaty i cieszyła się jego obecnością.

Nathan upił łyk.

– Widziałem dziś w porcie pewną kobietę.

– Ach tak?

Od razu wiedziała, że pod tym sztucznym luzem kryło się coś więcej.

– Nie widziałem jej tu wcześniej.

– Pewnie jakaś turystka.

– Może. A może nie. Ciemne włosy, smutny uśmiech. Jakby odnalazła sens życia, a potem go utraciła.

– Ach, to mogła być Lily.

– Miała ze sobą psa, dużego szczupłego mieszańca.

Abi potrząsnęła głową.

– To jednak nie Lily. Ona nie ma psa.

– Nie Lily?

– Prawdopodobnie nie. Dlaczego tak wypytujesz?

– Jestem tylko ciekaw.

– Wiesz przecież, że ciekawość może mieć dramatyczne konsekwencje. Ciekawość zgubiła kota.

– Słyszałeś, tygrysie? – Nathan pogłaskał środkowym palcem ciemnorude znamię w kształcie litery V, odcinające się od karmelowej sierści na łbie. Kot zamruczał głośniej. – Nie interesuj się niczym, bo wpakujesz się w kłopoty!

– Nie to miałam na myśli, a ty doskonale o tym wiesz! – Popatrzyła na niego surowo, ale przyjęła jego słowa z humorem. – Dziwię się tylko, że tak bardzo interesujesz się kimś, kogo zupełnie nie znasz.

Zastanawiał się, dlaczego nie pokazał jej zdjęcia, które wywołał po południu. Zgodnie z oczekiwaniami wyszło dobrze. Nie – wyszło lepiej. Wyszło genialne. Nathan umiał być samokrytyczny – ta cecha charakteru nie zawsze ułatwiała mu życie, ale przyczyniła się również do sukcesów zawodowych, którymi nigdy się nie przechwalał. Ale w tym wypadku, pomijając samokrytykę, wiedział, że wykonał wyjątkową fotografię.

Mimo to nie wspomniał o tym ani słowem.

– Była wyjątkowo piękna – powiedział zamiast tego.

Zauważył, że matka marszczy czoło.

– Czy w ostatnim czasie byłeś w Nowym Jorku? – zapytała po chwili nieco ostrzej.

Tym razem to on rzucił jej surowe spojrzenie. Potrząsnął głową.

– Nie, ja...

– W takim razie najwyższy czas, mój drogi.

– Ach tak?

Przewierciła go wzrokiem, ale on tylko dalej sączył herbatę, a potem dodał:

– To ja przygotuję dziś kolację. Zrobię jedno z moich curry. I to takie ostre, że te twoje szpetne kaptcie pospadają ci z pięt i wylądują w koszu.

– Próbujesz zmienić temat.

Uśmiechnął się tajemniczo i pewnym siebie spojrzeniem udowodnił, że właśnie to zrobił.

– Okej, okej. Chętnie, bardzo się cieszę. Dziękuję. Możemy też w tym tygodniu pójść do Port Hole. Bob nie posiada się z radości, że cię znów zobaczy.

– Aha. Bob – powiedział ciepło Nathan. – Co tam u staruszka?

– Uważaj z tym „staruszką”... – ostrzegła z uśmiechem.

– Ach, prawda, on jest nawet młodszy od ciebie...

– O trzy lata.

– Twój młodociany amant.

– Nathan...

– On nie miałby nic przeciwko.

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– Ale tylko dlatego, że nie dajesz biedakowi żadnego znaku i trzymasz go w niepewności.

– Ten biedak, jak na niego mówisz, nie chce żadnych znaków. Dobrze wiesz, że nie jestem w jego typie.

– Ach, mamó, nie opowiadaj! Jeśli Bob jest gejem, to ja jestem Doris Day!

Abi popatrzyła na syna i uniosła brew.

– Co ty powiesz?! To jak? Kawałeczek ciasta do herbaty, kochana Doris?

Lily powzięła decyzję.

Chciała zaproponować Dylanowi, żeby wprowadził się do nich. Od dawna już spędzał w Domu Róż tyle czasu, że o wiele praktyczniej dla niego byłoby tu zamieszkać. Zwłaszcza że

odkąd wyprowadził się jego współlokator, ledwie go było stać na sam czynsz.

To byłoby dla niego dobre rozwiązanie. Dla Liama zapewne też. Zresztą jej motywy też nie były całkiem altruistyczne. Liam zachowywał się jak jeź. W obecności Dylana był ufnym, kiedy tylko tamten odchodził, związał się w kłębek i wystawiał kolce.

Następnego dnia, kiedy Dylan był zajęty ćwiczeniami ze swoim podopiecznym, Lily pojechała do Truro odwiedzić Petera. Zastała go w ogrodzie, gdzie urządził sobie kącik pracy. Siedział przy białym żeliwnym stole, na którym rozpostarte były jakieś plany, i wyciągał swoje potężne nogi w krótkich chinosach do słońca, żeby złapały trochę opalenizny. Jak na jego standardy ubrany był dość swobodnie.

Lily weszła do ogrodu od tyłu. Kiedy ją zobaczył, rozpromienił się i trochę zbyt prędko zebrał ze stołu plany. Prawie jakby chciał coś przed nią ukryć.

– Przyszłaś w samą porę – przywitał ją. – Właśnie miałem zrobić sobie przerwę. – Przeciągnął się i ziewnął przesadnie. – Bądź tak miła i zrób kawę, Lily, a ja w tym czasie zaniosę ten kram do pracowni.

Lily w przelocie rzuciła okiem na plany i w mig pojęła, w czym rzecz. Bardzo się starał, żeby w jej obecności nie wspominać o centrum sztuki, bo wychodził z założenia, że mógłby trafić ją w czuły punkt. Ale ciężki wypadek Liama w niczym nie zmienił faktu, że projekt nadal odgrywał w jego życiu ogromną rolę. A teraz musiał uporać się z nim sam.

– Możesz spokojnie o tym mówić, Peter – zapewniła go, czując wyrzuty sumienia.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Nie musisz udawać, że to nie istnieje.

Próbował spojrzeć na nią tak, jakby nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ale oboje znali się zbyt dobrze, żeby to się udało.

– A nie chciałabyś czasem, żeby to nie istniało?

Sprawiała wrażenie, jakby przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. W końcu pokręciła głową.

– Staram się tylko sama sobie wytłumaczyć, że nic nie dzieje się bez powodu.

Poszła do kuchni, w której czuła się jak u siebie, zrobiła kawę, wyniosła ją do ogrodu i usiadła. Odchyliła się do tyłu z zamkniętymi oczami, chwytając słońce i dając się pieścić jego ciepłym promieniom.

Peter wyszedł do ogrodu i nadal uśmiechał się nieco zbyt szeroko.

– Jak tam pacjent?

– Jest uosobieniem niecierpliwości.

– Tak źle?

– Owszem, nadal tak źle.

– A ty jak się czujesz?

– Całkiem nieźle.

Peter oczekiwał właściwie nieco bardziej wyczerpującej odpowiedzi, ale kiedy się nie doczekał, ciągnął dalej.

– A jak się sprawuje chłopak?

– Dylan? Pierwsza klasa. Nie wiem, jak sobie radziliśmy bez niego. Właściwie, bądźmy szczerzy, wcale sobie nie radziliśmy... i dlatego... – Odetchnęła ciężko, kurczowo trzymając kłębek z kawą. – Dlatego tu jestem. Chciałam omówić z tobą pewną sprawę, pewien pomysł, jaki mi przyszedł do głowy... Chciałabym zaproponować Dylanowi, żeby wprowadził się do nas.

Peter milczał. Lily słyszała, jak powoli wydycha powietrze.

– Okej... – powiedział z namysłem.
Dolała mu kawy.
– Okej – powtórzył. – Mogę zrozumieć, skąd ten pomysł, ale jesteś pewna, że to mądre posunięcie? On dla was pracuje. Jeśli zamieszka u was, zatrą się granice.
– Wiem.
– I może on wcale nie zechce się do was wprowadzić. Może będzie miał poczucie, że musi być do dyspozycji całą dobę.
– Tak, taka myśl też mi przyszła do głowy.
– Jasne, on ma ułatwić życie tobie i Liamowi i przykłada się do tego całym sercem, ale nie możecie się od niego uzależniać, Lily. Od września pójdzie na studia. I co wtedy?
– Mój ty głosie rozsądku. – Uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku. – Więc tak: po pierwsze mam nadzieję, że do tej pory Liam poczuje się na tyle lepiej, że nie będzie potrzebował pomocy. Po drugie Dylan może wynajmować u nas pokój dłużej, również po wyzdrowieniu Liama. Po trzecie, może, jeśli będzie chciał, przenieść się do akademika w mieście, to już będzie zależało od niego.
Peter pokiwał z namysłem głową.
– A co na to Liam?
– Jeszcze z nim o tym nie rozmawiałam, bo chciałam najpierw wysłuchać twojej opinii. Wzruszył ramionami.
– Są plusy i minusy. Trzeba to dobrze przemyśleć...
– Myślę, że już to zrobiłam.
– Uważam tylko, że nie powinnaś się spieszyć z decyzją i dać sobie trochę czasu. Żebyś potem nie żałowała.
Skinęła głową.
I chociaż właściwie wszystko gruntownie rozważyła, ze względu na Petera jeszcze raz przespalała się z problemem. A ponieważ następnego dnia też nie pojawiły się żadne wątpliwości, odczekała spokojniejszej chwili i wtajemniczyła Liama w swój pomysł, żeby Dylan został ich lokatorem. Spodziewała się oporu, tym bardziej ją zdumiało, kiedy okazało się, że bez żadnych obiekcji przyjął jej propozycję.
– Nie najgorszy pomysł.
– Ale też nie tak dobry?
– Tego nie powiedziałem. Tylko jest parę rzeczy, które trzeba przemyśleć. Na przykład kwestia, czy naprawdę chcemy dzielić dom z osobą trzecią.
– Dom jest tak duży, że nawet byśmy nie zauważyli, że mieszka w nim dodatkowa osoba. Mógłby mieć dla siebie nawet całe poddasze.
– Mógłby mieć nawet i pierwsze piętro, też bym tego pewnie nie zauważył.
Liam uśmiechnął się krzywo.
– Taka jest moja propozycja. Możesz się nad nią zastanowić i podjąć decyzję.
– Zasadniczo to dobry pomysł. Oboje go lubimy, dobrze się z nim dogadujemy i wiemy, że finansowo w tej chwili ledwie przędzie.
– Czy to znaczy, że się nad tym zastanowisz?
– A nie możemy zrobić tego razem?
– Myślałam, że chcesz to przemyśleć w spokoju.
– Jak mówiłem, zasadniczo to jest dobry pomysł. Zdajesz sobie sprawę, że Dylan zamieszkałby tu z psem?
– Tak.
– I nie przeszkadza ci to?

– Ani trochę. Jakoś nawet fajnie jest mieć go przy sobie.
– Psa czy Dylana?
– Obu. – Uśmiechnęła się. Coś takiego powiedziałaby dawny Liam. Jej Liam. – A więc nadal tam jesteś – powiedziała i przycisnęła mu lekko palec do czoła.
– Co? – rzucił tak szorstko, że aż się cofnęła.
– Nic... A tobie sprawiałoby różnicę? Że w domu jest pies?
Pokręcił głową.
– Więc nie masz nic przeciwko temu?
– Zupełnie nie.
– Więc mam z nim porozmawiać?
– Nie.
– Ale myślałam...
– Sam z nim porozmawiam.
– Okej, jak chcesz. Kiedy?
– Jutro. Zanim pójdzie do domu. Żeby nie myślał, że musi odpowiadać od razu. Żeby miał trochę czasu do namysłu.

Dylan nie potrzebował czasu do namysłu, ponieważ zgodził się natychmiast. Kiedy Liam jej o tym powiedział, odetchnęła głęboko i stwierdziła, że się uśmiecha. Wiza, że ktoś obcy miałby zakłócać ich bytność we dwoje, kiedyś była nie do pomyślenia. A teraz nawet się na to cieszyła. Jak bardzo wszystko się zmieniło.

– No to wkrótce będziemy we trójkę. – Głos Liama zabrzmiał nagle chrapliwie.
– We czwórkę – poprawiła go Lily, próbując ponownie przywołać na twarz uśmiech. – Zapomniałeś o Reeferze.

Liam także, nie mogąc spać, roztrząsał po nocach, jak bardzo wszystko się zmieniło i jak jeszcze się zmieni, kiedy zamieszka z nimi Dylan. Czuł, że ulga Lily jest bezgraniczna. Wiedział, że to dobry pomysł, żeby chłopak wprowadził się do Domu Róż, dostrzegał jego dobre strony – mimo to miał mieszane uczucia.

Dylan oczywiście był przyjacielem, w jego oczach nawet dobrym przyjacielem, ale pierwotnie i w pierwszej linii był pielęgniarzem. To było źródłem osobliwej dynamiki w ich relacjach. Liam był jego pryncypałem i był starszy – i do tego Dylan musiał się dostosować. Jednocześnie ich stosunek pod pewnymi względami był bardzo intymny, daleko wykraczający poza granice zwykłej znajomości. Fakt, że Dylan nazywał go w żartach „tata”, nie zmieniał w niczym okoliczności, że to on troszczył się o niego w sposób, w jaki od dawna, od bardzo dawna nie robił nikt.

Lubił z nim przebywać. Tak, do diaska, posunąłby się nawet do stwierdzenia, że kochał tego chłopaka. Kiedy byli razem, rozmawiali nie tylko o nim, o Liamie. Liam znał od jakiegoś czasu pełną historię jego życia, a ta nie była bajką dla grzecznych dzieci. Chłopak nie miał łatwo.

Długo rozmyślał nad tym, co było gorsze: stracić kochających rodziców czy mieć rodziców, którzy się nie interesowali własnym dzieckiem?

Liam zadawał sobie pytanie, jak wszystko by się potoczyło, gdyby jego rodzice jeszcze żyli. Jak przyjęliby to wszystko, co się stało?

Po śmierci rodziców wyłączył pewną część siebie. Tę część, która najchętniej nie przedstawiałaby płakać, tę, która chciała się załamać, tę, która nie chciała być pragmatyczna i silna. To zadziałało, udało mu się. W rezultacie coraz rzadziej myślał o rodzicach. A kiedy w końcu poznał Lily, postanowił od tej pory koncentrować się wyłącznie na teraźniejszości i przyszłości, pozwa-

lając, aby przeszłość odeszła na zawsze.

Ale po wypadku z wielkim trudem przychodziło mu trzymać się tej zasady. Zwłaszcza nocą, kiedy z bólu nie mógł spać. Leżał wtedy w łóżku i myślał o Lily śpiącej samotnie piętro wyżej i o tym, co razem przeszli. A bezsenność tylko się wzmaciała.

Nie był mężczyzną, który pytałby, dlaczego ja. Takie rzeczy się zdarzały i trzeba to było zaakceptować. Koniec, kropka, takie jest życie. I dlatego nawet w najmroczniejszych godzinach brał się w garść i zmuszał, żeby dostrzegać pozytywy.

A pozytywne było to, że lekarze mówili już o zdjęciu opatrunku z prawej ręki, bo była już dość mocna. A kiedy pozbędzie się szyny, na pewno wkrótce wstanie z wózka. Na nic innego nie cieszył się tak bardzo, odkąd jako dziecko z utęsknieniem wyczekiwał Bożego Narodzenia. Ten cholerny wózek. Gdyby nie fakt, że szpital i tak nie miał ich zbyt wiele, najchętniej zrzuciłby go z urwiska, kiedy już przestanie być mu potrzebny.

Móc znów używać rąk. Obu. Wobec Dylana często pozwalał sobie na żarciki, że nie może nawet jednocześnie myć zębów i podcierać tyłka. Ale tak naprawdę to wcale nie było śmieszne.

Czuł się tak bezużyteczny. Tak bezgranicznie bezużyteczny. Zwłaszcza wtedy, gdy był z Lily. Dzieląca ich przepaść pogłębiała się i poszerzała coraz bardziej. Jak mógł temu zaradzić, skoro wprawdzie był bezradny jak niemowlę, ale od dawna nie był taki słodki?

Ona nie była szczęśliwa na długo przed wypadkiem. Jak musiała czuć się teraz? Wiedział przecież, że jest nieszczęśliwa. Oboje byli. Tylko jak mógł ją uszczęśliwić w tym stanie? Do czego był jej w ogóle potrzebny? Już nie był jej mężczyzną. W ogóle nie był już mężczyzną, do cholery!

Wszyscy mu powtarzali, że musi być cierpliwy, poczekać, aż noga znów będzie zdrowa, a wtedy wszystko wróci do normy. Czas leczy wszystkie rany, tak mówili. Ile czasu mu jeszcze zostało, aż ona w końcu będzie miała dość i naprawdę spakuje walizki i odejdzie?

Byłoby lepiej, gdyby odeszła wtedy, w dniu wypadku. Może w rzeczywistości tego właśnie chciała. Czy chciała odejść? Nie. Nie. Nie. Lily nigdy by go nie opuściła. Byli dobrą, byli silną parą. Zawsze powtarzali sobie, że razem przejdą przez wszystko. Dopóki mieli siebie, musiało się udać. A przecież jeszcze się mieli, prawda?

Dlaczego ostatnio, tamtego wieczoru, nie otworzył się przed nią? Czuł przecież, że chciała porozmawiać. A on tak bardzo chciał jej dotknąć. Byli sobie tak obcy. Tak dalecy. Czegoś takiego nie przeżyli jeszcze w ciągu trzynastu lat ich związku.

Nawet wtedy, gdy...

Gdy...

Pokręcił głową i sfrustrowany zacisnął dłoń, na co mięśnie natychmiast zaprotestowały bólem. Otworzył pięść i przyłożył rękę do twarzy. Przetarł zmęczone oczy i ściągnięte fałdami czoło.

Ach, Lily. Czasem był na nią tak wściekły, że mógłby ją spoliczkować. Tak, przyznał się w końcu do tego. Czasami najchętniej skoczyłby jej do gardła. Te uczucia wywoływały w nim lęk. Dlaczego był na nią taki zły? Powinien być zły na siebie. Tylko na siebie.

Tęsknił za nią. Tęsknił za zażyłością. Ale jak miałoby być jak dawniej, skoro on tak się zachowywał? Jak mogliby znów być szczęśliwi, skoro...

Liam potrząsnął głową i westchnął. Był zrozpaczony.

– Bonner, jesteś durnym skurwysynem – złajał się. – Wielkim, głupim skurwysynem.

Ponownie potrząsnął głową.

Ale przecież wina nie leżała tylko po jego stronie! Nie tylko! A może jednak? Ona też mogłaby zadać sobie trochę trudu. Pod wieloma względami mogłaby się postarać trochę bardziej. Na przykład ostatnio wieczorem, kiedy go pocałowała. Tak prędko się poddała. Tak prędko

poszła do swojej sypialni. Na piętro. Gdzie on nie miał dostępu.

Rozmyślając o tym, otworzył oczy i spojrzał na miejsce, gdzie siedziała Lily. Wyraz bólu na jego twarzy zamienił się w zaskoczenie i cień cynicznej satysfakcji, kiedy zauważył, że została coś, co mogło mu się bardzo przydać.

Dzień, w którym Dylan wprowadził się do Domu Róż, był pierwszym słonecznym dniem od dobrego tygodnia. Można było tylko mieć nadzieję, że pogoda wreszcie się zmieni i zacznie przypominać lato. Tylko róże jeszcze nie zakwitły. Pąki pęczniały z każdym dniem, ale za nic nie chciały się otworzyć. Trudno im się było dziwić – słońce nie stało jeszcze zbyt wysoko na niebie, żeby dać im za domem wystarczająco ciepła i światła.

Stare mini Dylana było tak wyładowane dobytkiem, że samochódzik przypominał przepelniony pojemnik na śmieci. Zajechał przed dom z opuszczonymi szybami, zza których dudniła muzyka.

– Dylan przyjechał! – zawołała głośno Lily, tak, żeby usłyszał ją Liam leżący jeszcze w łóżku.

Ale jej wołanie było całkowicie zbędne, bo głośny warkot małego pojazdu był wystarczającą zapowiedzią. Z ulgą i ze smutkiem zauważyła, że na twarzy Liama po raz pierwszy, odkąd Dylan w piątek pojechał do domu, zawitał uśmiech.

– Jest lokator. Zdrów i cały?

Skinęła głową.

– Zdrów i pomijając urągający stan jego wehikułu, najwyraźniej też cały. Widziałeś samochód?

Liam zaprzeczył.

– Wygląda jak pchli targ na kółkach. Jest tak kompletnie wyładowany bambetłami, że nie widać zza nich Dylana. Zdaje mi się, że przywiązał Reefera na dachu. Zobaczę, czy może potrzebuje pomocy...

Wyszła na zewnątrz. Otworzyła drzwi pasażera, żeby uwolnić psa, który w rzeczywistości dzielił fotel z pudłem pełnym starych płyt i czarnym workiem na śmieci, z którego wylewały się ubrania. Polizał jej dłoń i potruchał przez otwarte drzwi do środka, gdzie z westchnieniem ułożył się przy zimnym kominku. Był zadowolony, że dotarł do celu.

– Chodź, pomogę ci – powiedziała Lily i otaksowała wzrokiem deski surfingowe, które Dylan przypiął pasami na dachu samochodu.

– Nie trzeba, dzięki, poradzę sobie. Nie ma tego aż tak dużo. Większość rzeczy w bagażniku i tak jest przeznaczona na pchli targ, a co nie znajdzie nowego właściciela, powędruje na śmietnik. Deski mogę zostawić na dole, w klubie. Ale napiłbym się herbaty, bo wczoraj świętowałem przeprowadzkę i potwornie mnie suszy.

– Sam sobie jesteś winien, Dylan.

– Dzięki, mam. A propos, gdzie tata?

– Jeszcze w łóżku. Nieszczególnie się dziś czuje.

Uśmiech Dylana zamienił się w ściągnięte niepokojem brwi.

– Hm. W takim razie lepiej zajrzę do niego, zanim zacznę to wyładowywać.

Minął ją i wszedłszy do środka, zapukał cicho do drzwi Liama. Lily usłyszała, jak wita się żartobliwie.

– Cóż to za nędzny komitet powitalny? Gdzie orkiestra dęta i transparenty? I co ty w ogóle robisz w łóżku o tej porze, stary symulancie?

Lily poszła do kuchni, nastawiła czajnik i poszukała w szafce ulubionych ciastek Dylana. Dziwne, był u nich niemal codziennie, ale chciała mu szczególnie dogodzić. Kiedy zalewała wrzątkiem herbatę, wszedł do kuchni.

– I jaka diagnoza?
– Wczoraj wieczorem zapomniał wziąć środków przeciwbólowych, dlatego dokucza mu kolano. To wszystko. Doprowadziłem go do porządku pod względem techniczno-medycznym, więc za jakąś godzinę powinien poczuć się lepiej.
– Zapomniał wziąć leków? Ale przecież mu zaniósłam...
– Chyba zasnął, zanim zdążył je zażyć... – Dylan wzruszył ramionami. – Nie ma obawy, sądząc po tym, jak beznadziejnie się dziś czuje, drugi raz mu się to nie zdarzy.
– Dobrze. A właściwie niedobrze, ale wiesz, co mam na myśli. – Podała mu herbatę. – To resztkę mleka. Zaraz polecę do Merrien Cove i przyniosę świeże. Potrzebujesz czegoś?
– Chyba nie.
– Mam wziąć psa?
– Jasne – odpowiedział i uśmiechnął się jakoś z przymusem.
– Wszystko w porządku?
– Tak, jasne, wszystko super. Reef! Spacer!

Lily wydało się dziwne, w jaki sposób Dylan unikał jej spojrzenia, ale ledwie wyszła na słońce, przestała zaprzętać tym sobie myśli. Rozkoszowała się ciepłem na twarzy i miała nadzieję, że piękna pogoda to dobry omen, a ona sama znowu popada w lekką paranoję.

Dopiero kiedy dotarła do portu, przypomniała sobie, że mały sklepik wielobranżowy otwierali dopiero o dziesiątej. Przystanęła przed galerią niepewna, czy powinna zaczekać, czy wrócić do domu. W tym momencie usłyszała, że ktoś ją woła.

Z małego okienka na piętrze wychylała się Abi, energicznie wymachując żółtą miotełką do kurzu.

– Lily! Jak miło cię widzieć! Jest tu ktoś, kogo koniecznie musisz poznać! Chodź. No już, hop, hop!

Zniknęła w środku i zamknęła okno.

Lily popatrzyła na Reefera. Jej wahanie nie umknęło Abi, która dalej jej się przypatrywała. Kobieta ponownie otworzyła okno.

– To twój?

– Przejściowo tak. – Lily wzruszyła krótko ramionami.

Abi powiodła wzrokiem między Lily a psem, a potem zrobiła minę, jakby ją olśniło.

– To go po prostu weź ze sobą, kochanie!

I znowu zamknęła okno.

Lily z ociąganiem weszła do lokalu przesyconego miłą wonią. Abi zeszła po schodach, a za nią pojawił się młody mężczyzna.

– Lily! – Abi cmoknęła ją w policzek. – Wreszcie mogę ci go przedstawić. To jest mój syn Nathan. Nathan, to moja przyjaciółka i sąsiadka. Lily.

Podszedł do niej z uśmiechem, ale twarz Lily stężała momentalnie. To był mężczyzna z portu. Ten, który ją fotografował. Albo i nie. Gdyby nie jej zwykła bladość, z twarzy odpłynęłaby jej cała krew. On zdawał się nie zauważać jej dyskomfortu. Z uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

– Witam... – Odczekał chwilę, potem uśmiechnął się jeszcze szerzej i dodał: – Miło znowu panią widzieć.

Ta uwaga, wraz z uśmiechem, który nagle wydał jej się szelmowski – definitywnie odziedziczył po matce – była pełnym przyznaniem się do winy, że wtedy w porcie nieprzypadkowo wycelował w nią obiektyw. Lily była tak zbita z tropu, że dopiero po chwili ucisnęła wyciągniętą do niej dłoń. Nie patrzyła na Nathana.

On z kolei nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy, odkąd przestąpiła próg galerii. Wpa-

trywał się w nią w sposób, jakby szukał jakichś usterek.

Skarciła się za swoje idiotyczne zachowanie i zmusiła do odwzajemnienia spojrzenia.

Jego brązowym włosom przydałby się fryzjer, końcówki były spłowiałe od słońca, a twarz pokryta złocistą opalenizną. Miał na sobie sprane, rozdarte na kolanach džinsy i białą koszulę ze stójką, wyglądającą bardzo artystycznie, ale i bardzo kosztownie.

Gdyby Lily była w tej chwili sobą, zauważyłaby, że jest cholernie przystojny. Dostrzegłaby, że jego pełne usta kompensują nieco zbyt ostry nos, a duże, inteligentne, okolone gęstymi rzęsami oczy błyszczą bladym, zielonkawym błękitem, że wysportowane ciało ma zgrabne proporcje, a ciepła, miękka i sucha dłoń zakończona jest paznokciami, które były o wiele bardziej wypielęgnowane niż jej własne, w ostatnim czasie zbyt często obgryzane.

To haniebne, że nie widziała tego wszystkiego, gdyż z pewnością podziwiałaby go, tak jak podziwia się piękny obraz w muzeum albo rzeźbę Michała Anioła. Była jednak zbyt zaprzęgnięta własnym skrępowaniem, żeby móc docenić to, co miała przed oczami.

Abi, uosobienie dumnej matki – a miała powody do dumy – uwielbiała przechwalać się synem przed przyjaciółmi, znajomymi, a nawet obcymi, dlatego cieszyła się niezmiernie, mogąc przedstawić go Lily, ta bowiem już wyraziła swój zachwyt twórczością Nathana.

– Lily jest zachwycona twoimi pracami, Nathan. Jedną z fotografii już ma, a kolejną na oku.

Uśmiechnął się skromnie. Od lat był przyzwyczajony do komplementów matki, ale nadal czuł się z nimi nieswojo. Pocieszał go fakt, iż Lily wyglądała na jeszcze bardziej zażenowaną niż on.

– Jest pani kolekcjonerką?

– Nie, ale w kwestii sztuki mam niejakie pojęcie...

– Lily pracowała wcześniej w galerii w Londynie – zdradziła mu Abi.

– Ach tak? W której?

– Galeria Davida Lithneya, niedaleko Soho Square. Słyszał pan o niej?

Rozpromienił się.

– Poważnie? Znam dość dobrze wnuka Davida Lithneya, Sebastiana. Studiowaliśmy razem, znaczy, nie na tym samym kierunku, ale na tym samym roku. Nadal zaglądam czasem do galerii. Dziwne, że jeszcze nigdy się nie spotkaliśmy.

– Może się spotkaliśmy.

Pokręcił głową z uśmiechem.

– Na pewno bym zapamiętał. – Żeby nie wprawiać jej w jeszcze większe zakłopotanie, postanowił pociągnąć wątek o znajomym. – W takim razie na pewno dobrze zna pani Sebastiana... Co pani o nim sądzi?

Pokiwała powoli głową.

– Bardzo go lubię... Zwłaszcza jego poczucie humoru... – Lily przypomniała sobie pewną anegdotę. – Organizowaliśmy kiedyś prywatną wystawę Mondriana dla pewnego problematycznego klienta. Pojawił się u nas, a wtedy Sebastian podmienił obraz na namalowaną przez siebie kopię...

– Cały Seb!

Oczy Nathana zabłysły.

– Najlepsze było to, że klient w ogóle się nie zorientował – zaśmiała się Lily – i zapłacił sporą sumkę za oryginalnego Seba Lithneya... Gdyby wiedział o tym jego ojciec, chyba by go zabił...

– Ale ostatecznie klient dostał swój oryginał Mondriana, prawda?

– No cóż, ponieważ Seb namalował obraz na odwrotnej stronie pudełka po płatkach kuku-

rydzianych, zdawaliśmy sobie sprawę, że podmiana nie pozostanie długo niezauważona!

Abi cieszyła się, że syn tak dobrze dogaduje się z jej nową przyjaciółką i oddaliła się, żeby zagotować wodę na kawę w kupionym wreszcie czajniku.

– I co pani robi teraz? Pracuje w którejś z tutejszych galerii?

– Nie, ale naprawdę bardzo tęsknię za pracą – przyznała ku własnemu zaskoczeniu.

– Dobrze to rozumiem. Ja wręcz żyję swoją pracą.

Jego współczujący uśmiech był tak szczery, że wreszcie zebrała się na odwagę, żeby wypowiedzieć to, co leżało jej na duszy.

– Przepraszam za tamten raz. Mam nadzieję, że nie zepsułam panu żadnego z pięknych kadrów.

Popatrzył na nią, jakby nie miał pojęcia, o czym mówi.

– No, to zdjęcie, które pan zrobił. W porcie. Wlazłam panu w kadr.

– Nie, nie zrobiła pani tego.

Oboje zdziwili się, z jaką lekkością to powiedział. Obserwował ją uważnie, żeby ocenić jej reakcję. Zrobiła tak samo poirytowaną minę jak wtedy, gdy wydało jej się, że ją fotografuje. Nathan najchętniej przywołałby na twarz szeroki uśmiech, ale zamiast tego próbował załagodzić sytuację słowami.

– Zdjęcie wyszło cudownie. Chętnie zrobię pani odbitkę.

Przez moment wpatrywała się w niego swoimi wielkimi oczami, w których malował się tak głęboki ból i smutek, że chętnie dowiedziałaby się, co tkwi w tej kobiecie. Co ją tak dręczy.

– Prawdę mówiąc, nie lubię swoich zdjęć. Wolałabym, żeby pan je zniszczył.

Skinął głową. Ale nie dlatego, że zgadzał się na jej sugestię. Tego jednak nie mogła wiedzieć, więc z zadowoleniem przyjęła jego reakcję. W tym momencie wróciła Abi z kawą, co przypomniało Lily o mleku, po które wyszła. Pożegnała się pośpiesznie.

Jakby wszystko to było nie dość dziwne, po powrocie do Domu Róż, ledwie zamknęła za sobą drzwi, powitało ją coś nadzwyczaj dziwnego: z jakiegoś niezrozumiałego powodu po raz pierwszy odniosła wrażenie, że wróciła do domu.

Wieczorem tego samego dnia znalazła butelkę po whisky nieudolnie schowaną pod śmieciami, które wyrzucił Dylan. Początkowo myślała, że butelka była własnością nowego lokatora, ale potem zaświtało jej w głowie, że to faszka, z której naląła drinka Liamowi tamtej pamiętnej nocy. Wtedy była jeszcze do połowy pełna. Teraz była pusta. Wyciągnęła ją palcami z kosza i przyglądała jej się z rozczarowaniem i obrzydzeniem.

Dylan obstawał przy tym, żeby pomóc Liamowi położyć się spać, a potem chciał zaszyć się u siebie. Lily przechwyciła go w korytarzu i bez słowa podetknęła mu butelkę pod nos. Pokazała gestem, żeby poszedł za nią do kuchni.

– Tylko mi nie mów, że to twoje – syknęła.

Potrząsnął głową.

– Nie, nie będę obrażał twojej inteligencji. Ale obiecuję, że z nim o tym pogadam. Jestem prawie pewien, że to się nie powtórzy.

– Od kiedy to już trwa?

– To było jednorazowe potknięcie.

– To nie o to chodzi. Wiesz tak samo dobrze, jak ja, że nie powinien w ogóle pić, dopóki zażywa leki przeciwbólowe. Przynajmniej nie w takich ilościach.

– Twierdził, że w butelce i tak nie było już wiele.

– Wszystko jest względne.

W tym samym momencie uświadomiła sobie, że to ona prawie wmusiła w niego szklaniczkę whisky. Na tę myśl złagodniała.

– Nie chcę, żebyś zatajał coś takiego.

Skinął głową.

– Ale Lily, bez obrazy, zrobiłem to, co uważałem za najlepsze. Gdybym zdawał sobie sprawę, że wiedza o tym w jakiś sposób pomoże tobie czy wam, to bym ci powiedział. Tylko, że prawdę mówiąc...

Nie musiał dalej mówić. Lily wiedziała, co chciał powiedzieć. Stosunki między nią a Liamem były już wystarczająco złe i bez tego. Nie potrzebowali kolejnego zatargu.

Tym razem to ona skinęła głową.

– Myślisz, że zrobi to znowu?

– Myślę, że przekonał się, iż żaden alkohol świata nie jest wart tego bólu.

– Sądzisz, że mógłby zacząć pić i jednocześnie zażywać leki?

Dylan potrząsnął głową.

– To nie ten typ. Jest zbyt inteligentny. Nigdy nie zrobiłby czegoś tak głupiego.

– Być może, ale on się tak zmienił... – Nie wiedziała, jak sformułować swoją nielojalną myśl. – Nie jest już taki, jak dawniej.

– Być może, ale ja poznałem go dopiero po wypadku, czyli takim, jaki jest teraz, i dałbym sobie rękę uciąć, że nie zostanie alkoholikiem czy ćpunem.

Popatrzył jej otwarcie i szczerze w oczy. Przytaknęła uspokojona i na tym poprzestała.

Zaraz po zapadnięciu zmroku Abi i Nathan udali się do wsi i skierowali swoje kroki do Port Hole. Już od wejścia chłonęli swobodną atmosferę podkreślaną przez świece na stołach i gwar głosów niedzielnych gości. Kiedy weszli po schodach na piętro, dobiegł ich od strony baru kwik radości.

– Hej, wreszcie! Jest obieżyświat! A twoja matka nie powiedziała ani słowa! – Bob rzucił Abi pełne wyrzutu spojrzenie, wychodząc zza długiego, mahoniowego kontuaru, na którym w nieskończonych szeregach stały flaszki z wysokoprocentowymi trunkami.

Nathana obdarzył promiennym uśmiechem.

– Biorę to na siebie... Chciałem zrobić ci niespodziankę.

Mężczyźni przywitali się serdecznym uściskiem.

Minusem niespodzianki było to, że wszystkie stoliki były zajęte i musieli usiąść przy barze. Ale Abi, usadowiona między dwoma mężczyznami, których kochała najbardziej na świecie, rozplywała się ze szczęścia, trąkając przy tym jak najęta. Opowiadała o tym, co nabroił Nathan, gdy był mały, o tym, jak Bob sprowadził się do Merrien Cove, i o tym, jak poznała Boba.

Bob i Nathan kiwali głowami. Słyszeli te historie już tysiąc razy, ale nawet do głowy im nie przyszło, żeby jej przerywać. Ochocho wtórowali jej wybuchom śmiechu, wtrącając tu i ówdzie jakieś zdanie, którego od nich oczekiwali.

W końcu Abi wstała.

– Muszę na siusiu. Biada wam, jeśli podczas mojej nieobecności zaczniecie rozmawiać o czymś ważnym!

– Hm, skoro mamy zakaz rozmawiania...

Nathan uniósł szklankę, a Bob pojaśniał i trącił ją swoim szkłem.

– Twoja matka jest przeszczęśliwa, kiedy tu wracasz. Wiesz o tym, prawda?

– Jasne.

– A jak wyglądają twoje najbliższe plany?

– Nie wiem jeszcze. – Wzruszył ramionami. – „National Geographic” zaproponował mi, żebym towarzyszył jednemu z ich autorów w Nowej Gwinei.

– Ale?

– Skąd wiesz, że jest jakieś „ale”?

– A nie ma?

– Jest. Znacząca, to wspaniała propozycja, ale... – zaśmiali się obaj – znam tego dziennikarza z poprzedniej wyprawy, podczas której nie dogadywaliśmy się ze sobą zbyt dobrze.

– To dlaczego chce cię zabrać?

– Przypuszczalnie dlatego, że jestem najlepszy. – Nathan nonszalancko wzruszył ramionami, robiąc minę niewiniątka. – Nie, a poważnie, wprowadzić na płaszczyźnie osobistej nie szło nam najlepiej, ale rezultat tej współpracy to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek osiągnęliśmy na gruncie zawodowym. Mam jeszcze parę dni do namysłu.

– A jeśli się zdecydujesz, to kiedy wyjazd?

– Nie wiem jeszcze.

– Czyli w gruncie rzeczy wpadłeś tylko na chwilę?

– Pewnie tak.

– Matka wie?

– Jasne, że nie.

– No to może nie wtajemniczajmy jej dzisiaj, co?
– Nie dziś, nie jutro i nie pojutrze. Masz rację, Bob. Kiedy tylko mama się dowie, że wkrótce znowu wyjeżdżam, spuści nos na kwintę i nie będzie umiała cieszyć się wspólnie spędzonym czasem. Lepiej, żeby pożegnanie było krótkie.

Anna, która wieczorami pracowała w Port Hole, stanęła na wprost nich w swoim uniformie złożonym z czarnej bluzki i długiego fartucha.

– Uwolnił się stolik, panie Manson.

– Mów mi po imieniu, Anna. Tyle razy już ci mówiłem... – Podniósł się, bo wróciła Abi, a Hiszpankę obdarzył uśmiechem. – Mów mi Bob.

– Dziękuję, panie Manson... Bob, sir.

Anna zamarkowała dygnięcie.

Bob zaczął się śmiać.

– Dziękuję, moja droga, ale miałem na myśli, tylko Bob... – Nadstawił ramię Abi, a ona wzięła go pod rękę. – Skarbie, od dłuższego czasu trzymam dla nas butelkę wybornego wina, tak doskonałego, że powinno się je pić wyłącznie przy szczególnych okazjach. – Ujął drugą dłoń Abi i przycisnął ją do ust, a potem poprowadził kobietę do stolika. – Myślę, że powrót Nathana to godna okazja. Jak sądzisz?

Lily od niepamiętnych czasów nosiła wyłącznie dzinsy. W sukience, którą wybrała na ten wieczór, czuła się obco i nie wiedziała, czy będzie jeszcze umiała chodzić w butach na obcasach. Były takie niewygodne.

W ogóle się zaniedbała. Jej brwi się rozrosły, skóra wysuszyła od ostrego, morskiego klimatu, a ogolenie nóg zajęło jej wyjątkowo dużo czasu... Wznowienie rytuałów, które w Londynie należały do codzienności, a tu uległy całkowitemu zapomnieniu, sprawiło jej dziwną satysfakcję. Krem nawilżający, makijaż, manikiur.

Efekt był niezły. Kiedy stanęła przed lustrem, spojrzała na nią kompletnie odmieniona Lily. Ktoś, kto wprawdzie wydawał jej się znajomy, kogo jednak nie widziała już od bardzo dawna. Ruth zawsze jej powtarzała, że jest atrakcyjna, na swój niewyróżniający się sposób. Gdyby przyjaciółka widziała ją ostatnio... Jak zawsze, kiedy pomyślała o Ruth, obiecała sobie, że się do niej odezwie. I jak zawsze wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie.

Pełna poczucia winy odwróciła się od lustra i zeszła na dół, żeby zobaczyć, czy Liam jest już gotowy.

Liam siedział na wózku przy oknie w pracowni i czytał. Jak zwykle miał na sobie dres i najwyraźniej zupełnie zapomniał, że mieli iść na kolację. Kiedy zapukała cicho i weszła do środka, podniósł wzrok, a kiedy ją zobaczył, nie potrafił ukryć zaskoczenia i zachwytu. Już samo to spojrzenie warte było zachodu.

Ale po chwili drzwi się zamknęły, zniknął pełen uznania wzrok i Liam burknął:

– Ale się odstawiłaś. Wychodzisz gdzieś?

Lily zmarszczyła pytająco brwi.

– Nie, my wychodzimy.

– My?

– Tak. Idziemy na kolację.

Popatrzył na nią, jakby właśnie zaproponowała mu spacer po urwisku.

– Przecież rozmawialiśmy o tym nie dalej jak wczoraj. Przecież Peter chciałby nam kogoś

przedstawić. Swoją nową przyjaciółkę. Wendy.

Liam ściągnął brwi i sposepniał.

– I w tym celu musimy jeść poza domem. Dlaczego?

– Dlaczego nie? – odparowała.

Za wszelką cenę nie chciała dopuścić do sprzeczki.

– Bo może nie chcę? Może jedzenie poza domem nie jest ulubionym sposobem spędzania czasu, kiedy nie można ruszyć kończyną i jest się zdanym na żelastwo na kółkach, żeby dotrzeć z punktu A do punktu B?

Zamiast jak zwykle podkulić ogon, popatrzyła mu prosto w oczy i przeciwstawiła się.

– A może tym razem wyjątkowo nie chodzi o ciebie, tylko o coś, co jest bardzo ważne dla pewnej osoby, a ta osoba jest twoim najlepszym przyjacielem? Obiecałeś mu, że przyjdiesz, i uważam, że powinieneś dotrzymać słowa.

Wiedział, że ma rację, i nie zaoponował.

– To jak, przebierzesz się? – zapytała po dłuższym, pełnym napięcia milczeniu.

Skinął głową.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie – skłamał.

– Dobrze.

Odwróciła się i poszła na górę.

Za każdym razem, gdy wchodziła po schodach, zaznaczała między nimi ostrą granicę. Granicę, której on nie mógł przekroczyć. Patrzył za nią, jak się oddala bez odwracania, potem własnoręcznie, z trudem, centymetr po centymetrze pojechał do sypialni. Z nienawiścią omiół wzrokiem sprzęty.

Szpitalne łóżko, regulowane za naciśnięciem guzika – kompletnie zbędne, jak uważał, normalne łóżko w zupełności by wystarczyło – połączona z sypialnią łazienka, gdzie mógł każdy zajrzeć, bo nie było drzwi. Szafa z drzwiami przesuwanymi za naciśnięciem guzika, ubrania umieszczone tak, że sam mógł po nie sięgnąć. Wszystko takie przemyślane, tak świetnie wykonane. A jednak te wszystkie rzeczy mające ułatwić mu życie jego zdaniem podkreślały tylko, jak jest cholernie bezradny, i zwiększały poczucie własnej bezużyteczności.

Wiedział, że używając zdrowej ręki, może zejść z wózka i wszystko zrobić sam. Dotychczas robił to jednak tylko pod czujnym okiem przyjaciela i pomocnika, Dylana. Sam nigdy.

Ale udało mu się. Wszystko. Zignorował morderczy ból i ubrał się. Jedną ręką, centymetr po centymetrze wciągnął spodnie przez ciężki gips i przez biodra.

A potem poległ na błahostce. Gdyby nie był tak cholernie wściekły, pewnie by się z tego śmiał. Czy teraz, kiedy z największym trudem doszedł tak daleko, taka bagatela miała zniweczyć cały plan? Guzik? Guzik od mankietu miał powalić go na kolana? Swoją słabą ręką nie potrafił nawet zapiąć zwykłego guzika. Kto by pomyślał, że taka prosta czynność wymagała tak złożonej koordynacji palców i kciuka! Musiał jednak poprosić ją o pomoc.

Otworzył usta, żeby ją zawołać, ale jej imię nie przeszło mu przez gardło. Po raz pierwszy od wypadku poczuł, jak do oczu napływają mu łzy... W tym samym momencie usłyszał, że ktoś otwiera drzwi wejściowe i zaraz potem rozległ się głos Petera.

– Halo? Jest tu ktoś?

Poczuł bezbrzeżną ulgę i zawołał z wdzięcznością:

– Jestem tutaj, Peter, wchodź! – Kiedy Peter wetknął głowę przez drzwi, wyszczerzył się do niego i dodał: – Czy ktoś już ci mówił, że masz cudowny dar zjawiania się we właściwym momencie? – Wyciągnął ku przyjacielowi lewy nadgarstek. – Zapniesz mu guzik? Mam dziś problemy z precyzją.

Przybycie Petera sprawiło, że Liam w zawrotnym tempie katapultował się z nizin przygnębienia na szczyty euforii. Dziwne uczucie. Jeszcze przed chwilą nurzał się w rozpacz, a teraz upajał radością. Mężczyzna, z którym Lily opuści dom tego wieczoru, był kimś innym niż ten, którego skarciła godzinę temu.

Może rzeczywiście miał wyrzuty sumienia z powodu swojej narowistości, ale Lily było obojętne, co spowodowało zmianę nastroju. Po prostu cieszyła się, że nie był już tak zdeprymowany.

– Jaka ona jest? – wypytywał Petera.

– Perfekcyjna – padła lakoniczna, ale płynąca prosto z serca odpowiedź.

Wyruszyli w drogę. Peter pchał wózek i starał się omijać kamienie. Dylan nigdy się tak nie cackał podczas ich codziennych spacerów. Lily zajęła się rezerwacją i zadbała o to, żeby dostali stolik na parterze, gdzie było dość miejsca, żeby Liam bez trudu mógł poruszać się na wózku. Lorna przygotowała nawet śliczny, obity brokatem podnózek, żeby Liam podczas jedzenia mógł położyć wyżej nogę.

Liam rzeczywiście pozwolił Lornie zająć się sobą. Pomogła mu przesiąść się z wózka na normalne krzesło i dopilnowała, żeby noga leżała pod właściwym kątem, a jednocześnie nie była zbyt widoczna dla innych gości.

Wieczorami Port Hole stawał się zupełnie innym lokalem niż w dzień. Wszędzie poustawiano niezliczone świece rzucające ciepłe, białe światło na kamienne ściany, sprawiając, że mieszały się kolorami płomieni w kominku.

Liam z pewnym zaskoczeniem stwierdził – prawie jakby to było pierwszy raz – jaką piękną ma żonę. W tym łagodnym świetle jej skóra przypominała alabaster, usta były bladoróżowe, a oczy aksamitnie szare.

Siedział i podziwiał ją, aż w końcu, opacznie rozumiejąc jego spojrzenie, zapytała, czy wszystko w porządku i czy może coś dla niego zrobić. Ledwie wypowiedziała te słowa, już ich pożałowała – i nieźle się zdziwiła, kiedy nie zareagował ze zwykłą urazą, tylko westchnął z przesadą i oznajmił:

– Nie pogniewałbym się za coś do picia.

– Z gazem czy bez? A może wolisz sok?

Jego dobry nastrój prysnął jak bańka mydlana.

– Myślałem, że przy tak szczególnej okazji wolno mi będzie napić się czegoś mocniejszego? – odparł, zaciskając usta.

– Zamówiłem wino – włączył się pośpiesznie Peter.

Liam skinął głową, ale kiedy przyniesiono wino i Peter nalał go Lily, był zdecydowany odmówić. Dylan wspomniawszy, że Lily znalazła pustą butelkę po whisky i teraz tylko czekał, aż żona coś powie na ten temat. Na razie czekał nadaremno.

– Barsac. Napijesz się łyżek? – Peter popatrzył na niego otwarcie. – Jest wyborne. Jak myślisz? Możesz sobie pozwolić na lampkę?

Nie uszło jego uwadze, że Peter przy ostatnim zdaniu zerknął na Lily. Udowodni jej, że nadal jest panem siebie i wie, co robi.

– Dziękuję, ale lepiej będzie, jeśli zostanę przy wodzie. Ach, i jeszcze coś: ze względu na dzisiejszą okazję pozwolę sobie na coś szczególnego: z gazem poproszę!

Wyjął z kieszeni plastikowe pudełeczko z tabletkami i położył je obok kieliszka na wino, żeby każdy widział, że to leki spaprały mu ten wieczór, a także całe jego życie.

Dreńczona wyrzutami sumienia Lily odstawiła swój kieliszek na bok, choć chętnie by się napiła.

Nie umknęło to uwadze Liama. Jakaś jego cząstka chciała jej powiedzieć, że nie powinna

się oglądać na niego i pić, ile zechce – inna zaś była zdania, że to w porządku, żeby ktoś dzielił z nim los pariasa. Ostatnia myśl sprawiła, że się ocknął. Co się z nim działo? Dlaczego przez cały czas miał taki fatalny humor? Zmusił się do uśmiechu.

– Nie musisz rezygnować z picia przeze mnie.

– Ale to nie w porządku... – zaoponowała.

– Dokładnie tak jak życie.

Pokiwał głową. Słowa uwięzły mu w gardle. Lily nadal nie sięgała po wino. Peter obserwował ich oboje. I jak zwykle uratował sytuację szczyptą humoru.

– Jeśli ktoś potrzebuje tutaj drinka, to chyba ja. Popatrzcie, jak trzęsą mi się ręce. –

Wyciągnął dłonie. – Ludzie, zbliżam się wielkimi krokami do czterdziestki, a mam wrażenie, że zachowuję się jak uczeń! Jestem kłębkim nerwów! Czy ja już kompletnie zwariowałem? To przecież naprawdę nie jest moja pierwsza randka...

Lily i Peter z ulgą skonstatowali, że Liam znów się uśmiecha.

– Nie, ale twoja pierwsza randka z naszym udziałem. Czy ta biedaczka w ogóle wie, że jeśli nie zda dziś egzaminu, zmusimy cię, żebyś odprawił ją z kwitkiem? I czy zdajesz sobie sprawę, że nadal mi nie opowiedziałeś, gdzie ją właściwie wyrwałeś?

Peter z wielką ochotą jeszcze raz opowiedział historię ich spotkania. „Dziwne – pomyślała Lily. – W normalnej sytuacji Peter jemu pierwszemu by się zwierzył”. Może nie tylko jej trudno było dojść do ładu z Liamem. Mówienie o Wendy sprawiało, że Peter popadł tylko w większe zdenerwowanie. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu, dłonie zwilgotniały. Lily widziała, jak wyciera je serwetką i po raz setny zerka w stronę drzwi.

– Muszę na stronę.

– Znowu? – zapytał Liam, unosząc brew.

Peter skrzywił się i wstał.

Lily popatrzyła za nim.

– Ale się denerwuje. Jeszcze nigdy go nie widziałam w takim stanie. Zwykle jest taki rzeczowy i rozsądny.

– Tak, ale jeśli na coś mu naprawdę zależy, to nawet on robi się nerwowy.

– Czy to znaczy, że naprawdę zależy mu na tej nowej znajomej?

– Myślę, że tak.

– Ciekawe, jaka ona jest.

Wzruszył ramionami.

– Zaraz się przekonamy.

Milczeli. Lily przysłuchiwała się rozmowom przy sąsiednich stolikach i tym boleśniej odczuwała ciszę przy swoim.

– I jak ci się podoba knajpka? – zapytała w końcu, kiedy nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

– Miła. – Puste, pozbawione znaczenia słowo.

– Należy do Abi.

– Cieszę się, że znalazłaś przyjaciółkę.

Popatrzył na nią i spróbował się uśmiechnąć. Widząc, ile wysiłku go to kosztuje, zebrało jej się na łzy.

Poddała się. Siedzieli dalej w milczeniu, dopóki nie wrócił Peter. Lily nadal nie tknęła swojego wina i udawała, że studiuje menu. Liam gapił się przez okno, zatapiając niewidzący wzrok w ciemnej uliczce.

Była bezksiężycowa noc. A ponieważ zajęli miejsca na parterze, Liam nie mógł widzieć morza, tylko okna i dachy innych domów oraz ciemne, nocne niebo pokryte czarnymi chmurami.

Piekelnie bolała go noga, a co dopiero będzie potem, kiedy wieczór dobiegnie końca? Zdecydowanym gestem sięgnął po tabletki, wziął jedną, chwycił kieliszek Lily i popił winem. Nie spuszczał wzroku z Lily. Niemal pragnął, żeby go przyłapała.

Ale nic nie powiedziała. Zdawała sobie sprawę, że robi to tylko po to, żeby ją sprowokować. I właśnie dlatego postanowiła nie reagować i udawać, że niczego nie zauważyła.

Trzymała przed nosem kartę dań dłużej, niż trzeba, żeby ukryć emocje wywołane jego zachowaniem. Chciała odczekać, aż minie jej złość, aby móc stawić mu czoła. Była zdeterminowana okazać klasę, bo w końcu jego zachowanie było zrozumiałe, prawda? Ale kiedy odłożyła menu, a na jej twarzy znów odbił się wewnętrzny spokój, poczuła ścisk w żołądku. Upłynęła chwila, zanim zdała sobie sprawę, że wzbiera w niej niepohamowana wściekłość. Jak on śmiał traktować ją w ten sposób? Co ona mu zrobiła? Czym sobie na to zasłużyła? Bez namysłu, impulsive naleła mu hojnie wina.

– Co ty robisz? – zaatakował ją, otwierając szeroko oczy.

– Zasłużyłeś sobie – odpowiedziała zdawkowo.

Tak, zasłużył. Niech siedzi i gapi się w pełen kieliszek, niech z czystej złośliwości powstrzymuje się od umoczenia w nim ust, choć niczego nie pragnie bardziej. Niech zachowa powściągliwość, ale nie z dobrego serca, jak ona, ale z czystej przekory. I wtedy okaże się, komu będzie łatwiej.

Kiedy Peter w końcu wrócił do stolika, był całkiem blady na twarzy.

– Wszystko w porządku?

– Owszem, dziękuję. Chyba tak. To tylko nerwy.

– Nie masz najmniejszego powodu do zdenerwowania.

– Wiem, ale ona już dawno powinna tu być – powiedział ponuro.

Liam spojrzał na zegarek i uśmiechnął się pokrępiąco do przyjaciela.

– Co to znaczy „dawno”? Jest dopiero parę minut po czasie.

– Tak, ale ona nigdy się nie spóźnia. Jest niezwykle punktualna. Mój ojciec ją za to pokocha.

– A ty kochasz ją z wielu innych powodów.

– Nikt tu jeszcze nie mówi o miłości – zbagatelizował pospiesznie, wbijając wzrok w stół. Mimo to nie zdołał ukryć cienia uśmiechu.

– Jasne. Jesteś tylko zabujany po uszy – stwierdził Liam.

– To prawda – zawtórowała mu Lily, uśmiechając się.

Peter popatrzył na nich, a na jego twarzy zakwitł szeroki uśmiech. Poczzerwieniał.

– Ona jest wyjątkowa – przyznał nieśmiało i znowu zerknął na zegarek. – Powinienem był po nią pojechać. Zaproponowałem jej to, ale odmówiła. Powiedziała, że będzie wracać prosto od koleżanki i że to głupota, żebym po nią jechał, bo to w przeciwnym kierunku.

– Przyznaj się, chciałeś ją spić, zawieźć do domu i tam ją wykorzystać – drażnił się z nim Liam.

– Peter nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. – Lily wzięła go w obronę. – Peter wie, co wypada, a co nie.

– W przeciwieństwie do mnie, co?

Zdawała sobie sprawę, że znowu próbował wszcząć kłótnię, ale tylko się uśmiechnęła, nie reagując na uszczypliwość.

– Jestem pewna, że wszystko jest w najlepszym porządku – zwróciła się do Petera.

– Powinienem był po nią pojechać, ale za żadne skarby nie chciała...

– Będzie tu lada moment...

I rzeczywiście chwilę potem otworzyły się drzwi i do środka weszła młoda kobieta,

a twarz Petera pojaśniała blaskiem silniejszym od wszystkich świec w Port Hole.

Jej miękkie, słomiane włosy przycięte były na krótkiego pazia. Mały, zadarty nosek zdołały jasne piegi, a ogromne, szare oczy obserwowały Liama i Lily z mieszaniną sympatii, nadziei i zdenerwowania. Ubrana była w sukienkę przypominającą te, do których noszenia zmuszała matka Lily, kiedy była nastolatką: bardzo kobiecą i w kwiecisty wzorek.

Była skrajnie nieśmiała, a ich i tak już niezręczne spotkanie rozpoczęło się od bąkanych słów powitania i całusów, w zamieszaniu składanych w nieodpowiednich miejscach.

Lily początkowo zupełnie nie mogła pojąć, co taki mężczyzna jak Peter znajdował w tej niezdarnej, zalęknionej dziewczynie, poza ładną buzią i smukłą figurą.

Wkrótce jednak, po wypiciu wielkiej lampki białego wina, Wendy zaczęła się rozkręcać i rozkwitła pełnią piękna. Już po dziesięciu minutach Lily wiedziała, co takiego zobaczył w niej Peter.

Miała w sobie coś niewinnego, coś dziewiczego i nieskazitelnego, jak pączek, który właśnie zaczyna pękać. Od czasu do czasu, gdy wymieniała spojrzenia z Peterem, Lily dostrzegła w jej oczach szelmowski błysk.

W trakcie kolacji języki się rozwiązały i wkrótce stało się jasne, że Wendy miała nadzwyczaj wyrafinowane, zaraźliwe poczucie humoru. Kiedy się śmiała, nie sposób było nie śmiać się razem z nią. Lily, całym sercem życząca Peterowi szczęścia, była oczarowana sposobem, w jaki Wendy go dotykała: sięgała po jego dłoń albo przykrywała ją swoją, stykała się ramieniem albo przechylała ku niemu głowę. A oczy Petera znowu świeciły blaskiem tysiąca świec.

Im bardziej rozluźniona i rozmowna stawała się Wendy, tym Liam bardziej gasł i się wycofywał.

– Wszystko w porządku? – zapytała Lily, kiedy skrzywił się i zaczął wiercić na krześle.

– Tak, tak. Trochę tylko zeszywniałem... Wprawdzie nawykłem do długiego siedzenia, ale nie na tak niewygodnym krześle...

– Mam poprosić o dodatkową poduszkę?

– Nie... chciałbym się tylko odrobinę rozruszać... Peter, mógłbyś mi pomóc usiąść na wózku. Muszę udać się w pewne miejsce...

– Jasne.

Kiedy Peter wstał, żeby mu pomóc, Liam puścił oko do Wendy.

– Właściwie wcale nie chce mi się sikać, ale muszę pogadać w cztery oczy z Peterem o tobie.

– A ja myślałam, że tylko dziewczyny chodzą parami do toalety.

Lily w akcie desperacji usiłowała uderzyć w żartobliwy ton, uśmiechnęła się do męża i zdumiała się, kiedy się roześmiał.

Ledwie poszli, Lily wzięła nietknięty kieliszek Liama i przelała jego zawartość do swojego. Wendy, nadal pełna uwagi wobec kobiety, o której z takim zachwytem opowiadał jej Peter, zdziwiła się, ale nic nie powiedziała. Umoczyła wargi w winie. Lily zaczęła, aż tamta odstawi kieliszek, i posłała jej uśmiech.

Wendy omal się nie zakrzuszyła, a Lily z trudem opanowała impuls, żeby zerwać się z miejsca i poklepać ją po plecach. Zamiast tego zapytała:

– Naprawdę jesteśmy tacy straszni?

Wendy zrobiła minę winowajczynie.

– Przepraszam... Ale panicznie bałam się spotkania z wami.

– Naprawdę? – Lily włożyła w swój ton sporą dozę empatii.

Jej rozmówczynie zrewanżowała się, biorąc wdech i przymierzając się do wyznania.

– Byłam cała w nerwach... – przyznała.

– Ale dlaczego?
Wendy dla animuszu łyknęła jeszcze trochę wina. Lily dołała jej do kieliszka.

– Peter tyle już mi o was opowiadał. Znaczący dla niego bardzo wiele... – Wendy skrzywiła się. – A to oznacza, że jeśli mnie nie polubicie, będę miała problem.
Lily przez moment patrzyła na nią osłupiała, a potem roześmiała się.

– Ach, więc to o to chodzi! Nic dziwnego! Naprawdę sądzisz, że nasza opinia jest dla niego tak istotna?
Wendy pokiwała gorliwie głową.

– Peter mówił o was w samych superlatywach, dlatego muszę przyznać, że jestem bardzo onieśmiona...
– No, w każdym razie przekonałaś się, że w rzeczywistości wcale nie jesteście tacy wspaniali. I na pewno nie będziemy wtrącać się do takich kwestii, jak kobiety Petera. Miał już wiele przyjaciółek, które nas nie zachwyciły, a nigdy nie rozstał się z żadną, dlatego że jakąś zdyskwalifikowaliśmy.
Wendy zatrzepotała rzęsami.

– Tyle przyjaciółek.
– Cóż, kobiety ciągną do niego jak do miodu – oznajmiła konspiratorsko Lily. – A Peter, trzeba przyznać, nigdy tego nie wykorzystywał, w żaden sposób. Wie, co wypada... Jest prawdziwym dżentelmenem... W dzisiejszych czasach tyle kobiet fascynuje się podejrzanyimi typami...
Wendy potrząsnęła zdecydowanie głową.

– Ja nie. Nie mam ochoty na gierki.
– To dobrze. Ja też nie.
Popatrzyły po sobie ze zrozumieniem, a Wendy uśmiechnęła się przepaszająco.

– Może moglibyśmy zacząć od początku... Tak się nastawiłam na to, że muszę zdobyć waszą aprobatę, że... no... Właściwie nie byłam sobą, a teraz macie mnie prawdopodobnie za głupią gęś.
– Nie uważam cię za głupią gęś – sprzeciwiła się łagodnie Lily. – Musisz mieć trochę szarych komórek, skoro chcesz być z Peterem.
Wendy rozpromieniła się.

– Jest niesamowity, prawda?
Lily przytaknęła. I też nieco pojaśniała.

– Cieszę się, że tak uważasz. I między nami mówiąc: odkąd cię poznał, praktycznie nie mówi o niczym innym.
– Naprawdę?
Zdawała się szczerze zaskoczona i nieziemsko uradowana.

– Naprawdę. Oczywiście jest cała masa pytań, które chciałabym ci zadać.
Wendy rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Co chcesz wiedzieć?
– Wszystko – odparła Lily, szczerząc się równie szeroko.

– Odhaczmy wszystko w pięć minut. Jestem nauczycielką, jak pewnie wspominał. Zgadza się?
Pokiwała głową.

– Tak, wspominał. Mówił również, że urodziłaś się w Kornwalii.
– Właśnie. W Tregavethen, niedaleko Truro. To było, zanim jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się tam tereny przemysłowe. Wyprowadziliśmy się stamtąd, kiedy miałam siedem lat.
– Do Manchesteru. Wiem od Petera.

Wendy przytaknęła.

– Moja matka i chłopcy nadal tam mieszkają, w Southport, ale ojciec wyemigrował do RPA.

– Chłopcy?

– Mam czterech braci.

– Czterech? – zdumiała się Lily.

– No, właściwie trójka z nich to bracia przyrodni. Moi rodzice rozstali się, kiedy miałam czternaście lat, a dwa lata później mama ponownie wyszła za mąż. Była dosyć młoda, kiedy się urodziłam, a jej mąż Adrian jest o pięć lat młodszy. Nie miał jeszcze dzieci.

– Nieźle, czterech braci – powtórzyła Lily.

Wendy pojaśniała uśmiechem.

– Dokładnie. Czterech. Nicholas ma dwadzieścia sześć lat, Alexander piętnaście, Adam dwanaście, a James dziesięć.

– A ty ile masz lat?

– Dwadzieścia osiem.

Dlaczego wydawało jej się, że to cholernie młody wiek, skoro sama była tylko o parę lat starsza? Kiedy ona sama miała dwadzieścia osiem lat, już od prawie dziesięciu lat była żoną Liam.

Może za wcześnie wyszła za mąż? Byli w sobie tacy zakochani. Lily wstrzymała oddech. Byli? Otrząsnęła się z tych myśli i skupiła na rozmowie z Wendy.

– A zatem jesteś najstarsza.

– Hm. Pewnie dlatego zostałam nauczycielką. Niestraszna mi banda rozzuchwalonych dzieciaków. A ty? Masz rodzeństwo?

– Nie, jestem jedynaczką.

– To tak jak ja.

Podniosły głowy.

Wrócił Peter.

– Chociaż Liam jest dla mnie jak brat.

– Kochasz go jak brata, a mimo to zostawiłeś samego w toalecie? – zażartowała Lily, tłumiąc niepokój.

– Jasne, że nie – odparł rozbawiony Peter. – Liam jest tam i przystawia się do kelnerki.

Lily błyskawicznie się odwróciła i zobaczyła, jak młoda Hiszpanka, która zwykle pracowała w galerii, pchała wózek z Liamem z powrotem do stolika.

– To jest Anna. Pracuje w galerii u Abi. – Lily nie mogła się nadziwić, widząc, że ciemnowłosa piękność nie tylko się uśmiecha, ale i trajkocze jak najęta. – A gdzie oni się spiknęli?

– Ach, ta mała zakłęła pod nosem po hiszpańsku i wystraszyła się na śmierć, kiedy Liam jej odpowiedział, przejeżdżając obok.

– On zna hiszpański? – zapytała Wendy.

– Przez trzy lata uczył się hiszpańskiego w szkole, a kiedy mieszkaliśmy w USA, firma, dla której pracował, miała wielu hiszpańskojęzycznych klientów, więc zapisał się dodatkowo na intensywny kurs. Dość dobrze mówi w tym języku, ale rzadko ma okazję go używać.

Lily jeszcze raz popatrzyła na ich dwoje i zdziwiła się, jakie emocje wzbudził w niej ten widok. Liam wyglądał, jakby naprawdę dobrze się bawił.

Gdyby to z nią potrafił obchodzić się w ten sposób, ten wieczór byłby perfekcyjny.

Starszy brat Anny, Marcello, w wieku szesnastu lat miał wypadek na motocyklu i od tam-

tej pory był sparaliżowany od pasa w dół. Miał teraz dwadzieścia sześć lat, był żonaty i miał dwójkę wspaniałych, czarnookich synów, na których punkcie Anna miała kompletnego bzika. Marcello i jego żona Jacy prowadzili własny bar na wschód od Barcelony. On nigdy nie dopuścił do tego, żeby ułomność definiowała czy wręcz rujnowała mu życie. Dla Anny i całej rodziny było zupełnie normalne, że jedno z nich porusza się na wózku.

O tym wszystkim Liam naturalnie nie wiedział. Uderzyło go tylko, że Hiszpanka rzeczywiście z nim rozmawia, a nie tylko udaje, że nie zauważa wózka, do którego był przykuty. Zauważyła to, ale przede wszystkim widziała jego twarz. Dla niej wózek inwalidzki był tylko częścią niego, niczym szczególnym.

Zapytała go, skąd tak dobrze zna hiszpański, a on opowiedział jej o swoim pobycie w USA, a potem dał się namówić jej łagodnym oczom o barwie tarniny na opowieść o swoich wyjazdach na wakacje z rodzicami. Kiedy był mały, przez sześć kolejnych lat spędzali lato w Katalonii. Jego rodzice kochali ten język i zarazili tą miłością syna. Od śmierci rodziców jednak nigdy więcej tam nie pojechał z obawy, że czar tego kraju mógł umrzeć wraz z nimi.

W czasie rozmowy z Anną wszystko to nagle powróciło, ale żywe wspomnienia ani trochę nie bolały. Liam ucieszył się na wiadomość, że Anna nie tylko zna niewielką miejscowość Caldetes, dokąd jeździli, ale i jego ulubioną restaurację na Plaza Mayor. Lokal nadal istniał i wciąż był prowadzony przez tę samą rodzinę.

Liam od ponad dziesięciu lat nie wspominał o latach spędzonych w Hiszpanii. Swoje wspomnienia z dzieciństwa zachowywał wyłącznie dla siebie. Nawet Lily o nich nie wiedziała.

Anna zaraziła go swoim entuzjazmem i serdecznością. Obiecał, że kiedyś na pewno wróci do Caldetes. Ta myśl nigdy przedtem nie przyszła mu do głowy, ale niespodziewanie plan ten wydał mu się niezmiernie ważny.

Z uśmiechem wrócił do stolika, popychany na wózku przez promieniejącą Annę. Lily obserwowała ich i cieszyła się, że wreszcie komuś udało się dotrzeć do dawnego Liama i że przez chwilę nim pozostał: zrównoważony, rozluźniony, serdeczny. Życzyła sobie tylko, aby udało jej się odkryć tajemnicę i odnaleźć klucz do jego chwiejnej duszy.

Dalszy ciąg wieczoru był przyjemny, ale krótki, bo Liam musiał w końcu przyznać, że nie da rady dłużej siedzieć z nimi przy stole. Lily zaproponowała spontanicznie, aby zamiast deseru wypili kawę u nich.

Peter popatrzył pytająco na Liama.

– Jeśli o mnie chodzi, chętnie – odparł swobodnie. – Co o tym myślisz, Lily?

– Przecież to ja wysunęłam tę propozycję.

– Racja. No to wszystko jasne. Lubisz czekoladę, Wendy? Mam bowiem w domu jakieś osiem tysięcy bombonierek. To jeden z plusów chorowania: płynie do ciebie niewysychający strumień słodczy i świeżych owoców.

– Uwielbiam czekoladę.

– Super. Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli pobłogosławić związek Petera z kimś, kto nie lubi czekolady. No to gazu, Schumacher, pomóż mi wpełznąć do mojego ferrari i zawieź mnie do domu.

Lily zaparzyła kawę, podczas gdy Liam plądrował zapasy bombonierek. Peter oprowadzał Wendy po domu, potem wszyscy usiedli w pracowni Liama służącej za salon. Zakochani usiedli obok siebie na kanapie, trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy nawet wtedy, gdy zwracali się do kogo innego. Lily uderzyło, że Peter, ilekroć coś mówił, wpatrywał się w Wendy, jakby szukał jej aprobaty. Prawie była zazdrosna, kiedy pocałował ją w ich obecności. I westchnęła z żalem,

ale i odrobiną radości, kiedy splekli ciasno dłonie, bo nie wystarczało im zwykle trzymanie się za ręce.

Zerknęła na Liama. Kiedyś i oni byli ze sobą tak blisko. Kiedyś się lubili, pragnęli. Kiedyś także, będąc ze sobą, zapominali o całym świecie. I byli tacy zaaferowani. Ach, jaka piękna była świeża miłość. Słodka jak dojrzały owoc, nieskazitelna i zdrowa, pełna ślepej ufności, ekscytacji, radości oczekiwania. Taka smaczna. Patrząc na tych dwoje, czuła tęsknotę.

Liam również im się przypatrywał. Jego serce ścisnęło się boleśnie. A potem poczuł, że chroniczny ból w nodze znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – jakby rozplynał się w powietrzu. Za każdym razem, gdy to się działo, ogarniała go bezgraniczna fascynacja. Jednak zdarzało się to coraz rzadziej, a on nie znalazł jeszcze wyjaśnienia dla tego fenomenu. To było piękne i straszne zarazem. Jego noga stawała się wtedy odrętwiała, jak martwa.

Zasypiała.

I on też zapadł w drzemkę na swoim wózku, tymczasowo uwolniony od bólu. Obudzili go ostrożnie. Był zażenowany, że zasnął w ich obecności, ale zdołał przeprosić ich na wesoło. Potem poprosił Petera, żeby mu pomógł położyć się spać.

– Przepraszam, że tak nagle kończę ten cudowny wieczór – powiedział, ściskając na pożegnanie dłoń Wendy – ale mam przeczucie, że to pierwszy z bardzo wielu takich wieczorów.

– Bardzo bym tego chciała. – Wendy z uśmiechem nachyliła się ku niemu i cmoknęła w policzek.

– Mmmm... Pachniesz czekoladą – mruknął.

Oczy same mu się zamykały.

Wendy została na miejscu, dopóki mężczyźni nie wyszli z pokoju, a potem usiadła na parapecie obok Lily.

– I jak? Zdałam? – zapytała Wendy z przesadną beztrąską, ale wciąż jeszcze trochę niepewna.

– No, powiedzmy. Ledwo, ledwo – żartowała Lily.

– Powinnam była coś zrobić? Powiedzieć? Zapytać?

– Cóż, jedna rzecz mnie zastanowiła.

– Mianowicie?

– Że nie chciałaś się dowiedzieć niczego o Liamie.

– Uważasz, że to niedopatrzenie?

– Większość ludzi zadaje zaraz tysiąc pytań, ale zapewne już dawno wiesz od Petera w całej rozciągłości, co się stało.

– Troszeczkę, ale nie chciałam wałkować tego tematu. Myślę, że Liam ma tego po dziurki w nosie. Z tego, co mówił Peter, jego stan jest przejściowy. Więc jego wypadek w gruncie rzeczy nie ma nic wspólnego z tym, kim jest, jakim jest człowiekiem, prawda?

Lily zamrugwała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wendy miała rację. Tak właśnie powinno być. A oni oboje dopuścili do tego, żeby jego wypadek, jego obrażenia odcisnęły piętno nie tylko na nim, ale i na niej. Zbyt wielkie piętno.

Może powinna wziąć przykład z Wendy i po prostu zacząć traktować Liama jak mężczyznę, jakim był przed wypadkiem. Bo głęboko w duszy wciąż był tym samym człowiekiem. Pokazał to tego wieczoru – pod szorstką fasadą wciąż był tym dobrym, dawnym, serdecznym, miłym, dowcipnym, mądrym i wielkodusznym Liamem.

Kiedy Peter i Wendy pożegnali się, Lily wzięła głęboki wdech i po cichu weszła do sypialni Liama. Była zaskoczona, że jeszcze nie śpi.

– Hej – powiedziała cicho. – Wszystko w porządku? Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? Zignorował ją.

Stłumiła westchnienie i spróbowała jeszcze raz, tym samym tonem, tylko trochę głośniejsze, jakby jej nie usłyszał.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Liam?

Milczenie.

– Pewnie jesteś wykończony. Ja w każdym razie tak. No to do jutra. Śpij dobrze. Jeśli czegoś będziesz potrzebował, wołaj.

Uśmiechnęła się i wyszła.

Trwał jeszcze nieruchomo parę sekund. Potem zamrugał. Czekał na poirytowane westchnienie. To westchnienie, które słyszał za każdym razem, gdy tak się zachowywał. Wiedział doskonale, że zachowuje się dziecinnie, ale nie potrafił nic z tym zrobić. Tkwiła w nim tak wielka zadra, że odczuwał niemal fizycznie mdłości. Sam zaczynał się bać, kiedy wzbierała w nim nienawiść skierowana przeciwko wszystkiemu i wszystkim, nienawiść, którą wyładowywał na żonie... A przecież wiedział, że on reaguje irracjonalnie, że to nie ona jest przyczyną tej nienawiści, która w pierwszej linii była wymierzona w niego samego. I nie było nic, co Lily zrobiłaby niewłaściwie.

Kazał jej cierpieć. Tak jak sam cierpiał.

Jego Lily.

Gdyby jakikolwiek człowiek ośmielił się traktować jego Lily tak, jak on to robił...

– Lily – chciał zawołać, ale z ust wydobył mu się tylko chrapliwy szept.

– Lily! – spróbował ponownie.

Tym razem zaraz usłyszał prędkie kroki w korytarzu.

– Co takiego, Liam? – zapytała z takim niepokojem, że natychmiast się zawstydził.

Wyciągnął do niej rękę.

– Przykro mi.

Zawahała się chwilę, zanim ujęła jego dłoń. Było to całkowicie zrozumiałe, a jednak zabolalo. Zabolalo tak bardzo, że słowa, które sobie przygotował, nie chciały mu przejść przez gardło. Usiadła obok. Oboje trzymali się za ręce, jakby chcieli nawzajem uchronić się przed upadkiem. Tyle było do powiedzenia. A jednak milczeli.

Aż w końcu Lily przerwała ciszę.

– On się z nią ożeni.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. Znamy Petera już od tak dawna. Znalazł kobietę swojego życia.

– Może masz rację.

Patrzyła na niego z nieruchomą twarzą. W jej spojrzeniu było trochę nadziei.

– Mam rację? A to nowość.

– Każdemu się zdarza, od czasu do czasu. Ale raczej rzadko. Jak kometa Halleya.

Jego wzrok emanował przychylnością i ciepłem. Dość, żeby przełamać lody i sprawić, żeby przyciągnęła jego dłoń do swojej twarzy. Z zamkniętymi oczami przytulała policzek do grzbietu jego dłoni i rozkoszowała się cudownym dotykiem skóry.

– Właściwie nie chcę o to pytać, ale chciałabym wiedzieć... – mruknęła. – Wydajesz się taki...

Nie umiała znaleźć właściwego słowa. Przychodziło jej do głowy wiele rozmaitych.

Rozgoryczony.

Wściekły.

Zraniony.

Pamiętliwy.

Poczuwający się do winy.

– Pozbieram się jeszcze – odpowiedział zdecydowanym, silnym głosem. Chciał, żeby to była prawda. Choć ból tkwił o wiele głębiej niż w połamanych kościach. Pokiwała głową z ulgą, odcisnęła usta na jego dłoni i ośmieliła się zadać jeszcze jedno pytanie. Nie mniej ważne.

– A my się jeszcze pozbieramy?

Milczał.

Zamknęła oczy i wstrzymała oddech jak dziecko. Kiedy je otworzyła, patrzył na nią. W oczach miał łzy. Jego wzrok był błagalny, jakby chciał ją objąć, na co jednak nie pozwalało mu jego ciało.

– Dlaczego nigdy wtedy nie płakałaś, Lily?

Natychmiast wyczuł, że się wycofuje. Opuściła ręce, nie puszczając jego dłoni. Nie udało jej się wydobyć z siebie niczego poza ochryplym szeptem.

– Płakałam bardzo często.

– Ale nie ze mną. Nigdy nie płakałaś ze mną – wyszeptał.

Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Upłynęła chwila, zanim pomyślała o tym, żeby zaczerpnąć oddechu. I wtedy zapytała go jeszcze raz.

– Czy my się jeszcze pozbieramy?

Nie odpowiedział.

Kiedy znowu na niego spojrzała, spał wyczerpany.

Cztery godziny później obudził się z bólu, szarpiącego, przenikającego i kłującego szpilami nogę. Lily już nie było.

Drzwi Domu Róż codziennie otwierały się rano o tej samej porze. Można było nastawiać według tego zegarek. O wpół do dziewiątej wychodziła na dwór, przechodziła przez mały ogródek przed domem, mijała furtkę i skręcała w prawo. Chociaż trasa przez cypel do zachodniej plaży była dużo ładniejsza, kierowała się na wschód i schodziła do wsi.

Abi opowiedziała mu, co wiedziała o wypadku Liama, rozwodząc się szeroko nad tym, jakie ciężkie życie miała Lily. Matka wyraźnie była oczarowana Lily Bonner, polubiła ją z całego serca i pewnie tak samo będzie z Liamem, kiedy tylko go pozna. Tak, to z pewnością nie był łatwy czas dla tych dwojga. Nathan, podróżując po świecie, widział ogrom strachu i niedostatku, a w spojrzeniu Lily było coś, co mu to przypominało. Jakby jej duszę trawił głód.

Driftwood Cottage był ostatnim domem we wsi, stał na uboczu, a wokół niego rozciągało się pół hektara ogrodu i hektar pól. Abi twierdziła, że lubi samotność, ale mieszkała tu tylko latem, kiedy w Merrien Cove sporo się działo, a wokół siebie miała przyjaciół.

Matka opowiadała mu, że Lily dopiero niedawno sprowadziła się tu z Londynu. Nathan mieszkał w Londynie przez trzy lata studiów i zawsze zdumiewały go ogromne różnice między Londynem a prowincją. Naturalnie, teoretycznie każdy zdaje sobie sprawę, że miasto to nie to samo, co wieś, ale w praktyce wszystko to wygląda zupełnie inaczej...

W Londynie przez całą dobę panował ruch i gwar. W Kornwalii nawet agencje nieruchomości w weekend były nieczynne. Życie w wielkim mieście przypadło mu do gustu, wielu przyjaciół wciąż tam mieszkało i pracowało, ale jego nigdy nie kusilo, żeby osiąść na stałe w Londynie.

Kiedy zaczynał doskwierać mu brak miasta, zadowalał się małą dawką spontanicznych odwiedzin u przyjaciela w Soho.

Ale jak w domu czuł się – tak jak matka – właściwie wyłącznie w Driftwood Cottage w Merrien Cove.

Tutaj wszystko było takie znajome. Takie wygodne. Miał tu swoje studio. Uwielbiał tu pracować.

Od lat już myślał o tym, żeby urządzić sobie coś większego. Podczas ostatniej wizyty w Nowym Jorku zastanawiał się nawet nad kupnem loftu, ale dotychczas brakowało mu tego ostatniego bodźca, aby ostatecznie zdecydować się na taką lub inną możliwość.

Merrien Cove było jedynym miejscem, do którego wracał regularnie – i dlatego to tutaj przechowywał wszystko, czego potrzebował. Większość czasu i tak był w ruchu, i to mu się podobało. Było tyle rzeczy do odkrycia za horyzontem własnych doświadczeń. Dlatego chciał towarzyszyć Patrickowi Cooperowi, nieokrzesanemu dziennikarzowi, do Nowej Gwinei. Już podjął decyzję. Ale z jakiegoś nieodgadnionego powodu przez telefon powiedział mu, że zanim przyjmie propozycję, potrzebuje jeszcze dzień, dwa, żeby uregulować sprawy osobiste. Wprawdzie Cooper straszyl mętnie, że poszuka innego fotografa, ale Nathan dobrze wiedział, że dziennikarz chce tylko jego.

Pod tym względem jego pewność siebie była niezachwiana. Wiedział, że jest dobry, tak jak wiedział, że potrafi chodzić. Koniec, kropka. Takie były fakty.

Jego wewnętrzny zegar jeszcze nie całkiem przystosował się do czasu brytyjskiego, stąd często budził się o czwartej nad ranem, a o szóstej zaczynał pracować. Teraz stał uzbrojony w aparat na najodleglejszym krańcu klifu, w pobliżu wijącego się w dół do wsi turystycznego szlaku. Oszukiwał się, że chce uchwycić idealny wschód słońca, ale słońce już dawno wzeszło,

a on nadal trwał na posterunku. W rzeczywistości czekał na Lily; wiedział to. Nie wiedział tylko dlaczego.

Kiedy wychodził z domu, zapowiadał się ciepły dzień, ale teraz wilgoć przeniknęła jego ubranie i dotarła do kości.

– Idiota – zwymyślał sobie i już chciał odejść, kiedy usłyszał zgrzyt ogrodowej furtki Domu Róż.

Zatrzymał się i odczekał, aż Lily znajdzie się w zasięgu głosu.

– Dzień dobry.

Odskoczyła na bok, dosłownie jak uderzona jego słowami, ale prędko opanowała się i roześmiała trochę bezradnie.

– Przepraszam. Pewnie pan myśli, co ze mnie za strachajło, ale chodzę tędy codziennie i jeszcze nigdy nikogo tu nie spotkałam.

– Wiem.

– Co pan wie?

– Że codziennie pani tędy chodzi. Obserwowałam panią. Przepraszam, to okropny nawyk, proszę nie brać tego do siebie. Taki już jestem. Wiecznie szukam idealnego motywu.

– Zupełnie jak w kryminale. – Jej nieśmiały uśmiech zdradził, że mu wybaczyła, i zachęcił do podjęcia wątku.

– Dzięki pani moje poszukiwania są zwieńczone sukcesem.

Prychnęła i machnęła ręką.

– Nigdy nie byłam szczególnie fotogeniczna.

– Błąd. Proszę mi wierzyć, jestem ekspertem.

– Może i tak. – Przez chwilę rozważała jego słowa, jakby taka możliwość nigdy wcześniej nie przyszła jej do głowy. – Ale po prostu nie lubię być fotografowana. Czuję się przy tym nieswojo.

– Ale każdy przecież musi być czasem fotografowany. Na przykład na urodzinach...

Potrząsnęła głową.

– W Boże Narodzenie?

– Mm.

– Nawet nie na własnym ślubie?

– Ani na chwilę nie zdjęłam welonu. Nawet podczas przyjęcia.

– Chyba nie mówi pani serio?

– Zgadza się. W ogóle nie miałam welonu. Nie miałam nawet sukni. A przynajmniej nie białej, o jakiej marzą dziewczyny. To była niebieska, letnia sukienka w stokrotki, którą kupiłam za piętnaście dolarów w sklepie z używaną odzieżą, a Liam, mój mąż, założył dzinsy. Tworzyliśmy raczej mało widowiskową młodą parę.

Odruchowo dotknął własnych wytartych dzinsów.

– Piętnaście dolarów? Więc wzięliście ślub w Ameryce?

Wyglądała na skruszoną, kiedy przygryzała wargę, potakując.

– W Las Vegas. Żenada, prawda?

– Nie.

Przez chwilę milczeli, aż zapytała:

– A pan jest żonaty?

Pokręcił głową.

– Był pan kiedyś?

– Nieee.

– Chciałby pan?

- Może. Kiedyś.
- Jeśli znajdzie pan tę właściwą.
- Właśnie.

Patrzyli na siebie.

W końcu ona skinęła głową i powiodła spojrzeniem w stronę wsi.

- Cóż, muszę lecieć, mam coś do załatwienia.
- Ja też – skłamał. – Ma pani coś przeciwko temu, żebym jej towarzyszył?

Wzruszyła ramionami.

- Nie. Dlaczego?

Właściwie nie wiedział, dlaczego chce z nią iść, a jeszcze mniej, dlaczego tak się nią interesował. Pewne było jedno: miała coś w sobie, coś... Nie potrafił tego uchwycić, ale fascynowała go. Podobały mu się jej oczy. Sposób, w jaki na niego patrzyła. A raczej, w jaki na niego nie patrzyła.

Nie był próżny, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że większość kobiet uważa go za atrakcyjnego, a jego wygląd tak zaprzętał ich uwagę, że nie dało się z nimi sensownie porozmawiać. Albo nie umiały wydusić z siebie słowa, albo otwarcie flirtowały. Niekiedy, od święta było to całkiem fajne, ale on w gruncie rzeczy – dzięki matce – darzył kobiety ogromnym szacunkiem, szczerze lubił te cudowne istoty i czasem chciał z nimi tylko rozmawiać.

Lily, zdawało się, zupełnie nie zwracała uwagi na to, że jest atrakcyjny. W jej oczach był po prostu człowiekiem, i to mu się podobało.

- A gdzie pani zostawiła dziś swojego psa?

– Ach, on wcale nie jest mój, należy do – przerwała, szukając właściwego określenia – przyjaciela – dokończyła półgębkiem.

Ku jej uldze nie wypytywał dalej.

- Często pan tu bywa? – zapytała, a on ucieszył się z jej rozmowności.

– Tak często, jak mogę. Ta okolica ma w sobie coś, co mnie magicznie przyciąga.

- A jak długo zostanie pan tym razem?

Wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem.

– Abi mówiła, że dużo pan podróżuje po dalekich krajach.

Uśmiechnął się. Zabawne, jak precyzyjnie dobierała słowa.

– Podróżuję po dalekich krajach – powtórzył i zdumiał się, kiedy w lot załapała, o co mu chodzi, i roześmiała się.

- Brzmi lepiej niż „włóczy się po świecie”, prawda?

Tym razem to on się roześmiał.

Kiedy ona kupowała chleb, mleko, jajka i szynkę, którą tak lubili Liam i Dylan, on przeglądał czasopisma i badał, co porabia konkurencja. Stała do kasy, a on sam wziął pierwszy z brzegu magazyn ilustrowany i dużą tabliczkę czekolady dla Abi.

Lily zrobiła wielkie oczy, widząc trzymany przez niego magazyn.

- Są tam pana zdjęcia?

Potrząsnął głową.

- Nie w tym wydaniu.

– Ale bywało, że tak?

Potwierdził.

- Częściej?

Znów przytaknął, uśmiechając się skromnie.

- Jestem pod wrażeniem.

– Ach, to nic wielkiego.

Wyszedł za nią ze sklepu.

Przystanęli na moment, mrugając, aż ich oczy przywykną do ostrego światła. Nathan z westchnieniem wciągnął świeże morskie powietrze, które obudziło w nim wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa.

– Podoba się tu pani? – zapytał, kiedy ponownie ruszyli w kierunku szlaku.

Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby komuś mogło się tu nie podobać. Widział, że kobieta chciałaby potwierdzić, ale w głębi duszy czuje coś wręcz przeciwnego.

– Może mi pani spokojnie powiedzieć. Nikt nie skaże pani na wygnanie za przyznanie się, że się tu pani nie podoba.

– Średnio.

– Uważa pani, że to jest średnie?

Potoczył ręką dookoła aż po horyzont, gdzie lodowobłękitne niebo usiane delikatnymi, szarymi chmurkami zlewało się ze wzburzonym morzem.

– Nie, to jest spektakularne. Ale ja nie mówię o krajobrazie.

I wtedy zrozumiał.

– Fakt, że człowiek ma ładny widok, niekoniecznie oznacza, że czuje się dobrze w pustym pokoju, prawda?

Odpowiedziała najbardziej tęsknym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widział. A potem jakby zatrzasnęły się w niej jakieś drzwi. Resztę drogi pokonali w milczeniu.

Kiedy dotarli do Domu Róż, Lily przywołała na twarz oficjalny uśmiech i otwierając furtkę, powiedziała zdawkowo:

– No, to jestem na miejscu.

Bez słowa, nie oglądając się, weszła do domu.

Wiedział, że jej zachowanie nie wynika z nieuprzejmości, tylko stąd, że trafił ją w czuły punkt, na co zareagowała wycofaniem się.

Lily Bonner była niczym egzotyczna ryba, piękna, mieniąca się intensywnymi barwami ryba, której miejsce było na rafie koralowej na Oceanie Indyjskim, ale jakimś cudem zabłąkała się do zimnego Atlantyku, gdzie jej kolory stopniowo blakły, a ona sama walczyła o przetrwanie wśród okoni.

Zaskoczony tym niedorzecznym porównaniem pokręcił głową i roześmiał się na głos, wyobrażając sobie, co powiedziałyby matka, gdyby usłyszała, że porównał jej przyjaciółkę do okonia.

Następnego dnia Liam był umówiony na wizytę w szpitalu u fizjoterapeuty. Lily liczyła na to, że nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby pojechała z nim. Chciała usłyszeć, co o jego postępach powiedzą specjaliści. Była pewna, że wersja Dylana byłaby podkolorowana jego optymizmem. Ale kiedy się wyszykowała, obaj mężczyźni, dawno gotowi do wyjazdu, oznajmili, że jadą bez niej.

– Zjemy śniadanie po drodze – wyjaśnił Dylan. – Ale Reef pewnie chętnie dotrzyma ci towarzystwa.

– Jedno jajko czy dwa, Reef?

Lily próbowała zatuszować rozczarowanie.

– Sądząc po tym, ile zżera ten pies, zaplanowałbym raczej tuzin lub dwa – zażartował Liam, z wysiłkiem wyjeżdżając z pokoju. – Dyl, weź no mi pomóż. Przecież muszę oszczędzać siły na później, na katownię.

– Katownię?

– Mmm, tych „fizjotrupeutów” osobiście szkolił Torquemada.

– Pojechać z wami?

– Żeby było jeszcze więcej świadków mojego rytualnego poniżenia? Nie, dzięki. Poza tym całkiem dobrze sobie radzę. Jak brzmi nasze motto, Dylan?

Popatrzyli po sobie i wyrecytowali jednogłośnie:

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni.

– Pa, Lily.

– Tak, na razie, Lil.

I odjechali.

W półtojej godziny udało się jej przygotować śniadanie, zjeść i sprzątnąć. Właśnie brała rękawice ogrodowe, oglądając je dokładnie i rozważając, czy je założyć i zająć się wreszcie ogrodem różanym, kiedy ciszę przerwał przenikliwy dzwonek.

Lily słyszała go po raz pierwszy i dopiero po chwili pełnej konsternacji wpadła na to, że z zamyślenia wyrwał ją dzwonek do drzwi. Upłynęła kolejna chwila, zanim pojęła, że mężczyzną, który stoi w drzwiach i wydaje jej się skądś znajomy, jest Duncan Corday.

– Witam – rzekł z uśmiechem, błyskając białymi zębami.

Lily zmierzyła go nieufnym wzrokiem i odwzajemniła uśmiech uprzejmiej, niż chciała, na co gość pojaśniał jeszcze bardziej.

– Przyszedłem do Liama. O ile przyjmuje gości. Pewnie powinienem zadzwonić wcześniej...

– Nie ma go – poinformowała krótko.

– Nie ma? – zdumiał się.

Zważywszy na stan męża, Lily właściwie dobrze rozumiała zdziwienie Cordaya.

– Fizjoterapia – rzuciła wyjaśniająco.

Zapadła pełna zakłopotania cisza. Długa cisza. I wtedy niemal cisnął w nią ogromnym bukietem kwiatów, który wyciągnął nagle zza pleców.

– Cóż, w każdym razie to dla pani...

– Och, dziękuję... Są piękne.

Oboje umilkli. Lily miała wielką nadzieję, że tamten pożegna się i odejdzie. Nie chciała być niegrzeczna, ale zamierzała dać mu do zrozumienia, że nie jest tu mile widziany. Przesłanie

chyba do niego dotarło, bo zaczął przestępować z nogi na nogę. Mimo to najwyraźniej nie kwapił się do odejścia, tylko jego uśmiech stawał się coraz szerszy.

– Nie będzie go cały dzień?

Jakże chętnie odpowiedziałyby twierdząco. Jakże chętnie oznajmiłyby, że Liam wróci dopiero pod wieczór. Ale nie umiała kłamać. Tylko przemilczać. I wypierać.

– Zwykle wraca tuż po dwunastej.

Corday spojrział na zegarek. Lily wiedziała, że do południa nie zostało wiele czasu. Nie planowała tego, ale jak to czasem bywa, z ust wyrwały jej się słowa, których wymagała grzeczność.

– Chce pan na niego poczekać?

– Chętnie.

Duncan Corday poszedł za nią do kuchni. Kiedy wieszal na oparciu krzesła swoją ciężką kurtkę Barbour, z kieszeni wypadł mu telefon. Lily schyliła się, żeby go podnieść. Pod wpływem upadku włączył się wyświetlacz, ukazując tapetę: zdjęcie uśmiechającej się promiennie młodej kobiety z długimi jasnymi włosami. Rysy twarzy przypominały Duncana Cordaya, były jednak miększe i delikatniejsze.

– To moja córka Isabella – wyjaśnił.

– Jest śliczna.

– Prawda? – Przytaknął, przypatrując się zdjęciu. – I w dodatku inteligentna. Studiowała historię sztuki w Cambridge.

Kobieta wydała się Lily znajoma.

– Historię sztuki? – powtórzyła Lily, oddając mu telefon.

Może gdzieś się już spotkały?

– Skończyła z najlepszą oceną – ciągnął dalej. – Pracuje teraz w pewnym prywatnym muzeum w Paryżu.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia siedem. Od sześciu lat mieszka w Paryżu i wciąż jest bez reszty zachwycona. Mówi już płynnie po francusku. Nie wiem, czym ją skusić do powrotu do Anglii.

– To zrozumiałe. Oboje z Liamem dobrze znamy Paryż. – Lily uśmiechnęła się na wspomnienie dawnych czasów. – Poznaliśmy się tam i tam spędzamy nasze rocznice... Rozumie pan.

– Tak, zgadza się. Liam opowiadał już o tym Isabelli.

Lily zmarszczyła brwi.

– To oni się znają?

– Tak, od roku. Poznali się, zanim pani tu przyjechała. Isabella została na dłużej, żeby spędzić trochę czasu z matką. Przez ostatnie lata była taka zajęta... Po raz pierwszy od jej wyjazdu do Paryża świętowaliśmy razem Boże Narodzenie...

Kiedy mówił o córce, jego ostre rysy twarzy łagodniały i sprawiał wrażenie o wiele bardziej ludzkiego, mniej bezwzględного.

Leżący przy kominku Reefer, który zignorował przed chwilą dzwonek do drzwi, teraz, słysząc w kuchni obcy głos, otworzył jedno oko. Po krótkiej obserwacji podniósł się, przeciągnął należycie, potruchtał do Duncana Cordaya i trącił nosem jego rękę.

Rozmowa urwała się, ale Corday nie kwapił się do wyjścia. Fakt, że Reefer jednoznacznie akceptował nieproszonego gościa, uspokoił Lily, więc przestała zachodzić w głowę, jak się go pozbyć. Nawet na tym odludziu obowiązywały pewne maniery.

– Napije się pan czegoś?

– Owszem, chętnie.

Lily spojrziała na zegarek. Zaproponować mu kawę czy coś mocniejszego? Rozwiązał jej

dylemat, dodając:

– Filiżanka herbaty dobrze by mi zrobiła.

Herbaty? Zaskoczyło ją to. Herbata wydała jej się w przypadku kogoś takiego jak Corday zbyt... cywilizowana. Spodziewała się raczej, że będzie wolał kawę albo nawet whisky z lodem.

– Ma pan jakieś preferencje?

– Jeśli chodzi o herbatę? A co pani ma do zaoferowania?

– Ceylońską, earl grey, assam, lady grey, english breakfast... Wymieniłam tylko kilka z nich. Mam fisia na punkcie herbaty... – Otworzyła szafkę i zaprezentowała liczne pudełka i puszki.

– No to mamy coś wspólnego. – Roześmiał się, widząc wyraz jej twarzy. – Widzi pani, urodziłem się i dorastałem w Indiach, do ukończenia trzynastego roku życia. Stąd moja ciemna cera. Nawet jeśli niektórzy twierdzą co innego, to efekt dzieciństwa spędzonego pod słońcem Orisy.

Z przyjemnością przyglądał się uśmiechniętej Lily. A ona przyłapała się na tym, że to nie kto inny, jak on wprawił ją w ten dobry nastrój.

– Wybieram darjeeling.

Sięgnął ponad nią i wyjął z szafki pudełko.

Był tak blisko, że poczuła woń jego wody po goleniu, odurzającą, ale jednocześnie czystą i świeżą. Mieszała się z zapachem lanoliny, wydzielanym przez jego sweter z owczej wełny. Pięknie pachniał. Ten fakt również ją zaskoczył. Ale czego, na Boga, się spodziewała? Że będzie jechało od niego piekielnym ogniem i siarką? Uświadomiła sobie, że właściwie w ogóle nie zna tego mężczyzny.

Nastawiła wodę na herbatę i postawiła na stole ciastka. On przez ten czas siedział i swoją dużą, wypielęgowaną ręką czule drapał Reefera po łbie. Kiedy podała herbatę, westchnął z taką błogością, jakby właśnie umościł się w wygodnym, ciepłym łóżku.

– W pracy zawsze dają mi budowlaną lurę w obtłuczonym kubku. To doprawdy ogromna przyjemność przebywać z kimś, kto wie, że dobrą herbatę można porównać do dobrego wina.

Uniósł filiżankę i powąchał z rozkoszą aromatyczny, parujący napar.

– Cudowne. I jaka wspaniała kuchnia...

Z uznaniem rozejrzał się po królestwie Lily.

– Nie ma porównania do pańskiej – wyrwało jej się.

– Ma pani prawdziwą kuchnię, ciepłą i przytulną, z kominkiem, przy którym drzemie pies, i drzwiami do ogrodu, przy którym stoją rozmaite kalosze. Nie świątynię techniki na pokaz, w której nawet nie można usiąść, gdzie się chce, bo zakłóciłoby to feng shui...

– Ależ pana kuchnia jest piękna!

– Od strony estetycznej rzeczywiście tak, ale dopiero kuchnia funkcjonalna i przytulna jest dla mnie prawdziwą kuchnią. U pani podoba mi się o wiele bardziej. Najchętniej spędziłbym całe popołudnie, siedząc tu z panią i popijając herbatę, zamiast sztywny jak kołek, z łokciami przy bokach tkwić na jednym z designerskich stołków, które moja żona zaaranżowała przy barku śniadaniowym. Wszystko, co dotychczas widziałem w tym domu, jest naprawdę fantastyczne, i jak słyszałem, większość wykonała pani sama. Zgadza się? Proszę mi wierzyć, dobrze wiem, ile tu było do zrobienia. Liam parę razy pokazywał mi ten dom przed pani przyjazdem. Właściwie to szkoda, że wtedy jeszcze się nie znaliśmy. W Boże Narodzenie u Cordayów zawsze jest dość gwarno, mogłaby pani poznać wielu sympatycznych ludzi. Niech mi pani wierzy, przy bliższym poznaniu wcale nie jesteśmy tacy straszni... Mam nadzieję, że będzie ku temu okazja, kiedy Liam wydobrzeje.

Ta jego krótka przemowa była całkiem miła, nie jakaś wydumana, nadęta czy w jakiś

sposób żenująca. Szczerze powiedziawszy, Lily prawie się cieszyła z towarzystwa Cordaya.

Prawie.

Może jednak się myliła co do niego. W końcu nie można powiedzieć, że nie żywiła do niego żadnych uprzedzeń. Wszak to on skrajnie zaabsorbował jej męża i w pewien sposób jej go odebrał.

Liam zawsze wyrażał się o Cordayu w samych superlatywach, a to ją z kolei irytowało, bo przecież już raz osądziła, że nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Liam zawsze znał się na ludziach. I Reefer również. Opierał się teraz ufnie o nogę gościa.

– Wspaniały pies – powiedział Corday, widząc, jak jej spojrzenie powędrowało ku zwierzęciu.

Dlaczego tak ją dziwiło, że lubi psy? Zapewne dlatego, że miała go za człowieka, który nie darzył sympatią zwierząt.

– To pies Dylana... – przyznała.

– Dylana?

Całkiem wypadło jej z pamięci, że Dylan trafił do nich za wstawiennictwem Cordaya. I że ci dwaj byli ze sobą spokrewnieni. Zupełnie nie wiązała młodego człowieka o słonecznym usposobieniu z mającym opinię nieprzystępnego facetem w średnim wieku. O Boże, jaki wstyd.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– I jak się układa z Dylanem?

– Ach, niebiosa go nam chyba zesłały – odpowiedziała szczerze. – Sama nie wiem, jak sobie radziliśmy wcześniej bez niego. To znaczy... właściwie nie radziliśmy sobie. Jeszcze raz serdecznie dziękuję... – urwała i ze wstydem uświadomiła sobie, że do tej pory nie podziękowała mu za wsparcie.

Tak była zaabsorbowana zrzucając na niego winy za wszelkie możliwe plagi, że cokolwiek by zrobił, jej zdaniem i tak zrobił nie dość. Posądzała go o to, że jego uczynność wypływa z wyrzutów sumienia i dlatego nie zasługuje na uznanie czy wręcz podziękowanie. Jednak zastanawiając się nad tym na trzeźwo, bez uprzedzeń, musiała uznać, że to nie on ponosi winę za to, co się stało. Wprawdzie firma montażowa należała do jego holdingu, ale to nie on przecież skacowany, z resztką alkoholu we krwi pojawił się w pracy, to nie on przeoczył, że jeden z bolców jest uszkodzony.

– Cieszę się... Jeśli mam być szczerzy, to nie do końca byłem przekonany. Kiedy Isabella zasugerowała mi jego do pomocy, uznałem to za poroniony pomysł... Ona zawsze miała do niego słabość, była ślepa na jego wady i widziała tylko zalety... Powiedziała, że sam się przekonam, jak idealnie będzie się nadawał, i jak zwykle miała rację.

– To był pomysł pana córki, żeby podesłać nam Dylana?

Corday pokiwał z dumą głową.

– Była zdania, że młody chłopak będzie lepszy od doświadczonej gosposi.

Lily wciągnęła powietrze do płuc. Skąd córka Cordaya mogła wiedzieć, co jest dobre dla Liama? Kobieta, o której ona słyszała po raz pierwszy w życiu?

– Pana córka i mój mąż... Tak dobrze się znają? Liam nigdy o niej nie wspominał.

Jeśli Corday zauważył cień obawy w jej głosie, to zignorował go. Wzruszył tylko ramionami i sięgnął po czekoladowe ciastko.

– Nie, nie powiedziałbym. Podczas gdy Isabella była u nas, parę razy siedzieli obok siebie przy kolacji, to wszystko. Ale moim zdaniem są do siebie bardzo podobni, łączy ich swoiste pokrewieństwo dusz. Prawdopodobnie pomyślała, że skoro ona i Dylan tak dobrze się rozumieją, to Liam i Dylan pewnie też będą się dogadywać. Ale proszę mi powiedzieć – zmienił temat, kiedy dołała mu herbaty – jak naprawdę czuje się Liam? Znam tylko oficjalną wersję.

– Oficjalną wersję?
– Z ust Petera. – Podziękował gestem.
– A jak brzmi oficjalna wersja Petera?
– Że czuje się dobrze, stosownie do okoliczności. – Wzruszył ramionami. – Uważam, że to puste słowa. Chciałem się z nim zobaczyć, przekonać się, jak sobie radzi, jak oboje sobie państwo radzą... Jak on się czuje naprawdę, Lily?

Długo musiał czekać na odpowiedź.

Czy umiała się przemóc i powiedzieć mu całą prawdę? Jak się czuł Liam?

Źle, jej zdaniem.

Może lepiej zachować to dla siebie. Może Corday i tak to po niej widzi. W tym momencie niespodziewanie wyciągnął ku niej rękę i przykrył nią na chwilę jej dłoń.

– Nie jest pani sama, Lily. Jeśli pani albo Liam będziecie czegokolwiek potrzebować, proszę do mnie zadzwonić.

Nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

Zauważył, że jest bliska płaczu, ale wyczuł, że nie chce zdradzić zbyt wiele. Dlatego dopił jednym łykiem herbatę i ostentacyjnie popatrzył na zegar ścienny.

– Cóż, czas mnie goni. Muszę lecieć. Czy mógłbym wpaść za parę dni?

Lily chciała zaprzeczyć, ale zamiast tego pokiwała głową.

Liam był wyczerpany, jak zawsze, kiedy wracał z fizjoterapii. Opryskliwie odmówił obiadu i oznajmił, że chce się położyć. Spuścił rolety i zaciągnął zasłony, a w jego pokoju zrobiło się mroczno jak w jego duszy.

Dylan, w przeciwieństwie do niego, nie odmawiał, gdy mu proponowano posiłek. Usiadł z Lily przy kuchennym stole. Z wdzięcznością pochłaniał lazanie, którą przyrządziła dla Liama. Przyglądała mu się, nie mogąc się doczekać, co powiedzieli lekarze. Zaczekała, aż wymiecie do czysta swój talerz. Jej był jeszcze w połowie pełny.

– Jak dzisiaj poszło?

– Dobrze.

– Naprawdę dobrze czy „powiemy dobrze, żeby tylko uspokoić Lily”?

– Naprawdę dobrze, Lil. W życiu bym cię nie okłamał!

Rzuciła mu ironiczne spojrzenie, a on udał, że się obraża.

– Powiedzieli, że wkrótce zdejmą mu gips, więc chyba muszą sądzić, że jest lepiej. A to będzie dla niego ogromna ulga, dosłownie. Gips waży niemal tonę, Liam dźwiga prawdziwy ciężar. Sam jako dziecko złamałem nogę. Nosilem gips przez sześć tygodni, więc wiem, jak to jest. A Liam ma to cholerstwo dużo dłużej. Odżyje, jak się go pozbędzie. Zobacysz, będzie hasał i skakał jak zając na haju. Ani się obejrzy, a wystartuje w nowojorskim maratonie. Reef i ja będziemy musieli szukać nowego dachu nad głową, bo nie będziecie już nas potrzebować.

Zgodnie z oczekiwaniem uśmiechnęła się.

– Jeśli o nas chodzi, żaden z was nie musi szukać nowego mieszkania. Już teraz jesteście stałymi domownikami.

Z radością puścił do niej oko.

– A jak tobie minął dzień?

Pytał o to każdego dnia. To miłe, że ktoś o to pytał i się nią interesował, nawet jeśli zazwyczaj nie miała wiele do powiedzenia.

– Inaczej.

– Ach tak?

Był już przyzwyczajony do jej odpowiedzi „zwyczajnie, nic szczególnego”.

– Miałam gościa.

– Kogoś, kogo znam?

– Duncan Corday.

– Wujek Dunc?

Sądząc po zmarszczkach na czole, był nie mniej zdumiony niż Lily. Potwierdziła skinieniem głowy. Dylan nieoczekiwanie zerwał się z krzesła, obszedł stół dokoła, podniósł jej podbródek i przechylił głowę na boki, żeby obejrzeć dokładniej szyję.

– Co ty wyrabiasz?

– Szukam śladów pogryzień.

– Właściwie był całkiem w porządku – zaśmiała się, uwalniając się od niego.

– Tak, on właśnie tak owija sobie wszystkich wokół palca. Przymiła się, zgrywa porządnego faceta, a kiedy już mu ufasz bez reszty, atakuje.

Lily popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek. Zabrał się za resztkę zostawionej przez nią lazanii. Czasami zupełnie nie potrafiła ocenić, czy się wygłupia, czy mówi poważnie.

Popatrzył na nią posępnie. A potem szybko wyszczerzył się w uśmiechu.

– No dobra, wujaszek od czasu do czasu jest całkiem w porzo.

– Ach tak?

– Tak.

Zawahał się.

– To jego żona jest wampirzycą.

– Hm, już z nią miałam przyjemność. – Nie dało się nie zauważyć ironii w jej głosie. Ale zanim zdążył zapytać, popatrzyła na niego badawczo i dodała: – A jego córka?

– Isabella?

– Isabella.

– Ona jest cool.

Wzruszył ramionami.

I to był chyba największy komplement, jakiego można się było spodziewać po Dylanie.

– Czy dobrze zrozumiałam, że to był jej pomysł, żeby przysłać cię tutaj?

– Chyba tak.

Chwycił za kromkę chleba, którą podzielił się z Reeferem.

– Nie wiem wprawdzie, jak na to wpadła, ale jestem zdania, że to był świetny pomysł – powiedziała Lily.

Dylan nie odpowiedział, wziął jeszcze jedną kromkę i kazał Reeferowi zrobić siad i podać łapę, zanim podzielił się z nim chlebem.

– Często ją widzisz?

Podniósł na nią wzrok i pokręcił głową.

– Odwiedziłem ją parę razy, ale to było, zanim wyszła za męża.

– Jest zamężna?

– Yhm, będzie już ze dwa lata. Wyszła za jakiegoś starego krezusa. Ale wydaje się szczęśliwa... – Odsunął od siebie drugi pusty talerz. – To było przepyszne, Lil. Liam nie wie, co stracił... Nie przyrządziłaś przypadkiem deseru?

Lily uśmiechnęła się.

Parę dni później pod drzwiami domu ponownie stanął Duncan Corday. Tym razem Liam był w domu. Grał z Dylaniem w szachy w pracowni. Chwilę po przybyciu gościa pielęgniarz zja-

wił się w kuchni.

– Robisz mi herbatę? – zapytał Lily.

Przytaknęła. Dylan otworzył szafkę pod zlewem, wyjął butelkę wybielacza i podał jej.

– Masz. Zamiast mleka – powiedział, puszcżając oko.

Potem wziął kurtkę z wieszaka przy drzwiach i przywołał gwizdnięciem Reefera.

– Wychodzisz?

– Tak, mam.

Lily przewróciła oczami.

– Ulatniam się, dopóki mogę. Wywieszisz, proszę, białą flagę, kiedy teren będzie czysty?

W kuchni, jak zwykle, mogła słyszeć dochodzące z pracowni głosy. Liam od czasu do czasu kwitował śmiechem melodyjne pomrukiwanie gościa. Wspaniale było słyszeć jego śmiech.

Kiedy przyniosła herbatę, zamilkli. Duncan Corday uśmiechnął się, Liam również. Prawie jakby go parodiował.

– Dziękuję, Lily – powiedział Corday.

– Dziękuję, Lily – powtórzył za nim Liam.

Wycofała się do kuchni. Po pół godzinie usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się i zobaczyła Cordaya.

– Poprosimy jeszcze trochę herbaty. Mam nadzieję, że to nie kłopot.

– Ależ skąd.

Nastawiła świeżą wodę.

Obserwował ją przez chwilę. Zauważył, że automatycznie, nie pytając, zaparzyła darjeeling. Zaczekał, aż woda się zagotuje, zanim się odezwał.

– Liam sprawia dobre wrażenie.

– Tak, on umie to robić...

– Przed innymi?

Przytaknęła.

– Hm. Ciekawe, że odreagowujemy na tych, których kochamy najbardziej.

– Myślę jednak, że osiągnął punkt zwrotny – pospieszyła na obronę męża.

– To doskonałe.

Podszedł do niej i po ojcowsku położył jej rękę na ramieniu.

– Niech mu pani da trochę czasu. I sobie też. Czas leczy wszystkie rany.

Dlaczego życzliwe słowa bolały niekiedy bardziej niż te nieprzemyślane?

– Ach, i jeszcze coś...

Popatrzyła na niego swoimi szarymi, błyszczącymi od łez oczami.

– Niech mi pani wybaczy bezpośredniość, ale nie wolno zapominać, zwłaszcza w trudnych czasach, że może być tylko lepiej. Proszę mi to dać, wyręcę panią...

Corday pojechał godzinę później.

Poszła do Liama, do pracowni. Siedział na wózku przy stoliku szachowym, z figurą hetmana w ręku, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Chcesz zagrać partyjkę?

– Droga pani Bonner, jak mam to rozumieć?

Lily usiadła na wprost niego i wzięła z szachownicy hetmana przeciwnika.

– Kiedyś nauczyłeś mnie grać w szachy. Pamiętasz?

– Nauczyłem cię wielu rzeczy, Lily – powiedział cicho.

Odstawił hetmana na miejsce.

– Nie mam ochoty na grę, ale możesz zostać... i porozmawiać ze mną.
– Porozmawiać z tobą?
– No wiesz, jak dawniej, podczas wspólnych spacerów albo przy kolacji... albo w łóżku... – W zamyśleniu położył palec na głowie hetmana, przewrócił go, pozwalając, żeby potoczył się po szachownicy i przewracał jak kręgle inne figury. – Nie powiedziałaś mi, że Duncan był tu ostatnio.

– Mówiłam o tym Dylanowi.
– A to jest to samo, tak? Dylan robi za pośrednika.
– Liam, proszę...
– O czym rozmawiałaś z Duncanem? – przerwał jej, patrząc w oczy.
– O tobie – odpowiedziała ostrożnie, starając się spokojnie odeprzeć jego spojrzenie.
– O mnie.
– Ale krótko. Chciał się oczywiście dowiedzieć, jak się czujesz.
– Oczywiście. I o czym jeszcze?
– O herbacie.
– O herbacie?
– Tak. On namiętnie pija herbatę. – Lily spuściła wzrok na szachownicę. – Nie został długo, wcale tak długo nie rozmawialiśmy.

Zamilkli.

Lily odparła pokusę, żeby podnieść czarnego hetmana. Zamiast tego postawiła białego, a wokół niego umieściła pozostałe figury: króla, gońca, skoczka, wieżę. Przypatrywał się, jak systematycznie ustawia figury.

– Jutro zabierze mnie na przejażdżkę łodzią.
– Naprawdę?
Podniosła wzrok.
– Nie patrz tak na mnie, Lily...
– Jak?
– No... z taką cholerną dezaprobatą.
– Ale... przecież ja wcale... nie chciałam...
– Nie odpowiada ci, gdy nic nie robisz, i nie odpowiada ci, gdy coś robisz. W niczym nie mogę ci dogodzić.
– Ty mi nie możesz dogodzić? – Jej wzrok zhardział. – Ty mi nie możesz dogodzić? – Zerwała się z miejsca i chciała wybiec, ale chwycił ją za nadgarstek.

– Lily, proszę, zostań tu... przepra...

Resztę zagłuszyło trzaśnięcie drzwiami towarzyszące nadejściu Dylana.

– To ja! – zawołał radośnie.

Liam natychmiast puścił rękę Lily, jakby został przyłapany na czymś nieprzyzwoitym.

– Zobaczyłem, jak odjeżdża Batmobil, i pomyślałem, że teren jest czysty.

Mrugnął do Lily, wchodząc do pracowni.

Nie miał zielonego pojęcia, jaką scenę właśnie przerwał, bo mina Liama rozpromieniła się w tym samym momencie, gdy chłopak wszedł.

– Zgadnij, jakie mamy plany na jutro, Dylan! Wybieramy się na rejs żaglówką!

– Super. Wujek Dunc zaprosił cię na „Morską Pipkę”?

– Jego łódź nazywa się „Morska Pipka”?

– Nie, ale powinna. Ewentualnie „Wyrrywacz Wujka Dunca”.

– Idę zrobić kolację – szepnęła Lily i wycofała się do kuchni.

Reefer poszedł za nią, merdając ogonem i ocierając się o jej nogę. Lily przykucnęła, przy-

tuliła psa i schowała twarz w grubej sierści, żeby się uspokoić. Chwilę potem wparował Dylan i zaczął szukać po szafkach ciastek.

Lily wyprostowała się i oparła o ciepłą kuchenkę.

– Rozmawiałeś z Liamem?

– Yhm. Musiał pilnie zanieść do toalety dwa litry herbaty.

– Ten rejs...

Wiedział, że się martwi.

– A co takiego może się stać? Moim zdaniem to fantastyczne, że tak się do tego zapalił i chce wyjść z domu, przedsięwziąć coś. Nie znasz łodzi Cordaya, prawda? To bardziej krążownik niż zwykła łajba. Jest wyposażona nowocześniej niż wasza chata i ma więcej miejsca. Ma nawet własną załogę. I kucharza. Jeśli by ci na tym zależało... Jestem pewien, że zatrudniłby nawet pielęgniarkę.

– Myślisz, że Liam jej potrzebuje?

– To był żart, Lil, wyluzuj. Dobrze mu to zrobi. Tobie zresztą również, gdy się go pozbędziesz na chwilę.

– Pozbędę? Pozbywam się go każdego dnia, bo to ty prawie wszystko przy nim robisz, Dylan...

– Prawie, ale jednak nie wszystko, Lily, a ty nieustannie jesteś w pogotowiu i też potrzebujesz wychnienia. Dopilnuję, żeby zaopiekowali się nim cały dzień, a ty zafunduj sobie masaż, manikiur czy co tam jeszcze...

– Masaż? Manikiur? – Ściągnęła brwi.

– Czyżbym pobłądził we mgłę uprzedzeń? – Uśmiechnął się łobuzersko.

– Nie, nie to miałam na myśli... Tylko już prawie zapomniałam, co to takiego... – Wzruszyła ramionami.

Nieważne. Liam był teraz ważniejszy.

– Jego stan się poprawia, Lily. Ostatnie zdjęcia rentgenowskie wypadły dobrze, wiesz przecież, a kiedy zdejmą mu gips, to już pójdzie z górki.

– Właściwie bardziej miałam na myśli jego kondycję psychiczną, Dylan. Martwię się o jego psychikę. On jest... jest... – Zabrakło jej słów.

– Chimeryczny jak pogoda w Kornwalii? – podsunął.

Lily pokiwała głową z taką rezygnacją, że Dylan pierwszy raz uległ impulsowi, żeby ją przytulić.

– Tłumaczyłem ci przecież, że to zupełnie normalne. Wiem, że to dla ciebie niełatwe, ale musisz spróbować nie brać tego do siebie.

– Trudno tego nie brać do siebie – mruknęła i uwolniła się z jego objęć.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Wiem, ale spróbuj spojrzeć na to jak na jazdę w tubie. Kompletny odlot, ale czasem pada się na pysk.

Wpatrywała się w niego, jakby mówił po chińsku.

– Nie rozumiesz slangu surferów, co?

Ucieszył się, widząc, że Lily znowu się uśmiecha, choć był to ulotny uśmiech.

– On jest kompletnie nieobliczalny, Dyl – wyznała i usiadła, nie patrząc na niego. Czy właśnie popełniła wiarołomstwo? – Czasami naprawdę się go boję. Okropnie się czuję, mówiąc to, ale tak jest.

Usiadł na wprost niej. Pochylił głowę, żeby móc widzieć jej twarz. Nagle znowu stał się poważnym, profesjonalnym Dylanem.

– Jest rzeczą najzupełniej normalną, że ktoś, kto doznał ciężkiego urazu mózgu, ma po-

tem problemy psychiczne. To mogą być stany lękowe albo wahania nastroju, ale to normalne. Może też wystąpić poważna depresja albo stany agresywne... Wnikliwie obserwowałem Liama i wiem, że czasem potrafi być prawdziwym kutafonem, ale zapewniam cię, że nie widzę niczego niepokojącego. Po prostu w tej chwili ma dość chwiejną psychikę, prędko ulega stresom. Rzeczy, z którymi ty czy ja radzimy sobie bez trudu, jego wycieńczają bez reszty i dlatego nagle zaczyna wrzeszczeć i kopać jak dziecko. Jestem całkiem pewien, że on w ten sposób odreagowuje frustrację i nie kryje się za tym nic poważnego.

Nie sposób było przeoczyć przybycie Cordaya świtem następnego dnia. Ryk silnika ogromnej terenówki pędzącej obok Diftwood Cottage był tak głośny, że Abi prawie wypadła z łóżka, a kiedy zatrzymał się przed Domem Róż, motor huczał tak ogłuszająco, że drżały szyby w oknach.

Liam – przejęty jak dzieciak w dniu urodzin – wstał z kurami i już czekał przed domem.

Corday przyjechał w towarzystwie niebywale przystojnego młodego mężczyzny, który wydał się Lily znajomy, ale nie potrafiła powiedzieć, skąd go zna. Kiedy Liam przywitał się z nim serdecznie, zaświtało jej w głowie, że to syn Cordaya, Christian.

Duncan Corday zdecydował się tego dnia na strój weekendowy. Kremowe chinosy, droga koszulka polo, narzucony na ramiona pulower, żeglarskie mokasyny. Wyglądał, jakby zszedł z okładki luksusowego magazynu lifestylowego.

Christian był ubrany podobnie. Miał na sobie taką samą koszulkę polo, tylko w innym kolorze, taki sam sweter i mokasyny. W przeciwieństwie do ojca założył jednak szorty.

Christian zlustrował wzrokiem Lily od stóp do głów. Jego otwarcie taksujące spojrzenie wydało jej się zuchwałe, ale po chwili zdała sobie sprawę, że patrzy na jej obcięte dzinsy, klapki, T-shirt i stary rozpinany sweter nie krytycznie, lecz z konsternacją. Obejrzał się na ojca i szepnął mu coś, na co Duncan Corday natychmiast przeniósł wzrok na nią i szczerze zdumiony zapytał:

– No właśnie, nie wybiera się pani z nami, Lily?

O ile dobrze została poinformowana, nie dostała zaproszenia. Liam nie wspomniał o tym ani słówkiem.

Zbita z tropu popatrzyła na Liama, który natychmiast odwrócił wzrok z miną winowajcy.

Nie mógł wyraźniej dać jej do zrozumienia, że nie chce, żeby jechała z nim.

Żołądek ścisnął jej się w supeł, poczuła ukłucie w sercu – jak zawsze, kiedy tak się zachowywał. Jak zawsze, kiedy odprawiał ją z kwitkiem.

– Przykro mi, ale żeglarstwo to nie moja działka – oświadczyła ze wzruszeniem ramion, kiedy już się pozbierała.

Corday ściągnął brwi.

– A pływała już pani kiedyś?

Potrząsnęła głową.

– To skąd pani może wiedzieć, że to nie pani działka?

– Lily dostaje choroby morskiej nawet na rowerze wodnym – wtrącił prędko Liam.

Mimo że była to prawda, to jego słowa tylko potwierdziły jej podejrzenia, że miała nie popłynąć, bo własny mąż nie przekazał jej zaproszenia.

Dylan, który tuż przed przybyciem Cordayów poszedł po lekarstwa Liama, wyłonił się z domu w okularach przeciwsłonecznych na nosie i z Reeferelem u nogi.

– Witaj, wujku. Siemanko, fajne wdzianko.

– Dziękuję, choć nie tak przewiewne, jak twoje. – Corday uniósł brwi i zmierzył wzrokiem podziurawione dzinsy siostrzeńca i jego za duży T-shirt z trupa czaszką. – Niezbyt stosowny strój na okazję, Dylan...

– Ach, dlaczego? W razie potrzeby możemy powiesić go na maszcie – dowcipkował Liam.

– Albo posłać za burtę – dodał ubawiony Christian, z dezaprobatą taksując wzrokiem kuzyna. – Ta koszulka wygląda, jakby przydało się jej trochę kontaktu z wodą.

Dylan, niewzruszony, zmierzył Christiana jeszcze bardziej pogardliwym spojrzeniem.
– Też kiedyś miałem takie bermudy. Gdy je zdjąłem, zostałem nagle bez gaci – odciął się i mrugnął do Lily.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– No, moi drodzy, to zbierajmy się – włączył się prędko Duncan Corday.

– To mogę zostać w tym ubraniu? – upewnił się Dylan niewinnym głosem.

– Przecież i tak to robisz od lat – odgryzł się Christian, a potem posłał uśmiech Lily. –

A pani na pewno nie chce się udać z nami? Nie spodziewamy się dużych fal.

Spojrzenie, jakie rzuciła Liamowi, zanim uprzejmie odmówiła, było przelotne, ale nie pozostało niezauważone przez Duncana Cordaya. Ponieważ jednak wyjątkowo nie był nastawiony na konfrontację, poprzestał na tym.

– Dobrze, w takim razie jedziemy. Zobaczymy się później, Lily. Obiecuję, że przywiozę Liama całego i zdrowego.

– A przynajmniej nie w gorszym stanie, niż już i tak jestem – dodał Liam.

– Na razie, Lil. – Dylan, mijając ją, położył jej przelotnie rękę na ramieniu. – I uważaj na Reefera, dobrze?

– Nie musisz na mnie czekać – zawołał Liam przez ramię.

– I tak nie miałam ochoty z nimi jechać – wyjaśniła Reefelowi, odprowadzając wzrokiem terenówkę, ale nawet pies patrzył na nią z powątpiewaniem.

– No dobra, to co teraz robimy?

Co takiego zasugerował jej Dylan?

– Manikiur i masaż – powiedziała i zaśmiała się na tę myśl, a po chwili jeszcze raz z własnego śmiechu.

Czy naprawdę śmieszne było dogodzić sobie od czasu do czasu? A może dziwiła się, bo po wszystkim, co się stało, ten pomysł wydał jej się tak nieskończenie egoistyczny, frywolny i zbędny? Zdumiewające, jak poczucie winy może popsuć człowiekowi dosłownie wszystko.

Może powinna spędzić ten dzień na czymś, co wcale nie było przyjemne?

Pomyślała o zapuszczonym ogrodzie. Wizja zabrania się za krzaki róż była zniechęcająca. Czy róż w ogóle przycina się o tej porze roku? Byłoby haniebne, gdyby w ten sposób do reszty zdewastowała różany ogród. Nie mogła o sobie powiedzieć, że ma rękę do roślin. Ale jeśli zniszczy ogród, to przynajmniej będzie miała kolejny pretekst, żeby popaść w fatalny humor. A przecież chciała mieć zły humor, czyż nie?

Liam też w dużej mierze przyczynił się do jej fatalnego nastroju. Jeśli w jego oczach była takim zerem, to właściwie mogła oddać mu przysługę i dorównać jego wyobrażeniom.

Nie zastanawiając się dłużej, poszła po rękawice ogrodowe.

Dym był widoczny aż we wsi. Szare, gęste kłęby unosiły się ku przejrzystemu, błękitnemu niebu, wyraźnie odcinając się od pojedynczych, śnieżnobiałych obłoków.

Jego pierwszą myślą było: pożar w Domu Róż! Czy nikt oprócz niego tego nie widział? Rozejrzał się wokół.

Spacerowicze na plaży, zajadający lody i surferzy, których fotografował, niczego nie zauważyli.

Wobec obojętności przechodniów ogarnęły go wątpliwości i zamiast bić na alarm, postanowił pobiec i sam sprawdzić, co się dzieje.

Co sił w nogach pognał drogą wzdłuż wybrzeża i dalej szlakiem do Domu Róż. Dym unosił się nad budynkiem, ale ku jego zdumieniu nie stał w płomieniach. Bez tchu obiegł go dookoła.

Lily usypała na tarasie imponująco płonący stos różnych gałęzi. Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, że swoją spontaniczną akcją wzbudzi taką panikę.

Nie tańczyła wokół ognia jak czarownica, ale na jej rozpalonej twarzy widniały smugi ziemi, a we włosach tkwiły zaplątane liście. Z naręczem ciemnego chrustu zbliżała się do piekielnego ogniska.

– Co tu pani, do diabła, wyprawia? – zawołał.

– Nic nie wyprawiam – odparła z irytacją. – Chcę wreszcie uporządkować ten chaos. –

Rzuciła gałęzie do ognia.

– Zawsze pali pani ognisko tak blisko domu?

Zastygła i popatrzyła na niego. Czubek nosa miała uwalany sadzą. Zdmuchnęła grzywkę z czoła.

– Może pan mi wierzyć lub nie, ale rozpałam ognisko po raz pierwszy w życiu.

– W to akurat nie wątpię.

Pierwszy raz, odkąd ją poznał, zobaczył uśmiech na jej twarzy.

– Sprawdziła pani chociaż, skąd wieje wiatr?

Lily puściła, co miała w ręku, zwilżyła śliną palec i uniosła. Nie był to jednak palec wskazujący, ale środkowy, jak zauważył po chwili.

– Czy to do mnie ten gest? – Udał obrażonego.

– Nie osobiście. Właściwie do całego świata.

– Pokazuje pani światu środkowy palec?

– Życiu, światu, całemu uniwersum. Wszystkiemu.

Rozłożyła ramiona, jakby chciała ogarnąć cały świat.

W tym momencie pojął, że jest pijana. Była nawalona jak haubica. Rozejrzał się wokół. Furtka do ogrodu różanego była otwarta, a krzewy za murem już nie przeciskały gałęzi między żelaznymi prętami jak więźniowie. Trzaskał ogień, w powietrzu wirowały liście, a na ogrodowym stoliku stała prawie pusta butelka ginu.

– O nie, Lily – westchnął, biorąc butelkę.

– Potrzebowałam czegoś na rozpałkę – broniła się.

Zabrała mu butelkę i przycisnęła do siebie.

– Żeby przy okazji upiec i siebie?

– Jeden dla mnie, jeden do ognia.

Łagodnie odebrał jej butelkę, zaprowadził do stolika i usadził na jednym z krzeseł. Ledwie usiadła, schowała twarz w dłoniach i jęknęła. Długo i boleśnie.

– Niech pani się stąd nie rusza.

Lily nie wiedziała, czy na chwilę straciła przytomność, czy zasnęła, ale kiedy otworzyła z powrotem oczy, na stoliku stała taca z kawą i ciastkami, a Nathan trzymał wiadro z wodą.

– Chce pan to wylać na mnie czy na ognisko? – zapytała.

Nie odpowiedział, tylko ostrożnie wylał zawartość wiadra na płonące gałęzie, a potem wrócił do kuchni, żeby napełnić je na nowo.

– Czy mogę je pożyczyć na chwilę, kiedy pan skończy? – zapytała, gdy wrócił. – Chyba będę wymiotować.

– Niech pani wypije swoją kawę, Lily.

– Niech pani wypije swoją kawę, Lily – powtórzyła i drżącymi rękoma podniosła kubek.

Nathan potrzebował jeszcze czterech wiader, żeby ugasić ogień. Lily tymczasem kurczowo trzymała się kubka i zastanawiała się, czy drżenie rąk było spowodowane alkoholem, kofeiną, czy chaosem uczuć.

Usiadł na wprost niej, podparł podbródek rękoma i wpatrywał się w nią bacznie.

– Dlaczego pani to sobie robi, Lily? – zapytał łagodnie. – Czy życie naprawdę jest takie straszne?

Ku jego rozczarowaniu nie odpowiedziała, tylko po prostu zamknęła oczy, jakby do-
skwierał jej straszny ból.

– No dalej, niech mi pani o tym opowie. – Przykrył rękoma jej dłonie i zdziwił się, jakie
były zimne. – Wie pani, co mawia moja matka? Cierpieć z drugim...

– ...lżej – dokończyła.

Poczuła jego ręce i otworzyła oczy.

– O, to znaczy, że wcale nie zna pani mojej matki! Coś tak przewidywalnego nie
przeszłoby jej przez gardło! Nie, Abi powtarza zawsze: cierpieć z drugim to nie cierpieć wcale!
Czasami, kiedy wypowie się coś na głos, zamiast obracać słowa w myślach w nieskończoność,
przestają być takie straszne...

Przemawiał do niej cichym głosem i w końcu nakłonił ją do mówienia. Był dobrym
słuchaczem. Nic dziwnego, przy takiej matce.

Później zszokowało ją, jak bardzo otworzyła się przed obcym człowiekiem. Wszystko, co
wyparła, wszystko, co starannie zapakowała i schowała głęboko, wszystko, co ją mimo to uwie-
rało, wypłynęło z niej wartkim strumieniem.

Po jej delikatnych policzkach spływały łzy. Ale ona nawet nie dostrzegła, że płacze. Na-
than widział to, ale nic nie mówił. Milczał i pozwalał jej mówić.

Już przed wypadkiem nie było dobrze między nami.

Czasami jest dla mnie jak obcy.

Może powinnam bardziej się starać, ale po jakimś czasie człowiek po prostu już nie ma
ochoty na kolejne odrzucenie.

Boję się go. Boję się tego, co z nami będzie.

Nienawidzę się. Jestem taka bezużyteczna. Jestem zerem.

Jak można mówić, że mi się tu nie podoba? Popatrz na ten piękny krajobraz!

Mam wrażenie, że jestem za granicą. Gdzieś, gdzie nie znam języka tubylców.

Nie wiem, jak mam zrobić z tego budynku dom. Mój dom.

Lily mówiła i mówiła. Kiedy skończyła, Nathan zaskoczył sam siebie: podszedł do niej
i wziął ją w ramiona. Zdziwił się, że nie protestowała.

Nagle była zażenowana, że dała się tak ponieść emocjom. Intymność między nimi, kon-
takt cielesny... Nie umiała spojrzeć mu w oczy.

Kiedy zaczęła go przeproszać, poczuł jeszcze większy przyływ sympatii, ale uznał, że le-
piej będzie zmienić temat.

Milczał przez chwilę, potem wskazał głową dom i powiedział:

– Pamiętam starszego pana, który kiedyś tutaj mieszkał.

– Naprawdę? – Zdołała spojrzeć mu w oczy szczerze zainteresowana. – Co to był za
człowiek?

– No cóż, wiesz, jak to jest. Dzieci biorą za wariata albo złoczyńcę każdego, kto ma
więcej niż pięćdziesiąt lat i mieszka samotnie na odludziu w zaniedbanym domu.

– I co, był nim? Wariatem albo złoczyńcą?

– Nie, był po prostu sympatycznym starszkiem, który z wiekiem trochę zdziwaczał.

– Był samotny?

– Nie sądzę. Miał pięcioro dzieci i osiemnaścioro wnucząt czy coś koło tego. Zawsze ktoś
go odwiedzał. Chodziłem do szkoły z jednym z jego wnuków. Do dziś utrzymujemy kontakt.

– Co się stało z tym staruszkim?
– Umarł.
Pokiwała głową i zmarszczyła czoło.
– Tutaj?
– Nie, nie. – Potrząsnął głową. – Jakieś cztery lata temu wyprowadził się do domu seniora w Truro i wkrótce było po wszystkim.
– A dom pozostawiono na pastwę żywiołów...
– Tak, oraz sądu. To był dość długotrwały i skomplikowany proces, bo wszystko trzeba było podzielić między piątkę dzieci i osiemnaścioro wnucząt. Przez ten czas dom stał pusty. Cieszy mnie, że wreszcie ktoś się troszczy o tę chałupę... Zawsze powtarzałem, że można z niej zrobić prawdziwą perełkę, jeśli tylko ktoś znajdzie czas i chęć, żeby ją wyremontować.
– Szkoda, że mam tylko to pierwsze – westchnęła.
– Nie lubisz tego domu? – zapytał zaskoczony.
Wzruszyła ramionami.
– Ach, właściwie to nie wina domu... – Pokręciła głową, jakby chciała odgonić jakąś myśl. – Życie toczy się dalej... Sporo już odnowiliśmy... Chcesz zobaczyć? Nie wyszło tak, jak wyobrażaliśmy to sobie na początku... Musieliśmy uwzględnić stan Liama... – Zastygła i popatrzyła na dom. – Ale powoli zaczyna się coś z tego wyłaniać. Chcesz obejrzeć?
– Chętnie.

W kuchni już był, więc nie zatrzymywali się tu na dłużej. Lily postawiła na stole kubki po kawie, a on wyszedł na korytarz, gdzie podziwiał wspaniale odnowione dębowe schody, będące szkieletem domostwa.

Kiedy się obejrzał, jego wzrok padł na otwarte drzwi po lewej stronie. Pamiętał ten pokój. Pamiętał wielki kominek, wysokie jak na kornwalijski dom sklepienie i światło wpadające do środka przez duże okna. Półki ugięły się pod książkami i płytami DVD, na stoliku piętrzyły się sterty czasopism. Ale on widział tylko szpitalne łóżko, podnośnik dla chorych, lekarstwa, uchwyty, które dostrzegł na ścianie łazienki.

Nie uszło jej uwadze, że zagląda przez otwarte drzwi do pokoju Liama. Nie odzywał się ani słowem, ale z jego twarzy można było wyczytać wszystko. Lily też milczała. A potem bezszelestnie zamknęła drzwi. Przez moment stali w ciszy naprzeciwko siebie. Położył rękę na jej ramieniu. Z ulgą stwierdziła, że to nie litość jest w jego spojrzeniu, ale zrozumienie.

– Będzie lepiej – powiedział dobitnym tonem.
– To tylko przejściowe – odparła jak zwykle.
– Oczywiście. – Skinął głową.
– Pokazać ci górę? – Sposób, w jaki to powiedziała, a potem chwiejnie obróciła się na pięcie, zdradzał, że gin nadal działa.
– Jeśli to nie kłopot?
– Żaden.

Wchodząc po schodach, dziwił się, jaki nowoczesny i przestronny stał się po remoncie stary wiejski domek, a przy tym nie utracił swojego oryginalnego charakteru. Przemiana była imponująca. Lily oprowadzała go jednak po domu bez śladu dumy. Była rzeczowa i nigdzie nie zatrzymywała się na dłużej niż konieczne.

Dopiero kiedy dotarła na samą górę, zorientowała się, że za nią nie idzie. Odwróciła się. Stał niżej, na półpiętrze, i z namysłem przyglądał się obrazowi, który powiesiła tam niedawno.
– Nathan?

– Wspaniały obraz – powiedział, nie odrywając od niego oczu.
– Naprawdę?
W jej głosie zabrzmiało zdumienie.
Pokiwał głową z zachwytem.
– Jest fantastyczny... Co za ciepłe, żywe kolory.
– To była moja pierwsza próba abstrakcji. Zwykle raczej trzymam się realizmu lub impresjonizmu...

– Ty to namalowałaś?
Odwrócił się do niej.
Gdyby jej poczucie własnej wartości nie było tak wątłe, wyczytałaby w jego wzroku podziw.

Potwierdziła.
– Nie wiedziałem, że jesteś artystką.
– Nie jestem... To znaczy, kiedyś sporo malowałam...
– Kiedyś? A teraz już nie?
Pokręciła energicznie głową. Po jej twarzy przemknął cień i powstrzymał go od dalszych pytań, dlaczego przestała malować.
– W porządku – rzucił z przesadną wesołością i cofnął się. – Chodźmy dalej. Co jest na górze?
– Nic.

Strych nie był używany. Ściany i podłogę odnowiono, w powietrzu unosił się jeszcze zapach lakieru do drewna i farby. Pomieszczenie było puste, nie licząc paru zaklejonych pudeł po przewodach, w których leżały fragmenty jej dawnego życia.

Jedynymi barwnymi kleksami pośrodku tej nagości były intensywne błękit i zieleń, widoczne przez szczytowe okna.

– Idealne miejsce na atelier – mruknął, opierając się o parapet i chłonąc piękno jak zapach perfum. Odwrócił się i ośmielił zapytać: – Pokażesz mi więcej swoich obrazów?

Widział po niej, że najchętniej odmówiłaby, ale jej spojrzenie powędrowało na chwilę ku dużej, drewnianej skrzyni w kącie. Zorientowała się, że podążył za jej spojrzeniem. Przelknęła ślinę.

– Mogę?
Otworzył skrzynię, zanim zdążyła się zastanowić, jak odmówić, nie zachowując się przy tym dziecinnie lub niegrzecznie. Wyjął płótna, które znikły w czeluściach skrzyni jeszcze na długo przed przewodzką.

– Nie są zbyt dobre – mruknęła, ale on, klęcząc, trzymając w obu rękach po obrazie, odwrócił się do niej i pokręcił głową.

– Nonsens.
– Owszem, to też – odparła.
Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli.
Stała odwrócona plecami do okna, oparta rękoma o parapet, i przypatrywała się, jak dokładnie ogląda obraz za obrazem, niewiele się odzywając, za to często kiwając głową.
Jedno płótno studiował dłużej niż pozostałe, ale to nie kolorowy, żywy krajobraz rzeczny przykuł jego uwagę, tylko maleńka sygnatura w prawym dolnym rogu.

– L. Hampton-Andrews? – zapytał niepewny, czy dobrze rozszyfrował litery na akwareli.
– To moje panięskie nazwisko. Moja matka jest jedyną osobą, która jeszcze używa wersji z dywizem. Ja ograniczam się po prostu do Andrews.

Nathan ostrożnie odłożył obrazy do skrzyni.

– Lily Hampton-Andrews Bonner, jestem pod wrażeniem. I to nie tylko z powodu nazwiska, ale twoich prac. Są bardzo dobre. Mogłabyś poprosić moją matkę, żeby cię sprzedała.

– Nie wiedziałam, że uprawia handel żywym towarem.

Zaśmiała się.

– Jesteś naprawdę niezła. Mam nadzieję, że o tym wiesz?

– Byłam... może.

Ziewnęła. Jej cera wyglądała szaro, oczy były zmęczone.

– Kiedy wrócą tamci?

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie późno. Jeśli macza w czymś palce Duncan Corday, to zawsze robi się późno.

– Chciałbym zabrać cię na wycieczkę.

– Dokąd?

Zaskoczyła ją ta propozycja.

– Do Penzance – odparł natychmiast.

– Dlaczego?

– Jest tam coś, co chciałbym ci pokazać. Muzeum. Muzeum sztuki. Penlee House. Byłaś tam już?

– Nie, ja... Niewiele tu widziałam, prawdę mówiąc. Jakoś nie było okazji...

– Przed wypadkiem męża też?

Zerknęła na niego z ukosa i odparła matowo:

– Wtedy wszystko było pozamykane.

Zaśmiała się głośno, na co odpowiedziała uśmiechem.

– Zimą niemal wszystko jest tu zamknięte – zgodził się. – Jak myślisz, dlaczego regularnie uciekamy stąd z matką? Nie tylko po to, żeby nie zamarznąć.

– Żeby nie oszaleć?

– Na to wygląda. Chyba że kogoś kręci samotność.

– Mnie z całą pewnością nie kręci... – mruknęła.

– Słucham?

– Nie, nic...

– Więc co ty na to? Czy twój mąż miałby coś przeciwko temu, żebym cię uprowadził na chwilę?

Pokręciła obojętnie głową.

– Z całą pewnością nie...

– O ile przywiozę cię całą i zdrową, prawda?

– Nie sądzę, żeby stawał warunki.

Woń wypolerowanego drewna i przebrzmiałej świetności w połączeniu z nabożną ciszą przypominał jej kościół. Lily chłonęła pożądliwie ten nastrój. Zamknęła oczy, aby zaraz je otworzyć i na nowo odkrywać otaczające ją cuda.

W Penlee House zgromadzono obrazy malarzy Newlyn School, grupy artystów, którzy doskonale potrafili uchwycić i ukazać oblicza Kornwalii. Tutejszych ludzi, ład, morze, powietrze.

– *En plein air* – westchnęła Lily w jednej z sal, jakby sama wciągała właśnie w płuca czysty tlen.

Już po dziesięciu minutach w tym wspaniałym otoczeniu wyglądała mniej szaro.

Nathan przystanął na dłużej przy swoim ulubionym obrazie, podczas gdy Lily w zapa-

miętaniu wędrowała po muzeum, odkrywając coraz to nowe, piękne płótna. Nathan odnalazł ją dwa pomieszczenia dalej, gdzie przyglądała się akwareli przedstawiającej kwitnący ogród. Nie mógł już opanować uśmiechu, który powstrzymywał, odkąd schował jej obrazy do skrzyni na strychu.

– Podoba ci się?

Kiwnęła głową. Bez słowa.

– To jeden z moich ulubionych obrazów. Zilustrowanie światła przypomina mi Tintoretta...

– Ta artystka... – zaczęła Lily.

– Chodź. – Jego uśmiech stawał się coraz szerszy. – W następnej sali wisi jeszcze jeden obraz jej pędzla, trochę większy...

Lily już ruszyła dalej. Podążył za nią. Przystanęła przed obrazem olejnym przedstawiającym plażę w Kornwalii, na której kilka kobiet przypatrywało się, jak rybacy wyciągają na brzeg połów. Wykonany lekkim pociągnięciem pędzla, utrzymany w ciepłych, żywych barwach, zafascynował ją nie tylko motywem. Odkryła na nim coś zupełnie innego.

– Eloise Hampton-Andrews... – przeczytała sygnaturę.

Odwróciła się do Nathana, który świetnie się bawił, widząc zdumienie w jej oczach.

– Przypadek?

Potrząsnęła głową.

– Eloise. Moja cioteczna prababka.

– Często tutaj bywam, bo nieustannie wystawiają tu nowe eksponaty, ale te obrazy wiszą tu na stałe. Znam je na wylot. Kiedy zobaczyłem twoje panięńskie nazwisko na obrazie, od razu przyszło mi do głowy, że może istnieje jakaś więź.

– Nawet nie wiedziałam... Znaczy, oczywiście wiedziałam, że malowała... Moja babcia ma w salonie parę olejów jej pędzla. Jako dziecko uważałam, że są przepiękne... I to dzięki nim sama zaczęłam malować. Ale mówiono mi, że to było tylko jej hobby, nie miałam pojęcia, że... że coś ją łączyło z Kornwalią... że tu żyła... że nawet wystawiono tutaj jej dzieła, akurat tutaj...

– Spędziła w St Ives lato 1892 roku, a potem wyprowadziła się na inne wybrzeże – przeczytał z notki biograficznej obok eksponatu – i kolejny rok spędziła w Newlyn, skąd wróciła do Londynu...

– ...gdzie schroniła się pod skrzydłami brata, mojego pradziadka Alexandra – dokończyła Lily.

Nathan uśmiechnął się.

– Widzisz, nie ty pierwsza w rodzinie wybrałaś Kornwalię... Choćby na krótko.

Lily skinęła głową z namysłem.

– Mam wrażenie, że niechętnym okiem patrzono na jej uzdolnienia artystyczne. Moja babcia wspomniała kiedyś, że Eloise była dość narowista jak na swoje czasy i chyba właśnie po to wydano ją za mąż, żeby ją okiełznać.

– Żeby zrobić z niej artystkę nieco mniej liberalną, bardziej konwencjonalną?

– Właśnie.

– I co, udało się?

– Może. Do dzisiaj nie miałam o tym pojęcia. I właściwie to dość smutna historia. Ciekawe, czy była szczęśliwa.

– Szczęśliwa?

– No cóż, została niejako zmuszona do innego życia, niż sobie życzyła... My mamy dziś niezliczone możliwości, sami stanowimy o swoim życiu... Dla nas wszystko to jest oczywiste.

– To prawda. Możemy robić, co chcemy. – Przytaknął. – Zapominamy o tym czasem.

W szalonym tempie pędzimy przez życie, przez świat, tu i tam dajemy się manipulować, ale ostateczne decyzje należą wyłącznie do nas...

Kiedy Liam i Dylan wrócili do domu, Lily leżała już w łóżku. Chciała się ukryć przed nimi. A właściwie przed sobą. Chciała po prostu zaszyć się pod kołdrą i udawać, że nie istnieje.

Tak bardzo ośmieszyła się przed kimś, kogo ledwie знаła. A Nathan był dla niej taki dobry. Taki cierpliwy. Jakby to ona była chora i potrzebowała pielęgnacji. Może dlatego wszystko to napawało ją takim wstydem.

Usłyszawszy trzaskanie drzwi i donośne głosy przed domem, wstała i podeszła do okna. Było oczywiste, że pili. Za kierownicą brzydkiego krążownika Cordaya siedział teraz piąty mężczyzna, jedyny, który nie wysiadł, kiedy cała reszta, rycząc i rechocząc, wytoczyła się na zewnątrz, żeby bezceremonialnie wyciągnąć Liama z samochodu. Ten zaś śmiał się i krzyczał z bólu jednocześnie.

W domu wcale nie zachowywali się ciszej. Zapalili światło, śmiali się, szurali krzesłami po kamiennej podłodze w kuchni, pobrzękiwali szkłem i wznosili toasty w różnych językach. Mężczyzna w samochodzie czekał.

Dopiero po godzinie pożegnali się ze sobą hałaśliwie, potem zaryczał silnik i Corday, Christian oraz cierpliwy kierowca zniknęli w mroku nocy. Zrobiło się cicho. Ogluszająco cicho. Tak cicho, że nie sądziła, aby zdołała usnąć przed świtem.

Następnego ranka zawołał ją, gdy tylko usłyszał na schodach jej kroki. Nie mógł się doczekać, żeby opowiedzieć jej o wycieczce. Nie chciał jej zabrać, ale opowiedzieć o niej już tak.

Pożeglowali z Falmouth do Fowey, gdzie we wspaniałej restauracji zjedli wspaniały obiad. Po południu zakotwiczyli na otwartym morzu, żeby łowić ryby, a potem popłynęli z powrotem, ku zachodowi słońca. Jeszcze nigdy nie czuł się taki wolny i pełen życia, jeszcze nigdy nie przeżył tak cudownego dnia.

Z niespotykanym apetytem rzucił się na śniadanie, a Lily siedziała tylko i przysłuchiwała się potokowi jego słów. Przywykła już do tych wahań nastroju i nie komentowała ich. Ani słówkiem nie wspomniała też, jak sama spędziła dzień. Nawet o tym, że dzięki pomocy Nathana dowiedziała się czegoś o swojej ciotecznej babce.

Dawniej nie umiałyby się powstrzymać, żeby jak najprędzej opowiedzieć mu o tym ze wszystkimi szczegółami, żeby pojechać tam razem z nim i wszystko mu pokazać, objaśnić, że najwyraźniej jednak miała korzenie w Kornwalii i tutaj w jakiś sposób był jej dom. Ale nie potrafiła wydobyć ani słowa.

On zdawał się tego nie dostrzegać.

Tylko Dylan zauważył, co się stało z ogrodem różanym.

Zszedł na dół do kuchni w samych bokserkach, skacowany, mruczając coś pod nosem, skierował się prosto do zlewu i nalał sobie wody z kranu. Odruchowo popatrzył przez okno.

– Wcale nie musimy pytać, co robiłaś wczoraj – oznajmił uśmiechnięty szeroko, odwracając się do niej.

Liam nie uznał za stosowne zapytać, co ma na myśli. Urwał tylko na chwilę, przywitał Dylana skinieniem głowy i dalej rozprawiał o rejsie. Dylan wypił duszkiem wodę, popatrzył na zegarek i oświadczył, że muszą się zbierać. Liam tego dnia miał zrobić prześwietlenie.

Tym razem Lily była zdecydowana im towarzyszyć i jako pierwsza stanęła w korytarzu w pełnej gotowości.

– Wychodzisz gdzieś? – Liam popatrzył na nią pytająco.

– Jadę dziś z wami.

– Nie musisz, Dylan mnie zawiezie.
– Ale chcę.
– Dylan musi przy tym być, musi usłyszeć z pierwszej ręki, co powie lekarz, żeby móc dostosować ćwiczenia do jego zaleceń. Uważam, że to zbędne, żebyście jechali oboje.
To było logiczne wytłumaczenie. Ale sposób, w jaki do niej przemawiał, suchy i wyniosły, rozżłościł ją. Na domiar złego na koniec dodał cynicznie:
– Przecież chcesz, żebym prędko wydobrał, prawda?
Lily zmierzyła go spojrzeniem spod zmrużonych powiek.
Poszła na wiele ustępstw. Brała poprawkę na przebytą traumę, ból, terapię lekową i znalazła milion usprawiedliwień na to, że był, jaki był. Ale kiedy usłyszała te słowa i zobaczyła jego ponurą, poirytowaną, pełną pogardy twarz, którą zachowywał wyłącznie dla niej, doszła do smutnego wniosku, że przestał być dobrym człowiekiem.
– Hm. Czy chciałabym, żebyś prędko wydobrał? Niech no się zastanowię... – Udała, że drapie się z namysłem po podbródku, a potem potrząsnęła z obrzydzeniem głową, kopniakiem zrzuciła buty, odwróciła się do niego plecami, pomaszerowała do kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

Liam zwrócił się z irytacją do Dylana:

– A co to miało być?

Ale Dylan potrząsnął tylko głową.

– Zasłużyłeś. I dobrze o tym wiesz.

I to rzekłszy, wytoczył go na zewnątrz, do samochodu.

Lily, oparta o kuchenny blat, patrzyła przez okno na zwęglone pozostałości po wczorajszym ognisku.

Odetchnęła głęboko.

„Choćbyś nie wiem jak kochał psa, jeśli podczas każdej próby zbliżenia będzie chciał cię ugryźć, w końcu zaprzestasz tych prób”, pomyślała. Jakby umiał czytać w myślach, Reefer trącił ją pyskiem od tyłu. Odwróciła się i przykucnęła, żeby go objąć.

– Bogu dzięki, mam ciebie. Do kogo innego mogłabym się przytulić?

Podreptał za nią na górę do sypialni, gdzie prędko założyła szorty i koszulkę, owijając wokół bioder sweter na wypadek, gdyby schowało się słońce. Zeszła z powrotem na dół i wzięła smycz z wieszaka przy drzwiach.

– No już, chodź.

Otworzyła drzwi, ale zamiast jak zwykle puścić się pędem na szlak, Reefer wystrzelił w ślad za odjeżdżającym range roverem. Był już prawie na głównej drodze, kiedy go dogoniła.

– Już dobrze, piesku – zagadała do niego, przytulając twarz do gęstego, długiego futra. – Zostawili nas, co? Ale co tam, pójdziemy na piękny spacer, tak? Tylko ty i ja. Co ty na to?

Lily usłyszała nadjeżdżający samochód i prędko chwyciła psa za obrozę. Kiedy się odwróciła, zobaczyła starego, sportowego jaguara wyjeżdżającego z wąskiego podjazdu Driftwood Cottage. Za kierownicą siedział Nathan Hunter.

Pociągnęła Reefera w kierunku żywopłotu, żeby przepuścić samochód, ale Nathan zatrzymał się przy nich.

– Cześć. Późno dziś wychodzisz.

– Słucham?

– Zwykle chodzisz na spacer wcześniej.

– Jestem tak przewidywalna?

– Tego nie wiem. Po prostu codziennie cię widzę, jak tędy przechodzisz.
– Tak, to rodzaj rytuału.
– Znów dziś jesteś sama?
– Liam i Dylan pojechali do szpitala. Kontrolny rentgen. Chciałam właściwie wybrać się z nimi, ale...
Zamilkła i wzruszyła ramionami.
Przyglądał się jej w zamyśleniu.
– Też chciałem się przejść, ale trochę dalej, wzdłuż wybrzeża. Masz ochotę przejechać się ze mną? Miałabyś małą odmianę.
– Ja... ja...
Widział, jak gorączkowo szuka pretekstu, żeby odmówić. Wreszcie znalazła jeden.
– A co z psem?
– Spodoba mu się plaża, bez obaw.
– Miałam na myśli twój piękny samochód.
– Może siedzieć na tylnym siedzeniu, o ile nie będzie się mieszał do mojego stylu jazdy.
Nie trawię, jak ktoś z tyłu wyszczekuje mi polecenia.
Zaśmiała się. Dokładnie to chciał osiągnąć.
– To jak? Co ty na to?
Właściwie chciała podziękować i odmówić.
– Okej – zgodziła się.

Ujechali prawie dziesięć kilometrów, zanim Dylan wreszcie zapytał:
– Dlaczego nie chciałeś, żeby Lily pojechała?
– Bo to ty musisz wiedzieć, jakie ćwiczenia mam wykonywać. I jak mnie przycisnąć.
– To oczywiste, ale to nie dlatego nie chciałeś, żeby pojechała, i dobrze o tym wiesz.
Żadnej reakcji. Liam siedział z kamienną miną i dawał Dylanowi do zrozumienia, że powinien na tym poprzestać. Ale dla niego sprawa była zbyt istotna.
– Więc? – drążył.
Liam westchnął.
– To moja prywatna sprawa, Dylan.
– Tak, i co z tego? Dobra, pracuję dla ciebie, ale sądziłem, że jestem też twoim przyjacielem?
– Teraz i tutaj jesteś przede wszystkim moim pracownikiem.
Same słowa nie były tak obraźliwe jak ton, jakim zostały wypowiedziane. Dylan już to znał. To była jedna z ulubionych sztuczek Liama. Większość ludzi przełykała po prostu, kiedy tak się zwracał. Nie chcieli z nim zadzierać. Ale Dylan był inny niż większość ludzi.
– Potrafisz być prawdziwym skurwysynem, Liam.
Liam rzucił mu miazdzące spojrzenie.
– Możemy się zamienić i zobaczymy, czy wtedy też będziesz taki mądry.
– Nie zgrywaj męczennika, facet. Chcesz zobaczyć prawdziwe cierpienie? To może olejemy rentgen i zamiast tego pójdziemy na oddział dziecięcy? Obejrzyjś dzieci, które naprawdę mają okropne obrażenia i znoszą chorobę z większą godnością niż ty.
Liam przełknął ślinę. Pomyślał o tamtym. O bezradności, która ciągle nawiedzała go w koszmarach. Ile to już czasu upłynęło? Jak to możliwe, że tamto wydawało mu się jednocześnie tak bliskie i tak odległe? Prędko przegonił niezdrowe myśli.
– O co ci w ogóle chodzi? Chcesz wydobyć ze mnie wyznanie odnośnie stanu mojego

małżeństwa? Zapomnij o tym.

Tym razem to Dylan westchnął ciężko.

– Mam zamiar uświadomić ci, że podchodzisz do sprawy od złej strony.

– Próbuję tylko wyzdrowieć i odzyskać moje dawne życie.

– Tak, świetnie. A przy okazji zrazić do siebie wszystkich ludzi, którzy darzą cię uczuciem? Posłuchaj mnie, Liam. To, co ci się przydarzyło, było koszarne, bez dwóch zdań. Ale wyjdiesz z tego. Wiem, że to nie jest łatwe, ale zamiast nieustannie litować się nad sobą, mógłbyś pomyśleć o tym, jakie miałeś cholerne szczęście. Mogłeś zginąć. A żyjesz. I jeśli będziesz nadal tak postępował, to być może coś innego w twoim życiu, co jest nie mniej ważne, ulegnie zniszczeniu na zawsze.

Liam uparcie wyglądał przez okno jak krnąbrne dziecko.

– Żyjesz, Liam, twój łeb wyszedł z tego bez szwanku, po innych obrażeniach za parę miesięcy zostaną tylko blizny, a ty będziesz miał superhistoryjkę, którą będziesz mógł opowiadać swoim dzieciom.

– Zatrzymaj się.

– Co?

– Masz się zatrzymać, do jasnej cholery! – ryknął rozwścieczony Liam.

Dylan zerknął w lusterko, a potem tak gwałtownie nacisnął hamulec, że pasy wcisnęły ich w fotele, a silnik zgasł.

Gwałtowne hamowanie złagodziło jego złość. Skulony siedział na fotelu pasażera. Milczeli. Słychać było tylko powoli cichnący oddech Liama. Wreszcie coś powiedział, ale tak cicho, że Dylan go nie zrozumiał i musiał poprosić o powtórzenie.

– Powiedziałem, że nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz.

– O, mam, Liam, uwierz mi. Widziałem ludzi w znacznie gorszym stanie, którzy powracali do zdrowia. Mogłeś stracić nogę.

– Wołałbym to... Jest dość środków uśmierzających fizyczny ból... – Popatrzył na Dylana pustym wzrokiem. – Ale czy istnieje coś na ból duszy, Dylan? Coś na mój ból? No już, mów. Zawsze na wszystko masz odpowiedź. Jest coś na to?

Dylan przyglądał mu się w zamyśleniu. Ostrożnie dobierał słowa.

– Czy pomogłoby ci, gdybyś z kimś porozmawiał?

Liam prychnął pogardliwie.

– Nie chcę psychoterapeuty!

– Może go nie chcesz, ale niewykluczone, że go potrzebujesz.

– Nie chcę i nie potrzebuję żadnych cholernych psychoterapeutów. Zrozumiałeś?

– Okej, okej... Ale w takim razie porozmawiaj ze mną, wytłumacz mi, co czujesz, pogadaj z Peterem, przecież to jest twój najlepszy przyjaciel, on cię zrozumie... Ale przede wszystkim, do jasnej cholery, porozmawiaj wreszcie ze swoją żoną!

Obaj pograżyli się we wściekłym milczeniu, którego żaden nie chciał przerwać. Kiedy Dylan nie mógł już dłużej wytrzymać ciszy, zapalił silnik i pojechał dalej.

– Dokąd jedziemy?

– Do Porthcurno.

– To daleko?

Pokręcił głową.

– Najwyżej kwadrans. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze tam nie byłaś.

– Tego nie powiedziałam.

Zerknął na nią.
– Byłaś tam już kiedyś?
Uśmiechnęła się.
– Nie. A zatem, co to takiego jest Porthcurno?
– To jedna z tutejszych najpiękniejszych plaż.
– Jeździsz tam, żeby fotografować? – zapytała, omiatając spojrzeniem sprzęt na tylnym siedzeniu.
– Fotograf zawsze jest w gotowości. Ale dziś chodzi mi bardziej o przyjemność niż pracę. Porthcurno to jedno z moich ulubionych miejsc w Kornwalii, ach, co ja mówię, na całym świecie. Latem można odnieść wrażenie, że jest się nad Morzem Śródziemnym, piasek jest prawie biały, a morze szmaragdowe. Przepiękne.
– Skoro tak ci się tu podoba, to dlaczego ciągle dokąds jeździsz?
– Jak wiadomo, dystans stwarza bliskość.
– To brzmi jak wystudiowany, wyświechtany frazes.
Zaśmiała się z zakłopotaniem.
– Racja. Często słyszę to pytanie. Zwłaszcza z ust matki. Jeśli mam być szczerzy, sam nie wiem. Ale wiem, że Kornwalia nie jest jedynym pięknym zakątkiem na Ziemi.
– Zwiedziłeś już spory kawał świata, co?
– Dość spory – potwierdził.
– Pozazdrościć.
Popatrzył na nią ciekawie.
– Nigdy nie podróżujesz, Lily?
– No cóż, nie tyle, ile bym chciała... Po maturze powłóczyłam się przez rok po świecie.
– I gdzie podobało ci się najbardziej?
Nie odezwała się, tylko ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami.
– Nie wiem. Może w Paryżu. Ale zbyt mało świata widziałam, żeby powiedzieć coś na ten temat.
– To znaczy, że najbardziej podoba ci się miejsce, gdzie jeszcze nie byłaś?
– Tak mniej więcej.

Przez resztę drogi do Truro milczeli.
W mieście Dylan zjechał na spokojny parking otoczony zielenią i zgasił silnik.
Liam westchnął i zamknął oczy w oczekiwaniu na kolejną reprimendę. Dylan usłyszał westchnienie, ale nie odwiodło go ono od powziętego zamiaru.
– Od czasu do czasu trzeba odsłonić ranę i wystawić ją na świeże powietrze, żeby mogła się zagoić. Jeśli jesteś zasmucony lub coś cię trapi, powinieneś o tym z kimś porozmawiać. To część procesu zdrowienia. A przecież chcesz wyzdrowieć, prawda?
– Owszem, choćby tylko po to, żeby cię potem posłać do diabła – burknął Liam.
Dylan popatrzył na niego. Nie mógł powstrzymać śmiechu, widząc jego zawziętą twarz.
– Stul pysk, Dylan.
– Nie tym tonem, panie Bonner. Coś się dziś panu nieustannie myli.
– Tak, bo dziś wszyscy nieustannie doprowadzają mnie do szału – odparował Liam i zgromił wzrokiem mężczyznę za kierownicą samochodu.
– Chyba chciałeś powiedzieć, że dziś nieustannie dajesz się doprowadzać do szału. Wiesz co, Liam, czasem przypominasz niedorosłego, durnego dzieciaka...
Więcej nie zdołał powiedzieć, bo kiedy spojrzął w bok, zobaczył łzy spływające po po-

liczkach Liama.

Nathan skierował jaguara na parking.

Ledwie otworzył drzwi, Reefer wyskoczył z fotela kierowcy na zewnątrz i zaczął obwąchiwać całą okolicę.

– Przynajmniej pies już tu kiedyś był – stwierdził Nathan i zaśmiał się, kiedy Lily pognęła za zwierzęciem.

Wziął swój ulubiony aparat, leicę, z tylnego siedzenia i schował resztę sprzętu do bagażnika, a potem podążył za Lily.

– Boże, ale tu pięknie – mruknęła.

Potoczyła spojrzeniem od ostrego klifu po lewej stronie, poprzez dolinę porośniętą janowcem i grubymi kępami morskiej trawy, po stromy klif po prawej. Mimo że jeszcze nie dotarli do plaży, piasek pod ich stopami był tak drobny, że zachciało jej się zdjąć buty i pobiec boso aż po horyzont.

– Tam na górze, po prawej, leży Minack.

Dłonią osłonił oczy od słońca i wskazał na coś w oddali.

– Minack? Co to jest?

– To wykuty w skale amfiteatr.

– Ach, prawda, Peter wspominał coś o nim. Podobno jest imponujący.

– Zgadza się. Powinnaś go zwiedzić przy okazji. Obojętne, jaką sztukę grają, już samo położenie i widok są jedyne w swoim rodzaju i warte przyjazdu. Tylko koniecznie weź poduszkę, bo ławki są z kamienia. Jak mawia moja mama: zbyt twarde skorupy dla mojej miękkiej...

Lily uśmiechnęła się.

– Twoja mama jest niesamowita.

– Też ma o tobie jak najlepsze zdanie.

– Czy teatr jest otwarty?

– Jasne. Sezon zaczął się w kwietniu.

– Liam lubi chodzić do teatru. A przynajmniej chętnie to robił w Londynie. To było dla niego na porządku dziennym.

– A dla ciebie?

Przytaknęła.

– Ulubiona sztuka?

– Nie mam żadnej.

– Ulubiona książka?

– Na świecie jest tyle wspaniałych książek. Dlaczego ograniczać się do jednej?

– Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób.

Dotarli do szczytu wzgórza, skąd roztaczał się widok na zatokę. Kiedy Reefer zobaczył wodę, puścił się pędem, ale Lily przystanęła oczarowana i powiedziała tylko:

– Wow.

Nathan uśmiechnął się z miną znawcy.

– Są takie miejsca, gdzie człowiek od razu czuje się lepiej, obojętnie, jaki był przedtem zdeprimowany. To jeden z wielu powodów, dla których tak kocham Kornwalię. Nawet w depresji nie da się tu nie paradować z uśmiechem na ustach.

Uniósł aparat i chciał zrobić jej zdjęcie, uchwycić zdumienie na jej twarzy. Odwróciła wzrok. Zostawił ją i aparat w spokoju i pomaszzerował w dół ku plaży. Strome urwiska obejmowały zatokę niczym rozpostarte ramiona.

Lily zastanawiała się nad tym, co powiedział. Może powinna przyjechać tu z Liamem. Nie sądziła wprawdzie, żeby tego chciał. Ale może i on zacząłby się tu uśmiechać.

Było tu tak nieskończenie pięknie, że z radości chciało jej się tańczyć. Jaki cudowny kontrast stanowiły miękkie, biały piasek, przejrzysta, zielona woda i wysokie, błękitne niebo! Przez głowę przemykały jej skojarzenia z płynnym metalem mieniącym się pancierzem skarabeusza, połyskującym w słońcu szlachetnym kamieniem. Kolory były tak żywe i intensywne, że przyciągały ją jak syreni śpiew. Całkowicie się zatraciła i oprzytomniała dopiero wtedy, gdy usłyszała śmiech Nathana. Brnąc przed siebie, weszła do wody i stała teraz w butach po kolana w wodzie.

Chwycił ją za rękę i wyciągnął z wody. Miał ciepłą dłoń. Liam zawsze miał zimne ręce. I minęło już tyle czasu, odkąd naprawdę je czuła.

Nathan czuł jej delikatne, zmierzwiłone wiatrem włoski na ramionach i miękką, zaczerwienioną od słońca skórę.

Odwróciła się do niego, żeby mu podziękować, a promienie słońca w magiczny sposób zamieniły szarość jej oczu w fiolet. Samotna chmura przysłoniła na chwilę słońce. Kiedy cień odpłynął, Nathan puścił jej rękę.

– Jak się dziś czujesz?

Posłała mu spojrzenie mówiące „nie pytaj”, ale mimo wszystko drążył dalej.

– W jakim nastroju był Liam, kiedy wrócił z rejsu?

– Byłam już w łóżku. – Pochyliła się, żeby podnieść kamyk. – Ale widziałam go dziś rano. Fantastycznie się bawił. Beze mnie... Dziś chciałam pojechać z nim do szpitala, ale kiedy mu to powiedziałam...

– Nie chciał cię ze sobą zabrać?

– I nie był dla mnie szczególnie miły. Jak zwykle. Próbuje udawać, że to po mnie spływa, ale dziś rano, o zgrozo, nie mogłam się opanować.

– W jakim sensie?

– Sprzeciwiłam mu się. Werbalnie. Sam tego chciał. Coraz bardziej mnie prowokował. Podburzył mnie i odtrącił.

– Powiedziałaś mu kiedyś, jaka jesteś nieszczęśliwa?

Pokręciła głową.

– Nie sądzę, żeby konieczne było ubierać to w słowa. Między nami panuje napięcie jak przed burzą: wystarczy, że wyciągnę palec w jego kierunku, a strzela prąd.

– Musisz z nim porozmawiać, Lily.

– Wiem... tylko że się nie da. Kiedyś mogłam z nim rozmawiać o wszystkim. Ale teraz... w ogóle nie umiemy się porozumieć.

– Czasem ludzie tak odmiennie widzą pewne sprawy, że nawet nie potrafią o tym mówić.

Pochylił się, podniósł kawałek drewna wyrzuconego przez morze i podziwiał je w dłoni.

Zaferowany Reeper natychmiast obkoczył go, chcąc, żeby mu aportował.

– Widzisz – zaśmiał się – dla mnie to drewno to mały cud, dzieło sztuki stworzone przez naturę, przez morze i czas. Dla Reepera – pomachał mu nim przed nosem – to zabawka.

Rzucił patyk do wody, żeby pies mógł go przynieść z powrotem.

Bolało. To tak cholernie bolało. O wiele bardziej, niż sobie kiedykolwiek wyobrażał. Ale ulga była bezgraniczna. Liam miał uczucie, że z ramion spadł mu ciężar całego świata. I że każdy następny krok będzie łatwiejszy.

– Lepiej będzie, jak zawiozę cię teraz do domu.

Lily przytaknęła, odetchnęła głęboko i przywołała szalejącego w wodzie psa, który nie miał zielonego pojęcia, jakimi falami rozbijały się o plażę jej uczucia.

W milczeniu pojechali do domu. Nathan zerkał na nią co jakiś czas i uśmiechał się. Jego uśmiech był jak słońce, które stopniowo przeganiając chłód, dodawało jej sił. Z jakiegoś niezrozumiałego dla niej rycerskiego powodu minął Driftwood Cottage i podwiózł ją parę metrów do Domu Róż. Zgasił silnik, a Lily zaczęła desperacko szukać słów podziękowań.

– Ja...

Ale on potrząsnął głową i położył jej ciepłą dłoń na policzku.

– Nie jesteś sama, Lily. Jestem tu, jeśli potrzebujesz przyjaciela.

Przykryła dłonią jego dłoń i przycisnęła ją do policzka.

Abi była w kuchni. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego, kiedy wszedł do środka. Gryzła coś w ustach, dlatego z lekkim opóźnieniem przywitała go zwykłym „cześć”.

– Myślałem, że będziesz dziś w galerii? – zapytał.

– Pusty brzuch odkomenderował mnie do domu – wyjaśniła i ugryzła spory kawałek sandwicza z szynką. – Zjesz coś?

– Nie, dziękuję, muszę jeszcze wyjść na chwilę...

– Ach, tak? – zapytała, unosząc brew.

– To nie potrwa długo. Wybierasz się jeszcze do galerii?

Wzruszyła ramionami.

– Może. Ale też nie na długo. Anna chce wziąć jak najwięcej godzin, więc pewnie zostawię ją samą i zajmę się papierkową robotą... Poza tym chciałam wpaść do Lily i spytać, co tam u niej.

Skinął głową, ale ani słówkiem nie wspomniał o dzisiejszym przedpołudniu. Jeśli matka widziała ich dziś w samochodzie, to zachowała to dla siebie.

Kiedy Lily wróciła, w domu nikogo nie było. Liam i Dylan zostawili na sekretarce wiadomość, że wrócą późno. Dlaczego, nie wyjaśniali.

Przez moment rozważała, czy oddzwonić do nich i zapytać, czy wszystko w porządku, ale jeśli byli w szpitalu, to pewnie i tak obaj mieli wyłączone komórki. Wzięła prysznic, żeby splukać piasek ze stóp i sól ze skóry.

Z obiadu zrezygnowała, tak samo jak ze śniadania. Reeferowi dała parę psich ciastek, potem zaparzyła sobie kawy i usiadła na zewnątrz. Unikając tylnego ogrodu, przysiadła na niskim murku z kamienia wyznaczającym granicę między przednim ogródkiem a terenem wokół posiadłości. Reefer przycupnął obok niej, strzygąc uszami i nieustannie obserwując okolicę w nadziei na pogoń za dzikim królikiem. Lily nie interesował zapierający dech w piersiach widok, znowu zapatrzyła się w siebie. W tym momencie dobiegło ją wołanie od strony Driftwood Cottage.

Obejrzała się. Bezpośrednio w jej stronę zmierzał Nathan. Nie poruszał się z takim wdziękiem jak zwykle, ponieważ taszczył coś nieporęcznego. Przedmiot był zapakowany jak prezent, a Lily rozpoznała drukowany ręcznie papier ze sklepu Abi.

Ponieważ nie był to drobiazg dający się ukryć za plecami, Nathan popatrzył promiennie na Lily, potem postawił przed nią pakunek i przechylił go w jej stronę.

– Dla ciebie.

Zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem.

– Co to jest?

– Prezent.

– To widzę, ale co jest w środku?

– Spodziewałem się odrobiny wdzięczności... – zażartował.

– Przepraszam i oczywiście dziękuję, tylko jestem strasznie ciekawa, co to jest i dlaczego...

– No to rozpakuj! To jedyny sposób, jeśli chcesz się dowiedzieć, co jest w środku.

Zaczerwieniła się.

– To tylko drobiazg.

Uśmiechał się do niej pełen nadziei, podczas gdy ona z namysłem świdrowała go wzrokiem. Stał z założonymi na piersi rękoma i czekał. Niewiele brakowało, a zaczęłby tupać nogą. W końcu się roześmiała i ustąpiła.

Za żadne skarby nie chciała podrzeć ślicznego, ręcznie zdobionego papieru w motyle. Ostrożnie, na przekór jego docinkom i śmiechom, odklejała taśmę i rozwijała papier.

W środku były sztalugi. Drewniane. Z białym płótnem.

Wyraz, jaki odmalował się właśnie na jej twarzy, był trudny do określenia.

– Powiedziałaś, że malowałaś...

– Zgadza się – oznajmiła, nie patrząc na niego. – Kiedyś.

Tym razem zadał jej to pytanie.

– Dlaczego przestałaś?

Upłynęła chwila, zanim mu odpowiedziała, ale on czekał cierpliwie.

– Utraciłam radość malowania – wyznała w końcu, a w jej głosie pobrzmiwało coś, co powstrzymało go przed dalszymi pytaniami.

Patrzył na nią ciekawie, ale bez słowa.

Lily w milczeniu odpierała jego spojrzenie. Kiedy cisza stała się krępująca, sięgnął po sztalugi.

– Gdzie mam je zanieść? – I zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: – Chyba na górę, co? Jak mówiłem, strych będzie idealny na atelier...

– Więc po co pytasz? – odparowała, a na jej ustach błąkał się szelmowski uśmiezek.

Razem ustawili sztalugi. Nathan przyniósł jej także farby, przepiękny zestaw olejny w drewnianej skrzyneczce. Widział, że jest zażenowana hojnością prezentu, więc postanowił jak najprędzej się ulotnić, aby nie mogła zaprotestować. Odprowadził go na zewnątrz. Żegnając się, podziękowała. W końcu za prezent wypadało podziękować. Usiadła z powrotem na murku i odprowadził go wzrokiem, dopóki nie dotarł do Driftwood Cottage. Zanim zniknął w studiu, pomachał jej krótko.

Lily myślała o sztalugach. Zatrzęsła się z zimna i otuliła się ciasniej swetrem. Towarzyszący jej nieustannie Reefer zauważył jej drzenie i oparł się ciężko o jej nogi. Odruchowo zaczęła drapać go po jedwabistej sierści, na co pies położył łeb na kolanach i patrzył wielkimi, brązowymi ślepiami.

Parę minut później drzwi Driftwood Cottage otworzyły się i wyszła z nich Abi. Na widok Lily pomachała i ruszyła w jej stronę. Z daleka wołała z przejęciem:

– Mam coś dla ciebie.

Przyspieszyła kroku i chwilę potem usiadła na murku obok Lily, wręczając jej małą, papierową torebkę. W środku było coś ciężkiego. Lily przechyliła głowę i posłała sąsiadce pytające spojrzenie, a potem sprawdziła, co jest w torebce. Nożyce ogrodowe.

– Czy to aluzja do tego, że mój ogród jest hańbą całej okolicy? – Lily uśmiechnęła się szeroko, wyjmując nożyce.

– Właściwie nie, ale jeśli praca w ogrodzie miałaby ci pomóc, to owszem, naprawdę powinnaś się wstydić. Twój ogród różany przynosi ujmę i cała wieś już strzępi sobie języki...

Zaśmiała się, widząc zaokrąglające się z przerażenia oczy Lily.

– Ależ skarbie, żartuję przecież! Pomyślałam tylko, że jak się rozkręcisz, może nawet zaczniesz czerpać z tego przyjemność...

– Rozkręcisz?

– Z ogrodem. Byłoby naprawdę fajnie, gdybyś go odszykowała. Kiedyś był piękny jak marzenie. Dawniej zakradałam się do was nocą i ucinałam parę kwiatów. – Wskazała pnącą różę wspinającą się po framudze drzwi Driftwood Cottage. – Ta na przykład jest odnózką jednego z twoich krzewów. Późno zakwita, ale jeśli już rozkwitnie, toniesz w kremowych kwiatach i niebiańskim zapachu. – Wciągnęła powietrze dla podkreślenia swoich słów, a potem zastygła, widząc mało zachwyconą minę Lily. Dokładniej rzecz biorąc, Lily wyglądała na skruszoną.

– O co chodzi? – zapytała Abi.

Lily zacisnęła usta.

– Muszę ci coś wyznać... – wydusiła w końcu.

– Co takiego?

– Ogród różany...

– Och, Lily! Co zrobiłaś? Tylko mi nie mów, że go zabetonowałaś albo wykopałaś wielką dziurę, bo zamierzasz zbudować w nim basen...

– Najlepiej będzie, jak sama zobaczysz...

Poszła pierwsza na tyły domu, gdzie wyraźnie widać było ślady jej wczorajszej działalności. Tam, gdzie płonęło ognisko, taras szpecila wielka, czarna plama. Lily była szczęśliwa, że Liam tak rzadko wychodził do ogrodu i nie zorientował się, co takiego nawyprawiła.

Abi popatrzyła przez otwartą furtkę na przycięte do gołej ziemi różane krzewy.
– Ach. Rozumiem – mruknęła. I odwróciła się do przyjaciółki ze stanowczym uśmiechem. – Nie szkodzi. W tym roku nie należy już się spodziewać cudów, ale róże są dość wytrzymałe, w przyszłym roku zasypią cię kwiatami.
– Sądzisz, że odbiją?
– Oczywiście – oświadczyła Abi z większym przekonaniem, niż je naprawdę czuła. – Odwaliłaś kawał niezłej roboty. Całkiem zapomniałam, jaka wielka jest ta część ogrodu. Jak myślisz – podjęła, biorąc Lily pod rękę – może teraz, kiedy tak się napracowałam, pofolgujemy sobie i pójdziemy do Boba?

– Musimy znaleźć Lily pracę, a przynajmniej jakieś sensowne zajęcie – zakomunikowała Abi, kiedy przywitały się z Bobem i usiadły przy wolnym stoliku w Port Hole.
– Ponieważ praca w ogrodzie najwidoczniej nie należy do moich najmocniejszych stron – dodała Lily, uśmiechając się figlarnie.
– A już na pewno nie w połączeniu z nadmierną konsumpcją ginu – szepnęła konspiratorsko do Boba.
Tymczasem udało jej się wyciągnąć z Lily tajemnicę różanego ogrodu.
– Ginu? Ciekawe, skąd ona wzięła gin! – Bob świdrował wzrokiem Abi, marszcząc brwi.
– To był mój gin – zapewniła go prędko Lily.
– Kupiony po tym, jak wysuszyłyśmy podarowaną ci przeze mnie butelkę! – zaśmiała się Abi. – Mam na ciebie zły wpływ. Stan twojego ogrodu to wyłącznie moja wina.
– Nie zrobiłam tego, dlatego że trochę wypiałam. Alkohol tylko wpłynął na sposób wykonania...
– A co dokładnie masz na myśli? – Zmarszczył czoło Bob.
– Edward Nożycoręki na speedzie – odparła Lily.
Obie wybuchły śmiechem i objęły się.
– Szkoda, że tego nie widziałeś, Bob, rozpałiłam ogromne ognisko. Niewiele brakowało, a puściłabym z dymem cały dom! – Lily rozchichotała się do łez.
– Ale mój rycerski syn pospieszył jej z pomocą!
– Naprawdę potrzebne ci jest jakieś zadanie, Lily. Jakieś sensowne zajęcie...
– To Liam poddawany jest terapii zajęciowej, nie ja...
– Mówiłam tylko o jakimś zajęciu, ale jeśli będzie ono miało efekt terapeutyczny, to tym lepiej... Jeśli tego potrzebujesz. Potrzebna ci terapia?
– Uważasz, że jej potrzebuję?
– A czy ty uważasz, że tak uważam?
– No cóż, najpierw Nathan daje mi sztalugi, potem ty przynosisz nożyce ogrodowe...
– Nathan podarował ci sztalugi? – Abi zmarszczyła czoło.
Lily przytaknęła. Prawie pożałowała, że o tym wspomniała. Z wdzięcznością powitała nadejście Anny, która przyniosła do stolika wybór ciast. Abi ochoczo zajęła się słodkościami.
– Hm, soul food... – Zatarła z radością ręce.
– Jak? Soul food? – zapytała Anna z wyraźną konsternacją.
– No, mojej duszy na pewno się przysłuży. – Abi puściła oko do Lily.
Anna nie odchodziła.
– Jak czuje twoje małżeństwo? – zapytała.
– Sama chętnie bym się dowiedziała, Anno.
Wzruszyła ramionami Lily. Dawno już nie czuła się tak odprężona. Abi zagadywała

każdego, kto przychodził, obojętne, czy go znała, czy nie, dla każdego miała miłe słowo.

Lily siedziała na słońcu i z zaciekawieniem obserwowała Boba. I Abi. Jak Bob na nią patrzył. Przyglądała się temu z fascynacją. W jego wzroku kryła się mieszanina rozbawienia, zatroskania, sympatii i czegoś jeszcze, czego nie potrafiła uchwycić. Kiedy zorientował się, że Lily go obserwuje, spuścił wzrok i uśmiechnął się z zakłopotaniem. Przechylił się przez stół i przykrył dłonią jej rękę.

– Wiem, co ci chodzi po głowie...

– Ach tak?

– Tak. To samo, co każdemu mieszkańcowi tej skażonej kaziroduztwem dziury. Widzisz je?

– Wskazał na dużą, brudnoszarą mewę siedzącą na parapecie i na inną, przycupniętą na dachu domu naprzeciwko. – Większość ludzi uważa, że to tylko ptaki, ale to nieprawda. To są plotki, całe chmary plotek krążących nad nami jak sępy, wrzeszczących na nas...

– I srających...? – podsunęła Lily, wywołując atak śmiechu u Boba.

– Widzę, że dobrze się rozumiemy!

– No to powiedz, co mi chodzi po głowie? – zapytała Lily rozbawiona.

– Czy on jest gejem, czy hetero? – odpowiedział błyskawicznie. – Czy jest typowym homo-kumplem, który darzy ją niewinną i stałą sympatią, czy może jednak kocha się po uszy we wspaniałej pani Hunter i zdręcza, że nie ma odwagi wyznać jej swojej miłości?

– Aha. Właściwie zastanawiałam się tylko, czy zdradzisz mi przepis na to ciasto czekoladowo-krówkowe. – Lily zatrzepotała niewinnie rękami, znów wywołując jego śmiech.

– Nie bez powodu tak trudno jest zdefiniować miłość. Bo ona nieustannie się zmienia. Rośnie, rozwija się, ewoluuje... Czasem naprawdę trudno dotrzymać jej kroku. Zrozumieć ją. Oczywiście, że kocham Abi. Ale jeśli chcesz wiedzieć, jakiego rodzaju jest to miłość, to muszę spasować. Bo jedyne, co wiem, to, że kocham ją całym sercem.

– Chyba zadajesz sobie sprawę, że właśnie wykręciłeś się od całego szeregu pytań, których nigdy ci nie zadałam?

– Jasne. – Odchylił się na oparcie krzesła i uśmiechnął z pewną wyniosłością. – Owijanie w bawełnę sprawia mi niewypowiedzianą frajdę. Właściwie chciałem ci tylko powiedzieć, że człowiek zbyt łatwo zmienia się lub przybiera rozmaite pozy, żeby przypodobać się innym. Najcenniejszym darem w życiu jest ktoś, kto weźmie cię takim, jakim jesteś, obojętne, jaką formę przybierze wasz związek i jak zmieni się z biegiem lat.

Urwał i łyknął herbaty.

– A czym właściwie jest miłość? Miłość tyle w sobie zawiera, jest cudowna i fascynująca, ale bądźmy szczerzy, miłość jest także złośliwym małym skrzatem, wrednym pasożytem, który czyni nas słabym... – Zamilkł, przygryzł wargę i popatrzył na Abi. – Może zostałem gejem, ponieważ ona nie potrafiła albo nie chciała kochać mnie tak, jak tego bym sobie życzył. A ponieważ żadna inna kobieta nie wyświadczyła mi tej wspaniałej przysługi, zwróciłem się ku mężczyznom.

Komu on właściwie chciał zamydlić oczy?

Bob ścisnął jej dłoń ze szczerą sympatią.

– Ach, Lily. Nikomu nie służy dokładne definiowanie własnej osoby. Dlaczego nieustannie roztrząsamy, kim i czym jesteśmy, zamiast odpuścić i po prostu być?

Abi i Bob poprosili ją, żeby dotrzymała im towarzystwa przy kolacji, ale Lily miała poczucie, że powinna być w domu, kiedy wróci Liam. O ile już dawno nie wrócił. Więc wróciła pieszo do Domu Róż.

Słońce powoli chowało się w morzu i barwiło jego spokojną powierzchnię płomiennymi kolorami. Okna domów połyskiwały jak iryzujące klejnoty. Łagodna, ciepła bryza gładziła trawy i unosiła na swoich skrzydłach ptaki.

Lily uświadomiła sobie nagle, jak pięknym miejscem jest Merrien Cove. Z każdym krokiem odkrywała nowe perspektywy, nowe cudne widoki i miejsca. Jakby dotychczas była na nie całkowicie ślepa.

Kiedy dotarła do najwyższego punktu ścieżki, skąd widać już było dom, zobaczyła na podjeździe samochód. Nie był to wóz Liama, ale niebieski mercedes. A na murku, dokładnie tam, gdzie siedziała przed południem, rozpoznała znajomą sylwetkę Petera.

Wydawało jej się, że upłynęła cała wieczność, odkąd widziała i rozmawiała z nim ostatnim razem. Zastanowiła się, kiedy to było, ale zupełnie utraciła poczucie czasu.

Kiedy podeszła bliżej, Peter wstał i otworzył ramiona na powitanie. Lily wtuliła się w niego odruchowo. Westchnęła z ulgą i błogością. Peter wyczuł, jak odprężyła się w jego objęciach i przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej.

– Jak leci?

Nathan też ją o to pytał, ale uznała, że to na dzisiaj wystarczy. Peter już wystarczająco zmagął się z tym, że od wypadku pracował za dwóch, nie musiała go dodatkowo obciążać swoimi problemami. Poza tym spędziła niespodziewanie piękny dzień, najpierw z Nathanem, potem z Abi i Bobem, za co była im bardzo wdzięczna.

– Dobrze – odparła z uśmiechem.

– Naprawdę? – upewnił się delikatnie. – Jak jest między wami?

– Nadal trochę ciężko – odparła wymijająco i cofnęła się o krok. – Ale uporamy się z tym, Peter.

– Pomogłoby wam, gdybyśmy usiedli we trójkę i pogadali?

– Myślę, że pomogłoby nam, gdybyśmy usiedli razem i zwyczajnie dobrze się zabawili.

Jak za dawnych czasów.

– Przy kolacji i butelce wina, u was?

– Przy kolacji i kilku butelkach wina – skorygowała. – Zwłaszcza że teraz razem z Wendy jest nas czwórka albo nawet piątka, jeśli doliczymy Dylana.

– Układa się wam z nim pod jednym dachem?

To było trudne pytanie. Obecność Dylana sporo ułatwiała, ale za to utrudniała inne rzeczy. Dylan był rodzajem bufora, który umożliwiał cywilizowane układy i stwarzał pozory normalności. Ale był też przeszkodą, przez którą rzadko przedostawały się ich prawdziwe uczucia.

– W tej chwili to dobre rozwiązanie dla nas wszystkich – powiedziała w końcu.

– Gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszywszy ramionami, przeczesła dłonią włosy. – Przed południem miał dziś wizytę w szpitalu, w pracowni radiologicznej. Nagrali się na sekretarkę, że wrócą późno, ale nie wiem dlaczego.

Odezwała się komórka Petera.

– Przepraszam, Lil... – powiedział i sięgnął do kieszeni, żeby przeczytać esemesa.

- Praca? – zapytała.
- Wendy – odparł z błogim wyrazem twarzy.

Lily usiadła obok na murku.

– Już całkiem zapomniałam, jak to jest. Ta tęsknota, jaką się czuje... – powiedziała z nostalgiją.

Peter ścisnął jej dłoń. W tym momencie nadjechał range rover Liama i zaparkował za mercedesem Petera. Za kierownicą jak zwykle siedział Dylan.

Wstali, nie puszczać dłoni. Peter wolną ręką pomachał przybyłym, a potem razem podszli bliżej. Dylan wysiadł z samochodu, ale zamiast od razu skierować się do drzwi pasażera, żeby pomóc Liamowi, albo do bagażnika, żeby wydobyć z niego wózek inwalidzki, pomaszerował prosto do nich.

- Cześć wam. Co słyhać?

Lily posłała mu lekko poirytowane spojrzenie. Doskonale wiedziała, że to frustrowało Liama, kiedy dołączał do nich jako ostatni. Czuł się zapomniany i opuszczony.

- Eee... Może pomogliśmy Liamowi wysiąść?

Ale Dylan tylko wzruszył ramionami.

- Ach, dziś poradzi sobie sam – powiedział z udawanym lekceważeniem.

A potem jego zastygła w udawanej obojętności twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu, który powstrzymywał dotychczas z wielkim trudem. Ponieważ zarówno Lily, jak i Peterowi opadła szczęka, kiedy zobaczyli, jak otwierają się drzwi po stronie pasażera i ze środka bez niczyjej pomocy wysiada Liam.

Kiedy Liam zobaczył, jak wysoko jest z fotela terenówki do ziemi, zwątpił, czy pomysł, żeby wysiąść bez niczyjej pomocy, na pewno był mądry. Ale było za późno.

Dylan stał już przy Peterze i Lily. Liam musiał wykonać krok, na który sam się zdecydował. Tylko dlaczego wydawało mu się teraz, jakby od podłoża dzieliła go przepaść?

Cotygodniowe wizyty w szpitalu, niezliczone godziny ćwiczeń z Dylanem – wszystko to zmierzało do przygotowania lewej nogi na zdjęcie gipsu, kiedy sama będzie musiała dźwigać ciężar ciała, dopóki prawa noga całkiem nie wydobrzeje.

Przytrzymał się ramy wozu, potem przerzucił lewą nogę na zewnątrz i pozwolił zadziałać sile grawitacji. Tułów i prawa noga zsunęły się z siedzenia, nie było odwrotu.

„Lewą nogę mocno postawić na ziemi, dostawić prawą, nie obciążając jej – upomniał się w duchu. – Ciężar ciała zawsze zostawiać na lewej nodze”.

Lewa noga ugięła się pod nim.

Pozostali drgnęli z przerażeniem i już chcieli pospieszyć mu z pomocą, ale zmobilizował wszystkie siły i podciągnął się na drzwiach samochodu.

Przegub dłoni zabolął jak diabli, ale Liam nie puścił. Ból ustał tak samo nagle, jak się pojawił.

Dobrze. Wysiadł. Dał radę.

Tylko że stał teraz plecami do nich. Musiał się jeszcze odwrócić. Popatrzeć im w twarz.

Pewnie wpatrywali się w niego z niepokojem, bez śladu euforii czy radości. Pewnie pode- szli ukradkiem bliżej, żeby w razie czego pozbierać go z ziemi. Nie tak to sobie wyobrażał.

Ale trudno. Nadal trzymając się mocno drzwi, obrócił się i wywołał na twarzy uśmiech.

Przywieźli ze sobą chińskie jedzenie. Lily zabrała się do odgrzewania potraw, podczas gdy Peter nakrywał do stołu, a Dylan zatroszczył się o napoje.

Mieli co świętować. Mężczyźni byli już niezłe ożywieni, na czele z Liamem, który po k- lacji koniecznie chciał jeszcze odwiedzić Broken Compass.

Kiedy stanął w drzwiach do baru, stali bywalcy otoczyli go i zaczęli bić brawo.

– Pamiętają go – szepnęła Lily do Dylana.

Nie była pewna, jak zareaguje mąż.

– No pewnie – zgodził się Dylan. – W końcu w zeszłym tygodniu też tu byliśmy.

I dwa tygodnie temu, i trzy.

Broken Compass stał się regularnym przystankiem podczas ich „spacerów”, jak domyśliła się Lily, kiedy Liam przedstawił Petera każdemu z mężczyzn przy barze. Jego nowi kumple gratulowali mu, że „pozbył się kółek”.

I naturalnie wszyscy wiedzieli, kim jest Lily, w końcu Liam często o niej mówił, o czym nie wiedziała. Tkwiła pośrodku tych wszystkich ludzi i zadawała sobie pytanie, jak można być tak samotnym w tłumie.

Nasycona i szczęśliwa Abi wróciła do domu, gdzie zastała w kuchni Nathana parzącego herbatę.

– Tak mi się wydawało, że cię słyszę, jak się toczysz – zadrwił. – Mam coś dla ciebie... – Wskazał pakunek na stole i odwrócił się z powrotem do czajnika.

– Dla mnie?

– Mały upominek.
– Ach, upominek, tak? Coś ostatnio Święty Mikołaj się z ciebie zrobił.
Rzucił jej ostre spojrzenie.
– To ciasto z maderą od twojego ulubionego cukiernika w Truro. O co ci chodzi?
Abi przeszła do rzeczy.
– Dlaczego podarowałaś Lily Bonner sztalugi?
– Żeby mogła malować – zabrzmiała prosta odpowiedź.
Zmełła w ustach ostrą ripostę i zamiast tego odparła jak najspokojniej umiała:
– Myślę, że lepiej będzie, jeśli zostawisz ją w spokoju, Nathan.
– A dlaczego tak myślisz, przepraszam bardzo? Wiesz przecież, że przechodzi kryzys. Potrzebuje dobrego przyjaciela...
– Tak. Dobrego przyjaciela.
Czajnik wyłączył się, a Nathan zalał wrzątkiem herbatę i usiadł przy stole, gdzie czekały już filiżanki i mleko.
– Więc uważasz, że nie mogę być dobrym przyjacielem?
– Ona jest bardzo ładna, Nathan...
Przytaknął z aprobatą.
– I miła, dowcipna, mądra – dodał, nie patrząc na matkę. – I jest traktowana przez swojego egoistycznego męża skurwysyna jak ostatni śmieć...
– ...dlatego w tej chwili bardzo łatwo ją zranić – dokończyła Abi. – I myślę, że jeśli ktoś przeszedł to, co Liam Bonner, to ma prawo być egoistycznym skurwysynem...
Skinął głową, nie podnosząc wzroku, a potem zaczął zwijać i rozkładać lnianą serwetkę, jakby właśnie odkrył sztukę origami.
– Rozumiem, że ją lubisz. Ja też ją lubię... Nawet bardzo.
Podniósł wzrok.
– Ja też bardzo ją lubię – powiedział cicho.
– Zauważyłam – odparła Abi jak najdelikatniej. – I właśnie to mnie martwi.
– Nie jestem już dzieckiem, mamó.
– Wiem.
– Wiem, co jest dobre, a co złe.
– Wszyscy to wiemy... Ale to nie znaczy, że zawsze postępujemy zgodnie z tym.
– No to czego ode mnie oczekujesz?
– Nie chodzi o to, czego ja od ciebie oczekuję.
– Tylko? – zapytał, choć dobrze wiedział, co ma na myśli.
– Widziałam zdjęcia, które jej zrobiłeś.
– *Pictures of Lily* – zanucił – *help me sleep at night...*
– Nathan... – zaczęła ostrzegawczo.
– To tylko piosenka, Abigail.
– Nathan... – powtórzyła Abi, ale mimo swojego zatroskania nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.
On też się uśmiechnął, ale potem spoważniał.
– Ona nie jest szczęśliwa, mamó.
– Wiem.
W milczeniu naląła mu herbaty i podała filiżankę. Objął ją dłońmi, potem odstawił i skinął głową, jakby przed chwilą zadała mu pytanie.
– Dostałem interesującą propozycję.
– Ach tak?

– Jeśli ją przyjmę, nie będzie mnie przez parę tygodni.
Abi serce podeszło do gardła, ale udało jej się przywołać na twarz uśmiech.
– I co, przyjmiesz ją?
Zastanowił się chwilę.
– Tak byłoby chyba najlepiej.
– Dokąd się wybierasz?
– Do Nowej Gwinei.
Abi przełknęła ślinę.
– Łuaaa. Dość daleko.
– Hm. – To zabrzmiało prawie jak wyzwanie.
Dolała mu herbaty.
– Wpadniesz, kiedy znowu będziesz w Anglii?
– Nie wiem... Może polecę przedtem na jakiś czas do Nowego Jorku.
– Dobry pomysł. – Jej ulga tylko trochę przyćmiła rozczarowanie faktem, że syn znowu wybiera się w podróż. – Nawet bardzo dobry – zgodziła się.

Wieczór musiał się skończyć. A u schyłku każdego wieczoru trzeba było nieodwołalnie położyć się do łóżka.

Pytanie, czy spać w tym samym pokoju, czy nawet w tym samym łóżku, co on, przestało się nasuwać tamtego wieczoru, kiedy poprosił, żeby zostawiła go samego. Nocna separacja była niezamierzona, ale została zaakceptowana przez oboje. I ani się obejrzeli, jak przywykli do niej, a nawet woleli taki stan, a sama wizja, żeby dzielić z kimś pokój i łóżko, zaczęła wydawać im się coraz bardziej osobliwa, niemal obca. Tęsknili i obawiali się jej po równo.

Tego wieczoru oboje o tym myśleli. Ale żadne z nich nie powiedziało tego na głos. Teraz przyszła pora, żeby udać się spać... Tylko gdzie? Nie wiedzieli, czego oczekuje druga strona, a sami nie wiedzieli, czego chcą.

Lily miała łatwiej. Mogła ziewnąć, powiedzieć, że jest śpiąca, zaszyć się w pokoju i pozostawić resztę jemu. Z kanapy Liam mógł widzieć przez otwarte drzwi pokój, który od czasów, które wydały mu się wiecznością, był jego pokojem.

Od samego początku czuł, że to cholerne łóżko jest błędem, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Jednocześnie stwierdził z rozczarowaniem, że właściwsze wydało mu się spędzić w nim również i dzisiejszą noc, niż pójść za Lily do pokoju, który niegdyś był ich wspólną sypialnią. Uczucie potęgowało oczywiście wspomnienie czasu przed wypadkiem, kiedy rzadko zdarzało się, że spędzali noc w jednym łóżku.

Wstał, krzywiąc się z bólu, i westchnął ciężko, kiedy od razu zapytała, czy wszystko w porządku. Pokręcił głową i oznajmił, że to był długi dzień i że ku jego zdumieniu noga bez gipsu boli bardziej niż w gipsie. Przyznał, że może nie powinien był od razu zwracać wózka do szpitalnego magazynu. Dojście od kanapy do drzwi kosztowało go tyle wysiłku, że nikt nawet w najśmielszych marzeniach nie oczekiwał, iż mógłby pokonać schody na górę. Dlatego tego wieczoru poczuli się zwolnieni z odpowiedzi na to ważne pytanie.

Wiedział jednak, że prędzej czy później będą musieli o tym porozmawiać.

Dostrzegł, że zbyt bardzo koncentrował się na własnych fizycznych i emocjonalnych ułomnościach i że teraz będzie musiał poświęcić uwagę zupełnie innym okaleczeniom. Nie mógł wyjść ze zdumienia, jaki niesamowity proces wyzwoliło w nim zwykłe zdjęcie gipsu. Kiedy przyglądał się, jak pielęgniarka nacina małą elektryczną piłą opatrunek, rozchyła jego brzegi cęgami i przecina nożyczkami gazę, miał uczucie, jakby przecinała warstwę po warstwie emocjo-

nalnego pancerza, a na koniec uwolniła miękki środek.

Nieoczekiwanie szczerą rozmową z Dylanem przygotowała grunt pod ten proces. Kto by pomyślał, że ten chłopak, który miał mu pomóc dosłownie stanąć na nogi, wspomógł go przy wyleczeniu rany, która jątrzyła się dużo, dużo głębiej? Ale Dylan mógł pomóc tylko do pewnego momentu. Cała reszta należała do niego.

I do Lily.

Lily zbudził jakiś niezwykle odgłos. Coś jakby ciche, ale uporczywe, regularne stukanie. Ktoś rzucał kamykami o szybę.

Nie wiedziała, czy powinna się bać albo martwić, do momentu, gdy stwierdziła, że czuje coś niezwyklego. Nadzieję.

Kto próbował zwrócić jej uwagę w ten niezwykle sposób? Ktoś, kto nie mógł wejść na górę do sypialni. Kiedy jednak narzuciła na ramiona szlafrok i wyjrzała przez okno, zobaczyła inną twarz niż tą, której oczekiwała.

Przez chwilę trwali bez ruchu i patrzyli na siebie. Potem kiwnęła głową, założyła pierwsze lepsze ubranie, cichaczem zeszła po schodach i wyszła na ciepłe, nocne powietrze. Początkowo sądziła, że już sobie poszedł, ale kiedy jej oczy przywykły do ciemności, zobaczyła, że tylko trochę oddalił się od domu.

Uśmiechał się do niej z zakłopotaniem, kiedy podeszła bliżej. Otuliła się ciasniej połami swetra. Czowała się nieswojo.

Zauważył, że ogląda się na dom, na okna Liama.

– Przepraszam, że o czwartej nad ranem rzucam kamykami w okna jak jakiś sztubak... Wiem, że nie powinienem, ale chciałem się pożegnać.

– Znowu wyruszasz w świat...

Przytaknął. Zaskoczyło go, jak bardzo się ucieszył, słysząc w jej głosie rozczarowanie.

– Wiem, że to zwariowana pora, ale chciałem pożegnać się z tobą osobiście.

– W porządku... Cieszy mnie to. Kiedy... Znaczy, czy kiedyś wrócisz?

– Tak, pewnie tak... Tylko jeszcze nie wiem kiedy.

Zacisnęła usta i umilkła. Potem skrzyżowała ramiona na piersi i wzruszyła ramionami.

– Dokąd tym razem?

– Papua-Nowa Gwinea.

Zaśmiała się cicho.

– Słyszałam już tę nazwę, ale nic poza tym. Żenada, co? Nawet nie wiem, gdzie to jest.

– Między Indonezją a Australią.

– Szmat drogi...

– Prawie dwadzieścia tysięcy kilometrów. Ale tylko dwadzieścia cztery godziny lotu...

Przygryzła usta. Widać było, że ta wiadomość ją poruszyła, dlatego odważył się zapytać:

– Myślisz, że dasz sobie radę z tym wszystkim?

Natychmiast przeszła do defensywy.

– Nie musisz się o mnie martwić.

– Nie mam prawa, co?

Odsunęła się od niego o krok, podczas gdy on spoglądał w kierunku domu.

– Widziałem go wczoraj, jak wrócił. Twojego męża. Bez wózka.

Uśmiechnęła się, spuściła wzrok na ziemię, gdzie jej stopa bawiła się kamykiem, a potem znowu spojrzała na niego.

– Tak. Wreszcie dobra wiadomość.

- Więc teraz może być tylko lepiej?
- Mam nadzieję. Kiedy wylot?
- Spojrzał na zegarek.
- O dwunastej. Już naprawdę muszę iść.
- Jasne. A więc... udanej podróży.
- Dziękuję... – Dotknął jej ramienia. – Nawzajem.
- Przecież ja nigdzie nie jadę.
- Miło to słyszeć.
- Wpadniesz do mnie, kiedy wrócisz?
- Znowu o czwartej nad ranem?

Lily zaśmiała się cicho.

- Kiedy zechcesz.
 - Skoro tak, to następnym razem o północy wdrapię się do twojego pokoju po rynnę.
- Roześmiali się oboje.

Ten wspólny śmiech pozwolił im objąć się krótko i w miarę beztrzesko.

Z morza powoli wynurzyło się słońce i oboje przyglądali się, jak pierwsze promienie barwią czarne fale złotem.

- Jak obraz – mruknął.
- Sztuka odzwierciedla prawdziwe życie – rzekła cicho.
- To prawda. Ale to działa też w drugą stronę.
- Co masz na myśli?
- To samo, co Oskar Wilde... Życie imituje sztukę.
- I jak on na to wpadł?

Ucieszył się, widząc, że znowu się uśmiechnęła.

– Ach, to całkiem proste... Więc... Życie... podejdźcie do życia... no cóż... To wszystko jest kwestią perspektywy.

Lily przytaknęła.

– Czasem w zalewie szczegółów nie dostrzegamy najważniejszego, zwłaszcza, jeśli sami jesteśmy w nie zaplątani – powiedziała cicho, jakby do siebie.

Wpatrywał się w nią intensywnie. Zobaczył to w niej już podczas ich pierwszego spotkania w porcie. Niezależnie od swojej urody emanowała jakimś niewypowiedzianym smutkiem, jej cierpienie było niemal namacalne – i właśnie tę dwoistość starał się uchwycić, nie raniąc jej przy tym.

Dziś nie mógł się powstrzymać. Niepewny, czy tak wypada, ujął jej dłoń. Była lodowata.

– Lily... ten obraz... obraz, który namalowałaś... ten, który wisi u was przy schodach... Jest naprawdę przepiękny. Mówisz, że już nie malujesz. Myślę, że nie powinno tak być, skoro jesteś w stanie tworzyć coś tak... poruszającego. Kiedy uświadomiłem sobie twoje powiązania z Eloise, zabrałem cię do Penzance w nadziei, że... – Zawahał się, ponieważ nie wiedział, jak najlepiej wyrazić to, co chciał powiedzieć. – Kornwalia zainspirowała i uskrzydliła już tylu wspa-
niałych artystów, między innymi twoją cioteczną prababkę, i miałem nadzieję, że może uskrzydli i ciebie... Co się dzieje, Lily? Wiem, że coś jest nie tak, i nie wydaje mi się, że to tylko przez Liama i jego wypadek. Wydajesz się taka bezgranicznie smutna, taka zagubiona... Martwię się o ciebie. – Zamilkł, kiedy zobaczył, że po policzkach spływają jej łzy.

Jęknęła cicho, puściła jego rękę i ze złością otarła twarz.

– Przepraszam... Złości mnie, że jestem taka słaba, ale jakoś... nie mogę...

Najwyraźniej znowu trafił w czuły punkt. Tym razem był gotów nie popuszczać.

– Co się dzieje, Lily? – Położył jej delikatnie dłoń na ramieniu. – Proszę...

Ale ona milczała.

– Czasem pomaga, jeśli się to powie – dodał.

Popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Wszyscy tak mówią.

– Bo to prawda. Pomyśl o Abi: cierpieć z drugim to nie cierpieć wcale...

– W moim przypadku to nie działa – odparła cicho. – Już sama myśl o tym tak bardzo boli. Jak mam mówić o czymś, o czym nie mogę nawet myśleć...

A zatem miał rację. Coś w niej pękło. Rozpoznał głębokie rysy, które ona tylko zamalowała, nie naprawiając ich.

– Kiedy próbowałaś ostatnim razem? – dążył delikatnie.

– Co się stało, to się nie odstanie. Tego nie zmieni żadne gadanie.

– Może i nie zmieni, ale czasem może zmienić coś, co się dopiero stanie...

Powędrowała spojrzeniem ku krawędzi urwiska, nie zdając sobie sprawy, że stali tak blisko przepaści.

Jego ręka wciąż leżała na jej ramieniu i podtrzymywała ją na duchu.

– Musisz uwolnić się od przeszłości, Lily...

Usłyszał i poczuł, jak głęboko wzdycha. To było westchnienie rezygnacji. Kiedy wreszcie zaczęła mówić, jej głos brzmiał tak cicho i beznamiętnie, jakby czytała z kartki.

– Przed dwoma laty, sześcioma miesiącami i ośmioma dniami... – zająknęła się i tak mocno przygryzła wargę, że ta aż pobieliała. Lily zamknęła oczy, wzięła wdech i zaczęła od początku. – Przed dwoma laty, sześcioma miesiącami i ośmioma dniami przyszło na świat nasze dziecko... syn. Jedenaście tygodni przed terminem. Żył tylko siedemnaście godzin.

Zrobiła przerwę. Nathan patrzył na nią zboląły.

– Nazywał się Daniel James Bonner... Po ojcu Liama. Był taki cudowny, taki doskonały... Ale nie mógł... Nie dał rady... Było za wcześnie...

– Jest mi nieskończenie przykro, Lily – powiedział Nathan, a w jego wzroku malowało się szczere współczucie.

Po twarzy Lily niekontrolowanie spływały łzy.

Zadziałał pod wpływem impulsu – zrobił to, co wydało mu się jedynie właściwe w tej chwili: przyciągnął ją do siebie i objął mocno. Ku jego zaskoczeniu poddała się bez oporu. Ale potem spojrzała w stronę domu, zadrżała i uwolniła się od niego. Kiedy się odezwała, jej wzrok spoczywał na nim, a nie gdzieś w oddali.

– I dlatego przestałam malować, bo... – urwała i ponownie zerknęła w stronę domu. – Obraz, który widziałeś... mój obraz... Uważasz, że jest piękny? Poruszający?

Przytaknął.

– Namalowałam go tego dnia, kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Miał wyrażać... To wyraz... – Zmagała się ze słowami. – Wyraża moje uczucia tamtego dnia. Moją bezgraniczną radość. Moją radość tworzenia. Radość życia... Nie tknęłam pędzla, odkąd straciłam Daniela.

Nie powiedział ani słowa. Żadnych wyrazów współczucia. Wziął ją w ramiona i obejmował nieskończenie długo. Łzy przestały w końcu płynąć, uspokoiła się, ale nadal trwali w objęciach.

Kiedy słońce uniosło się nad powierzchnię morza na tyle wysoko, że był już bardziej dzień niż noc, uwolniła się w końcu niechętnie i cofnęła o krok.

– Musisz iść. Jeszcze się spóźnisz na samolot.

– Nie chcę odjeżdżać...

– Ale musisz – powiedziała zdumiewająco stanowczo.

Pokiwał głową.

– Dałem wiążącą odpowiedź.

– Kiedy wrócisz?

– To zależy... Może potem zostanę jakiś czas w Nowym Jorku.

– Co jest w Nowym Jorku?

– Inne życie.

– Kobieta?

Pokręcił głową.

– Jeśli o to chodzi, nie okłamałem cię. Ale jest tam ktoś, kto chciałby ode mnie czegoś więcej.

– A ty też tego chcesz?

Wziął w obie dłonie jej twarz i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Jeśli teraz poprosisz mnie, żebym po wyprawie wrócił tutaj, zrobię to.

Jego słowa zawisły w powietrzu, ciężkie i ważne.

Widział jej niezdecydowanie, ale także to, co za chwilę odpowie. I dlatego zrobił to przypuszczał, co chciał zrobić od pierwszego dnia i na co teraz był ostatni moment: pocałował ją.

Odwzajemniła pocałunek, objęła go w talii i przyciągnęła do siebie. Na moment ogarnęło go cudowne uczucie, takie prawdziwe. Kiedy znowu spojrzeli na siebie, w jej oczach znowu kręciły się łzy.

– Przykro mi... Gdyby sprawy miały się inaczej... ale...

– Kochasz Liama.

Skinęła głową.

– Ale to nie znaczy, że... że ja... – jękała. Westchnęła i zaczęła od początku: – Ale to nie znaczy, że nie chcę cię w swoim życiu... To też nie byłoby właściwe...

Delikatnie położył palec wskazujący na jej ustach.

– Bez obawy, Lily. Obiecuję ci, że nasz związek nie kończy się w tym miejscu. Od dziś będzie po prostu inny niż ten, na który liczyłem... – Opuścił rękę. – Przyjaciele?

– Jasne – przytaknęła. – Tylko że w moim świecie przyjaciele nie żegnają się przez podanie ręki.

– Ale i nie całują się w usta, co?

Poczuł ulgę, widząc, że odwzajemnia uśmiech.

– Niestety nie... No to może się obejmijmy?

Wzięli się w ramiona. Wyszeptał „na razie” i uwolnił się z jej uścisku, odwrócił i odszedł. Żal i tęsknota prawie ją rozdzierały, najchętniej przywołałaby go z powrotem. Ale tylko patrzyła za nim w milczeniu.

Liam całkowicie koncentrował się na rekonwalescencji. Wadą tego pozytywnego rozwoju sprawy było to, że Dylan wkrótce musiał się wyprowadzić, ponieważ teraz, kiedy wraz z gipsem zniknęła przysłowiowa kula u nogi, obecność chłopaka stała się tak samo zbędna, jak szpitalne łóżko i sypialnia na parterze.

Liam przekonał go, żeby jeszcze trochę został. Trudno mu było pogodzić się z tym, że z jednej strony niczego nie pragnął bardziej niż tego, żeby wreszcie odzyskać samodzielność, z drugiej zaś nie miał pojęcia, jak żyć dalej bez Dylana.

Ale kiedyś przecież się wyprowadzi. I zostaną sami z Lily. Dlaczego czuł się tak nieswojo, myśląc o tym? Już nie wiedział, co w ogóle oznacza „Lily i on”. W tym problem. Czy kiedykolwiek się odnajdą?

I wtedy przyszło mu coś do głowy.

Trochę trwało, zanim znalazł resztki wazonu, a widok tyłu skorup zabolął go do głębi. Potrzebował spokojnej ręki. Czy jego palce, które nadal miały jeszcze trudności z zapinaniem i odpinaniem głupich guzików, sprostają tak skomplikowanej próbie cierpliwości?

Wazon Clarice Cliff zawsze był symbolem ich związku. Czy nadal był? Czy ich związek był rozbity? Był stertą odłamków? Tylko dlatego, że mimo wszelkich wysiłków był zbyt głupi, żeby zrobić coś dobrze?

Jedno przynajmniej wiedział na pewno: musiała dowiedzieć się prawdy.

W pierwszych dniach po zdjęciu gipsu często przesiadywali z Peterem, Wendy i Dylanem w kuchni. Towarzystwo Petera zawsze przenosiło Liama i Lily tam, gdzie właściwie powinni się znajdować, wbrew trudnym okolicznościom. Kiedy tak ze sobą siedzieli, kiedy Lily śmiała się i promieniała, Liam przypominał sobie, jak było dawniej.

Czuł się już na tyle silny, żeby móc podjąć pracę. Pojechał z Peterem do Truro. Najpierw do biura, a potem na budowę, gdzie Duncan Corday powitał go wylewnie jak syna marnotrawnego. Z wielką pompą, żeby na pewno wszyscy dowiedzieli się o jego powrocie.

Ta wylewność nie zrobiłaby żadnego wrażenia na tamtym Liamie, który przybył do Kornwalii parę miesięcy temu; nie zastanawiając się długo, rzuciłby się w wir pracy.

Dziś to egzaltowane powitanie bardzo go poruszyło. O wiele bardziej niż pierwsze kroki w atrium centrum sztuki. Albo spojrzenie w górę.

– Wszystko w porządku? – zapytał Peter.

Przez cały czas nie odstępował go na krok.

Liam skinął głową, nie odrywając wzroku od szklanej kopuły.

– Ile to metrów? – mruknął.

– Tylko nie mów, że spadając, tego nie obliczyłeś. – Wyszczrzył się Peter.

Potem zjawił się Corday z wianuszkami kolegów, z których każdy chciał uścisnąć mu rękę.

– Ludzie się cieszą, że pan wrócił – odezwał się promiennie.

– No to trzeba to uczcić – zażartował Peter, a Corday popatrzył na niego tak, jakby wysunął właśnie wspaniałą propozycję.

– Świetny pomysł, Peter.

– Słucham?

– No przecież wszyscy niezmiernie się cieszymy, widząc tu Liama. Trzeba uczcić fakt, że wkrótce powróci do gry!

– Ach, nie wiem, właściwie chciałem tylko powoli, niepostrzeżenie wdroyć się do pracy... zmobilizować się i wziąć do roboty... – zaprotestował Liam, ale Corday nie dał się już odwieść od tego pomysłu.

– I wszystko zaczyna się od nowa – westchnęła Lily, stojąc przed lustrem w łazience i tuszując rzęsy.

I faktycznie, kilka dni po wizycie Liama w biurze w skrzynce pocztowej wylądowało zaproszenie. W najbliższy weekend w posiadłości Cordayów miało miejsce przyjęcie na cześć Liama.

Nie była przesadnie próżna, ale wiedziała, w czym jej do twarzy i w czym wygląda najkorzystniej. Skoro już musiała ponownie udać się do jaskini lwa, gdzie baby, które obrabiały jej tyłek, prawdopodobnie i tym razem rzucą się na nią, to przynajmniej chciała wyglądać jak najlepiej.

Zdecydowała się na prostą, fioletową sukienkę z owczej welenki, która dyskretnie uwypuklała jej figurę i delikatnie podkreślała szary kolor oczu. Ponieważ sięgała tuż przed kolano, pokazywała również nogi, których nie musiała się wstydić i które potem będą zdobiły szpilki na wysokich obcasach. Teraz krzątała się jeszcze po domu w zwykłych klapkach.

– Wow. Wyglądasz fantastycznie. – Dylan zagwizdał z uznaniem, kiedy zeszła po schodach. – Tylko buty jakoś nie pasują...

– Nic mi jakoś nie pasuje... Wiesz przecież, że on wszędzie woli zabierać ciebie, nie mnie – odparła, puszczając oko.

Dylan zaśmiał się i pokręcił głową.

– Nie tym razem, Lil...

– Ach, proszę cię, Dylan, zamień się ze mną... – westchnęła i wbiła w niego smutne, szczenięce spojrzenie, które podpatrzyła u Reefera.

Ale Dylan tylko ponownie pokręcił głową.

– A dlaczego nie? Przecież lubisz imprezy... Mnóstwo darmowego alkoholu...

– Na zaproszeniu wyraźnie było napisane „pan i pani Bonner”.

– Nie sądzę, żeby Dylan wyglądał w tej sukience choć w przybliżeniu tak dobrze, jak ty. – W drzwiach pojawił się Liam.

– Myślisz, że to nie mój kolor?

Dylan odwrócił się z szerokim uśmiechem.

– Właśnie. Tobie jest do twarzy w delikatnym niemowlęcym różu – odciął się Liam, nie odrywając wzroku od Lily.

– Gotowa?

Jakże chętnie zaprzeczyłaby. Ale potaknęła.

– No to zbierajmy się... I naprawdę nie robi ci różnicy, żeby usiąść za kółkiem? Wiesz, że nie będziesz mogła się napić?

– Wcale nie chcę pić.

– Lily woli zachować trzeźwość i zmysły. – Dylan pokiwał głową z zadowoleniem. – Bardzo rozsądnie. Pomyślałaś, żeby zabrać kastet?

– Nie ma takiej potrzeby – odparowała. – Jeśli potrzebna mi będzie broń, pożyczę od cie-

bie fiołkę jadu.

W milczeniu pokonywali pięćdziesiąt kilometrów dzielących ich od Treskerrow. Nie było to przyjemne milczenie. To było przemilczanie. Zabijanie milczeniem.

Ona siedziała za kierownicą, on wyglądał przez okno. Im ciemniej robiło się na zewnątrz, tym bardziej szyba stawała się lustrem.

Myśli Lily krążyły wokół domu, który wyłonił się na wprost nich. Tylko raz była w wytwornej posiadłości Cordayów. Szkoda, że to piękne miejsce wywoływało w niej tak niemiłe wspomnienia.

Chociaż wiedziała, że ze względu na Liama powinna zaparkować jak najbliżej domu, pojechała na sam koniec długiego rzędu samochodów i zgasiła silnik.

– Wygląda na to, że zaprosili pół Kornwalii – stwierdziła.

– Petera jeszcze nie ma... A przynajmniej nigdzie nie zauważyłem jego wozu.

– Poczekamy na niego i wejdziemy razem?

– Myślisz, że jak wejdziemy kupą, to nic nam nie zrobią?

– Coś w tym rodzaju...

Lily wyobraziła sobie, o ile łatwiej byłoby wejść do tego eleganckiego budynku u boku Petera i Wendy, za którymi w razie czego mogła się schować.

– Peter nie wiedział, o której przyjadą. Oboje byli dziś jeszcze w pracy. Lepiej nie czekajmy na nich.

Ale żadne nie kwapiło się, żeby wysiadać. Liam popatrzył na nią. Na jego twarzy było wypisane, ile chciałby jej powiedzieć, ale ugryzł się w język, skierował wzrok na dom, westchnął i znowu spojrzął na nią. A potem powiedział prędko, jakby te słowa mogły mu umknąć, jeśli nie wypowie ich natychmiast:

– Właściwie wcale nie chcę tam iść, Lily.

– Ja też nie – przyznała, przywierając wzrokiem do imponującej fasady. – Może ulotnijmy się.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie możemy tego zrobić... prawda?

– Zadzwoń i powiem, że gorzej się poczułeś.

– Chyba nie mówisz poważnie, co?

– Ależ tak... Jak najbardziej poważnie – potwierdziła.

– Nie możemy przecież... Nie wolno nam tak po prostu... – On również popatrzył w stronę domu. W niemal każdym oknie paliło się światło, widać było sylwetki gości, a nawet słyszeć muzykę. – To wszystko zorganizowali dla mnie. Nie możemy po prostu nie przyjść.

– Oczywiście, że nie...

Patrzyli na siebie w milczeniu. Bez ruchu.

– Jedź, zanim nas ktoś zobaczy – wyszeptał w końcu chrapliwie.

Nie musiał mówić jej tego dwa razy. Ręce jej drżały, kiedy przekręcała kluczyk w stacyjce. Zawróciła i ruszyła tak sportowo, że zabuksowały koła, tak bardzo śpieszno jej było, żeby odjechać z tego miejsca.

– Dokąd? – zapytała, kiedy dotarli do bramy wjazdowej.

Obawiała się, że zmieni zdanie i poprosi, żeby jednak wróciła na przyjęcie.

– Do domu – padła odpowiedź.

– Na pewno? – zmusiła się, żeby zapytać. – Jeśli jednak chcesz pójść na to przyjęcie, to mogę jeszcze zawrócić...

– Na pewno. Znikajmy stąd.

Po powrocie do Domu Róż to Lily przypadło w obowiązku zadzwonić do Duncana Cordaya. Jeszcze z drogi Liam poinformował o wszystkim Petera, a ten się ucieszył, że będzie mógł zrezygnować z imprezy. Liam zaszył się w swojej pracowni, podczas gdy ona telefonowała. Tak często w ostatnich miesiącach wyglądał przez okno i napawał się wieczornym widokiem. Nie mógł się nim nasycić.

Słyszał głos Lily. Słyszał, jak przeprasza i przez telefon łagodzi sytuację. Dziwił się, że potrafi kłamać tak przekonująco.

Ona dziwiła się nie mniej. Zwłaszcza, gdy Duncan Corday zaoferował, że przyjedzie natychmiast, jeśli potrzebna im pomoc. Lily zapewniła go wiarygodnie, że Liam poszedł już do łóżka i teraz potrzebuje tylko spokoju.

Kiedy odłożyła słuchawkę, dygotała na całym ciele. Skierowała się prosto do kuchni, wyjęła z szafki otwartą butelkę wina i naląła sobie do kieliszka.

Usłyszała stukot kul Liama i odwróciła się.

– Wszystko w porządku?

– W najlepszym. – Rozkoszowała się bukietem.

– Jak zareagował?

– Był zatroskany. Mam teraz wyrzuty sumienia.

– Chcesz jednak pojechać?

Uśmiechnęła się krzywo, upiła łyk i pokręciła głową.

– Nie aż tak wielkie...

– Dostanę trochę?

Wskazał ruchem głowy wino.

Popatrzyła zdziwiona.

– Nie brałem dziś leków – odpowiedział na jej nieme pytanie. – Pomyślałem, że będę potrzebował czegoś więcej niż dopaminy, żeby przeżyć ten wieczór.

– Ach, Liam... – Chciała go skarcić, ale ugryzła się w język. – Przynieść ci tabletki? – zapytała zamiast tego.

– Właściwie to wolałbym kieliszek tego. – Skinął w kierunku butelki. – A w ogóle to powinienem powoli odstawić leki.

– A zamiast tego otumaniać się alkoholem? – odparła przekornie, ale nie spoglądała przy tym karcąco, tylko uśmiechała się lekko.

Bez słów przyniosła drugi kieliszek, napełniła go do połowy i podała mu.

– Na zdrowie.

– Na zdrowie – zawtórował. – Wypijmy za to, że dostaliśmy się w szpony Cordaya.

Kieliszki brzęknęły i zawibrowały melodyjnie. A potem oboje się roześmiali.

– Kurde, nie do wiary. Jestem tam gościem honorowym, Lily. Cała ta impreza odbywa się z mojego powodu! – Kręcąc głową, upił łyk wina. Poczul błogość, gdy ciemnoczerwony płyn rozlał się jak jedwab na języku i spłynął ciepłą strużką do żołądka. – Nie mogę uwierzyć, że naprawdę zwialiśmy!

– Ja też nie... Ale się cieszę... – Popatrzyła na niego ostrożnie. – A ty? Może jednak wolałbyś zostać?

– O Boże, nie. – Pokręcił głową.

– Ale już wkrótce znowu dostaniesz się w jego szpony...

Świadomie dobierała słowa, żeby nie mógł ich obrócić przeciwko niej.

– Ach tak?
– Przecież już uzgodniliście z Peterem, że wracasz do pracy, prawda?
– Tak, oczywiście. Na początku na pół etatu czy coś takiego. On mnie potrzebuje. A ja chciałbym znowu robić coś sensownego i nie działać ci na nerwy przez cały boży dzień.
– Może wcale mnie tu nie będzie... – powiedziała znacząco.
– Ach? Więc jednak chcesz mnie opuścić? Teraz, kiedy już nikt nie zarzuci ci, że porzucasz na pastwę losu kalekę?
Starał się przybrać żartobliwy ton, ale jego mina przeczyła brzmieniu.
– Właściwie myślałam tylko, że może w końcu poszukam pracy – odparła cicho i ostrożnie.
– Poważnie?
– Dlaczego cię to dziwi?
Wzruszył ramionami.
– Bo nie musisz pracować. Ale skoro chcesz, to co innego. Odniosłem wrażenie, że wolisz zajmować się innymi rzeczami.
– Czym na przykład?
– Na przykład porządkowaniem ogrodu.
Skinął w stronę ogrodu różanego w nadziei, że swoim żartobliwym uśmiechem złagodzi napięcie, jakie powstało między nimi.
– Róże odbijają... – zbagatelizowała.
Była zażenowana tym, co zrobiła z ogrodem.
– Lily, nie ma nic ważniejszego od...
– Nie ma nic ważniejszego? – ucięła natychmiast. – A co z twoją pracą, Liam? Co z centrum sztuki i Cordayem? Jeszcze nie tak dawno temu te dwa punkty stały na samej górze twojej listy ważnych rzeczy, a po nich długo nic!
Tym razem to on za wszelką cenę nie chciał dopuścić do kłótni.
– Lily. Proszę, przestań. Corday jest ważnym klientem. Ale nie pracuję dla niego, tylko dla siebie. Dla siebie i Petera. I dla nas.
– Dla nas.
– Tak, dla nas.
Spuściła wzrok, łyknęła trochę wina i popatrzyła na niego wyzywająco.
– Ja już nie wiem, co znaczy „nas” i „my”.
W okamgnieniu znaleźli się w samym środku tamtej pamiętnej sprzeczki sprzed wypadku. Dokładnie w tym miejscu coś im przerwało. Jak niewyobrażalnie dużo wydarzyło się od tamtej pory! Tamtego poranka w tym momencie wyszedł z kuchni. Wyszedł do pracy. I już nie wrócił. Niewiele brakowało, a nigdy by nie wrócił.
Wszystko to uświadomili sobie jednocześnie i z tak wielkim bólem, że zapomnieli o całej reszcie i objęli się mocno.
– Przykro mi... Tak bardzo mi przykro, Lily... – wyszeptał po chwili. – Ale musimy ze sobą porozmawiać, żeby razem z tego wybrnąć.
Powoli, ale zdecydowanie uwolniła się od niego i popatrzyła na drzwi.
– Jestem zmęczona – szepnęła ledwie słyszalnie. – Muszę się położyć.
– Jasne. Oczywiście...
– Porozmawiamy jutro rano. Obiecuję.
– Okej – zgodził się, choć doskonale wiedział, że kłamała.

Wzięła prysznic i właśnie zakładała koszulę nocną, kiedy usłyszała, że ją woła. Podeszła do jego drzwi, ale zawahała się wejść w obawie, że jednak będzie nastawał na rozmowę. Ale on potrzebował jej praktycznej pomocy.

– Lily, mogłabyś mi z tym pomóc?

Siedział na brzegu łóżka, a kule stały oparte o materac. Wskazał na stopę wciąż tkwiącą w bucie i z frustracją wzruszył ramionami.

– Nie mogę go zdjąć. Zwykle nie mam z tym trudności, ale dziś nie mogę rozwiązać supła. Dyl zawiązał mi sznurowadła, zanim poszedł. Chyba celowo zawiązał je tak mocno, żeby przetestować, ile już potrafię.

Skinęła głową, przycupnęła przy nim, rozwiązała supeł, zdjęła but i skarpetkę i odchyliła się z powrotem na pięty. Rzuciła mu z dołu krótkie spojrzenie, zatroskane, zmęczone i pełne skruchy.

I wtedy odkryła, że jego stopa jest jednym wielkim, ciemnym sińcem.

– Liam – wydusiła.

– To nic takiego. – Wzruszył ramionami.

– Chyba nie mówisz poważnie? To wygląda gorzej niż źle.

Pokręcił głową i zmarszczył nos, namyślając się.

– Gorzej niż źle jest z kolanem. Boli jak cholera. To jest taki ból... Nie pozwala mi zasnąć całą noc i nie ustaje, obojętne, jak położę nogę. Choć teraz, bez gipsu, jest już znacznie lepiej. Bywało, że leżałem i tylko czekałem na świt. Godzinami wpatrywałem się w zegar, czekając na chwilę, kiedy wolno mi będzie wziąć kolejne prochy, ale i one niewiele pomagały...

– Tak mi przykro...

– Dlaczego? To przecież nie twoja wina. Nic w tym wszystkim nie jest twoją winą...

– Ale ja sądziłam, że wracasz do zdrowia... Gdybym wiedziała, że nadal tak jest... Skoro nadal tak cierpisz, to...

– Wracam do zdrowia, Lily. Daję słowo. To – pokazał na stopę – nie ma nic wspólnego z wypadkiem na budowie, tylko jest efektem pewnej różnicy zdań, jaka zaistniała ostatnio na rehabilitacji między mną a rowerem treningowym.

Milczała, zbierając się na odwagę, żeby go o to zapytać.

– Dlaczego nie mogę towarzyszyć ci na rehabilitacji?

– Bo to zadanie Dylana.

– A nie dlatego, że nie chcesz mnie tam mieć?

W milczeniu obrabiał odrobinę zbyt długo guzik przy mankiecie koszuli.

Jednocześnie przypatrywał się jej z zakłopotaniem.

– Nie chcę cię okłamywać, Lily. Nie chcę, żebyś tam była. – Widział, jak bardzo ranią ją jego słowa. Ale tym razem nie upajał się jej cierpieniem, które w jakiś sposób sprawiało, że czuł się górą. Tym razem chciał jej to wytłumaczyć. – Nie chcę, żebyś tam była, Lily, bo wiem, że cierpiałabyś tak samo jak ja. Nie chciałabyś wiedzieć, co tam ze mną wyprawiają, uwierz mi. Dylan i ja żartujemy z katowni, ale czasami czuję się właśnie jak na torturach. Fizjoterapeuci nie cackają się z pacjentami. I słusznie. Ja też wolę, żeby brali mnie ostro do galopu, ale gdybyś to widziała... Nie chciałabyś do tego dopuścić. Zaczęłybyś ich okładać torebką i krzyczeć, żeby zostawili mnie w spokoju... – Popatrzył na nią z czułością, licząc, że odwzajemni jego uśmiech. – Chociaż... Sądząc po sposobie, w jaki traktowałem cię ostatnio, może byś ich nawet dopingowała, żeby pomęczyli mnie jeszcze dłużej... Wręczyłabyś im bicz i poprosiła, żeby chłostali mocniej...

Ostatnie zdanie było typowe dla tego Liama, jakiego znała. Zebrało jej się na płacz. Nie chciała, żeby widział jej łzy, więc przelknęła je, zakryła twarz dłońmi i udała, że się śmieje. Nie

dał się zwieść, ale udał, że tak jest.

Wziął ją za rękę.

– Najgorsze za mną, Lily.

– A dlaczego mówisz mi to dopiero teraz, kiedy nie mogę ci już pomóc? Dlaczego przez cały czas mnie wykluczałeś?

Posmutniał i ścisnął mocniej jej rękę.

– Przepraszam cię, Lily, jest mi tak niewymownie przykro... Ale obawiam się... Muszę przyznać, że... To okropne, Lily, ale myślę, że karałem cię nieświadomie...

– Karałeś mnie?

Pokiwał powoli głową.

– Za to, że dokładnie to samo zrobiłaś ze mną. Że wykluczyłaś mnie i odrzucałaś, kiedy potrzebowałam mnie najbardziej. Kiedy ja potrzebowałam cię najbardziej.

Oboje wiedzieli, że nie mówi o wypadku. Odwróciła głowę, a on westchnął.

– Dlaczego nie rozmawiasz ze mną, Lily...

W jego głosie brzmiał taki ból, takie błaganie, że natychmiast poczuła to, co zawsze, kiedy rozmowa schodziła na ten temat: jakby ktoś wbijał jej tępy nóż w brzuch i brutalnie obracał.

– Lily. Proszę. To, co się stało z Danielem... To nie była niczyja wina. Nie możemy nikogo za to winić i może dlatego to jest tak cholernie trudne... Nie możemy nikogo skrzywić, nikogo pobić... Nikogo oprócz nas... Wiem, że byłem okropny, ale prawdę mówiąc, chciałem ci tylko zademonstrować, jak się czułem, kiedy nie wiedziałem, co robić, bo ty nie chciałaś mnie do siebie dopuścić, choć musieliśmy przejść przez to razem... Wiem, że to niewybaczalne, ale po prostu nie byłem sobą, nie potrafiłem jasno myśleć, próbowałem wszystkiego, żeby nas utrzymać razem... A potem ten wypadek, ból i te wszystkie prochy, i już całkiem mi odbiło... Tak bardzo cię potrzebowałem, Lily, nadal cię potrzebuję, i w przyszłości też się nic nie zmieni. Jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który wie, jak to jest, nikt poza nami nie wie, jak było, kiedy go straciliśmy... A ty mnie do siebie po prostu nie dopuszczałaś...

Ujął jej drugą rękę i spojrzał w oczy. Był pewien, że zobaczy w nich tę samą rozpacz, wściekłość i smutek, które malowały się w jego oczach.

Na moment wstrzymała oddech. Zbierała się w sobie. Spuściła wzrok. I zapytała łamiącym się głosem:

– Kochasz mnie jeszcze, Liam?

Zabolało go, że sądziła, że w ogóle musi o to pytać.

– Oczywiście, że cię kocham... To się nie kończy ot tak, Lily. To się nigdy nie kończy.

Tutaj – przycisnął ich złączone dłonie do swojej piersi – moje serce bije dla ciebie. Ale mimo to są pewne sprawy, o których musimy porozmawiać. Musimy, Lily.

– Dlaczego...

Załkała tak rozdzierająco, że znów przyciągnął ją do siebie i przycisnął tak mocno, że wyczuwał bicie jej serca. Przywarł policzkiem do jej włosów i wciągnął znajomy, jakże obcy zapach.

– Bo nas to zniszczy, jeśli nadal będziemy się od tego separować – wyszeptał.

– Tak, ale czy ty nie rozumiesz? Nie mogłam inaczej odseparować się od tego! Inaczej to by mnie zabiło!

Cofnął się i ujął jej twarz w dłonie. Pocałował jej policzki mokre od łez.

– Oczywiście, że to rozumiem, Lily, rozumiem... – wyszeptał. – Ale czegoś takiego na dłuższą metę nie można odseparować... W którymś momencie to zacznie cię zżerać od środka...

Dlaczego nie umiała z nim rozmawiać? Może z tego samego powodu, że z Nathanem umiała. Kiedy patrzyła Nathanowi w oczy, widziała tylko szczery niepokój i współczucie. Gdy

patrzyła w oczy Liamowi, widziała swój własny ból, podwojony, jakby oglądany przez szkło powiększające, grożący pochłonięciem. Jak mogła powiedzieć temu mężczyźnie, którego smutek tak wyraźnie malował się na twarzy, że nie może dzielić z nim bólu, bo nie potrafi stawić czoła własnemu cierpieniu? Jak mu wyjaśnić, że czuje, jakby jej cząstka umarła w chwili, gdy urodził się jej syn... i umarł wkrótce potem? Jak mu powiedzieć, że wszystko, cokolwiek robiła, było dla niej karą? Budziła się rano sama. Wieszala obraz w miejscu, gdzie mogła widzieć go każdego dnia i za każdym razem odczuwać ten niehumaniczny ból, który przeniknął ją, kiedy to się stało...

Była matką Daniela. Rodzice są po to, żeby chronić swoje dzieci przed wszelkim złem, prawda? Zawiodła. Zawiodła swojego syna.

– Zasłużyłam na to, żeby być nieszczęśliwa, prawda? Zasłużyłam na to, żeby spędzić resztę życia w beznadziei i zwątpieniu...

– Nie, Lily... NIE! Nie zasłużyłaś! – Podniósł głos, żeby do niej jakoś dotrzeć. – To było błogosławieństwo, Lily, nie przekleństwo. Obojętne, jak mało czasu było nam z nim dane, Daniel był naszym synem i zawsze nim będzie. Nikt nam tego nie odbierze. I musimy o nim rozmawiać. Bo dopóki nie przyznamy, że istniał, nie możemy się z nim pożegnać, Lily, a musimy się z nim pożegnać, musimy zostawić to za sobą... Musimy zostawić za sobą jego...

– Ale ja nie chcę...

– Ale musisz, Lily. Jego już nie ma. Kochaliśmy go, chcieliśmy, żeby z nami był, ale on odszedł.

Jego łzy mieszały się z jej łzami.

– Nie potrafię – łkała.

Pocałował ją. Czuł sól na swoich ustach.

– Owszem, potrafisz... Potrafimy... Musimy zaakceptować, że wolno nam się od tego uwolnić, Lily... To jest możliwe, uwolnić się od niego... nie opuszczając go.

Po długim wieczorze spędzonym w Compass Dylan, zataczając się, zdążył do domu wędrownym szlakiem oświetlonym blaskiem księżyca.

Jak zawsze po powrocie – obojętne, ile wypił – zajrzał do pokoju Liama. Wiedział, że właściwie nie jest to już konieczne, ale zwyciężyła siła przyzwyczajenia. Kiedy zastał jego łóżko puste, przestraszył się. Samochód stał na podjeździe, a zatem musieli już wrócić z przyjęcia u Cordayów. Wytrzeźwiał w ciągu sekundy. Może Liam upadł? Zajrzał do łazienki. Nie było go tam. Kuchnia i pracownia również były puste.

W przypanice sprawdził cały dom. Nic. I wtedy coś przyszło mu do głowy.

Pokonując dwa stopnie naraz, zakradł się po schodach na górę. Powoli, ostrożnie pchnął drzwi do sypialni Lily. Jego zmarszczone troską czoło wygładziło się, a na twarzy wykwitł uśmiech, kiedy zobaczył ich dwoje wtulonych w siebie i mocno śpiących.

Poszedł do swojego pokoju i padł na wznak na łóżko. Boże, co za ulga! Potem usiadł z powrotem i rozejrzał się po pokoju, który od kilku tygodni był jego domem.

Jutro rano spakuje rzeczy. Jego zadanie zostało wypełnione.

Ani mi się waż to tknąć! Liamie Bonner, nie jesteś jeszcze w pełni zdrowy! I nie uciekniesz na tej jednej kuli przed reprimendą, bo spokojnie cię dogonię...

– Może właśnie chciałbym zostać dogoniony. – Odwrócił się i wziął ją w ramiona. – Zwłaszcza przez ciebie.

Wycisnął na jej ustach długi, namiętny pocałunek, puścił i zwrócił się ku nowej kanapie, którą chciał przesunąć na jej miejsce, podczas gdy Lily zanosila do kuchni kubki po kawie zostawione przez tragarzy.

– I jak? Jak ci się podoba? – zapytała Lily.

– O klasę lepsze niż to, co tu stało przedtem.

– Wygląda naprawdę fantastycznie.

– Wziąwszy pod uwagę, ile czasu musieliśmy na nią czekać, nie oczekiwałem niczego innego... – Rzucił krytyczne spojrzenie w stronę łazienki. – A to zniknie jako następne.

– Jesteś całkiem pewien?

– Chyba chciałaś mieć pomieszczenie gospodarcze?

– No tak, ale radziłam sobie nieźle i bez niego. I może byłoby całkiem praktyczne mieć łazienkę tu na dole.

– W jakim sensie?

– No... powiedzmy, że właśnie oglądasz coś wielce pasjonującego w telewizji, ale musisz pilnie iść za potrzebą.

– Tak bez drzwi, żeby każdy mógł mi się przyglądać, jak sikam?

– Tak. – Szczerząc się szeroko, usiadła na zamkniętej pokrywie klozetu. – Ładny stąd widok.

– Stąd też.

– Hm. Masz rację...

Lily wstała, kiedy Liam usiadł na nowej, skórzanej kanapie.

– Chociaż... Tutaj też dobrze się siedzi i mógłbym przyglądać ci się, jak bierzesz prysznic. – Uśmiechnął się do niej z nadzieją. – Musimy powoli się zbierać...

Jej twarz stężała.

– No nie patrz tak, Lily...

– Czyli jak?

– Jakbym ci zjadł ostatnie czekoladowe ciastko.

– No wiesz, nie mogę powiedzieć, że się szczególnie cieszę na kolejną imprezę u Cor-dayów.

– Wiem, Lily, ale jesteśmy im to winni. Tym razem nie możemy po prostu nie przyjść.

– To było parę tygodni temu, Liam. Nie uważasz, że już dawno o wszystkim zapomnieli i nam wybaczyli?

– Obawiam się, że potrzeba wielu lat i mnóstwo zaproszeń, zanim to ulegnie zapomnieniu... No chodź już, Lily, obowiązki wzywają...

– Kiedy centrum sztuki zostanie oddane do użytku?

– To potrwa jeszcze co najmniej półtora roku.

– Nie miałbyś przypadkiem ochoty znowu zlecieć z jakiegoś rusztowania?

– Lily!

Podeszła bliżej i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Dobrze wiesz, że nie mówię tego na serio.

– Tego to już nie jestem taki pewny...

W jego głosie istotnie pobrzmiwała rozterka, co przypomniało jej, że stan jego serca i kości stale się poprawiał, ale nadal były podatne na zranienia. Ale podobnie jak róże, z którymi tak bezlitośnie się rozprawiła, tak i jego ciało oraz dusza miały niezłomną wolę życia.

– A ja owszem. – Popatrzyła mu głęboko i szczerze w oczy. – Chodź, idziemy się wyszykować. Jeśli mi obiecasz, że nie zostaniemy zbyt długo, pozwolę ci nawet umyć mi plecy...

– Nie zostaniemy długo, a jeśli ty mi umyjesz plecy, to możemy nawet się spóźnić... – obiecał. – Przynajmniej to przyjęcie nie odbywa się na moją cześć, a to znaczy, że będziemy mogli dyskretnie wmieszać się w tłum... Kupiłaś jakiś prezent dla Elizabeth? Przepraszam, że cię tym obarczyłem, ale mimo najlepszych chęci nie miałem pojęcia, co jej można podarować...

– Peter miał fajny pomysł na prezent.

– Ach tak?

– Tak. Zaproponował, żebyśmy się złożyli i kupili jej talon na lifting kosmetyczny. – Lily zaśmiała się. – Więc dla uzupełnienia kupiłam jej superdrogi krem do twarzy...

Liam roześmiał się razem z nią.

– ...a do tego kartkę z wielką pięćdziesiątką na wierzchu.

– Ale ona ma dopiero czterdzieści osiem, Lily.

– Wiem. – Mrugnęła do niego porozumiewawczo. – Spokojna głowa, Wendy i ja kupiłyśmy jej szal. Może nie taki luksusowy jak te, które zwykle sobie kupuje, ale przynajmniej jest z jedwabiu i bardzo ładny.

– No i doskonale się nada do uduszenia...

Motto przyjęcia – „Sen nocy letniej” – jesienią było wprawdzie mało trafione, ale mieli szczęście z pogodą. W rozległym ogrodzie poukrywano liczne światła, dzięki którym Treskerrow wyglądało jak zaczarowane. Kelnerzy i kelnerki, poprzebierani za elfy i wróżki, z tacami pełnymi kieliszków z szampanem torowali sobie drogę przez tłum.

Wendy była tu po raz pierwszy.

– Boże, jak tu cudownie – zdumiała się. – Przypomina mi to renesansowe malowidło.

– Tak, właśnie. Wygląda super, ale w rzeczywistości pokazuje piekło – mruknęła Lily.

Peter chciał uścisnąć jej dłoń, ale uprzedził go Liam.

– Wyczaruj swój najpiękniejszy uśmiech, Lily Bonner. Jeśli będziemy wyglądać tak, jakbyśmy się znakomicie bawili, nikt nic nie powie, kiedy rychło się pożegnamy.

Przez pierwszą godzinę do Liama podchodziło wielu kolegów: witali się serdecznie i dowcipkowali, że wprawdzie pracuje na pół etatu, ale zaszywa się w biurze lub w domu i szerokim łukiem omija budowę.

Liam uśmiechem kwitował ich życzenia i miłe słowa. Wprawdzie był już zdany tylko na jedną kulę, ale drugą ręką nieustannie szukał oparcia u Lily.

– Nie puszcza go ani na sekundę – uskarżała się szeptem pewna skrzywiona brunetka plotkująca z przyjaciółką. – Uczepiona jak rzep psiego ogona... Moim zdaniem to dość niegrzeczne. W końcu ludzie chcą uścisnąć mu dłoń. Aż trudno się do niego dopchać...

– Trudno jej się dziwić. Na jej miejscu też robiłabym wszystko, żeby ciebie do niego nie dopuścić...

Tylko Lily wiedziała, że było wręcz odwrotnie: to Liam jej nie puszczał, nie chcąc jej zgubić w tłumie. I ta świadomość jej wystarczała, aby złośliwe komentarze spływały po niej jak po kacze.

Rozpoznała oba głosy. Należały do kobiet, które obgadywały już poprzednim razem. Jedna z nich była miła, inna nie. Tą miłą okazała się ładna ruda, która natychmiast uśmiechnęła się przepraszająco, dostrzegłszy, że Lily ją obserwuje, a potem demonstracyjnie podeszła do niej, a nie do Liama.

– Witam! Domyślam się, że pani jest Lily. Jestem Lucy Deveral – przedstawiła się. – Mam wątpliwy zaszczyt bycia asystentką Duncana i wiele już o pani słyszałam. Na przykład, że przyrządza pani najlepszą herbatę w całej Kornwalii.

Lily roześmiała się i uściśniła wyciągniętą ku niej dłoń.

– No, nie wiem, czy najlepszą, ale rzeczywiście mam dość spory wybór. Żenujące, prawda?

– Nie sędzę. To fantastyczne, że ktoś zna różnicę między lapsongiem a souchongiem – zażartowała Lucy. – Może umówimy się kiedyś na herbatę?

– Byłoby mi miło.

Lucy wyjęła z torebki kawałek papieru oraz coś do pisania i zanotowała swój numer.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy pani będzie miała czas. I proszę mi wybaczyć, że panią teraz zostawię, ale nadchodzi sam ajatollah, a jeśli mnie dorwie, to zaraz czymś obarczy... A ja tu przyszedłam, żeby się zabawić! Więc proszę zadzwonić, spotkamy się na herbacie, a może nawet pozwolimy sobie na ciastko...

Z szerokim uśmiechem zniknęła w tłumie. Sekundę później wyrósł przed nimi Duncan Corday.

– Liam, jak miło, że pan przyszedł.

Czyżby w jego głosie pobrzmiwała lekka ironia? Wyglądał jednak, jakby szczerze się cieszył z ich przybycia.

– Dobrze się bawicie?

– No cóż, Liam cały czas upaja się tym, że jest w centrum uwagi, i delectuje współzuciem, jakie wzbudza swoją kulą... – zażartował stojący obok Peter.

– Sam nie wiem, chyba już dość tego współzucia. Ale nie mam nic przeciwko byciu w centrum uwagi, o ile jest to uwaga właściwych osób...

– Na przykład atrakcyjnych kobiet?

– Cóż, jeśli o to chodzi, to Liam naprawdę nie potrzebuje żadnych dodatkowych sztuczek. A poza tym bardzo bym się zdziwił, gdyby łaknął uwagi innych kobiet, skoro ma u swojego boku taki cudowny egzemplarz... – Corday zwrócił się z galanterią ku Lily, ujął jej dłoń i uniósł do ust. – Znow wygląda pani przepięknie, Lily, ach, co ja mówię, zniewalająco, obojętne, czy w wizytowej sukni, czy w uciętych dżisach i T-shircie. Co tam słyhać w pani zakątku Kornwalii? Wykończyła pani domek? Naprawdę muszę znow wpaść na filiżankę herbaty i obejrzeć postępy prac...

– Chętnie, kiedy pan zechce – odparła grzecznie.

– Ach, a ta młoda piękność to pewnie Wendy! Cieszę się, że wreszcie mogę panią poznać... Choć właściwie mam wrażenie, że już panią znam, ponieważ Peter nie mówi o niczym innym... I już rozumiem dlaczego. – Poklepał Petera po plecach, jakby chciał mu pogratulować wyboru. – Czy po tak długim okresie abstynencji nadal dobrze się pani czuje w Kornwalii? Czy Peter pomógł pani się zadomowić? Później chciałbym wznieść razem z panią toast, ale na razie muszę dopełnić obowiązków męża i wygłosić parę słów... Do zobaczenia potem! – Przywołał gestem kelnera. – Ci goście są mi szczególnie bliscy, Toby. Chciałbym, żeby pan osobiście dopilnował, żeby niczego im nie brakowało... Nie chcę tu widzieć żadnych pustych kieliszków. Zrozumiano?

– Oczywiście, sir.

Gospodarz wmieszał się w tłum. Potrząsał niezliczone ręce, aż w końcu dotarł na taras ogromnego domu, który miała we władaniu Elizabeth.

– A zatem to był legendarny Duncan Corday – mruknęła Wendy do Lily.

Wyglądała przy tym na dość rozbawioną.

– I? Jak ci się podoba? – zapytała ostrożnie Lily.

– Przypomina mi moich pierwszoklasistów... – przyznała. – Zadaje masę pytań, nie czekając na odpowiedź. A jak się mieszka Dylanowi w jego nowym lokum?

– Jest bez reszty zachwycony. Codziennie dostaje porządny obiad, nie musi pracować ani prasować...

– Czyli wszystko się ułożyło.

– Yhm. Zawdzięczamy to Bobowi. To był jego pomysł. Dylan jest przeschczęśliwy, a Abi w siódmym niebie, że ma się o kogo troszczyć, teraz, kiedy Nathan jest w Nowym Jorku.

– A wy nadal możecie go widywać, kiedy tylko zechcecie.

Lily skinęła poważnie głową.

– Brakowałoby go nam... Na szczęście nie ma o tym mowy – wyszczerzyła się w uśmiechu Lily – ponieważ niemal codziennie przychodzi do nas z Reeferem na śniadanie.

Kobiety wzięły po kieliszku szampana i podążyły za Peterem i Liamem w spokojniejsze rejony.

Peter zrobił uroczystą minę.

– Zanim Duncan zacznie swoją przemowę, my też mamy coś do zakomunikowania...

Właściwie chcieliśmy jeszcze poczekać i zrobić to według wszelkich reguł sztuki – zerknął na Wendy – ale po prostu nie możemy dłużej zachowywać tego dla siebie.

Nie musiał mówić nic więcej.

– Chcecie wziąć ślub! – zawołali Liam i Lily jednocześnie.

– Skąd wiecie?

Tak, skąd wiedzieli. Pomijając to, że rzeczywiście nie sposób było przeoczyć, w którym kierunku zmierza ich związek, to nowinę dosłownie można było wyczytać na twarzy Wendy. Wyglądała prześlicznie. I to nie tylko za sprawą strojnej sukni, fryzury w stylu lat czterdziestych i idealnego makijażu. Nie, ona jaśniała – jaśniała czystą, niczym niezmaconą radością. Lily jeszcze nigdy nie widziała tak szczęśliwego człowieka.

– Ach, to najlepsza wiadomość od bardzo dawna!

– Tak myślisz? Nie uważasz, że jesteśmy szaleni, biorąc pod uwagę aktualne statystyki rozwodów?

– Myślę, że bylibyście szaleni, gdybyście tego nie zrobili... – Lily objęła zaróżowioną Wendy.

Peter i Liam najpierw uścisnęli sobie ręce, a potem po męsku padli sobie w ramiona.

Każdy wiedział, czym groziło małżeństwo. Cały świat stawał się coraz bardziej cyniczny w swoich poglądach na ten temat. A jednak niezliczone pary wciąż próbowały szczęścia. Jeśli jakaś kobieta w ogóle mogła być dobrej myśli, to była nią Wendy. Jeśli jakieś małżeństwo w ogóle miało szansę na przetrwanie, to było nim małżeństwo Wendy i Petera. Peter należał do wymierającego gatunku mężczyzny, u którego boku kobieta mogła być szczęśliwa po kres swoich dni.

– Na razie niech to zostanie między nami. Nie chcemy ukraść show jubilatce.

– Ale musimy oblać to innym razem.

– Urządzenie przyjęcie zaręczynowe?

– Nie w klasycznym sensie. Nasze rodziny są rozproszone po całym świecie, dlatego pomyśleliśmy, że moglibyśmy się spotkać wszyscy u moich rodziców i przez długi weekend roz-

koszować się życiem jak w Madrycie... Mielibyście ochotę?

– Spróbuj nas tylko powstrzymać.

– Byłoby wspaniale – zgodził się Liam.

Peter promieniał.

– No to uzgodnione. Tylko bądź tak miły, Liam, i zabierz ze sobą obie kule. Już dawno chciałem przejechać się po lotnisku meleksem...

Nikt nie usłyszał, jak gospodarz uderza nożem o kieliszek. W końcu Corday chwycił mikrofon didżeja i tak niespodziewanie zagłuszył klubową muzykę głośnym „dobry wieczór wszystkim”, że nagle całe towarzystwo podskoczyło.

Wszyscy obrócili się ku niemu. Przywołał do siebie Elizabeth.

– Spokojna głowa, nie będę długo przynudzał, ale chciałbym przynajmniej podziękować, że przybyliście dziś tutaj, żeby razem z nami świętować urodziny Elizabeth. Wzniescie ze mną toast...

Urwał, a goście posłusznie wzniesli kieliszki.

– Za Elizabeth, która by mnie zabiła, gdybym zdradził, ile lat dziś kończy. Ale myślę, że wszyscy się ze mną zgodzą, jeśli powiem, że wygląda jakby miała dwadzieścia jeden lat i ani dnia więcej!

– Chyba licząc w psich latach.

Peter puścił oko do Lily i Wendy, które z trudem powstrzymały się od śmiechu.

– W Treskerrow stało się już tradycją, żeby co roku przebić prezent z roku poprzedniego, ale ponieważ mojej lepszej połowie ostatnim razem udało się wycyganic porsche, torebkę od Prady i trzytygodniowe wakacje na Malediwach, tego roku stanąłem przed niewykonalnym zadaniem...

Rozległy się uprzejme śmiechy.

– Co podarować kobiecie, która ma dosłownie wszystko?

– Może prawdziwych przyjaciół i gości, którzy przyszli naprawdę dla niej? – wyszeptał Peter Lily do ucha.

Lily nie mogła powstrzymać głośnego chichotu, narażając się na karcące spojrzenia stojących najbliżej osób.

– Oczywiście coś, czego nie można kupić za żadne pieniądze... – ciągnął Corday.

Odwrócił się w stronę domu. Na taras wytoczono ogromny tort.

– Czy ktoś zaraz z niego wyskoczy? – zastanawiała się na głos Wendy.

– To ja zaraz do niego doskoczę – ostrzegł Peter, przetykając ślinkę. – Wygląda smakowicie. A ja umieram z głodu.

– Jak zwykle. – Wendy czule poklepała go po pękatym brzuchu.

– On jest maszyną do uprawiania seksu, która nieustannie potrzebuje paliwa. – Liam zacytował ulubioną wymówkę Petera, tłumaczącą, dlaczego tyle jadł.

– A napędzany takim tortem mógłbym to robić całą noc...

Peter obiecująco mrugnął do narzeczonej.

Ale tort pojawił się tylko w celu odwrócenia uwagi. Podczas gdy wytaczano go na taras, z cienia drzew wyłoniła się jakaś postać i przystanęła za plecami Elizabeth. Corday położył dłonie na ramionach żony i ją obrócił.

– Niespodzianka, skarbie! Najlepsze życzenia z okazji urodzin!

Na martwej od botoksu twarzy Elizabeth Corday po raz pierwszy pojawiło się coś w rodzaju emocji: radość. Kobieta rzuciła się na szyję niespodziewanego gościa.

- Och, kochanie! Ty tutaj?
- Kto to jest? – dopytywała szeptem Wendy.
- Lily rozpoznała ją. Widziała jej zdjęcie w komórce Cordaya.
- Jej córka. Przypomnij mi, jak ma na imię, Liam?
- Isabella – odpowiedział cicho.

Ku wielkiej radości Petera ogromny tort był prawdziwy. Po jego uroczystym przekrojeniu sztuka polegała na tym, żeby wykroić z niego niewielkie kawałki. Peter, oszołomiony endorfinami i mnóstwem szampana, naprawdę zdobył dla siebie całe górne piętro tortu.

– Tylko nie sądzicie, że się z kimś podzielę! – dowcipkował, w obronnym geście zasłaniając ramieniem talerz. – Jeśli chcecie kawałek, musicie przynieść go sobie sami.

– Możecie sobie wyobrazić, jakie wymiary będzie miał nasz weselny tort – zaśmiała się Wendy.

– Pierścione! – zawołała niespodziewanie Lily, chwyciła Wendy za rękę i stwierdziła, że jej palec serdeczny był bez pierścionka.

Peter wyjął z kieszeni marynarki portfel.

– Pomyślałem, że to zepsuje całą niespodziankę... Cóż, jak to się człowiek może pomylić! – Roześmiał się, ujął dłoń Wendy i powoli wsunął jej na palec pierścionek.

– No, teraz jest tam, gdzie jego miejsce. I tam zostanie na zawsze.

Pocałował narzeczoną, a Liam położył rękę na ramieniu Lily i przyciągnął ją do siebie.

– Myślę, że powinniśmy się ulotnić, kiedy tylko nadarzy się okazja – szepnął.

– Z ust mi to wyjąłeś. Ale nie sądzisz, że byliśmy za krótko?

– Chyba nie chcesz się o to kłócić? – Mrugnął do niej.

Lily uniosła obie dłonie.

– Już nic nie mówię. Powiedz tylko słowo, a już idę po płaszcz.

– Tylko słowo, a już idę po płaszcz.

Uśmiechnęła się.

– Naprawdę wzięłaś ze sobą płaszcz?

– Nie, ale muszę jeszcze wstąpić do toalety... Wypiłam tyle soku pomarańczowego, że wystarczyłoby do zatopienia „Titanica”...

– Dobrze, tylko się pośpiesz. Pożegnaj się w imieniu nas obojga i spotkamy się przy samochodzie, dobrze?

– Tylko nie każ mi znowu czekać trzech godzin pod pretekstem, że dałeś się porwać na szklaneczkę whisky i szalenie ważną rozmowę na temat ościeżnic i gniazdek elektrycznych...

Na wspomnienie przyjęcia tenisowego w kwietniu Liam najpierw zmarszczył brwi, ale potem uśmiechnął się ze skruchą.

– Bez obawy, tym razem na pewno nie. Słowo.

Lily całusem w policzek pożegnała się z Wendy i Peterem.

– Mam nadzieję, że nie weźmiecie nam za złe, ale zmywamy się już...

– Doskonale to rozumiem. My też nie zostaniemy zbyt długo – zapewniła Wendy.

Zgarnęła palcem sporą chmurkę śmietany z talerza Petera. – Inaczej jeszcze ktoś tu umrze z przejedzenia... Zadzwoń do was jutro, dobrze? Żebyśmy mogli zacząć planować.

– W sprawie Francji?

– W sprawie Francji... i w sprawie wesela. Bo bardzo bym się cieszyła, gdybyś została moim świadkiem...

Wchodząc do budynku, Lily promieniała uśmiechem, który został odwzajemniony przez

jakąś starszą panią.

– Jeśli chce pani skorzystać z toalety, to na pani miejscu od razu poszłabym na górę. Tu na dole straci pani parę godzin w kolejce... Można by sądzić, że taka posiadłość wyposażona jest w kilka ustronnych miejsc, ale mój mąż powiedział, że jeśli taki budynek ma status zabytku, to nie pomogą i miliony Cordayów, bo nikt nie da zgody nawet na nowy otwór w ścianie.

Lily podziękowała jej uśmiechem i skierowała się ku okazałym schodom.

– Trzecie drzwi na lewo. Wparowałam najpierw do sześciu sypialni i jednej garderoby.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Rozpromieniła się starsza pani, poprawiając na nosie okulary. – Pani jest żoną Liama, prawda? Lily Bonner? Już dawno chciałam panią poznać... Jestem Violet Cawson i długi czas pracowałam dla ojca Petera, mniej więcej w tym samym czasie odeszliśmy na emeryturę. Jeśli miałaby pani kiedyś ochotę na kawę, to proszę do mnie zadzwonić. Długo przyjaźniłam się z matką Petera, razem chodziłyśmy do szkoły, więc może pani sobie obliczyć, jak długo... – Pokazała zęby w uśmiechu. – Peter ma mój numer.

Wchodząc po schodach, Lily myślała nad tym, jakże inaczej przebiegał dzisiejszy wieczór w porównaniu z tamtym kwietniowym przyjęciem. Każdy, komu została przedstawiona, był życzliwy i otwarty. Oczywiście i dziś pałętały się tu indywidua, które krzywo na nią patrzyły i rzucały głupie komentarze, ale Liam starał się schodzić im z drogi. Zważywszy, że początkowo w ogóle nie miała ochoty tu przychodzić, zrobił się z tego całkiem przyjemny wieczór. To samo miejsce, ci sami goście – a jednak czuła się zupełnie inaczej. Wiedziała, że to dzięki temu, że sama stała się inną osobą.

Kiedy dotarła na pogrążone w ciemnościach piętro, poczuła się jak intruz. Nie mogła znaleźć kontaktu, ale z ogrodu wpadało do środka dość światła, żeby znaleźć drogę.

Zdziwiła się, z jakim przepychem można urządzać zwykłą toaletę: była cała w marmurach, od podłogi po sufit. Wprawdzie nie bez smaku, ale jednak tak, aby każdy dostrzegł kryjącą się za tym fortunę.

W sumie dom był naprawdę piękny. Wracając na dół, Lily podziwiała widok przez wielkie lukowate okna, który był tak samo malowniczy, jak dzieła sztuki na ścianach.

Goście na tarasie zgromadzili się na skraju rozległej murawy. Unosili głowy, obserwując pierwsze fajerwerki rozświetlające nocne niebo.

W tym momencie jej uwagę przykuły dwie sylwetki niezainteresowane spektaklem. Jedna z nich wyglądała bardziej znajomo niż druga, ale jeszcze nigdy nie widziała ich razem.

Nachylili ku sobie głowy pogrążeni w rozmowie. Isabella poruszała prędko ustami, co rusz nerwowo uciekając spojrzeniem nad ramieniem Liama, jakby się bała, że ktoś zobaczy ich razem.

Lily drgnęła przestraszona, kiedy ktoś nagle położył jej rękę na ramieniu.

– Trzeba odpuścić, Lily...

Odwróciła się gwałtownie i stanęła twarzą w twarz z Duncanem Cordayem.

– Słucham?

– Najlepszym wyjściem jest odpuścić.

– Odpuścić? – powtórzyła powoli.

O czym on mówił? Ale w tej samej chwili uświadomiła sobie, co ma na myśli, i odwróciła się z powrotem do okna. Przez chwilę wodziła wzrokiem między Liamem a Isabellą, a potem zamknęła powoli oczy, kiedy dotarła do niej prawda.

Liam i Isabella. Oczywiście. Mieli... Byli... Nie potrafiła ująć w słowa tego, co – jak zakładał Duncan Corday – już wiedziała. Odetchnęła głęboko, żeby ochłoniąć, a potem odwróciła się do gospodarza.

– To nie jest takie proste... – odparła.
Siłą woli pohamowała drżenie rąk.

– To już się skończyło. Właściwie nigdy się nawet nie zaczęło. Jeden pojedynczy epizod, nic, czym powinna się pani przejmować. I minęło już tyle czasu...

– A czas leczy wszelkie rany, prawda? – mruknęła.
Nie uszedł jego uwadze ostry ton w jej głosie.

– Oboje byli dość pijani. Bella pokłóciła się ze swoim mężem, a Liam... No cóż, był tu, sam, jak zawsze... – To „jak zawsze” wyraźnie zabrzmiało jak wyrzut. – Był przybity... To była wina okoliczności, Lily. Jestem pewien. Nic więcej.

Wyglądała przez okno. Tamci stali blisko siebie.

– Najlepiej, jeśli weźmie pani z nich przykład i zapomni, że to się kiedykolwiek stało...

Isabella przykryła dłonią rękę Liama. Prosty gest, ale tak intymny, że Lily miała uczucie, jakby ta dłoń zaciskała się na jej sercu.

– Ach, Liam... – wyszeptała niesłyszalnie. Jej oddech zaparował szybę. Kiedy nie mogła już znieść tego widoku, odwróciła się. – Rzeczywiście wygląda, jakby zapomnieli, co się stało... – mruknęła niebezpiecznie bezbarwnym tonem.

Corday przyglądał jej się ze współczuciem.

– To było bez znaczenia, Lily. Liam na pewno to pani wytłumaczył. W przeciwnym razie nie byłoby tu pani, prawda? A to – pokazał za okno – to też nic nie znaczy. Bella musi przede wszystkim upewnić się, że jej mąż o niczym się nie dowie. Nie ma go tu dziś, ale to dumny mężczyzna i mógłby zareagować bardzo gwałtownie...

– Za to ja mam udawać, że nic się nie stało...

– Lily, jest pani przecież mądrą kobietą. Wie pani, że małżeństwo nie rozpada się z powodu jednego głupiego błędu...

– Nie, ale może się rozpaść na skutek szeregu upokorzeń – mruknęła.

– To nic nie znaczyło, Lily. Nic.

Tak bardzo podkreślał swoje słowa, jakby chciał zasugerować, że byłaby głupia i nierozsądna, gdyby nie dała mu wiary.

– W pana oczach może to nic nie znaczy, gdy zdradza się kogoś, kogo się kocha i komu się ufa, panie Corday, ale niestety ja widzę to trochę inaczej...

– Skoro tak, to może pani w każdej chwili... – urwał, popatrzył na nią, jakby nad czymś się zastanawiał, przykuwając tym samym jej uwagę, dokładnie tak, jak chciał.

– Co mogę w każdej chwili?

– No cóż, wiadomo, że zemsta jest słodka.

– Zemsta?

– Jeśli nie podoba się pani to słowo, to nazwijmy to rewanzem, zadośćuczynieniem, kompensatą...

Kompletnie ją zaskoczył, kiedy raptownie przyciągnął ją do siebie. W nozdrza uderzył ją zapach drogiej wody po goleniu i whisky. Była tak oszołomiona, że nie bronila się przed jego ustami na swoich, dopóki nie opamiętała się, słysząc dobiegające od schodów hałaśliwe śmiechy.

Próbowała odepchnąć go od siebie, ale on tylko mocniej trzymał ją w uścisku. Nie pozostało jej nic innego, jak odwrócić głowę.

– Nie...

Odstąpił o krok, nie puszczając jej.

– Wiem, że tego chcesz, Lily... Przecież od samego początku iskrzyło między nami...

Ku zdumieniu ich obojga Lily zaczęła się głośno śmiać.

– Między nami iskrzyło? Między nami najwyżej parowało i to był dzbanek z herbatą!

Ale to nie te słowa sprawiły, że jego miłosny zapał opadł, tylko jej śmiech. Puścił ją i przybrał urażoną minę. Najwyraźniej nie był świadomy wagi swojego postępu.

– Rozumiem. Skoro tak... Cóż... W takim razie błędnie coś zinterpretowałem...

Prychnęła drwiąco.

– I prosiłbym, żeby to małe... nieporozumienie... zostało między nami – dodał sztywno.

– To nieporozumienie... – powtórzyła z niedowierzaniem i tak samo gwałtownie skończyła się śmiać, jak zaczęła. – Ach, niech pan się nie obawia. Jest pan naprawdę moim najmniejszym zmartwieniem. Panu mogę zejść z drogi. – I dla podkreślenia swoich słów cofnęła się o dwa kroki. – Panu i pana nieznośnej arogancji. Nie, moim problemem są sprawy, którym nie mogę zejść z drogi, którym muszę stawić czoła...

Obróciła się na pięcie i odeszła.

Jednak jej pierwszym impulsem nie było skonfrontowanie Liama z tym, co widziała i czego się dowiedziała. Jej pierwszym impulsem było udać się w bezpieczne i przyjazne ramiona Petera.

Kiedy wyszła do ogrodu, pokaz fajerwerków znajdował się w momencie kulminacyjnym. W migoczącym świetle niezliczonych rakiet dostrzegła przyjaciela.

Obejmował Wendy i co jakiś czas całował ją z nieskończoną czułością. Pomiędzy pocałunkami szeptał jej coś do ucha, na co ona odpowiadała śmiechem i czułym spojrzeniem. Co chwila odrywali się od siebie i kierowali zdumiony wzrok w górę, ku kolorowym gwiazdom na czarnym niebie.

„To był dzień, którego żadne z nich nigdy nie zapomni”, przemknęło Lily przez głowę. Peter i Wendy, dlatego że to był jeden z najpiękniejszych dni w ich życiu. Byli wolni od zmartwień i fatalnych postępów innych.

Kiedy tak im się przyglądała, powoli się uspokajała. Potem odwróciła się i poszła do samochodu.

Liam już na nią czekał.

Stał oparty plecami o samochód, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Usłyszał ją i z uśmiechem podniósł głowę. Jakby z ulgą.

- Długo każesz na siebie czekać.
- Tym razem to ja zostałam zatrzymana przez Duncana Cordaya.
- Ach tak? – Sposepniał. – Czego chciał?
- Mojego ciała.

Uznał, że to żart, i uśmiechnął się krzywo.

– Przeklęty staruch. Gdyby mógł, w całości połknąłby wszystkich ze swojego otoczenia. Boże, jaki ja będę szczęśliwy, kiedy nasza współpraca z tym facetem wreszcie się zakończy.

- Mówisz poważnie?
- Rzadko mówiłem poważniej. – Podał jej rękę. – Chodź, jedźmy do domu...

W samochodzie nie odzywali się ani słowem. Zauważyła, że parę razy zbierał się, żeby coś powiedzieć, ale ostatecznie postanowił milczeć. Lily włączyła radio i pozwoliła muzyce rozproszyć ciszę.

W domu przygotowali się do snu. Pośpieszyła się, żeby pierwsza znaleźć się w łóżku, i udała, że śpi. Pocałował ją czule w ramię i mruknął:

– Kocham cię, Lily Bonner.

Potem sam się położył.

Stłumiła szloch. Zaczekała, aż usłyszy jego regularny, głęboki oddech. Wstała, założyła szlafrok i klapki i wykradła się z pokoju. Zeszła na dół. Wyszła na dwór, przemierzyła ogród, ruszyła w kierunku morza. Do urwiska. Aż nie miała dokąd iść dalej.

I wtedy wreszcie wypuściła powietrze z płuc. Całe powietrze, które wstrzymywała przez ostatnie półtorej godziny. Osunęła się pod całym tym ciężarem na ziemię.

Zwinęła się w kulkę. Schowała głowę między kolana i oplotła desperacko nogi, jakby cały jej świat miał się rozpaść, gdyby je puściła.

Trwała tak jakiś czas. Kiedy ćmiący, przypominający migrenę ból w całym ciele zelżał, mogła wreszcie zebrać myśli.

Wróciła do tamtego ranka osiem tygodni temu, kiedy stali z Nathanem dokładnie w tym miejscu. Pomyślała o jego silnych, obejmujących ją ramionach, o miękkich wargach dotykających jej ust, o bliskości jego ciała.

Liam zrobił tylko to, czego ona o mały włos nie zrobiła. Jak duża była różnica między czynem pomyślanym a dokonanym? Głęboka jak przepaść czy marginalna?

Mogła wtedy zawołać za Nathanem. Całować go dalej. Dać się ponieść. Nie zrobiła tego. Czy zrobiłaby, gdyby wiedziała o postępku Liama? Czy wtedy osunęłaby się z Nathanem w wysokie trawy?

Może. A może nie.

Tak dobrze rozumiała potrzebę zapomnienia. W szczególności zapomnienia tego rodzaju. Bo pomijając to, co powiedział Duncan Corday, jeśli komukolwiek należało się zadośćuczynienie, to Liamowi.

Całkowicie wykluczyła go ze swojego życia. Jakby to wszystko przydarzyło się tylko jej,

a nie jemu.

Wykluczyła go. Odsunęła się. Nie tylko emocjonalnie, także seksualnie.

Tamtego wieczoru, kiedy przedwcześnie wrócili z Treskerrow, byli ze sobą pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna. Oczywiście to nie usprawiedliwiało pójścia do łóżka z kimś innym. Ale w połączeniu z różnymi okolicznościami na pewno się do tego przyczyniło. To, czego się dziś dowiedziała – jakkolwiek byłoby bolesne – wyjaśniało nieskończenie wiele. Stanowiło odpowiedź na tyle pytań.

Była absolutnie pewna, że nigdy przedtem ani nigdy potem nie był jej niewierny. Przecież widziała, jak się zmienił. Liam nie był zdradzającym mężem. Zadręczał się poczuciem winy. Ono go odmieniło.

Wiedziała i bez jego zapewnień, że żałuje tego do głębi. Potrafiła zrozumieć, dlaczego to zrobił. Ale czy będzie umiała mu wybaczyć?

Czy wszystko, w co wierzyła i co miało dla niej znaczenie, rozplynęło się w powietrzu, tak jak fale rozbijające się o skały u jej stóp zamieniały się w wilgotne chmury unoszone wiatrem w dal? Gdyby dowiedziała się o tym dwa miesiące wcześniej, oznaczałoby to koniec jej małżeństwa. Była tego pewna. Wtedy nie miała siły walczyć.

A teraz? Czy teraz było inaczej? Przecież było, jakby właśnie rozpoczęło się nowe życie.

W tym momencie usłyszała jego wołanie.

– Lily!

Powoli wstała i odwróciła się do niego. Wyglądał na zaniepokojonego i zmieszanego.

– Obudziłem się, a ciebie nie było... Co ty tu robisz o tej porze, Lily?

Co tu robi? Dobre pytanie. Ale nie tak dobre, jak o wiele istotniejsze pytanie, co powinna zrobić.

– Nie mogłam spać – odpowiedziała zgodnie z prawdą, ale nie do końca wyczerpująco.

– Coś ci leży na sercu?

– A tobie coś leży na sercu?

Milczał. Nie ruszał się z miejsca. Jakby wypowiedziała jakieś zaklęcie. Zebrał się w sobie.

– Rzeczywiście jest coś, co chciałbym ci powiedzieć – przyznał w końcu ostrożnie.

Potrząsnęła głową.

– Nie.

– Proszę, Lily. Musimy porozmawiać.

Potrząsając głową, cofnęła się o krok.

– Nie. Skończyłam z rozmowami.

Postąpił o krok naprzód.

– Przykro mi, Lily, ale to ważne... Nie możemy dalej chować głów w piasek...

– Nie rozumiesz. Nie chowam głowy w piasek. Już nie. Ale wiem, co chcesz mi powiedzieć.

– Wiesz?

– Wiem.

Pokiwała głową. Wypuścił powietrze z płuc. W świetle księżyca widziała, jak mruga w zdumieniu powiekami.

– Skąd?

– Czy to ważne?

– Pewnie nie... ale... od kiedy? Od tego wieczoru?

Skinęła ponownie głową.

– Ale nic nie powiedziałaś...

– A co miałam powiedzieć?

Przewrócił oczami.

– A co ja miałem powiedzieć? – powtórzył. – Może ja chciałbym coś powiedzieć. Na przykład, że jest mi przykro... strasznie przykro... i że wiem, że to nie zmienia faktu, ale że cały, duszą i ciałem, każdym najmniejszym kawałeczkiem należę do ciebie, że nie oddałem nikomu nawet najmniejszej cząstki siebie, że wziąłem tylko to, czego w tamtym momencie zdawało się mi brakować... To może brzmi brutalnie i tylko pogarsza sprawę, ale to prawda, i obiecuję ci, że odtąd będziesz słyszeć ode mnie tylko prawdę...

– Obojętnie jak bolesną?

– Czy kłamstwa nie bolą bardziej od bolesnej prawdy?

– Być może. Tak, może masz rację. Chcę ci zadać tylko jedno pytanie, Liam. Wiem, co się stało, i nawet potrafię zrozumieć dlaczego, ale czy się mylę w swoich przypuszczeniach?

– Znasz moje pobudki, Lily. Nie mam żadnej wymówki ani tym bardziej usprawiedliwienia – odparł szczerze, potwierdzając to, co myślała.

Skinęła głową. Podszedł o krok bliżej i z nadzieją wyciągnął do niej rękę.

– Znaczysz dla mnie wszystko, Lily. Kocham cię i zawsze kochałem. Moja miłość do ciebie nigdy nie malała, nigdy nie ustępowała. Możemy zacząć od początku, Lily. Już raz to zrobiliśmy...

– Ale między nami stało kłamstwo.

– Zawsze sobie obiecywałem, że ci to wyznam.

– Czekalesz tylko na odpowiedni moment.

– Musiałem najpierw być cię pewny, zanim mogłem zaryzykować, że znowu cię stracę.

– Nigdy mnie nie straciłeś.

– Ale tak mi się wydawało. – Opuścił rękę i schylił głowę. Kiedy ją znowu podniósł, na jego twarzy malowało się zwątpienie. – Bez ciebie jestem nikim, Lily. W ciągu ostatnich miesięcy boleśnie tego doświadczyłem. Proszę cię, nie rezygnuj z nas...

Wyciągnął do niej obie ręce. Był tylko o krok od niej. Jeden maleńki krok. Lily podała mu obie ręce.

Wszystko stało się tak prędko, a jednak wydało mu się, jakby działo się w zwolnionym tempie. To było zupełnie surrealistyczne wrażenie. Bo chociaż Lily ruszyła w jego kierunku, nagle zaczęła się oddalać. Krawędź urwiska, na którym stała, nie była skałą, tylko porośniętym trawą nawisem, który nagle się pod nią zapadł.

Runęła w dół.

Spadała. Rozpaczliwie próbowała czegoś się chwycić. Złapała się skały i zwichnęła bark, kiedy jej spadające ciało gwałtownie wyhamowało. Ale palce ześlizgiwały się w dół. Chropowata powierzchnia rozdzierała jej skórę na dłoniach, im bardziej się zsuwała.

Zdjął ją nieopisany ból.

Słyszała w dole huk rozbijających się fal. A może to był szum własnej krwi?

Liam wołał za nią. Nieustannie.

Krzyczały mewy wypłoszone ze swoich gniazd.

A w głowie odbijały się echem inne głosy.

– Musimy się od niego uwolnić.

– Trzeba odpuścić, Lily. Najlepiej jest odpuścić.

– To jest możliwe uwolnić się od niego... nie opuszczając go.

Więc puściła.

Nie mógł o tym wiedzieć, ale czekał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie parę miesięcy temu czekała Lily. Na twardym plastikowym krześle w szpitalnej poczekalni.

Tkwiał tam przez całą noc.

Jak wszyscy.

Abi, która usłyszała krzyki i przytomnie zawiadomiła straż przybrzeżną.

Dylan, który powstrzymał Liama przed zejściem w dół po skałę po to tylko, żeby chwilę potem zejść samemu. Dylan, który trzymał jej głowę nad powierzchnią wody, dopóki nie przyleciał na miejsce śmigłowiec pogotowia.

Peter i Wendy, nadal ubrani jak na przyjęcie. Wendy z makijażem rozmazanym od łez.

Wszyscy tkwili na plastikowych krzesłach, co chwila zapadając w drzemkę.

– Czy nie mówiłam wyraźnie, że nie chcę tu pana nigdy więcej widzieć?

Znajomy głos wytrącił Liama ze snu. Zesztywniały i zmarznięty uniósł ciężkie jak ołów powieki i zobaczył przed sobą Liz, która z udawaną surowością skrzyżowała ręce na piersi.

– Liz... – wychrypiał. Kompletnie zaschło mu w ustach. – To Lily... Lily tu jest...

– Wiem.

Jej ciepły uśmiech mówił więcej, niż zdołałoby powiedzieć tysiąc słów.

– Czy ona...

Liz przytaknęła.

– Jej stan jest dobry. Nic jej nie zagraża.

Ulga była tak bezbrzeżna, że niewiele brakowało, a zaczęłby łkać bez pohamowania. Zamiast tego dźwignął się na nogi i wziął Liz w ramiona. Jego łzy wsiąkały w pielęgniarski fartuch. Poklepała go po plecach, jakby pocieszała małe dziecko, i mruzczała do niego pocieszająco.

– Już dobrze... Wszystko będzie dobrze... Naprawdę, Liam, wszystko jest w porządku, niech się pan nie martwi. Ona teraz mocno śpi, ale zdjęcia rentgenowskie i wyniki badań są w najlepszym porządku. Parę złamań, ale nic poważnego, nic, co nie zagoi się przy odpowiedniej opiece i pielęgnacji. Miała wielkie szczęście. Oboje mieli wielkie szczęście. Nie ma zagrożenia życia. Oboje wyjdą z tego.

Długo wypuszczał z płuc powietrze, a później zwiesił głowę.

– Dziękuję – wyszeptał.

Dopiero potem jej ostatnie słowa dotarły do niego w pełni. Podniósł wzrok z lękiem i nadzieją.

– Jak to oboje?

Uśmiech Liz poszerzył się jeszcze odrobinę.

Epilog

Obudziło ją wołanie mewy krążącej nad domem. Przez wciąż pozbawione zasłon okna wpadały do środka jasne promienie słońca. Druga połowa łóżka, jak często w ostatnim czasie, była pusta, ale Lily uśmiechnęła się, gładząc nadal ciepłe miejsce, gdzie leżał jeszcze przed chwilą.

Wzięła krótki prysznic, ubrała się i poszła za zapachem kawy i świeżych croissantów do kuchni, gdzie czekał już stół nakryty do śniadania.

Przez otwarte okno usłyszała jego śmiech. Podeszła bliżej i wyjrzała na zewnątrz.

Był idealny letni dzień, łagodny i świeży jak dojrzała pomarańcza. Stali w ogrodzie różanym. Liam podsadził go, żeby mógł wybrać jeden z wielu okazałych kwiatów.

– Którą zerwiemy dla mamy, James?

Śmiech małego, jasnowłosego chłopczyka przypominał śmiech jego taty. Dziecko wskazało na rozkwitły w pełni kwiat róży. Był to widok jednocześnie wzruszający i cudownie kojący.

Tak, kojący. Leczniczy. Bo uleczenie jednak było możliwe. Wraz z uleczeniem znika ból, a kiedy znika ból, można posuwać się naprzód.

Jakiego leku do tego trzeba?

Miłości. Bezwarunkowej, nieograniczonej miłości.

